

MAX CZORNYJ

NIEBEZPIECZNA
PROPOZYCJA



FILIA

MAX CZORNYJ

NIEBEZPIECZNA
PROPOZYCJA

FILIA

*Wszystkim związanym
z Fundacją Cane Corso Rescue Poland –
z wyrazami wielkiego uznania za codzienną pracę.
Pozostałych zachęcam do wsparcia.
To bezpieczna propozycja.*

„Jeśli chcemy, by wszystko pozostało takim,
jakim jest, musi zmienić się wszystko”.
Giuseppe Tomasi di Lampedusa,
Kotowaty (Il Gattopardo)

Michele Filippo di Sant'Angelo (ur. 1981), znany jako Markiz – dziedzic rodu di Sant'Angelo. Przedsiębiorca, filantrop. Członek zarządu i jeden z głównych udziałowców linii lotniczych Far Emirates oraz powiązanej z nimi sieci hoteli La Vera Bellezza. Właściciel prywatnej kliniki im. Świętego Michała. Inwestor branży budowlanej. Kolekcjoner XVIII-wiecznych przedmiotów użytkowych oraz sztuki. Posiada jedną z największych kolekcji średniowiecznych narzędzi tortur.

W 2011 roku zaręczony z księżniczką Marią Struzzo. Ślub nie doszedł jednak do skutku. Rodzina Struzzo wystąpiła przeciw Markizowi na drogę sądową. W ramach polubownego zakończenia sprawy Michele Filippo zgodził się wypłacić odszkodowanie w wysokości 10 milionów euro.

Podejrzewany o utrzymywanie kontaktów z camorrą, jednak nigdy nie przedstawiono mu żadnych zarzutów. W 2018 roku wywołał skandal obyczajowy, przebijając się podczas weneckiego karnawału w mundur Il Duce. Rok później pojawił się na karnawale w średniowiecznym stroju pokutnym. W tym samym roku w swoim majątku pod Rzymem założył muzeum dawnych gadżetów erotycznych. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy miało odwiedzić je blisko 100 tysięcy turystów.

Prasa branżowa jako fenomen wskazuje, że żadne z przedsiębiorstw Michelego Filippa nigdy nie miało trudności finansowych. Nawet w czasach kryzysu 2008–2012 wszystkie one notowały istotne zyski.

W 2019 roku w Międzynarodowym Wskaźniku Bogactwa jego majątek oszacowano na około 80 milionów euro (58 milionów w 2012 roku). Przypuszcza się jednak, że może być znacznie większy.

Michele Filippo pozostaje kawalerem.

Prolog

– Wie pani, kim jestem?

Smukły mężczyzna w lniwym garniturze i brązowych mokasynach spojrzął na stewardesę. Większość pasażerów opuściła już boeinga, ale on zatrzymał się u szczytu schodów. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, że blokuje przejście ostatnim wychodzącym. Nie z powodu masywnej czy potężnej sylwetki. To energia bijąca od jego osoby, wewnętrzna siła i pewność siebie kazały innym zatrzymać się i zaczekać, aż uprzejmie ich przepuści.

– Tak – odparła stewardesa. Cofnęła się o krok, by zrobić wychodzącym miejsce.

– Proszę mi powiedzieć, kim była pasażerka, która siedziała obok mnie?

– Dlaczego sam jej pan o to nie zapytał?

Mężczyzna uśmiechnął się. Jego wargi na moment odsłoniły mocne, białe zęby.

– Uznałem to za nietaktowne. – Uśmiech mężczyzny poszerzył się jeszcze mocniej. W oczach błysnęły iskry rozbawienia. – Co najmniej tak samo jak dopytywanie właściciela firmy, w której się pracuje, o powody jego zachowania.

– Przepraszam. Nie miałam zamiaru...

– Chcę tylko poznać jej imię i nazwisko. Nic więcej.

Stewardesa sięgnęła po listę zawieszoną za swoimi plecami. Przesunęła po niej palcem, omijając kolejne pozycje. Wreszcie wymieniła imię i nazwisko kobiety.

– Wydawało mi się, że panie się znają. – Mężczyzna wciąż się uśmiechał. Wyciągnął z kieszeni pióro i zanotował dane kobiety na dłoni.

– Musiałam się upewnić, czy to ona.

– Nigdy dość przezorności, co?

Stewardesa delikatnie wzruszyła ramionami. Przystąpiła z nogi na nogę.

– Tak – odparła sucho.

– I myślisz, że się znowu z nią spotkam?

Mężczyzna niespodziewanie przeszedł ze stewardesą na „ty”. Jednak kobieta nie wydawała się speszona. Skinęła głową i spojrzała mu prosto w oczy.

– Myślę, że tak – powiedziała zdecydowanym tonem. – Moje przeczucie właśnie tak mówi. Na pewno, tak.

Odpowiedź wyraźnie usatysfakcjonowała mężczyznę. Delikatnie się uklonił i odwrócił w stronę schodów.

– Do zobaczenia, moja droga – rzucił, stając na pierwszym stopniu.

Uśmiech zniknął z jego ust. Zastąpił go wyraz zadumy, jakby przypominał sobie o czymś przyjemnym. Albo jakby dopiero zaczął marzyć.



Napiszę, jaka jest prawda. O stewardesach, o seksie, o całych górach forsy i o miłości. Chciałabym, żeby ta pisanina była też o miłości.

Ale przede wszystkim napiszę o sobie samej. Nieważne, czy będzie bolało, oburzało, czy zniesmaczało. Po prostu napiszę, jak było. I jak jest. Prawda to brudne gacie, biały pył osiadły na wardze i nieświeży oddech po zżartych wieczorem krewetkach. To zapach potu i seksu na prześcieradle. To twarze kochanków, których imion się nie pamięta. Prawda to nieustanny, potworny ból. Myślisz, że to wszystko frazesy? Wcale nie. Pozwól mi to udowodnić.

Ludzie boją się prawdy z wielu powodów. Przede wszystkim dlatego, że żyjąc w zakłamanym świecie własnych fantazji, nie wiedzą już, jak wygląda. Boją się obcego. Boją się szczęścia. Boją się tego, nad czym nie mają pełnej kontroli.

Ja straciłam kontrolę nad życiem dokładnie dziesięć miesięcy temu. Pisząc jeszcze precyzyjniej, przed trzystu trzynastoma dniami. Od tamtego dnia moje życie przypomina katastrofalną aberrację (to jedno z ulubionych słówek Konstancji) pobytu w więzieniu. Jego odbicie w krzywym zwierciadle. Wypaczenie. Zamiast odliczać dni do wolności, odliczam dni od mojego Czarnego Czwartku. To bez znaczenia, że to wcale nie był czwartek.

Tamtego dnia moje życie rozpieprzyło się na drobne kawałki. Albo robię wszystko, aby to sobie wmówić.

Możesz nie wierzyć, ale krach trwa do tej pory. Po pechu wcale nie przychodzi szczęście. Gadanie o karmie, odwracającym się losie i wyczekiwanym szczęściu to bzdury. *Bullshit*.

Choć staram się pozbierać rozsypane na podłodze puzzle z kawałkami radosnych wspomnień, wiem, że już nigdy nie scala się w szczęśliwy obrazek. Już nie będą portretem roześmianej twarzy. Nie ułożą się w krajobraz z tęczą ani widoczek z wieżą Eiffla. Nie potrząsnę szklaną kulą, w której uniosą się płatki śniegu omiatające moje zdjęcie z kimś na tle Luwru albo innego słynnego pałacu.

Mój *sextape* nie uruchomi się po naciśnięciu guziczka z trójkącikiem. Jak bardzo dwuznacznie by to brzmiało. W jednym i drugim kontekście aparatura nie działa. Trójkącik z guziczkiem i guziczek z trójkącikiem – to tak infantylne. Kiedy byłam poprzednią sobą, operowałam właśnie takimi hasłami. A Konstancja wyśmiewała każde z nich. Była przekonana, że to właśnie przez „to wiejskie pierdolenie” niczego nie osiągnę.

Mówiłam, że napiszę, jaka jest prawda.

Konstancja ma dwadzieścia trzy lata, burzliwą przeszłość miłosną i wieczną ochotę na seks. Nigdy tego nie ukrywała. Właściwie przy każdej okazji porusza ten temat, jakby nie istniało wokół niego żadne tabu. Seks. Bzykanie. Ruchanie. Rypanie. Dymańsko. Dla niej są to tylko gradacje dawania upustu emocjom. Ekwiwalent siłowni albo biegania. Coś całkowicie normalnego i koniecznego. „Kiedy chce ci się sikać, przecież nie trzymasz, aż znajdziesz kibel ze złotą

spluczką” – powtarza aż do znudzenia. Teraz bardzo dobrze rozumiem tę przenośnię. Od Konstancji naprawdę wiele się nauczyłam. Dla dziewczyny z pruderyjnego, małego miasteczka ktoś taki jak ona szybko może się stać ucieleśnieniem życia pro. O właśnie, „życie pro”, ten zwrot również zaczerpnęłam od niej. Już jesteście w stanie sobie ją wyobrazić? Chyba każdy ma taką przyjaciółkę. Tylko nie każda z nich ma chłopaka.

Spśród setek określeń, które słyszałam o Konstancji, „wyuzdana seksualnie dziwka” brzmiało najładniej. Ba, niemal jak encyklopedyczne hasło. Co znaczy wyuzdanie seksualne? Kim teraz jest dziwka? Mój ojciec dziwką nazywał sześćdziesięciolatkę, która pomagała księdzu utrzymać plebanię. Moja matka nazwała mnie dziwką, gdy w wieku czternastu lat założyłam miniówkę. Dzień wcześniej dostałam ją od koleżanek z klasy na urodziny.

Moim zdaniem Konstancja nigdy nie była dziwką. Przynajmniej nie w tym sensie, w jakim się najczęściej myśli o dziewczynkach. Ale prawda jest taka, że stewardesą została dlatego, że chciała wszem wobec oznajmić, że lubi seks. Lubi eksperymenty seksualne i ani trochę tego nie ukrywa. Jest jedną z najprawdziwszych osób w całym moim świecie.

Jest taka jak ja.

A raczej to ja stałam się taka jak ona.

Efemeryczną iluzją wyobrażeń innych.

Nie ma co ukrywać, że gdyby zrobić ankietę wśród kandydatek na stewardesy, okazałoby się, że najważniejsze są dla nich hajsy i dobre rypańsko (teraz piszę dokładnie jak Konstancja). Taka byłaby statystyka. Oczywiście kandydatki musiałyby odpowiadać zgodnie z prawdą, a nie zgodnie z tym, co uznałyby za korzystne, ładnie brzmiące i atrakcyjne dla pracodawcy, jakim jest *Sex Emirates* (tak, tak, to tylko robocza nazwa, którą czasem usłyszycie w kularach). Oficjalnie chciały przeżyć „przygodę życia”, „poznać fantastycznych ludzi”, „cieszyć się pracą w entuzjastycznym gronie”. Wszystkie te hasła w rubryce ich CV zatytułowanej „zainteresowania” można by zamienić na jedno.

Seks. Seks. Seks.

Wera lubi podróżować. Nie wiem, co wpisała w swoim CV, ale jest jedną z nielicznych dziewczyn, dla których odległość tysiąca kilometrów od narzeczonego nie jest równoznaczna z daniem dyspensy od wierności. Naprawdę podoba się jej poznawanie lotnisk i ich okolic. Cholernie to lubi. Każdą wolną chwilę przeznaczają na zwiedzanie. Dla niej praca stewardesy jest przepustką do darmowego poznawania świata. Zawsze ma ze sobą kostium kąpielowy i selfie sticka. Kupiła telefon, który wiecznie się psuje, ale podobno robi zarąbiste foty. Tak o nich mówi. Zarąbiste foty. Już rozumiecie różnicę między Werą i Konstancją?

A właśnie, wróćmy do Konstancji. Konstancja mówi, że zawsze ma na sobie seksowną bieliznę, a w bagażu laserowy depilator i lubrykant dla alergików. Kiedyś wzięła też tabletkę „72h po”, ale w końcu uznała, że to bez sensu. Przecież jedzie na

antykoncepcji. Jej przesądem jest zaliczenie jakiegoś stewarda co najmniej raz na dwadzieścia pięć godzin w powietrzu. Nie wiem, dlaczego właśnie dwadzieścia pięć godzin, ale pisząc „jakiegoś”, równie dobrze mogłabym napisać „jakiegokolwiek”. Dla ludzi przesądnych nie liczy się jakość. Kibel nie musi być ze złota. Ważne, że po prostu jest. Przyrównywanie facetów do kibla może brzmieć strasznie seksistowsko, ale nie popadajmy w skrajności. Dziesięć tysięcy metrów nad ziemią poprawność polityczna nie istnieje. I muszę przyznać, że nigdy nie widziałam, żeby Konstancja z kimkolwiek znalazła się w dwuznacznej sytuacji... Zapamiętajcie ten szczegół.

Ach, jeszcze coś. Skoro mówiliśmy o prawdzie, macie prawo to wiedzieć. Konstancja i Wera wcale się tak nie nazywają. Noszą całkiem inne imiona i nikomu nie uda się ich rozpoznać. Nie napiszę o bardzo charakterystycznej bliźnie jednej z nich (niespełna dwucentymetrowej, ale wydaje się jej, że gdy wyjrzy przez okno samolotu, widzi ją cały świat), nie napiszę też o pewnym tatuażu, który musi zakrywać, a który niesfornie wygląda na światło dzienne. Niech nikt nie doszukuje się w tych słowach przepustki do serca którejś z nas.

Ja jestem inna. Jako kandydatka na stewardesę nie zgłosiłam się z miłości do seksu ani do podróżowania. Właściwie nawet nie przepadam za lataniem samolotami. Nudzi mnie widok chmur przesuwających się za maleńkimi owalnymi oknami. Nie czuję się komfortowo podczas turbulencji. Nienawidzę po raz setny pokazywać instrukcji sięgania po maskę tlenową. Nienawidzę doklejać tego sztucznego uśmiechu do swojej gęby. Nienawidzę...

Kiedy nagrywałam kretański filmik, który trzeba załączyć do zgłoszenia, myślałam tylko o jednym. O forsie. Szczrzyłam zęby, oblizywałam wymalowane jak nigdy usta i myślałam o szmalu. Mówiłam o przygodzie życia i poznawaniu fantastycznych ludzi, ale przed oczami miałam dolary. Nie te śmieszne dwa i pół tysiąca bagsów, które dostaje się na początek. Wyobrażałam sobie dużo, dużo więcej.

Moje życie spieprzyło się kilka miesięcy wcześniej. W końcu postanowiłam je naprawić. Nagrywając tamten kretański filmik, wcielałam w życie program restrukturyzacji własnego „ja”. Dawałam w pysk prześladowającemu mnie pechowi.

Miałam plan.

I nie wahałam się go zrealizować.

A potem okazało się, że plan wymaga cholernej restrukturyzacji.



Obiecano mi, że przed śmiercią odbędę jeszcze trzy loty i trzy podróże, a potem narodzę się na nowo. Wiem, że tak będzie. Prawdę mówiąc, chciałbym odbębnić je wszystkie za jednym razem. Mieć wszystko za sobą i zacząć od początku. Ale przepowiednia była jasna. Trzy loty, trzy podróże i zgon. A na odrodzenie się powinienem liczyć po drugiej stronie tęczy. Jako poganin z ojca i dziada nie wierzę ani w niebo, ani w piekło. Zresztą i ta tęcza wcale mi się nie podoba.

Byłem pilotem. Miałem granatowy mundur, białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem i czapkę ze złotym otokiem, na którą leciały wszystkie kobiety. Miałem wiele wspólnego z Billem Clintonem. Lubiłem seks i moje słowa tabu to „test na ojcostwo”. Myślałem o tym za każdym razem, gdy wychodziłem z kobiety zapewniającej mnie, że się zabezpieczyła. Choć teraz to przeszłość. Zresztą z Clintonem miałem jeszcze coś wspólnego. Skłonność do żartów.

Od pięciu lat spotykałem się z jedną dziewczyną i daję słowo nigdy jej nie zdradziłem. Moja podróż numer zero rozpoczęła się, gdy po raz pierwszy pocałowałem ją w usta. Doskonale pamiętam tamten dzień.

Wtedy jeszcze nic nie zapowiadało czekającej nas katastrofy. Wręcz przeciwnie. Najpiękniejsze dni poprzedzają burzę. To frazes, ale całkowicie prawdziwy. Pomyślcie o wszystkich swoich szczęśliwych chwilach. Jestem pewien, że zaraz potem wszystko diabli brali. Szczęście i pech to skrajne punkty odchyłeń wahadła Foucaulta. Muszą się równoważyć. A ja, poznając moją dziewczynę, miałem naprawdę piekielne szczęście.

Co byście zrobili, wiedząc, że czekają was jeszcze tylko trzy loty i trzy podróże? Co byście zrobili, nie mając zielonego pojęcia, co będzie potem? Ta historia jest o tym, co było przed, i o tym, co będzie chwilę po. Piszę ją z nieba i z piekła. Choć w żadne z nich nie wierzyłem.

Na początek powiem wam, że zaprzestanie latania nie jest wyjściem. To jakby pozwolić sobie na śmierć za życia. Wyautować się z ziemskich spraw i zasunąć betonową płytę nad własnym grobem.

– Zamknij się! – Lola uderzyła mnie otwartą dłonią w twarz. To za to, że uparcie dopytywałem się, czy jest jej dobrze.

Siedziała na mnie, ja byłem w niej i oboje staraliśmy się poruszać jak najbardziej harmonijnie. Po naszych ciałach spływał pot. Byliśmy w niewielkim pokoju hotelowym kilkaset kilometrów od domu. To nasza noc zerowa. Poprzedniego dnia usłyszałem tę cholerną wróżbę.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Po uderzeniu piekł mnie policzek, ale to było nakręcające. Lubiłem, gdy Lola wykazywała inicjatywę. Lubiłem, gdy wyrzucała z siebie emocje. Wychyliłem mocniej biodra i patrzyłem na jej niewielkie, lecz kształtne piersi. Jej naprężone sutki drżały w rytmie naszych ruchów.

Stary materac jęczał i skrzypiał. Czułem, że już długo nie wytrzymam. Widziałem, że Lola zaciska dłonie na obłożonym kocu. Przymykała oczy i odchyłała głowę. Sapała w rytmie naszych ruchów oraz dźwięków materaca.

Oderwałem jedną dłoń od łóżka i wsadziłem jej palec do ust. Zaczęła go oblizywać, a potem delikatnie gryźć. Jej jęki płynnie zmieniły się w mruczenie. Była mokra i szybka. Poruszała się coraz mniej regularnie, a coraz bardziej agresywnie. W tej pozycji mogłem tylko się z nią zgrywać, ale miałem znikomą kontrolę nad sytuacją.

– Mocniej! – wykrzyknęła.

Wyjąłem zaśliniony palec z jej ust i uszczypnąłem jej lewy sutek. Wiedziałem, że cholernie to lubi. Zacisnąłem palce z całej siły, jakbym chciał go zgnieść.

– Mocniej!

Dostałem kolejny raz z liścia, choć tym razem nieco słabiej. Lola była zbyt skupiona na finalnych podrygach. Czułem, że jej soki spływają po moich udach.

Nasze ruchy stają się dynamiczne, ale krótkie. Pochyliłem się i jeszcze mocniej zacisnąłem palce na sutku. Wgryzłem się w drugi. Błyskawicznie poruszałem językiem. Męskością, gdzieś w głębi ciała Loli, wyczuwałem, że ona szczytuje. Ostatnie ruchy były brutalne i bolesne dla nas obojga. Dochodziliśmy niemal w tym samym momencie. Słyszać nas było nie tylko w pokojach obok, ale zapewne również na całym piętrze.

Z perspektywy czasu myślę, że tamtego wieczoru odbyłem podróż numer zero. To miało być preludium mojego pożegnania ze wszystkim, co kocham. Ostatni seks, ostatnia miłość, ostatnia łza szczęścia otarta z policzka mojej ukochanej. Wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia.

Usłyszałem, że moje trzy loty i trzy podróże przed śmiercią będą lepsze od baśni tysiąca i jednej nocy. Wiedziałem tylko, że mnie nie interesują baśnie. Interesują mnie noce.



Stew

30 000 feet above ground. Ten komunikat brzmi magicznie, prawda?

Na upragniony lot nie musiałam długo czekać. Ale znowu zaczynam z dupy strony. Konstancja uwielbia to określenie i przez to ciągle brzęczy mi w głowie. Z dupy strony to, z dupy strony tamto. Brzmi jak marudzenie, ale to zamiennik dla bluzgów. Lepiej, jeżeli w obecności pasażerów wymuski się coś takiego niż siarczyste „fucki”, „shity” czy choćby polskie „kurwy”. Nie bądźmy językowymi rasistami.

W ciągu kilku miesięcy zaliczyłam wyjście poza lotnisko w ponad dwudziestu krajach. Konstancja podobno zaliczyła dużo więcej i zupełnie inaczej. Natomiast Wera towarzyszyła mi w większości *coming outów* – nie wiem dlaczego, właśnie tak nazywała opuszczenie płyty lotniska. Otarłam się o Business Promotion, ale to

nie dla mnie. Dwa tygodnie spędzone jako hostessa w Malezji uważam za czas gorzej niż stracony. Natomiast każde dwie godziny w CRC – przedziale relaksacyjnym dla załogi – to wybawienie. Od tych mizdrzących się sukinsynów, zalotnych fujar i pretensjonalnych żonek. Od rozdartych dzieci, rozlanych herbat, kaw i okruszków na kolanach.

Jednym z najbardziej mizdrzących się sukinsynów był Michele Filippo di Sant'Angelo Jakiśtam. Właściwie Markiz Michele Filippo di Sant'Angelo Jakiśtam, bo choć włoską szlachtę przetrzebiono już lata temu, wszyscy tak się do niego zwracali. Ten trzydziestokilkuletni mężczyzna o krótkim czarnym zarostcie, sokolim nosie i bystrym spojrzeniu jest wręcz mitycznym sukinsynem. Obrzydliwie bogaty, nawet jak na Włocha więcej niż przystojny i z manierami przedwojennego amanta, a nie mamisynkowego makaroniarza, ma wszystkie instrumenty, aby zawrócić w głowie.

– Kawy, herbaty, soku, a może czegoś innego? – zapytałam, zastanawiając się, dlaczego ktoś taki jak on podróżuje klasą ekonomiczną. Mówili o nim wszyscy członkowie załogi. Jakby Michele Filippo di Sant'Angelo na pokładzie miał zagwarantować pomyślność lotu. Jakby był srebrną podkwa albo dłonią Fatimy zawieszoną przy lusterku marokańskiej taksówki.

– Wody. Poproszę tylko wody – odparł, taksując mnie wzrokiem.

– Gazowanej, niegazowanej?

– *L'acqua frizzante, per favore.*

Poza angielskim musiałam się przełączyć jeszcze na włoski. Woda to woda, więc siłą dedukcji jakikolwiek dodatek robił z nią wodę sodową. Wyciągnęłam szklanke, odkręciłam butelkę i podałam je Markizowi.

– Wie pani, co to znaczy?

Przez chwilę nie rozumiałam, o co mu chodzi. Wreszcie uświadomiłam sobie, że Michele gapi się gdzieś na moje piersi. Oczywiście mundurek skrzętnie je zakrywał, ale zza kołnierzyka wysunął mi się wisior. Niewielka czerwona papryczka ze szkła Murano. Dostałam ją przed laty i nie zwracałam na nią żadnej uwagi, ale lubiłam ją nosić. Poza tym traktowałam ten kawałek szkła jako szczęśliwy amulet.

– Jestem pewna, że pan mi powie – odpowiedziałam, chcąc jak najszybciej zająć się obsługą kolejnego pasażera.

– To symbol... – Markiz się uśmiechnął. Jego równe, białe zęby kontrastowały z węglistą czernią zarostu. Spojrzał gdzieś w prawo i w górę, jakby się zastanawiał, po czym z powrotem przeniósł na mnie spojrzenie. Nie wiem, czy to był wypracowany chwyt, ale wyglądał przy tym naturalnie i wręcz rozkosznie. – W Pompejach i w tym drugim mieście... – odezwał się po chwili i zawiesił głos, jakby dawał mi szansę się wykazać.

– Herkulanum.

– Tak, właśnie. Herkulanum. W obu tych miastach archeolodzy znaleźli mnóstwo wisiorów przypominających męskie... No, wie pani, co mam na myśli.

- Mhm.

Ten wywód zaczynał mnie irytować, miałam do obsłużenia kilkadziesiąt osób, ale jednocześnie w zachowaniu i pruderyjności Markiza było coś zabawnego. Poza tym dostałam szansę zamienić kilka słów z kimś, do kogo ponoć odbywały się iście papieskie audiencje.

- Osiemnastowieczni duchowni zabronili ich kopiowania – podjął Markiz. – Były dla nich zbyt wulgarnie. Dlatego ludzie chcący wzorować się na starożytnym kształcie amuletów szczęścia wyrabiali je jako papryczki. Choć w ich formie można dostrzec...

Markiz znów zamilkł. Uśmiechnął się i puścił do mnie oko. Wyprostowałam się, po czym ukradkiem schowałam wisiorek za kołnierzyk. Wielogodzinne kursy nauczyły mnie kontroli nad rumieńcami. Utrzymanie *poker face* oraz *amazing make up* było tak samo istotne jak znajomość procedur bezpieczeństwa.

- Czy podać coś jeszcze? – zapytałam tonem, który miał zamaskować, że wiem, kim jest mój rozmówca.

- Nie, dziękuję. Zrobiła pani aż nadto.

Nie wiem, co nadto miałam zrobić, ale połączona serdecznością, wręcz uniożonym uśmiechem Markiza teraz to ja puściłam do niego oko. Całkowicie spontanicznie i totalnie nieprofesjonalnie. Pożałowałam tego już sekundę później. Aby zatrzeć złe wrażenie, natychmiast zajęłam się kolejnym pasażerem.

- Kawy, herbaty, soku, a może czegoś innego?



Pilot

Trzecia podróż od końca

W pierwszą z ostatnich podróży udaliśmy się tam, gdzie zawsze planowaliśmy polecieć. Oczywiście? Raczej żenująco banalne. Z pewnej perspektywy właśnie takie jest życie każdego z nas. Żenująco banalne.

Dziwne, że marzenia realizujemy dopiero wtedy, gdy nie mamy czasu wymyślać nowych. Nawet mając prywatną awionetkę i licencję pilota, spędzamy całe życie na ziemi. Zamiast wzbić się w chmury, stąpamy po grobach bliskich. To wcale nie metafora. To szczerza prawda.

Mój syn zmarł, gdy miał niespełna cztery tygodnie. Od początku lekarze nie dawali mu zbyt wielu szans. Wybrał się na świat zbyt szybko i wszystko zabałagał. Poród był ryzykowny nie tylko dla niego, bo nagła akcja o mało nie skończyła się tragicznie również dla matki.

Przepompowywane jednostki krwi, jęk szpitalnej aparatury, śmiertelnie poważna mina tegoż lekarza z niebieskim czepkiem i oszronionymi siwizną skroniami.

Wszystko to zapisało się na zawsze w albumie moich wspomnień. Czasem szkoda, że albumy wspomnień podpała dopiero alzheimer.

Skóra naszego syna przypominała błonę, przez którą można dostrzec sieć naczyń krwionośnych. Był całkowicie łysy i nie otwierał oczu. Kilka razy wydawało mi się, że budzi się jakby ze snu i rozwiera sklezione powieki. Widziałem czarne jak węgiel wielkie oczy. Ale lekarze utrzymywali, że to całkowicie niemożliwe. Jego mięśnie i impulsy nerwowe miały być zbyt słabe, aby mógł samodzielnie otworzyć oczy. Nie wierzę im. Jestem przekonany, że mój syn zrobił wszystko, aby mnie zobaczyć. Nie poddał się, choć jego album wspomnień zapełniło tylko tych kilka krótkich zerknięć. Wiem to.

W chwili, gdy umarł, siedziałem na ławce przed szpitalem i piłem kawę. W ciągu ostatnich tygodni spałem tak mało, że nie rozróżniałem jawy od snu. Co chwilę opadała mi głowa, lecz zaraz się budziłem.

Piłem kawę, polewałem twarz zimną wodą, rozmasowywałem kark.

To dobre sposoby, żeby funkcjonować bez snu przez kilka dni. Po tygodniu zaczynamy świrować. Zdawało mi się, że zasypiam na fotelu w gabinecie, a ułamek sekundy później budziłem się na szpitalnym korytarzu. Pstryk. Przy szpitalnym łóżku. Pstryk. Na szpitalnej podłodze przy inkubatorze. Pstryk. Na ławce przed głównym wejściem. Tak jak wtedy, gdy zadzwoniła moja komórka, a moja ukochana łamiącym głosem wydusiła tylko dwa słowa:

– On umarł.

On. Królewicz, Synek, Synuś, Brzdąc, Berbec, Serce Nasze. Chyba nigdy nie odezwaliśmy się do niego po imieniu. Zupełnie jakbyśmy w ten sposób mogli coś zapisać. Wszystkie zaklęcia nic nie dały.

To nie będzie opowieść o rozpacz. Podnieśliśmy się po śmierci Małego, jak większość ludzi, którzy muszą poradzić sobie ze stratą bliskich. Wiele miesięcy zajęło nam pogodzenie się z tym, co się stało, ale rany się zagoiły. Blizny swędziały, lecz nie były groźne. Znowu zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, znowu staliśmy się sobie bliscy. Zaprzyjaźniliśmy się nad grobem syna.

Wszystkie badania potwierdzały, że możemy starać się o kolejne dziecko. Nie istniały żadne medyczne przeciwwskazania. Naprawdę żadne.

Tamtego dnia, gdy odbywaliśmy podróż numer zero i kochaliśmy się w pokoju hotelowym, pragnęliśmy mieć dziecko. Dwadzieścia cztery godziny później wszystko się zmieniło. A może wręcz przeciwnie? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Właściwie teraz dostrzegam, że są sprawy, w których nigdy nie byliśmy ze sobą szczerzy. Rozmawialiśmy o nich, ale nie chcieliśmy wiedzieć, co drugie naprawdę myśli.

– Czas start – szepnąłem prosto do ucha Loli. – Możemy zacząć odliczanie.

Moja ukochana drgnęła. Odwróciła głowę i ukradkiem otarła łzę. Wiedziałem to.

– Przestań z tego żartować.

– Ponoć żarty to najlepsza reakcja na stres.

– Seks – stwierdziła Lola kategorycznie. – Seks to najlepsza reakcja na stres.

– Może masz rację?

Wychyliłem się z fotela i pocałowałem ją w policzek. Poluzowałem wolant. Możecie wyobrazić sobie tę pierdoloną bajkę. Zachodzące słońce, majająca tysiąc metrów pod naszymi stopami wieża Eiffla i rozświetlone pomarańczowym blaskiem podłóże chmur. Delikatne turbulencje wstrząsające kadłubem cessny. Oddech ukochanej na mojej szyi, a potem ciepło jej ust na płatku ucha.

Miałem wszystko.

Paraliżowała mnie świadomość, że wkrótce nie będę miał nic.



Stew

– Widziałam, co zrobiłaś. – Konstancja stała oparta o jeden z foteli w kabinie dla załogi. – O ty, ty. Zaczynasz się uczyć, pędraku. Mega!

Nazywała mnie pędrakiem, kiedy w moim kontekście poruszała sprawy seksualności. Nie znosiłam tego. A nawet więcej. Nie cierpiałam. Doskonale o tym wiedziała, więc nazywała mnie tak za każdym razem. „Mega” było znowu najczęściej przez nią używanym słowem. Często całkowicie bez sensu. Widocznie tak rozmawiało się w wielkim świecie.

– Niby co takiego? – Udawałam niczego nieświadomą.

– Flirtowałaś z nim.

Owo „nim” Konstancja wypowiedziała, przytykając dłoń do ust. W geście, którego nauczyła się, patrząc na plakaty z Marilyn Monroe.

– Niby z kim?

– No, z nim...

Znowu ten gest.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Nie udawaj trepa. To z piosenki. Nie rób takich oczu, pędraku. Nie chodziłaś na studiach na juvenalia?

– Nie. Ale nie wiem, jakiego trepa miałabym udawać.

Z jednej strony poczułam ulgę, że zmieniliśmy temat, a z drugiej nieświadomie nakierowywałam rozmowę z powrotem na punkt wyjścia. Na mój flirt. A raczej na mój pozorny flirt. Albo wręcz *small talk*. *Hello. How are you?*

– Pokazać ci? – Konstancja nerwowo obracała między palcami długopis. Była nałogowym palaczem, choć skrzętnie ukrywała to przed szefostwem. – Naprawdę mam ci pokazać? – Uśmiechnęła się, wydepta permanentnie pomalowane i powiększone wargi, po czym położyła dłoń na kłamce. – Okej. Zrobię to, jeśli się nie przyznasz.

- Nie wygłupiaj się.
- Podejdę do niego i zapytam, czy mu się nie naprzykrzałaś.
- Tylko spróbuj!
- Przyznaj się.

Konstancja nacisnęła klamkę. Wiedziałam, że jest w stanie podejść do Michelego Filippa di Sant'Angelo Jakiegoś tam i zapytać, czy się mu nie naprzykrzałam. To byłoby w jej stylu.

- Dobra, przyznaję! – krzyknęłam. Rozmawialiśmy po polsku i dwie inne stewardesy, które były w pomieszczeniu dla załogi, zaczęły się nam przypatrywać. Pokręciłam głową, żeby nie zwracały na nas uwagi. Właściwie powinnyśmy mówić po angielsku, ale ta etykieta obowiązywała tylko w obecności przełożonych.

- Powiedz to głośno – naciskała Konstancja. – Do czego się przyznajesz.
- Flirtowałam z jednym z pasażerów.
- Z...

W tym momencie dostałyśmy informację, że samolot za kwadrans będzie rozpoczął podejście do lądowania. Każda z nas miała konkretne zadanie do wykonania. Ten komunikat to jak alarm bombowy w bazie wojskowej. Uratował mnie od odpowiedzi. Przecież nic takiego się nie wydarzyło...

Chwilę później, sprawdzając, czy pasażerowie zapięli pasy, zastanawiałam się, czy w ogóle mogłabym flirtować z kimś takim jak Michele. Czy mogłabym się mu naprzykrzać?

- Chyba mam jakiś problem...

Nikogo raczej nie zaskoczy, że to właśnie jego głos usłyszałam, zbliżając się do końca swojego rewiru.

- Przepraszam panią...

Cholera. Bałam się spojrzeć w jego stronę. Ale...

- Tak? – Przywdziałam najszerzy i najbardziej uwodzicielski uśmiech, jakiego nauczyłam się w szkole stewardes. – Co się stało?

- Mój pas nie działa. Coś się zacięło.

Na sztywnych nogach podeszłam do rzędu, w którym siedział Markiz. Nie uśmiechał się. Raz po raz wsuwał klamerkę w stalową sprzączkę. Teraz jego czarne, czułe oczy szukały u mnie pomocy. Tak samo bezradnie jak wtedy, gdy czekał, aż podpowiem mu nazwę miasta, w którym poza Pompejami prowadzono wykopaliska i wykopano parę szklanych fallusów. Tak samo jak wtedy, chciałam, żebym się wykazała.

Wciągnęłam głęboko powietrze.

Przeprosiłam pasażera obok i nachyliłam się w stronę Michelego. Dotknęłam sprzączki, a wtedy jego dłoń musnęła moją. Niby przypadkowo, a jednak wiedziałam, że zrobił to umyślnie. Przez moje ciało przebiegł dreszcz. Na chwilę wstrzymałam oddech i starałam się uspokoić.

- Przepraszam – szepnęłam Michele. – Najmocniej przepraszam.

– Nie ma za co. To moja wina.

Oczywiście pas zadziałał bez zarzutu. Markiz zrobił minę, jakby nic z tego nie rozumiał, i podziękował skinieniem głowy. Znów się uśmiechnął, a dołki w jego policzkach jeszcze się pogłębiły. Koniuszkiem języka oblizwał usta.

Ja pierdolę. Na pewno te dwa słowa zabręczałyby w głowie Konstancji. W mojej głowie zapaliły się czerwone światła wzywające do ewakuacji. Do jak najszybszego opuszczenia pokładu. Tyle że przez ostatnie miesiące nauczyłam się tego, by każdą porażkę zamieniać w zwycięstwo. Każda ewakuacja musiała być równa wspinaczce na szczyt. Na najwyższy stopień podium.

Kręcąc biodrami, ruszyłam do wyjścia. Na tyłku czułam zafascynowane, pełne uroku spojrzenie Markiza. Rozbierał mnie z firmowej spódnicy, pończoch i mojej prywatnej, seksownej bielizny. A mnie to całkiem kręciło.



Pilot

– Czy zmieniłabyś coś w tej chwili? Czy to nie moment doskonały?

Lola założyła mi czapkę pilota i pocałowała mnie w podbródek. Staliśmy przy wielkim oknie naszego pokoju na trzydziestym pierwszym piętrze Concorde La Fayette. Mieliśmy widok na cały Paryż. A przede wszystkim na podświetloną, górującą nad niską zabudową wieżę Eiffla. Jej stalowa charakterystyczna konstrukcja zawsze kojarzyła mi się z niezgrabnym kolosem stojącym w rozkroku. Z rozporoka wypadały mu stalowe szczeble rusztowania. Pomyślałem o tym i nieświadomie się uśmiechnąłem.

– Co cię bawi?

– Po prostu, dobrze mi tu. Mógłbym tu zostać na zawsze.

Znowu to zrobiłem. Znowu odniosłem się do tego, że nic i nigdzie nie może być na zawsze. Użalałem się nad sobą.

– Przepraszam – szepnąłem i objąłem Lolę. Przycisnąłem ją mocno do siebie. Wbiłem palce między jej włosy i dotknąłem karku. Jak zawsze, gdy tak robiłem, Lola wzdrygnęła się. Rozkosznie pochyliła głowę, jakby ją nagle coś zaswedziało. Po chwili obróciła się w moją stronę.

W pokoju mieliśmy zgaszone światło i patrzyłem na jej twarz rozświetloną przez miliony paryskich lamp. Białe, niebieskie i czerwone refleksy drżały na jej gładkiej skórze. Odgarnąłem jej włosy i pocałowałem w przedziałek. Czułem zapach kwiatowych perfum oraz szamponu.

– To mnie uspokaja – powiedziałem sam nie wiem czemu. – Dzięki takim chwilom jestem spokojny.

Lola odsunęła się ode mnie i oparła czołem o szybę. Wypuściła powietrze tak, że zebrała się na niej para wodna.

- Znowu to robisz – szepnęła.

- Robię co?

- Zaczynasz gadać, jakbym cię miała jutro pochować. Zaczynasz być tak strasznie, tak kurewsko, tak...

Przerwałem jej. Stałem za nią i delikatnie zasłoniłem dłonią jej usta. Paryż był nasz. Mieliśmy u naszych stóp cały świat i nie zamierzałem nic zepsuć. Ruchome święto Hemingwaya miało trwać w naszych sercach.

- Kocham cię. *Je t'aime*, Lola.

- Jesteś na zmianę cierpki albo cholernie słodki.

- Po prostu wierzę we wróżby. I podobają mi się niektóre bajki.

- Właśnie o tym mówię. Zrozum w końcu, że po tych trzech podróżach nic się nie skończy. To tylko głupie przepowiednie. Idiotyczne wymysły. Rozumiesz to? Rozumiesz? Powiedz mi, do cholery, że rozumiesz!

W półmroku dostrzegłem, że jej oczy się skrzę. Zaciśnęła pięści i zaczęła mnie kuksać w klatkę piersiową. Kręciła głową, jakby w ten sposób mogła się pozbyć złych myśli. Zdaje się, że to atawistyczny zamiennik dziecięcego odruchu zamykania oczu w reakcji na poczucie zagrożenia. W jednym i w drugim przypadku traciło się tylko energię.

- Lola, Lola... - zacząłem szeptać koło jej ucha. Wciąż się szarpała, ale coraz słabiej.

- Proszę cię, powiedz...

- Nie mogę. - Pocałowałem ją w chłodne czoło. - Nie mogę tego zrobić. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy się oszukiwać. Pamiętasz? - Pocałowałem ją w mały, lekko zadarty nosek. - Nigdy. Choćby prawda miała być cholernie bolesna.

- Ale...

Pocałowałem ją w pełne, kształtne usta.

Lola się mi wyrwała i wymownie westchnęła. Zerknęła za okno. Schyliła się i podniosła stojącą u naszych stóp butelkę. Podała mi ją, po czym założyła dłonie za moją szyję. Przytuliłem się, oparłem podbródek o jej ramię i zdjąłem sreberko. Nie śpieszyłem się. Nie miałem pojęcia, która jest godzina, ale w ogóle mnie to nie interesowało. Tej nocy nie chciałem spać. Lola też nie.

Odkręciłem metalową zawleczkę i poluzowałem koszyczek. Wstrząsnąłem butelką, aby korek wystrzelił. Wiem, że powinno się to robić całkiem inaczej, ale wtedy chciałem jak najgłośniej świętować. Kolejny dzień, Paryż, ciepło ukochanej w moich ramionach.

To, że jeszcze jestem tu, a nie gdzieś tam. Choć myśl o tym musiałem starannie ukrywać.

Korek z hukiem wystrzelił i uderzył o szybę. Szampan ściekł między moimi palcami na drewnianą podłogę. Przyłożyłem butelkę do ust i zacząłem pić wprost

z niej. Pociągnąłem kilka łyków. Po raz pierwszy piłem prawdziwy szampan. Veuve Pelletier & Flis miał cierpki posmak pieniędzy.

Odchyliłem się i podsunąłem butelkę pod usta Loli. Objęła ją wargami. Patrząc mi prosto w oczy, oblizła gwint. Jedną dłonią dotknęła mojej dłoni, a drugą chwyciła za sprzączkę paska. Rozpięła ją dwoma palcami. Następnie zajęła się rozporkiem.



Stew

Dwadzieścia cztery godziny wolnego. Niektórzy to właśnie dla nich idą na kursy przygotowujące do naboru na członka cabin crew. Dwadzieścia cztery godziny wakacji, często tysiące kilometrów od domu. O ile w ogóle się miało dom.

Pięciogwiazdkowe hotele, przylotniskowe atrakcje, kąpiele w morzu lub oceanie. Wycieczki w góry, do dżungli lub na pustynię. Pluskanie się w basenie. To świat Wery. Zobaczyłam jej smukłą, kościstą sylwetkę, w momencie gdy z torbą przerzuconą przez ramię wybiegała z terminalu. Odwróciła się i machnęła nam na pożegnanie.

– To co zamierzasz robić? – zapytała mnie Konstancja.

Jako trzy Polki trzymałyśmy się razem. Trzy muszkieterki. Trzy bliźniaczki, z których jedna była wyrodna i czasem zaprzedawała się zwiedzaniu. Ostatnio to czasem stało się zawsze. Zresztą czasem zawsze trwa zbyt krótko, by w pełni mogło zasłużyć na swoje miano.

– Chyba się zdrzemnę – odparłam. – Chce mi się spać.

Była już prawie dwudziesta druga i po pięciogodzinnym locie naprawdę czułam zmęczenie. Choć jednocześnie nowe miejsca wciąż wzbudzały moją ekscytację. To paskudny stan, gdy z jednej strony marzyłam o walnięciu się do łóżka, a z drugiej wychyliłabym parę drinków lub powłóczyła się po okolicy. Ostatnim razem zobaczyłam naprawdę niewiele.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Lotnisko w Abu Zabi ma zapach męskich perfum, tytoniu i nagrzanego betonu. Właściwie wszystkie lotniska w świecie arabskim mają ten zapach. Tylko nie wszystkie są zadeptane przez takie mrowie pasażerów.

– Nie bądź pędrakiem. – Konstancja chwyciła mnie za rękę i ruszyła w stronę taksówek. – Jedziemy w tany, wyrwać prawdziwego arabskiego szejka.

– Nie, naprawdę. Muszę odpocząć.

– Ej, znowu każda z nas zostanie sama?

Dobrze znałam to błagalne, pełne rozpaczycy spojrzenie. Ale nie zamierzałam ulec.

– Następnym razem.

– Zjebiesz sobie życie. – Konstancja pokręciła głową. – Staniesz kiedyś w niebie, popatrzysz na to wszystko z kurewskiego wysoka i zastanowisz się, dlaczego położyłaś lagę na każdą ziemską rozrywkę. Dlaczego paliłaś frana, gdy ciągnęłam cię w dobre bajabongo.

– Nie rozumiem, o czym do mnie mówisz.

- No właśnie, no właśnie... *Sad but true*. Jakbyś nie wiedziała, to też tytuł piosenki.

- Jeszcze się wybawimy. Jutro też jest dzień. - Chwyciłam rączkę torby i ruszyłam w stronę głównego wejścia. Delikatny powiew wiatru przyniósł zapach morza. Za moimi plecami przetoczył się grzmot lądującego jumbo jeta. - Gdybym nie mogła spać, zadzwonię.

- Pomyśl tylko. Zapomnimy o całym tym gównie. My dwie, mocna nuta i niedołęzni, obrzydliwie bogaci szejkwowie.

- Z pampersami w majtkach?

- Ze złotymi pampersami w majtkach!

Konstancja zaczęła udawać drżącego starca z wywieszonym językiem i podkurzoną dłonią. Potarła kciukiem o środkowy i wskazujący palec, a następnie rzuciła w moją stronę niewidzialne pieniądze.

- Masz, zabaw się - parsknęła. - To twoje *fun coupon*, słowiańska ślicznotko.

Obie parsknęłyśmy śmiechem. Na pożegnanie pokazałam jej *fucka* i zrezygnowana pokręciłam głową. Niereformowalna. Konstancja była niereformowalnym dziewczęciem. I chyba właśnie w tym tkwił jej największy urok. Nie w dość grubych, mocnych rysach, nie w powiększonych wargach ani tatarskich kościach policzkowych. Konstancja czarowała dziewczęcą świeżością. Nie wiedziałam, jak wiele jest w tym prawdy, a jak wiele aktorstwa. Nie interesowało mnie to.

Nie odwracając się, przebiłam się przez grono Azjatów wyciągających przed siebie selfie sticki. Robili zdjęcie za zdjęciem. Rozmawiali, w ogóle nie patrząc na siebie, a jedynie w ekrany telefonów oraz tabletów.

Minęłam kilka osób z tabliczkami, na których zostały wypisane imiona przyjezdnych, i skierowałam się ku przejściu dla członków personelu pokładowych. Ten skrót pozwalał obejść lotnisko bokiem. Odkryłam go już po tym, jak przy pierwszym pobycie trzy razy obeszałam cały budynek w kółko. Nie zobaczyłam schodów ruchomych prowadzących na poziom zero. Niedoświadczona słowiańska dziewczynka.

Kiedy znalazłam się przy drzwiach, poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Zatrzymałam się i rozejrzałam po kłębiącym się wokół tłumie. Od razu go zobaczyłam.

Markiz di Sant'Angelo stał przy automacie ze świeżymi sokami wyciskаныmi z wielkich pomarańczy. Opierał się o niego ramieniem i patrzył w moją stronę. Uśmiechał się. Tym razem nieco inaczej niż w samolocie. Drapieźniej.

Po chwili spostrzegłam dwóch stojących przy Markizie postawnych mężczyzn. Byli ubrani w prążkowane garnitury i jasne koszule. Na nosach mieli ciemne okulary. Markiz nieznacznie skinął głową, a oni ruszyli w moją stronę. Mieli śmiertelnie poważne miny.



Zastanawiam się, jak wiele listów podobnych do tego dostajesz każdego dnia? Sto? Tysiąc? Boże, jakbym chciała, żebyś zwrócił na niego uwagę. Żeby przykuł Twoje przenikliwe spojrzenie i nakłonił do dobrnięcia choćby do tego zdania.

Wiem, że jeżeli zaczęłaś czytać, nie odłożysz tych kilku skreślonych przeze mnie słów. Wiem to, bo tak jak ja z pewnością miewasz niezwykle przecucie. Przecucie, które mówi mi, że jesteśmy sobie pisani. Nie ma żadnej pary, której układ gwiazd albo inne głupoty sprzyjałyby tak bardzo jak nam.

Wystarczy, że spojrzę na Twoją fotografię i znowu to czuję. Jesteś mną, a ja jestem Tobą. Tworzymy pieprzoną jedność. Nie taką jak Bonny i Clyde (czy jak to się pisze – ostatnio oglądałam o nich film), ale taką jak Dzień i Noc. Jesteśmy dwiema połówkami tego samego świata. Stykamy się, a zetknięcie się naszych ciał przeradza się w największy cud wszechświata. To jing i jang. To... Pewnie sam znalazłbyś znacznie lepsze określenia, ale jestem pewna, że wiesz, co mam na myśli. Jesteśmy sobie przeznaczeni. A Ty wierzysz w przeznaczenie. Wiem to. Widzę to w Twoich oczach, gestach i postawie. Tylko osoby, które wierzą w przeznaczenie, poruszają się w ten sposób. Masz pewność siebie człowieka, który tak jak ja zrozumiał istotę tego świata. I za to odpuśceno Ci w tak brutalny sposób!

To niewiarygodne.

Godne pożalowania.

Obrzydliwe.

Brakuje mi słów, aby wyrazić, jak bardzo wstydzę się, że jestem tu, podczas gdy Ty jesteś tam. Wszystko powinno się odwrócić. To znaczy na tyle, abyśmy mogli się ze sobą zetknąć. Ale spokojnie. To tylko kwestia czasu. W przyrodzie musi istnieć stan wiecznej równowagi – a chwilowe zaburzenia rekompensowane są w dwójnasób.

Całuję tę kartkę, podczas gdy skapują na nią łzy mojej radości. Jestem przekonana, że już je wyczułeś. Kiedy ten list trafi w Twoje dłonie, będę o tym wiedziała. Poczuję to w sercu. Ale i tak proszę Cię, błagam, odpisz mi, bym mogła mieć przy sobie choć cząstkę Ciebie. Wtedy będę w pełni szczęśliwa.

Na zawsze Twoja...



Patrzyłem na Paryż, na wieżę Eiffla, na światła apartamentowców, rezydencji i zwykłych bloków. W każdym z nich tkwiło życie. Miliony ludzi u moich stóp delektowały się ciepłym, przyjemnym wieczorem. Uliczki centrum były pełne. Wypełniał je zapach tart, kawy i smakowego tytoniu. Nie czułem ich, ale wiedziałem to.

Zostały mi już tylko dwie podróże. Ta myśl nie pozwalała mi się skupić. Lola klęczała przede mną i poruszała dłonią po moim przyrodzeniu. Mocno i energicznie, na zmianę zaciskając lub poluzowując uchwyt. Raz za razem.

Dotykałem jej włosów i gładziłem kark. Zaczynałem dopasowywać jej rytm do fal ciepła rozlewających się po moim ciele. Wyginałem się, by wejść głębiej w jej usta. Przyjemny dreszcz spływał z moich pośladków ku nogom.

Drżałem.

Kątem oka patrzyłem na wieżę Eiffla i pogrążające się w nocy miasto. Miałem wrażenie, jakby z każdą sekundą gasły kolejne światła. Jakby inni skrywali się w mroku, by móc patrzeć na nas.

Myśli mi się plątały. Lola zaczęła szybko poruszać językiem, drażniąc moją cewkę. Drżałem jeszcze mocniej. Napierałem na jej kark, by objęła mnie ustami jeszcze silniej. Czułem jej ślinę ściekającą po moim udzie.

Nabrałem tchu. Serce biło mi coraz szybciej i czułem się, jakbym miał zaraz stracić równowagę. Światła Paryża zaczęły wirować. Wieża Eiffla rozmyła się i stała się nic nieznaczącym elementem tła. Obróciła się w gruzy u stóp mojej rozkoszy.

– Już... – powiedziałem ściśniętym głosem. – Zaraz...

Lola poruszała się jeszcze szybciej, a jej język oplatał moją męskość z każdej strony. Prąd rozkoszy spływał po moich piszczelach i zmuszał palce stóp do rozwarcia. Dochodząc, docisnąłem głowę ukochanej i głośno dyszałem. Cały Paryż wypełnił odgłos miarowego cmoktania.

Wypuściłem powietrze.

Czułem się, jakbym właśnie przebiegł maraton. Nogi mi drżały, a serce kołatało o żebra. Opadłem na kolana i przytuliłem się do Loli. Całowałem jej szyję. Wsunąłem dłoń pod jej bluzkę. Dotknąłem miseczki stanika, po czym zacisnąłem palce. Ugniatałem jej pierś.

– Nie, nie teraz. – Lola delikatnie się odsunęła. Chwyciła moją rękę w obie dłonie i oparła czoło na mojej piersi.

– Dlaczego? – zapytałem zaskoczony.

– To twoja podróż. Uznajmy, że spełniamy w niej twoje marzenia.

Nie wiem, dlaczego to powiedziała. Teraz to ja odsunąłem się i starałem się spojrzeć jej w oczy. Moja podróż? Moje marzenia? Przecież chciałem naszego szczęścia. To, co wspólne, wydawało mi się lepsze niż moje czy jej. Miałem zamiar to wszystko powiedzieć, ale cały wywód został skasowany, rozpedzony pociąg podejrzeń.

A jeśli...

Najpierw bałem się do nich przyznać sam przed sobą. Patrzyłem w oczy Loli i nie wiedziałem, czy odbijają się w nich światła miasta, czy skrzą się łzy.

A jeśli powiedziała to, bo chciała przestać myśleć już o nas jak o wspólnocie? Jak o nierozzerwalnej jedności? Jeśli chciała przyzwyczaić się na powrót do świadomości, że istnieje beze mnie? Że w ogóle może beze mnie istnieć?

Może właśnie oswajała się z odpowiedzią na każde z tych pytań.

Coś mi podpowiadało, że właśnie w tym tkwiło sedno jej słów. Rzadko kiedy w takich sprawach miałem mylne przeczucie. To absurd, ale zdaje się, że mężczyźni najlepiej rozumieją zrozpaczone kobiety. Nie wesołe, nie zakochane, a już na pewno nie obrażone. Ale zrozpaczone jak najbardziej. Te tak.

Gdy przytłaczał mnie natłok ponurych myśli, Lola pociągnęła nosem. Chyba zrozumiała, że przeniknąłem sens tego, co wymknęło się z jej ust. Odwróciła wzrok i położyła dłoń na moim policzku. Przeciągnęła po nim palcem. Wreszcie nasze spojrzenia spotkały się raz jeszcze.

To mnie pozostały do odbycia tylko dwie podróże. Przed nią było jeszcze całe życie i setki tysięcy kilometrów do przebycia. Nie mogłem pociągnąć jej na dno. Moja katastrofa nie mogła być jej upadkiem.

Zawstydzony własną słabością, starałem się uśmiechnąć. Położyłem dłoń na jej ciepłej dłoni i pocałowałem jej palec. Oboje musieliśmy odegrać tę grę. Przecież na tym polegają najrozumniejsze pożegnania.

– To moment doskonały. – Lola podchwyciła moje słowa sprzed parunastu minut. – Miałeś pełną rację.

– Tak, wiem – stwierdziłem bez cienia ironii.

– A mimo to chciałabym się zaraz obudzić.

Te słowa wbiły się w moje serce jak cierń. Prysnęła cała rozkosz ostatnich chwil. Jednak nie pozwoliłem uśmiechowi zniknąć z mojej twarzy. Całowałem kolejne palce Loli. Drugą dłonią chwyciłem butelkę szampana. Odwróciłem się w stronę okna i pociągnąłem duży łyk.

Nie wiem, za co wznosiłem toast tym razem. A może starałem się to ukryć przed samym sobą?

Spoglądałem w dół i zastanawiałem się, jak długo spadałbym z trzydziestego pierwszego piętra. Wyobrażałem sobie, że spadając, mógłbym rozłożyć szeroko ręce. Byłbym wolny.

I ona też.



Stew

Umiejętność perswazji to podstawa. Pozwala nam ubiegać się o dobrą pracę, potem o podwyżkę, a wreszcie perswadujemy szefowi, że tak naprawdę to my jesteśmy jego panem. Albo panią. Kobiety mają kilka asów w rękawie. A raczej w biuście, tyłku i ustach. Wszędzie tam, gdzie faceci chcą sobie pofolgować.

Natomiast siłą przekonywania mężczyzn są śmiertelna powaga i mięśnie. Nie zamierzałam protestować, gdy jeden z *bodyguardów* Markiza powiedział lodowatym tonem: „proszę za mną”. Nie protestowałam, ale udałam, że go nie słyszę. Odwróciłam się na pięcie i wpadłam na drugiego goryla. „Proszę niczego się nie obawiać”. To nie brzmiało przekonująco.

Oczywiście, mogłabym krzyczeć, narobić rabanu albo rzucić się do ucieczki. Mogłabym. Ale są sytuacje, gdy każda z miliona twarzy wokół wydaje ci się wroga. Nie spodziewałam się pomocy, a nawet nie bardzo wiedziałam, czy jej potrzebuję. Błyskawicznie starałam się ocenić sytuację.

Karty na stół. Nie. Nie potrzebowałam niczyjej pomocy.

Małomiasteczkowa duma (zgadnijcie, kto tak punktował mój charakter) nie pozostawiła mi wyboru. Mogłam być wiejską kurewką, ale nie strachliwą pindą.

Kręcąc biodrami, ruszyłam w stronę Markiza. Uśmiechnęłam się, starając odzyskać pewność siebie. Mimo to serce waliło mi w piersi, a nogi zrobiły się sztywne. Jednak podświadomie czułam się całkiem bezpiecznie.

Dziesięć minut później moja torba wylądowała w bagażniku czarnej, sportowej limuzyny. Otworzono mi drzwi, a jeden z ochroniarzy pokazał, żebym weszła do środka. Zawahałam się. Miałam ostatnią szansę próbować się opierać. Mimo późnej pory na parking było wiele osób. Taksówkarze trąbili i przekrzykiwali się. Pasażerowie furiacko rozglądali w poszukiwaniu bliskich oraz środka transportu. Jakiś zagubiony chłopiec żałośnie chlipał, a z jego wielkich, czarnych oczu lały się łzy.

Nikt nie zwróciłby na mnie uwagi.

Poddałam się, zdając na łaskę Markiza. Słyszałam, że był ekscentrykiem, bawidamkiem, ale nie mordercą. Przynajmniej nikt o tym nie mówił. Nikt nie wypowiedział tego na głos.

Zapadłam się w miękkiej, chłodnej od klimatyzacji kanapie. Wciągnęłam zapach skóry oraz tytoniu. Gdy Michele usiadł po drugiej stronie, w aucie dodatkowo rozniósł się aromat korzennych perfum.

– Proszę się zrelaksować. – Markiz sięgnął do obitego drewnem barku i otworzył drzwiczki. – Pani pozwoli, że teraz ja zajmę się poczęstunkiem. Kawa, herbata, napoje?

Zaśmiałam się nerwowo. Nieco za głośno i sztucznie. Markiz musiał to dostrzec, bo zaraz pochylił się w moją stronę. Poglądził dwoma palcami lekko zarośnięty podbródek i zmarszczył brwi.

– Jak długo pani lata? – zapytał łagodnym tonem.

– Już prawie trzy miesiące.

– Więc to nie jest pani pierwszy raz tutaj? Miała pani okazję wyjść poza lotnisko i zobaczyć ten rajski, arabski grajdół?

Delikatnie skinęłam głową. Przednie drzwi trzasnęły i limuzyna powoli ruszyła. Markiz, nie odwracając się, zasłonił dzielącą nas od kierowcy szybę.

– Wie pani, że Arabowie niekiedy poświęcają wiele czasu całkowicie bezwartościowemu interesowi. To ich tradycja. – Michele wyprostował się i zerknął w stronę barku. Przez chwilę się wahał, a jego dłoń wędrowała między butelkami wódek, gotowych drinków oraz innych alkoholi. Wreszcie wyciągnął kryształową karafkę z brązowym trunkiem. Postawił ją na blacie niewielkiego stolika. Ze schowka wyjął pękate szklanki. Z powrotem przeniósł na mnie wzrok. – Ale są sprawy, w których szkoda czasu na zwłokę. Są jak, jak... – Uciekło mu słowo. Nagle pstryknął palcami, a jego oczy błysnęły. – Oni mówią, że są jak niesione w rzece bryłki złota. Jeżeli ich pani nie złapie, wymkną się i trafią do morza. Wszystko będzie stracone. Byłoby szkoda, prawda?

Sięgnęłam do kieszeni, ale zaraz cofnęłam dłoń. Przypomniałam sobie, że komórkę wrzuciłam do torby. Zresztą co mi było po niej? Siedziałam jak na szpilkach. Mimo że za plecami miałam najdelikatniejszą skórę świata, było mi niewygodnie. Chciałam wyjść. Uciec. Żałowałam, że podporządkowałam się własnej dumie.

Mimo to jakaś część mnie chciała tu zostać. Patrzyłam na mocno zarysowaną grdykę Markiza, na białą koszulę opinającą jego pierś, na szerokie ramiona wypełniające skrojoną na miarę marynarkę i to mnie uspokajało. To absurdalne, ale właśnie tak było. Przystojni, uroczy mężczyźni nie mogą być źli. To pewnie atawistyczna cecha, przez którą wieki temu kobiety ginęły na stosach.

– Dla ścisłości, to pani jest tym złotem – ciągnął Michele. Uśmiechał się, jakby kpił z tandeciarstwa własnej paplaniny. – Nie zabiorę pani dużo czasu. Chyba że zechce pani zostać, ale... Czy możemy mówić sobie na ty?

Przełknęłam ślinę. Założyłam nogę na nogę i nabrałam powietrza. Wreszcie wyciągnęłam dłoń w stronę Markiza.

– Stew – przedstawiłam się spiętym głosem.

– Stew? Od Stefanii?

Michele jedynie musnął skórę mojej dłoni. Zrobił to tak, jak kilka godzin wcześniej w samolocie.

– Zgadza się – potwierdziłam. – Stew, od Stefanii. Albo od stewardesy.

– Miche. Od Michele.

– No to oboje mamy piękne zdrobnienia – starałam się zażartować, ale gdyby nie make up, spłonęłabym rumieńcem. – Miło mi.

– A więc Stew – Markiz uniósł kryształową zatyczkę karafki i rozlał trunek do szklanek – to na początek naszej znajomości.

Podał mi szklankę, a ja wzięłam ją drżącą dłonią. Z każdą minutą czułam się nieco bezpieczniej. Instynkt podpowiadał mi, że mogę się odprężyć. Markiz jakby

odczytał te myśli, bo zanim się napiłam, pośpiesznie dodał:

– W każdej chwili mogę cię zawieźć z powrotem na lotnisko. Albo do dowolnego hotelu.

– Dziękuję. Będę za to wdzięczna.

Moje słowa najwyraźniej nie uraziły Michelego. Podniósł szklanekę jak do toastu, po czym upił łyk brązowego napoju. W tamtym momencie jego twarz była łagodna, a spojrzenie zdradzało jedynie ciekawość. Było w nim coś, co każe się rozprężyć i poczuć, jakbyśmy znali się od zawsze. Jakby łączyły nas lata wspólnej historii i każda następna chwila miała stanowić nie coś całkowicie nowego, lecz naturalny ciąg dalszy. Ciąg, którego mieliśmy być piekielnie ciekawi. Nigdy wcześniej nie odniosłam podobnego wrażenia. Przyszłość – to jej wyobrażenie zarysowało się w mojej głowie. Brak przeszłości nie mógł dla niej stanowić żadnej przeszkody. Właśnie taki przekaz był każdego, najdrobniejszego gestu Michelego.

– To mieszanina destylatu z daktyli oraz cydru. Proszę, spróbuj. Wytwarzają ją w jednej z moich rozlewni kilkadziesiąt kilometrów stąd. Nie otrujesz się.

Coś kazało nadal mi się opierać. Racjonalność tłumaczyła, że teraźniejszość jest ważniejsza od przyszłości.

– Wolałabym pojechać do hotelu. Jestem zmęczona i...

Markiz pochylił się i położył mi dłoń na kolanie. Zrobił to bez natarczywości, jakby chciał mnie uspokoić. Zaraz ją zabrał i udając zakłopotanie, spuścił wzrok.

– Daj mi kwadrans, okej? Pokażę ci trochę miasta, potem przejdziemy do konkretów i zdecydujesz, gdzie chcesz jechać. Wszystko jest w twoich rękach. To, czy spełnisz tę drobną prośbę, też.



Pilot

Nigdy nie jadłem tak dobrych bagietek. Posmarowałem je prawdziwym masłem i maczałem na zmianę w słoiczkach truskawkowych i morelowych konfitur. Moje nozdrza wypełniał przyjemny aromat parującej z porcelanowej filiżanki kawy. Ustawione w rogu jadalni ekspresy pracowały niemal bez przerwy. Ponoć kawa smakuje najlepiej z widokiem na Koloseum i na Notre Dame. To może być prawda.

Mieliśmy nie spać, a jednak zasnęliśmy z Lolą jak dzieci. Wtuleni w siebie na kołdrze rozłożonej przy samym oknie. Jakbyśmy nie chcieli oddalić się od tej zachwycającej panoramy dalej niż na wyciągnięcie ręki. Jakbyśmy nie chcieli wypuścić Paryża z garści.

Nowy dzień rozpocząłem w dobrym nastroju. Lola również wydawała się całkowicie odprężona. Nie poruszyliśmy żadnego z rozpoczętych wieczorem tematów. Być może chwilowo wydawały się nam zamknięte.

Ulice pachniały jeszcze intensywniej niż hotelowa jadalnia. Aromat kawy i croissantów mieszał się z duszną wonią kwitnących magnolii. W niektórych miejscach szpalery magnolii zamieniały się w rzędy rozłożystych kasztanów. Przyjemnie było iść przed siebie bez żadnego planu. Obserwowaliśmy wystawy sklepowe, ogródki kafejek i restauracji, a przede wszystkim patrzyliśmy na siebie. Mieliśmy wspólne poczucie, że jesteśmy najlepszymi z eksponatów tego miasta.

Byliśmy w nim sami.

Po dobrej godzinie spacerowania znaleźliśmy się w cichym zaułku. Z trzech stron otaczały nas wysokie, porośnięte bluszczem ściany kamienic, a z tyłu mieliśmy schody, którymi właśnie zesliśmy. Kamienice naprzeciw nas oraz te po naszej prawej niemal się stykały. Przez wąską szczelinę widzieliśmy niewielkie podwórze, na którym kobiety rozwieszały pranie. Gdyby nie stojące obok nas dwa skutery, pomyślałbym, że cofnęliśmy się w czasie. O sto, dwieście lub trzysta lat.

Pomiędzy kamienicami naprzeciw nas i po naszej lewej biegło wąskie przejście. Złapał się za ręce, po czym bez słowa ruszyliśmy w jego stronę. Po chwili otoczył nas chłód przepęnlony zapachem wilgoci. Ścieżka miała co najwyżej pół metra szerokości, więc musiałem iść nieco z przodu.

Wkrótce znaleźliśmy się na kamiennym mostku nad wąskim kanałem. Warto płynęła nim woda tak czysta, że widać było kolorowe kamyczki, uczeplone dna porosty oraz przepływające co chwilę niewielkie rybki.

Lola wyciągnęła z torebki rurkę z kremem. Kupiła ją „na wszelki wypadek”, w maleńkiej cukierni tuż obok hotelu. Krem nieco się rozpuścił i wyciekł na papierową serwetkę. Lola podstawiła mi rurkę pod usta. Ugryzłem kawałek, a okruchy spadły mi na koszulę. Moja ukochana strzepnęła je, śmiejąc się, jakbym właśnie wykonał najlepszy popis cyrkowy. To właśnie są przywileje zgryzoty.

– Zostańmy tu chociaż dzień dłużej – poprosiła, wciąż trzymając dłoń na mojej piersi. W drugiej trzymała rurkę, którą wywijiała jak batutą. – Nie musimy się nigdzie śpieszyć.

Oparłem się o balustradę mostku. Popatrzyłem na odbicie chmur w wodzie.

– Chciałabyś?

– O tak! Jeszcze jak!

– Sama mówiłaś, że chcesz tu przylecieć tylko na jeden dzień – przypomniałem, starając się nie myśleć, jaki był prawdziwy powód decyzji o tak krótkim wyjeździe. Zamiast niego mówiliśmy o czymś zupełnie innym. – Pamiętasz swoją teorię?

Lola wzruszyła ramionami. Pochmurnie opuściła dłoń i westchnęła. Mechanicznie ugryzła rurkę, po czym zaczęła ją chrupać. Odezwała się z wciąż pełnymi ustami.

– Pamiętam, ale kiedy tu jestem, wydaje mi się, że nie miałam racji.

– Ostrzegłaś, że właśnie tak będziesz mówiła.

– Miałam się zniżyć do wszystkich argumentów, a ty miałeś mnie powstrzymać.

Uśmiechnąłem się. Kiedy Lola chciała po raz kolejny ugryźć rurkę, połaskotałem ją po boku. Drgnęła i umazała sobie nos bitą śmietaną.

– Mówiłaś, że wszystkie miejsca, w których będziemy dłużej niż jeden dzień i jedną noc, spowszednieją – odezwałem się, patrząc na jedną jedyną kłódkę przypiętą do balustrady mostku. Podeszedłem do niej i ją uniosłem. Miłosna sentencja oraz napisane na niej markerem inicjały kochanków zostały następnie zamazane. Jedno z nich musiało wrócić, odnaleźć kłódkę i wykreślić ją z własnej przeszłości. Kluczyk zapewne już dawno rozpadł się gdzieś na dnie kanału pod naszymi stopami.

– Jest tam jakaś złota myśl? – zapytała Lola. – Przeczytaj!

– Nie, nie ma niczego – odparłem. – To zwykła kłódką. Chodź, wracajmy powoli do hotelu.

– Może powinniśmy przypiąć tu naszą kłódkę? Jako nasze wspomnienie i zobowiązanie?

– Myślę, że obędziemy się bez tego.

– Nie jesteś w ogóle romantyczny.

Kawał żelastwa nie wydawał mi się niczym romantycznym, ale nic na to nie odpowiedziałem. Wziąłem Lolę pod rękę i ruszyłem dalej. Chciałem wrócić do hotelu inną drogą niż ta, którą tutaj przyszliznęliśmy. To było wszystko, czym naprawdę mogłem się cieszyć.



Stew

Przejechaliśmy szeroki most. Po mojej prawej stronie w oddali błyskały światła miasta. Tysiące kolorowych punkcików. Lamp zapalonych w wieżowcach, latarni, neonów i reflektorów aut. Nocne życie jest zakłute w punktach światła. Ktoś powiedział, że niebo to odbicie nas samych. Miał wybujałą wyobraźnię albo pieprzył głupoty.

Przez pewien czas czteropasmowa droga wiodła niemal przez pustkowia. Co chwilę mijały nas pędzące sportowe bryki i wielkie SUV-y. W nocy tutejsze palmy sprawiały wrażenie tak samo martwych jak ta w Warszawie.

Zgodziłam się poświęcić Markizowi kilka minut. Wiem, jak żałośnie to brzmi, ale starałam się sobie wmówić, że właśnie tak jest. Że nie robię tego, co ode mnie oczekuje, lecz postępuję w zgodzie z własnym sumieniem. Z własnym planem. Z własną dumą.

Pięteczka *small talku* odbijała się od opisu okolicy, w której się znajdowaliśmy, wędrowała przez historię, lokalne przysmaki i interesy Michelego, by wreszcie znowu uderzyć o bandę krajobrazu.

- Wszystko jest kwestią perspektywy. - Markiz zastukał kłykiem w szybę. Kierowca przed chwilą zawrócił i znaleźliśmy się na kolejnym moście. - Aby docenić urok tego miejsca, najlepiej się oddalić. U stóp drapaczy chmur, w ich potężnych holach albo obserwując je z pokładu łódki w zatoce, jesteśmy zbyt mali. Potrzebujemy perspektywy. Panoramy. Rozumiesz, o czym mówię, Stew? Spójrz. To jest właściwa perspektywa.

Kierowca, jakby słysząc naszą rozmowę, nieco zwolnił. Z miejsca, w którym byliśmy, rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na morze wieżowców, podświetlonych kopuł meczetów oraz czarną, przetykaną refleksami toń morza.

- Stąd największe budynki są wielkości naszego małego palca. - Markiz wciąż patrzył za okno. - Wydaje się, że całe to miasto moglibyśmy wziąć w garść i zmiażdżyć. Myślisz czasem o tym? Z góry, gdy lecisz samolotem, można to sobie wyobrazić jeszcze łatwiej.

Odwrocił się do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. Nagle zacisnął pięść. Na jego twarzy nie było już uśmiechu. Ściągnięte brwi, wysunięty podbródek, napięte mięśnie, wszystko to zdradzało jakieś głębokie zamyślenie. Nie wiedziałam, czy to maska. Przypuszczałam, że ten sam tekst i przejażdżkę dokładnie tą samą trasą Michele wciskał już setkom kobiet. A mimo to czułam się wyjątkowa. Człowiek, który mówił i zachowywał się w ten sposób, nie mógł mieć czasu dla każdego.

- Stew?

Drgnęłam. Nie byłam pewna, o co mnie pytał. Skinęłam głową i popatrzyłam za okno.

- Moje koleżanki... - wyjąkałam. - Czekają na mnie w hotelu... Byłyśmy umówione.

- Nie jesteś więźniem - Markiz powiedział to tonem przygany. - Dałem ci słowo, że na pokładzie tej łodzi jesteś gościem i kapitanem zarazem.

- W takim razie wracajmy.

- Nie podoba ci się to miasto? Szofer źle prowadzi?

Markiz wydawał się autentycznie zdziwiony. Odstawił obie szklanki na stół i przyjrzał mi się badawczo.

- Stew, proszę, powiedz mi, co jest nie w porządku? Coś ze mną?

- Po prostu chcę już wracać.

- Ale nie porozmawialiśmy jeszcze o konkretach.

Jego szczerze zaskoczony, nieco przymilny ton dodał mi odwagi. Poczułam, że nie jestem tylko kukłą, która trafiła w jego dłoń. Nie zachowywał się, jakby chciał mnie zgwałcić i wyrzucić na pobocze. Bezwiednie sięgnęłam po zawieszoną na szyi szklaną papryczkę. Obróciłam ją między palcami, ale zaraz wypuściłam.

- Konkrety są takie, że nie jestem uległa - odezwał się najpewniej, jak potrafiłam. - Nie jestem skora do noszenia hidżabu i leżenia bezwładnie pod facetami. Chcę jechać do hotelu.

Nie wiem, skąd w moich słowach znalazły się te wszystkie aluzje. Na pewno nie wplotłam ich świadomie, lecz na ten temat mogliby wypowiadać się Freud z Jungiem.

Szybko tego pożałowałam.

Michele momentalnie zerwał się z kanapy i chwycił moje dłonie. Pocałował mnie prosto w usta. Łagodnie, ale z pewnością siebie, która cechuje niewielu mężczyzn. Jego wargi powędrowały w dół po moim podbródku. Czułam lodowaty dreszcz spływający mi po kręgosłupie. Znieruchomiałam.



Pilot

Wszystko zaczęło się sześć, prawie siedem lat temu. Niewiele wcześniej zrobiłem licencję i razem z Rudym oraz Zoją siedzieliśmy na trawiastej płycie lotniska. Wdychaliśmy zapach świeżo skoszonej trawy, graliśmy w karty i opowiadaliśmy sobie spróśne dowcipy.

Obok nas leżał sznur wyciągarki, a nieco dalej stało rdzewiejące suzuki z napędem na cztery koła. Za plecami mieliśmy mój ostatni zakup – szybowiec. Był to dwumiejscowy Puchacz, pomalowany na biało, ale z czerwonym dziobem. Cud techniki sprzed czterdziestu lat, a przy okazji nasz najnowszy pomysł na rozkręcenie własnego biznesu. Wykupiliśmy go za wszystkie oszczędności. Przydał się również drobny kredyt, który miał nam ciążyć przez całe pięć lat.

Rudy był moim najlepszym kumplem, a Zoja najwierniejszą przyjaciółką – dwuletnim mieszkańcem owczarka niemieckiego i labradorki. Należy dodać, że Rudy był również współwłaścicielem naszego interesu. Formalnie to ja miałem licencję i szybowiec, on wyciągarkę oraz samochód. Wspólne były kredyty i fantastyczne plany. Zarzekaliśmy się, że przyszłość rysuje się obiecująco, choć przez ostatni tydzień obsłużyliśmy zaledwie pięciu klientów.

Większość chętnych rezygnowała, gdy dowiadywała się, że nie wylatujemy za awionetką. Po tej informacji wyglądali, jakby dostali po głębie. Naprawdę.

– Ale jak to? – dopytywali. – To jakim cudem szybowiec leci?

Tłumaczenie, że wyciągarka jest niemal tak samo dobra, a czasem nawet lepsza, na nic się zdawało. Dla osób żądnych przelotów najważniejszy element imprezy najwyraźniej stanowiło wznoszenie się za samolotem. To było dla nich jedyne dopuszczalne wyjście. *Must have* programu.

Chcąc uniknąć plaży, musieliśmy coś zrobić. Codziennie między dowcipami i partyjką makao rozważaliśmy rozmaite scenariusze. Awionetkę można było wypożyczyć lub kupić. To drugie nie wchodziło w grę ze względu na nasz ograniczony budżet. To pierwsze ze względu, że zapisy na wypożyczenia należało

zrobić jeszcze przed sezonem. Poza tym obie możliwości odpadały dlatego, że tylko ja miałem licencję pilota. Nie mogliśmy sobie pozwolić na trzeciego współnika.

Tamtego popołudnia po raz setny zastanawialiśmy się nad zmianą biznesu. Nasz plan na życie był prosty. Tak robić, by się nie narobić, lecz nie głodować. Stabilizacja była mglistym omamem mającym na horyzoncie. Wtedy liczyło się tu i teraz. Ewentualnie jutro rano. Miliony miały przyjść same z siebie, a my udalibyśmy, że wcale ich nie potrzebujemy. To nie było nawet niewypowiedziane marzenie. To był ornament najskrytszych pragnień zaszufladkowanych jako „niewykonalne”.

Sytuacja wyjściowa wydawała się beznadziejna. Miałem trochę odłożonej gotówki, ale nie chciałem jej ruszać. Przez trzy lata pracowałem jako barman w angielskiej pipidowie i nie zamierzałem znowu wyjeżdżać. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiałem wykorzystać wszystkie szanse dostępne na miejscu. Nigdy nie sądziłem, że w ten sposób ożyje we mnie uśpiony patriotyzm.

Rudy miał całkiem podobnie. Poznaliśmy się w Anglii, gdzie pracował jako zawodowy wyprowadzacz psów. Miał pełny grafik i codziennie obskakiwał kilkanaście bogatych panius, które kupiły rasowe psiaki, zapominając, że te same się nie wyprowadzą. W znacznej części mogłyby wypuścić je do własnych ogrodów, ale to nie mieściło im się w głowach. Pies załatwiający potrzebę pod ich oknem? Nigdy w życiu.

Rudy miał setki zabawnych historii zaczerpniętych z tamtej roboty. Z czasem zaczął przeplatać jedne z drugimi tak, że powstawały coraz to nowe ich wersje.

– Specjalnie podrzuciłem jej gówno pod drzwi. Wyobraź sobie minę tej suki, gdy rano wychodzi na taras, a tam...

Rudy przerwał w pół zdania. Podniósł się z trawy i otrząpął spodnie. Przeczesał palcami kręcone, rdzawe włosy, po czym ukradkiem kopnął mnie w kostkę. Zojka ziewnęła z jęknięciem. Zobaczyłem, że coś przykuło jej uwagę.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że od strony parkingu w naszą stronę idą dwie osoby. Wysoki, przeraźliwie szczupły mężczyzna w koszulce Metalliki oraz kształtna brunetka. Starali się omijać kępki ściętej, wilgotnej trawy.

– Zaraz znowu usłyszysz, że bez samolotu nie latają – mruknąłem.

Nie uważałem, żeby konieczne było podnosić się do każdego klienta. Denerwowało mnie, że Rudy za każdym razem wstawał i gapił się, jakbyśmy nie mieli nic ważniejszego do roboty. Może i nie mieliśmy, ale chyba wiecie, o co mi chodzi. Zachowywał się przy tym jak lokaj, który oczekuje nadejścia swojego pana. Brakowało mu tylko czarnej liberii.

– Można teraz polecieć? – Usłyszałem z daleka głos mężczyzny.

– Pogoda sprzyja jak nigdy – natychmiast zapewnił Rudy. – Dziś wznosimy za wyciągarką.

– A co za różnica?

– Żadna. Zupełnie żadna. Tylko mówię.

- Więc można by?

- Pan pilot już czeka. - Rudy odwrócił się do mnie i puścił mi oko. - Idę grzać auto.

Podniosłem się i pogłaskałem Zoję po głowie. Psina otarła się o moją nogę. Nie zwracała żadnej uwagi na naszych gości. Wbiła we mnie spojrzenie okrągłych, czekoladowych oczu, jakby coś przeczuwała.

Albo jakby chciała mnie przestrzec.



Stew

Po ułamku sekundy odzyskałam trzeźwość myślenia. Z całej siły odepchnęłam od siebie Michelego i wbiłam się w kąt kanapy. Podwinęłam nogi, gotowa kopać i wierzczać. Wyciągnęłam dłoń w stronę klamki, ale nie chwyciłam jej. Drzwi i tak na pewno były zablokowane, a Markiz wrócił na swoje miejsce. Otarł twarz dłońmi.

- Przepraszam - wyszeptał. - Myślałem, że...

- Że co?! Wypuść mnie, natychmiast!

O dziwo, odzyskałam rezon. Zamierzałam się bronić, choćbym miała skończyć w dole na pustyni. Moją uwagę przykuła szklanka. Nagła myśl sprowokowała mnie do działania. Zerwałam się, chwyciłam ją i stłukłam o skraj stolika. Szklanka rozstłukła się na setki kawałków. Nim Michele zdążył zareagować, chwyciłam największy z nich i wyciągnęłam przed siebie.

Markiz uniósł pojednawczo dłoń. Na jego twarzy wciąż malował się pefen zdziwienia spokój. Zupełnie jakby to, że nie zamierzałam mu ulec, stanowiło obcą mu fantasmagorię. Jakbym była dzieckiem, które zażyczyło sobie kanapki z dżemem i szynką.

- Myślałem, że się to pani spodoba - odezwał się po chwili. Przez ułamek sekundy znów byliśmy na „pani”, ale Michele zaraz dodał: - Nie chciałem cię urazić.

- Słabe przeprosiny.

- Ale szczerze. Proszę mi uwierzyć. To... To tylko nieporozumienie. Głupota.

Znowu ten sam uniżony, przymilny ton. I znowu nieco zawstydzony, unikające mojego wzroku spojrzenie. Oba czynniki natychmiast dodały mi odwagi.

- Każdą dziewczynę, która ci wpadnie w oko, każesz ochroniarzom wpakować do auta? A potem wozisz bez celu i zaczynasz z dupy strony całować?

Z dupy strony całować... Matko Boska. Powinnam zerwać kontakty z Konstancją, chociażby aby uniknąć takich tekstów. I to w takich sytuacjach.

- Nie. - Markiz wreszcie znów na mnie spojrział. Podparł podbródek dłonią i westchnął. - Prawdę powiedziawszy, jesteś pierwsza.

Sranie w banie. Chciałam to powiedzieć, ale się powstrzymałam. *Bull shit*. To brzmi tak teatralnie.

– Pierwsza? – zapytałam kpiąco. – Dziś? Od dwóch dni? W tym tygodniu?

– Pierwsza w tym aucie. – Markiz wyprostował się i wybuchnął szczerym, chłopięcym śmiechem. – Przepraszam, przepraszam. – Starał się złapać oddech. – Czasem chyba tracę poczucie rzeczywistości. Te wszystkie kretyńskie spotkania, firmy, interesy... – urwał, nie wiedząc, jak skończyć. Wzruszył ramionami i przygryzł wargę.

– Proszę, odwieź mnie do hotelu. Teraz.

Michele skinął głową.

– Gdzie was zakwaterowano?

Jego pozbawiony emocji ton zrobił mi przykrość. Teraz wiem, że właśnie tak go odebrałam. Wtedy, w limuzynie, gdy nasze kolana dzieliło ledwie kilkadziesiąt centymetrów, a w dłoni ścisnęłam kawałek szkła, wydawało mi się, że czuję ulgę. Zwykła bzdura.

Podaliśmy nazwę hotelu. Markiz odwrócił się, otworzył szybkę dzielącą nas od kabiny kierowcy i rzucił kilka słów szoferowi. Po chwili dodał coś jeszcze po francusku. Limuzyna zaczęła zwalniać, a serce znów podeszło mi do gardła. Znajdowaliśmy się w wymarłej dzielnicy pełnej niskich domów. Latarnie oświetlały puste, bezлюдne podwórza. Pojedyncze palmy rzucały długie, poskręcane cienie. Zdawały się zastygłe w bezruchu.

Kierowca skierował auto na pobocze i je zatrzymał. W panice wbiłam wzrok w Markiza. Zdawało mi się, że na jego twarzy nadal dostrzegam grymas zdziwienia. Zmrużył oczy i strzepnął szklane okruszki z nogawki spodni.

Kręcąc głową, głośno wypuścił powietrze.



Pilot

Pogoda była idealna do szybowania. Udało mi się wznieść ćwierć kilometra powyżej zasięgu wyciągarki i zapowiadał się naprawdę przyjemny lot. Jak zawsze w powietrzu czułem się lekko pobudzony. Tak jakbym wypił mocną kawę i zapił ją energetykiem. Nie potrzebowałem niczego więcej.

Dziewczyna siedziała przede mną, czułem kwiatowy zapach jej perfum i owocowy szamponu do włosów. Zawsze byłem wyczulony na zapachy. Od czasu do czasu, gdy spoglądała w bok, widziałem profil jej twarzy. Miała regularne rysy, mały, zadarty nos i piękne włosy. Uśmiechała się, co chwilę otwierając z zachwytu usta.

– Tam daleko – zastukała paznokciem w szybę – co to za jezioro?

- Zalew Zemborzycki. - Zaśmiałem się, bo sam kiedyś zapytałem o to instruktora. - Dziś mamy doskonałą widoczność. Widać nawet Świdnik. A tam, po naszej prawej, niemal na horyzoncie są Puławy.

- O Boże, rzeczywiście! Widzę kominy.

- Blżej nas jest Nałęczów, a tam, bardziej pod nami, Wojciechów.

Dziewczyna zamilkła wpatrzona w szachownicę pól porozdzielanych siatką ulic. Z tej wysokości wydawało się, że przemierzamy się nad niemal bezludnym obszarem.

- Prezent od chłopaka? - zapytałem nagle. Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło. Może to, że dziewczyna nie mogła dać mi w gębę, odwrócić się na pięcie i wyjść.

- Słucham?

- Ten lot. To prezent od chłopaka?

Dziewczyna się roześmiała. Pochyliła się, niemal przytykając czoło do szyby, ale nie odpowiedziała. Przysłoniła dłonią oczy, osłaniając je od słońca. Nagle odwróciła się w drugą stronę. Znowu westchnęła ekstatycznie.

- Brata. To prezent od brata na osiemnastkę.

- Powinienem ci złożyć dzisiaj życzenia?

Pokręciła głową. Znowu zachichotała.

- Obiecał mi to ponad dwa lata temu, ale ciągle zwlekałam. Bałam się, choć właściwie nie wiem czego. Teraz żałuję, że czekałam tak długo. To latanie to... To coś fantastycznego.

- O, tak - przyznałem. - Też zakochałem się od pierwszego razu.

- Myśli pan, że to zaraźliwa pasja?

- Pasja? To znacznie więcej.

- I kiedyś mogłabym latać tak samo jak pan?

- Może nawet już teraz. Złap wolant.

- Co takiego?

- Tę kierownicę przed tobą.

Najprościej, jak mogłem, wytłumaczyłem jej, jak obsługiwać wolant. Najpierw robiła to bardzo niepewnie, ale po chwili zrozumiała ogólną zasadę. Właściwie każda osoba z prawem jazdy jest w stanie opanować podstawy lotu w ciągu kwadransa. Bardziej oporni w pół godziny.

- Widzisz? Pani kapitan leci całkowicie sama. Jestem tylko potulnym nawigatorem.

- Mam nadzieję, że ma pan wszystko pod kontrolą.

Założyłem dłonie za głowę i wzruszyłem ramionami.

- Zdaję się na ciebie.

- Ale...

Dziewczyna pisnęła, gdy drobna turbulencja wstrząsnęła szybowcem. Po chwili się uspokoiła i ustabilizowała tor. Naprawdę miała dryg.

Przez cały czas robiłem wszystko, by lot trwał jak najdłużej. Bez nagłych manewrów, bez szybkiego wytracania wysokości i kombinowania, w tym miejscu można było szybować nawet godzinę. Teraz zaczęliśmy opadać.

Nagle przez umysł przebiegła mi pewna myśl. Pochwyciłem ją, chciałem odgonić, ale ta mi na to nie pozwoliła. Wiedziałem, że jeśli zaprzątnę uwagę czymś innym, później będę żałował.

– Umówisz się ze mną? – zapytałem. – Zapraszam na kawę. Albo na piwo. Chyba że... – zawiesiłem głos, czekając na reakcję.

– Ale ja...

Nie dałem jej skończyć. Skierowałem kadłub Puchacza mocno w dół. Lubiłem to uczucie odrywających się wnętrzności, gdy gwałtownie traci się wysokość. Lubię ten moment, gdy najeżdża się autem na obniżenie asfaltu. Wiecie, o czym mówię.

Dziewczyna głośno krzyknęła.

– Może być wódka – dodałem, stabilizując lot. – Nie lubię, ale dla takiego towarzystwa się zmuszę.

– Jezu. Nie rób tego wi...

Ponownie dynamicznie obniżyłem lot. Dodatkowo pochyliłem szybowiec na prawe skrzydło tak, że konstrukcja zatrzęszczała.

– Okej! – krzyknęła dziewczyna. – Kawa, wódka, co chcesz!

Choć każdy z wcześniejszych manewrów wykonywałem setki razy, miałem spocone dłonie. A kiedy zapytałem ją o imię, drżał mi głos.



Stew

Boże, Boże, Boże...

Patrzyłam na niemal bezludne pobocze, na odległe światła domów i znów na pustynną okolicę. Drogą przejeżdżały tylko pojedyncze pojazdy. Nikt nie zwracał uwagi na zatrzymaną na poboczu limuzynę.

Ścisnęłam kawałek szkła w dłoni. Byłam gotowa bronić się do upadłego. Za żadne skarby nie zamierzałam dać się wywlec z auta. A może to w nim groziło mi największe niebezpieczeństwo? Poczucie tego, że z rąk Markiza nic mi nie zagraża, zamieniło się w duszącą niepewność.

W panikę.

Nie znałam tego człowieka. Słyszałam o nim kilka historii, ale tak naprawdę większość mogła być zwykłymi bajkami. Tanim zabiegiem piarowym mającym zamaskować jego sadystyczne skłonności.

A jednak, kiedy znów spojrzałam w te ciemne, nieco zakłopotane oczy, poczułam się raźniej. Markiz zmarszczył brwi. Zerknął na zaciskane przeze mnie w dłoni

szkło, a wreszcie przeniósł wzrok na moją twarz. Nie uśmiechał się. Jego regularne, eleganckie rysy stężały. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się pohamował. Przez kilka sekund w milczeniu lustrował mnie wzrokiem. Nie wiem, czy napawał się moim strachem, urodą, czy jednym i drugim. Być może rozszyfrował moje myśli i się zawstydził.

Nagle podniósł się i wyciągnął dłoń. Przerazona podciągnęłam wyżej nogi. Wyciągnęłam w jego stronę kawałek szkła.

– Odsuń się! Nie rób...

Urwałam w pół zdania, gdy Markiz zgasił umieszczone w podsufitce światło. Przestałam oddychać, a serce podeszło mi do gardła. W pomarańczowym świetle odległych latarni twarz Michelego nabrała ostrości i drapieżności. Choć jego oczy tonęły w półmroku, wiedziałam, że nadal mnie obserwuje. Byłam pewna, że zaraz się na mnie rzuci. Kawałek stłuczonej szklanki nie mógł go powstrzymać. Co miałabym nim zrobić? Wbić mu w rękę? Celować w twarz?

Strużka potu ściekała mi po plecach. Było mi duszno, a szkło ślizgało mi się w spoczonej dłoni. Miałam wrażenie, że stoimy na poboczu już wiele minut. W rzeczywistości wszystko zapewne trwało nie więcej niż kilkanaście sekund.

Nagle Markiz odwrócił się i pchnął drzwi. Nim wysiadł, delikatnie skinął głową.

– Przepraszam – rzucił po angielsku. – To nieporozumienie. Mi dispiace, Signora.

Po chwili giętkim ruchem wysunął się z auta. Pochylił się, by jeszcze raz na mnie zerknąć. Tym razem jego twarz całkowicie tonęła w ciemności. Nie odezwał się więcej. Wyprostował się, dwa razy klepnął dłońią w dach limuzyny i zatrzasnął drzwi.

Kierowca natychmiast dodał gazu. Skulona na tylnej kanapie, widziałam, że Markiz, stojąc w miejscu, obserwuje odjeżdżające auto. Z każdą sekundą jego wyprostowana jak struna sylwetka malała, aż wreszcie znikła za zakrętem.

Nagle zdałam sobie sprawę, że kierowca coś do mnie mówi. Spuściłam nogi i wsłuchałam się w jego bełkotliwy angielski.

– Markiz prosił, aby dać pani wybór. Ma pani zdecydować, czy chce jechać prosto do hotelu, czy wcześniej coś zwiedzić. Bez niego.

Ostatnie zdanie szofer wypowiedział nieco sarkastycznym tonem. Nie wiedziałam, jak go odebrać, ale uznałam, że nie ma potrzeby komplikować sytuacji. Przeszła mi ochota na pyskowanie.

– Do hotelu – poprosiłam, choć raczej było to błaganie.

– Jak pani chce. Tymczasem proszę do woli korzystać z barku.

– Chyba nie mam ochoty.

Wyprostowałam się i starałam rozluźnić. Serce wciąż kołatało mi w piersi, ale udało mi się uspokoić oddech. Już nie brakowało mi powietrza. Klimatyzacja przyjemnie muskała mi twarz. W innych warunkach zasnąłabym pewnie jak dziecko. Teraz trzymałam kurczowo otwarte oczy i starałam się nawet nie mrugać. Podświadomie wciąż wyczuwałam grożące mi niebezpieczeństwo. A jednocześnie

byłam zła, że tak potraktowałam Michelego. Było mi głupio za rozbitą szklanekę i wciąż ściskane w dłoni szkło. Choć oczywiście wtedy nie chciałam się do tych odczuć przyznać.

Pielegnowałam swoją wściekłość i dumę. Nie spuściłam wzroku, gdy zobaczyłam, że szofer przygląda mi się w lusterku. Wytrzymałam jego chmurne, wyzbyte emocji spojrzenie.

Przez kwadrans jechaliśmy w milczeniu. Nie zarejestrowałam, kiedy znaleźliśmy się w innym świecie. Musiało się to stać w jednej chwili. Niska, rozproszona zabudowa zamieniła się we wzburzone morze drapaczy chmur. Tak jak mówił Markiz, nagle u stóp podziwianych niedawno z oddali wieżowców poczułam się przeraźliwie mała. A do tego samotna.

Drapacze chmur ciągnęły się jak szpalery drzew, rozświetlone neonami, światłami pokoi, restauracji, klubów i barów. Czerwone diody na szczytach budynków przypominały krwawe konstelacje gwiazd. Mimo późnej pory wokół panował duży ruch. Dzięki czteropasmowej drodze nie było korków, ale i tak jechaliśmy w sznurze aut. Chodnikami przelewały się chmury ludzi.

Centrum. Oto centrum Emiratów. Centrum świata ropy naftowej, pieniędzy i luksusu. Byłam oczarowana. Nigdy wcześniej nie przejeżdżałam przez tę okolice. Warszawa wydawała się przy tym prowincjonalną miejsciną ze śmiesznymi pudełeczkami zamiast domów. Tu wszystko sięgało nieba. Ekscytacja wyparła niedawny strach i zakłopotanie. Chłonełam każdą cząstkę tego świata.

Oprzytomniałam, dopiero gdy kierowca zwolnił i zjechał na dwupoziomowy parking przed kilkunastopiętrowym hotelem. Wypisane złotymi literami logo widniało nad przeszkloną, wystającą poza bryłę budynku recepcją. Kryła ją lśniąca kopuła przypominająca tę nad jerozolimskim meczetem Al-Aksa.

– W bagażniku mam torbę – odezwał się, chwytając klamkę. Drzwi były jednak zamknięte. – Hej, słyszysz mnie?

Kierowca odwrócił się i zerknął na mnie przez niewielki otwór.

– Chwileczkę. – Wyciągnął w moją stronę dłoń z telefonem. Komórka dzwoniła, raz po raz wibrując. – Proszę odebrać. To do pani.

Skonsternowana rozejrzałam się po okolicy. Przed hotelem stał elegancko ubrany boy, a wokół kręciło się wielu ludzi. Mimo to wewnątrz limuzyny wydawało się dobrze wygłuszone, a szyby mogły być pancerne.

– Proszę. – Kierowca niecierpliwie potrząsnął dłonią.

Przygryzłam wargę i sięgnęłam po telefon. Przyłożyłam go z niechęcią do ucha.

– Halo?

– Wierzysz, Stew, że mężczyzna może zwariować na punkcie kobiety? – Markiz zaśmiał się chłopięco. – Powiedz mi, wierzysz?

– Proszę, daj mi spokój.

– Zakochani faceci zupełnie głupieją. Zrobię wszystko, czego zapragniesz. A zapewne wiesz, że mogę bardzo – przeciągnął „a” w słowie „bardzo” i je

powtórzył: – Baaardzo wiele.

– Pieprz się.

Fuck you po angielsku brzmi tak wymownie. Nim zdążyłam się rozłączyć, usłyszałam, jak Michele Filippo Jakiśtam zapewnia, że jeszcze się spotkamy. Niedługo.

Jego słowa zabrzmiały jak groźba.



Pilot

Tamtego dnia Konstancja złapała bakcyła do latania. Nie dała mi swojego numeru telefonu, ale wyskakując z szybowca, szepnęła, że chce się spotkać. Miałem czekać właśnie w tej części lotniska, kolejnego dnia punktualnie o 22. Obiecała, że się na pewno pojawi.

Na-kurwa-pewno. To były jej słowa.

Mogła mnie zwyczajnie zwodzić, ale są chwile, których nie powinno się psuć domysłami. Czasem jest lepiej zaryzykować. Wtedy jedynie odprowadziłem ją wzrokiem, dopuszczając możliwość, że się już nigdy nie zobaczymy. Że widzę ją ostatni raz. Patrzyłem na jej rozwiewane przez wiatr ciemne włosy, na jeansy opinające kształtny tyłek i zgrabne nogi. Patrzyłem łapczywie i w tym wypadku łapczywość nie była niczym złym, nie zbliżała się ani trochę do tej tak pochopnie pogardzanej przesady. Napawałem się nią. Chłonałem ją wzrokiem.

Mógłbym spędzić kolejne godziny, starając się wyszukać tę dziewczynę na portalach społecznościowych. Wcześniej mógłbym droczyć się, nie otwierając kabiny, dopóki nie poda mi numeru, ale nie chciałem tego. To było bez sensu.

Chciałem, by sprawy przybrały naturalny obrót. Tym bardziej byłem na siebie wściekły, gdy dochodziło wpół do 23, a ja jak idiota leżałem na trawie dokładnie w miejscu, gdzie poprzedniego dnia posadziłem Puchacza. Na przemian zerkałem na ekran komórki i gapiłem się w ciemne niebo. Wiatr przygnał chmury, więc nie było widać gwiazd. Wokół panowała cisza. Lotnisko leżało dwadzieścia kilometrów od miasta i nie było dopuszczone do ruchu nocnego. Sprzęt pozamykano w hangarach, hangary zabezpieczono wielkimi kłódkami, a ja byłem zapewne jedyną żywą duszą na obszarze wielu hektarów. Zdaje się, że nie było tu nawet stróża.

Gdy już miałem wstać i wrócić do auta, usłyszałem kroki. Kamienie chrzęściły rozgniataane na ścieżce pod czymiś butami.

Podniosłem się na łokciach. W rozjaśnionym przez odsłonięty na moment księżyc mroku dostrzegłem zarys kobiecej sylwetki. Od razu rozpoznałem

Konstancję. Rozpoznałem sposób, w jaki stawiała kroki i w jaki poruszała szerokimi biodrami. Nie widziała mnie.

– Hej?! – krzyknęła, przykładając dłoń do ust. – Jesteś tu? Pilocie?!

Wtedy nazwała mnie tak po raz pierwszy. Nie zwróciłem na to uwagi. Moją uwagę zaprzętnęła myśl, że zachowuje się całkowicie nieodpowiedzialnie. Zjawiała się na spotkanie z nieznanym na samym środku niczego. Do tego musiała zostawić samochód spory kawałek dalej. Nie słyszałem odgłosu silnika ani nie widziałem świateł.

Była odważna i lubiła ryzyko. Ta myśl nagle mnie nakręciła.

– Halo?! Chyba mnie nie wystawiłeś?

Nie odpowiedziałem. Cicho przeczłogałem się do miejsca, gdzie trawa nie była wykoszona. Miała tam dobrych kilkadziesiąt centymetrów wysokości i mieszała się ze zbożem oraz chwastami. Kątem oka przez cały czas obserwowałem, jak Konstancja zbliża się w moją stronę. Poruszyłem się po łuku, aby mogła mnie minąć.

– Do cholery...

Słyszałem, jak głośno klnie. Zatrzymała się kilka metrów ode mnie, rozejrzała, po czym zapaliła papierosa. Płomień zapalniczki na chwilę rozświetlił jej twarz. W jego blasku miała jeszcze wyrazistsze, bardziej interesujące rysy. Duże wargi, niewielki nos, wystające kości policzkowe. Większość facetów być może nie uznałaby jej za piękną, ale na pewno za seksowną.

Wstrzymałem oddech i niemal na czworaka przeszedłem jeszcze kilka metrów. Delikatny wiatr szumiał w koronach nieodległych topól, zagłuszając moje ruchy. Znalazłem się dokładnie za Konstancją. W tym samym momencie jakby wyczuła moją obecność. Gwałtownie się odwróciła. Nim zdążyła się zorientować, co się stało, wyskoczyłem z trawy.

Wrzasnęła przestraszona.

Widząc mój cień, machnęła mi tuż przed twarzą papierosem. Niewiele zabrakło, a wymierzyłyby mi solidny policzek. Zatrzymałem się i w ostatniej chwili uniknąłem ciosu.

– Jezus Maria! – roześmiałem się. – Wydawało mi się, że lubisz być zaskakiwana.

Konstancja głośno wypuściła powietrze.

– Wiedziałaś, że coś takiego zrobisz. *No fuckin' shit*. Po prostu mogłam obstawiać w ciemno.

– Kobięcy instynkt?

– Raczej męska przewidywalność. Głupota. Sztampa.

Ta szybka, pochopna ocena sprawiła mi przykrość. W głosie Konstancji nie wyczułem sarkazmu ani złości, ale randki nie mogłem rozpocząć od lepszej wymiany zdań.

– Przepraszam... – wycedziłem.

- Nie przeprasza. Takim stworzyła cię natura.

- Cieszę się, że przyszedłaś.

- Powiedziała, że obiecuje. Mnie natura stworzyła taką, że dotrzymuję słowa.

W każdym razie powinnam przeprosić za spóźnienie... - Konstancja zaskoczyła mnie, stając o krok przede mną. Wypuściła dym prosto w moją twarz. Dłoń, w której trzymała papierosa, położyła na mojej piersi. Drugą dotknęła przez jeansy krocza. Zrobiło mi się gorąco, ale się nie poruszyłem. - Dlatego przepraszam - ciągnęła niskim tonem. - Mamy mnóstwo czasu do nadrobienia przez te cholerne drogi. Dwa razy zjechałam nie tu, gdzie trzeba.

Zaciągnęła się i rzuciła papierosa w trawę. Żar rozwiał się w powietrzu. Iskierki zatańczyły ostatni taniec, po czym na zawsze zgasły.

- Jestem ci w stanie wybaczyć - wyszeptalem. - Traktuję to jako rewanż za nastraszenie nurkowaniem.

- Tak się nazywa to, co zrobiłeś?

Przytaknąłem. W tym czasie Konstancja rozpięła klamerkę mojego paska. Stałem kompletnie zdezorientowany. Wyglądała na ryzykantkę, ale nie spodziewałem się, że sprawy przybiorą tak szybki obrót.

Pieprzyć to, pomyślałem. Rozluźniłem się i położyłem dłonie na jej biodrach. Zakołysała nimi w rytmie nuconej pod nosem piosenki.

Don't you cry Gunsów? Nim rozpoznałem melodię, Konstancja zamilkła.

- Chciałeś nas zabić? - zapytała po chwili, zniżając głos.

- Chciałem trafić z tobą do raju - odparłem automatycznie.

- To takie tandetne...

W momencie gdy Konstancja rozpinała mi rozporek, dobiegł mnie z tyłu stłumiony szelest. Nim zdążyłem się odwrócić, oberwałem czymś w plecy. Odebrało mi dech. Bezwładnie osunąłem się na kolana. Kopniak w plecy powalił mnie na ziemię.



Stew

Przez kolejne dni od poznania Michelego di Sant'Angelo starałam się o nim nie myśleć. Mimo to przez cały czas nurtowały mnie te same pytania. Czego ode mnie chciał? Czy jego obietnica ponownego spotkania była groźbą? Czy powinnam uważać?

Na pierwsze nie znalazłam żadnej odpowiedzi. Domyślałam się, że być może oczekiwał, że zwyczajnie mu ulegnę, mówiąc językiem Konstancji – bzykniemy się, a potem nie będzie już tematu. Sprawa zostanie załatwiona. Na drugie i trzecie pytanie odpowiedź powinna być wspólna. Z jednej strony, gdyby chciał mi coś zrobić, miał już do tego doskonałą okazję. Z drugiej, zastanawiałam się, czy Markiz nie należy do tego typu mężczyzn, których najbardziej kręcą podchody. Zaciskanie pętli i usidlanie. Tych, dla których sam frontalny atak stanowi jedynie konieczne, ale niezbyt interesujące zwieńczenie zabawy.

Konstancja i Wera obsługiwały w tamtym czasie inne loty. Co do zasady zarząd naszych linii stawiał na zgranie personelu i te same załogi pracowały razem miesiącami, lecz ze względu na pewne operacje konieczne były przetasowania. We wszystko wplątał się jakiś cholerny czarter rządowy, awaria jednego airbusa, podstawienie mniejszego i koniec końców zostałam odseparowana. Pocieszałam się, że to tylko stan przejściowy.

Nowe, całkowicie międzynarodowe towarzystwo i natłok pracy sprawiły, że dręczące mnie pytania stały się nieistotne. Kilka godzin skupienia, by zrozumieć angielski tajskiej przełożonej, zastępowało najlepszy trening. Charakter trzpiotki z Irlandii zmuszał do powstrzymywania przed daniem jej w twarz. Pasażerowie na azjatyckich trasach jak zawsze dawali popalić. Wraciałam do hotelu, padałam na łóżko i zasypiałam. Dzień w dzień to samo. I znów. I jeszcze raz.

Ale Markiz nie pozwalał o sobie zapomnieć. Niemal za każdym razem powracał w moich snach. Uprowadzał mnie, więził, usiłował zgwałcić. Zawsze udawało mi się uciec albo zawsze mi na to pozwalał. Mimo to budziłam się cała złana potem i zestresowana. Nie wiem, dlaczego właśnie taki jego obraz pozostał mi w podświadomości. Obraz przebiegłego uwodziciela, który uwielbia psychologiczne gierki.

Wreszcie po kilku dniach sny się skończyły. Ustąpiły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby ich nigdy nie było. Mogłabym się zastanawiać, czy to, co się wydarzyło, nie było tylko przywidzeniem. Pierwszym z serii realistycznych snów.

Fantazją.

W któryś piątek okazało się, że razem z Werą i Konstancją w tym samym czasie będziemy na rzymskim Fiumicino. Umówiliśmy się w jednej z kawiarni. Miałyśmy sporo czasu, więc zamówiliśmy po wielkim frappé, porcji lodów oraz słodkim rogaliku z czekoladą. Wera spałaszowała wszystko w niecały kwadrans. Cmoknęła mnie w policzek, ucisnęła Konstancję i popędziła zwiedzać. Twierdziła, że w Wiecznym Mieście ma ogromne zaległości. A my miałyśmy spotkać się w końcu niebawem. Na dłużej.

– Całkowicie jej odpaliło – odezwała się Konstancja, gdy automatyczne drzwi zasunęły się za płaskim tyłkiem Wery. – Ciągłe tylko zwiedzanie, zwiedzanie i zwiedzanie. W Barcelonie zdobyłam bilety do zajebistej klubowni, ale nie, wyrolowała mnie, bo ważniejsze są jakieś kościoły w kształcie psiej sraki. I tak w kółko. Szwenda się po zadupiacz, aż w końcu ktoś da jej w łeb i wtedy sama się... – Konstancja urwała. Zmrużyła oczy i utkwiła we mnie pilne spojrzenie. – No co się śmiejesz? Przecież to prawda.

Wzruszyłam ramionami.

– Jakby samotne łożenie po klubach było takie bezpieczne – mruknęłam.

– Serio?

– Co, serio?

Konstancja głośno wypuściła powietrze. Pokręciła głową i z niedowierzaniem zamrugęła.

– Po pierwsze, nie łączę nigdzie sama, tylko zawsze sobie kogoś znajdę – stwierdziła całkowicie poważnie. – Po drugie, wyłazi z ciebie wiejski pędrak. Muszę cię w końcu przemycić na porządną imprezkę. Zobaczysz, co to jest dobre bajabongo, i od razu się zakochasz.

– Jasne. Na pewno.

– Nie zachowuj się jak Wera i nie rób tej swojej miny dziewicy orleańskiej. Chciałabym się wspólnie zabawić. To chyba nic złego, no nie?

– Przecież nic nie mówię.

Upiłam kawę i nabrałam na łyżeczkę rozpuszczających się lodów malinowych. Włosi zebrali się przed ekranem telewizora, na którym transmitowano mecz. Pewnie lokalną pięćdziesiątą ligę. Jeden z nich błagalnym gestem zwracał się do szczupłej kelnerki w firmowym mundurku. Jestem pewna, że chciał, by podgłośniła i tak dość głośno nastawioną relację.

Odkąd spotkałyśmy się w kawiarni, przez cały czas byłam zajęta kalkulacją. Czy powinnam poruszyć TEN temat. W końcu doszłam do wniosku, że przecież niczego nie stracę.

– Słuchaj. – Upiłam kolejny łyk kawy i spojrzałam na Konstancję. – Wiem, że jesteś specjalistką w branżowych plotkach, więc może mogłabyś mi pomóc.

– Pomóc? – Konstancja wyraźnie się ożywiła. Odłożyła łyżeczkę i pochyliła się nad stolikiem. – No, gadaj, pędraku!

– Chodzi o Markiza.

- Michelego di Coştam Coştam?

Skinęłam głową.

- Co z nim? Zamącił ci w głowie, co? Widziałam, jak się do siebie śliniliście, wtedy w samolocie. Ja to mam, kurwa, wycucie!

- Powiedz mi, co o nim wiesz. Bo chyba wiesz całkiem sporo.

Konstancja się uśmiechnęła.



Pilot

- Ty pierdolony zwyrodnialcu! Wiesz, jak mnie nastraszyłeś?

Konstancja stała nade mną i paliła kolejnego papierosa. Raz po raz głośno wypuszczała dym. W półmroku ledwie rozpoznawałem jej kształty. Jednak nie miałem problemu, by rozpoznać sylwetkę mężczyzny, z którym poprzedniego dnia pojawiła się na lotnisku.

Swojego brata?

A może to wszystko ukartowała?

Obróciłem się na bok i starałem zaczerpnąć tchu. Wbiłem paznokcie w ziemię, jakby mogło mi to w czymkolwiek pomóc. Rzeziłem, ale brakowało mi powietrza.

- Chciałeś się ze mną tu zabawić, co? - Konstancja stanęła tuż przy mnie. - Aż dziwne, że przyszedłeś bez tego rudego obwiesia.

- Jeszcze?

Dziwne, że natychmiast zrozumiałem, do czego odnosi się to krótkie pytanie. Z trudem przełknąłem ślinę. Udało mi się nabrać do płuc nieco powietrza. Przebrałem nogami, starając się unieść na kolana.

- Należy mu się.

Zimny ton Konstancji brzmiał jak przyzwolenie na wykonanie egzekucji. Napiąłem mięśnie, przygotowując się na kolejny cios. Wstrzymałem oddech i zamknąłem oczy.

Wyraźnie słyszałem kroki tuż obok swojej głowy. Starałem się ją nakryć rękoma. Jednocześnie zdołałem się pozbierać po pierwszym szoku. Czułem, że mogę już normalnie oddychać.

Odkasznąłem.

W chwili, gdy mężczyzna stanął tuż obok, gwałtownie się poderwałem. Jak byk zaszarżowałem, celując głową w jego podbrzusze. Staranowałem go i chwyciłem za nogi. Szamocząc się, upadliśmy na ziemię.

- Dorwij go, wpieprz mu! Dalej!

Podświadomie rejestrowałem krzyki Konstancji. Zachowywała się, jakby dopingowała walkę psów. Śmiała się i wrzeszczała na przemian. Obchodziła nas,

gdy poniewieraliśmy się po skoszonej trawie.

Dzięki zaskoczeniu udało mi się zyskać pewną przewagę. To ja byłem na górze i mimo że trwaliśmy w klinczu, zdołałem wbić kolano w pierś mężczyzny pode mną. Trzymałem go za lewy nadgarstek, drugą dłonią na ślepo tłukąc go w twarz. Większość ciosów udawało mu się sparować, a ja sam nie chciałem uderzać z całą siłą.

– No, jazda! Pilocie! Pokaż, co potrafisz! Sukinsyn!

Te słowa całkowicie mnie zdekoncentrowały. Konstancja zachowywała się, jakby teraz to mi kibicowała. Stała tuż za moimi plecami i miotła kolejne przekleństwa. Klaskała. Śmiała się.

Rozproszyłem się, chcąc choć kątem oka na nią zerknąć. Gdy obróciłem twarz, leżący pode mną mężczyzna zdołał się wyrwać i przywalił mi w podbródek. Brzęknęły mi zęby. W ustach poczułem smak krwi.

Spróbowałem się pozbierać, ale w tym momencie otrzymałem kolejny cios. Prawy prosty odrzucił moją głowę do tyłu. Mimo buzującej adrenaliny poczułem, że mam rozcięte wargi.

Przestałem myśleć o Konstancji. Jeżeli nie chciałem zostać skatowany, musiałem zebrać wszystkie siły. Facet, z którym walczyłem, był nieco wyższy niż ja, ale nie wydawał się silny. Starał się opierać na własnym wzroście, a nie na sprawności mięśni.

Udało mi się przeturłać na bok i podnieść. Otumaniony, z krwią ściekającą z brwi na oko, działałem instynktownie. Słyszając ruch tuż obok, kopnąłem niemal na oślep. Trafiłem.

Słumione jęknięcie uświadomiło mi, że trafiłem całkiem celnie. Kopnąłem jeszcze raz, teraz pewny, że uderzam w unerwiony bok uda. Nogi mężczyzny ugięły się i słyszałem, że pada tuż przede mną. Wtedy bez zastanowienia natarłem na niego kolanem. Uderzyłem w kość jarzmową i odruchowo chwyciłem go za głowę. W amoku chciałem uderzyć raz jeszcze. A potem znów. Raz za razem.

Chciałem, ale byłem zbyt porządny facetem, żeby to zrobić.

Drgnąłem, czując dłoń, która niespodziewanie ścisnęła moje ramię. Zamarłem w pół ruchu.

– Brawo, Pilocie. – W wyszeptanych słowach czułem niemal ekscytację. – Ja pierdolę, niezły jesteś. Hej, Daniel, żyjesz?

– Żyję, żyję...

– Dałeś dupy po prostu koncertowo.

Leżący przede mną mężczyzna głośno sapnął. Podniósł się i splunął. Skołowany, stałem bez ruchu, wciąż zaciskając pięści. Poczułem, że Konstancja gładzi moją prawą dłoń.

– Chodź – powiedziała, muskając mi językiem ucho. – Odwieziemy mojego brata do domu i pomyślimy, co dalej. Nie myślałeś chyba, że jestem laską, która będzie

się śliniła, leżąc na pełnej robaków łące i gapiąc się w niebo? No, Pilocie. Czuję, że razem możemy rozpieprzyć ten świat.



Stew

– To ty nic o nim nie wiesz? Przecież to pieprzona legenda.

– Słyszałam tylko jakieś plotki...

– Jezus, ty jesteś totalnym nerdem! Gdzieś ty się uchowała? Na tej twojej wiosce w ogóle były net i telewizja?

Konstancja wydeła usta i głośno wypuściła powietrze. Ostentacyjnie odsunęła puchar z lodami.

– Nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę. – Ekstacycznie odrzuciła do tyłu włosy. – Jeżeli kiedyś będę miała dość ludzkości, zabierz mnie na to zadupie. Okej? Posiedzimy przy świeczkach, popatrzymy w gwiazdy. No i spacer na bosaka do wygodki to musi być...

Westchnęłam.

– Pytam serio. Wszyscy gadają, a potem okazuje się, że to zwykłe bajki.

– Bo jego życie to JEST pierdolona bajka.

– A to brzmi jak kolejna kretyńska plotka. Gorzej. Jak tekst z miesięcznika dla nastolatek.

– O nie, nie... To żadna plotka, moja droga. Believe me, wiem, co mówię.

Zmarszczyłam czoło i uważnie przyjrzałam się Konstancji. Jej oczy nagle się rozpromieniły, a temat wyraźnie ją ożywił. Całkowicie zapomniała o lodach i kawie. Zamilkła z uśmiechem, wpatrując się w nieokreślony punkt nad moim ramieniem. W zamyśleniu pokiwała głową.

Nie, nie, nie. To niemożliwe. Przypatrywałam się jej i wahałam, czy powinnam o to pytać. Właściwie czemu nie? Dla mojej przyjaciółki nie było tematów tabu. A już na pewno nie należał do nich seks.

– Spałeś z nim?

Konstancja nawlokła na palec pukiel włosów. Głośno sapnęła.

– Pędraku, ile ci razy mam powtarzać, że spać to ja mogę z ojcem, jak mam dół i chcę się przytulić. Pytasz się, czy się z nim pieprzyłam? Czy wiem o nim to, co wiem, bo dałam mu dupy? Bo zwierzył mi się, gdy robiłam mu loda? – Konstancja przewróciła oczami. – Robisz postępy, kiedyś, gdy tak mówiłam, byłaś czerwona jak burak.

– Na szczęście Włosi nie rozumieją, o czym rozmawiamy. Ale tak. Mniej więcej uchwyciłaś sedno moich wątpliwości.

Obok nas przeszedł kelner ubrany w biały garnitur oraz czarną koszulę. Konstancja uśmiechnęła się do niego i puściła mu oko. Zamienili kilka zdań po włosku, a po chwili na naszym stoliku wylądował bukiet świeżych kwiatów.

Znowu kilka zdań po włosku, zalotne spojrzenia i przygryzanie włosów. Zaczęłam się niecierpliwieć. Kopnęłam Konstancję w piszczel tak, że się skrzywiła. Mimo to po chwili odprawiła kelnera.

– Słodziak – szepnęła, patrząc, jak odchodzi. Wreszcie znowu przeniosła wzrok na mnie. – Rozczaruję cię – stwierdziła, strzelając palcami. – Nie dałam Michelemu dupy, nie robiłam mu loda ani z nim nie spałam.

– W takim razie...

– Ale mam informacje z pierwszej ręki. Poza tym to człowiek, o którym w pewnych kręgach... – tu Konstancja nakreśliła palcami w powietrzu znak cudzoślówu – ciągle się mówi.

W pewnych kręgach. No, tak. Ja do nich nigdy nie należałam. Zastanawiające, że Konstancja się ze mną zaprzyjaźniła. Nie miałam czasu analizować, jakie to mogły być kręgi, bo mówiła dalej.

– Rodzina Markiza to rzeczywiście jakieś dawne, włoskie pieski salonowe. Teraz zajmują się robieniem biznesów z arabskimi szejkami. Podobno są kurewsko bogaci, a ani centa podatków nie płacą w Europie. Typowi makaroniarze. Dobra, gadam z dupy strony. – Konstancja piasnęła się dłonią w czoło. – Sednem jest, że Markiz to erotoman. Nie jakiś tam seksualny zwyrol, ale ponoć, jeśli ktoś wpadnie mu w oko, to nie odpuszcza. Dlatego, mimo że ma prywatną flotyllę, lata, cisnąc się w klasie ekonomicznej airbusa. Już to dla mnie przesądza, że ma nie halo pod kopułą. Dlatego zawsze wolałam trzymać się od niego z daleka.

– Jakbyś nie lubiła świrniętych erotomanów.

– Nie w tym rzecz. Gdy Michele kimś się zainteresuje, nie bawi się w jednorazowe rypanko. Chce jeszcze i jeszcze. Jakby szukał związku. Trudno się wyplątać, a na koniec... – Konstancja znów popatrzyła za kelnerem, ale tym razem nie zagadała. Zbyt pochłonęła ją opowieść o Markizie. – Nie wiem, to naprawdę dziwne. Mówią, że parę dziewczyn, z którymi się spotykał, zaginęło.

– Słucham?! – Zareagowałam na tyle głośno, że kilka osób siedzących w pobliżu się odwróciło.

– Akurat to mogą być tylko plotki. Swoją drogą, wtedy wpadłaś mu w oko, no nie?

– Może...

Konstancja złożyła dłonie jak do modlitwy. Przytknęła palce do brody i uniosła spojrzenie.

– No, to jesteś w dupie – mruknęła. – Markiz ma udziały w naszej linii, więc jest jednym z tych pasażerów, którym się nie odmawia. Niczego. Ale jeżeli tamte plotki okazałyby się prawdziwe... Jesteś w dupie – powtórzyła. – Moje kondolencje. Choć dałabym wszystko, żeby być na twoim miejscu.



Pilot

- To był test, rozumiesz? Nie jestem tak głupia, żeby spotkać się z kompletnie nieznanym facetem na totalnym zadupiu. Jesteś samcem. Nawet jeżeli wszystko z tobą w porządku, jesteś nastawiony na to, żeby mnie zaliczyć.

- Daruj sobie te filozofie.

- Nie byłeś tak opryskliwy, gdy chciałeś mnie zabić.

- Powtarzam ci, że...

Urwałem w pół zdania. Dalsze droczenie się nie miało sensu. Wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie pół godziny, było totalnym absurdem. Wsiadłem do auta i jechałem za prowadzonym przez Konstancję volkswagenem beetlem. Obok niej siedział jej brat, którego odcharkiwanie co chwilę słyszałem w głośniku.

Oba nasze auta miały systemy głośnomówiące, przez które rozmawialiśmy. Nie wiedziałem już, czy jedynie się droczymy, kontynuujemy niezrozumiałą kłótnię, czy prowadzimy jakiś popieprzony flirt. Nie wiedziałem, gdzie jedziemy. Teraz ja zachowywałem się całkowicie nierozsądnie. Dawałem się zwieść. Choć w każdej chwili mogłem skręcić i stracić ich z pola widzenia. Zapomnieć.

A jednak Konstancja mnie urzekła. W tym całym absurdzie było coś, co miało aromat nęcącego szaleństwa. Kuszenia.

Pomyślałem, że człowiek marzący o milionach musi czasem, raz na tysiąc lat, zachować się nieracjonalnie. Pozwolić się w coś wplątać.

W świetle mijanych latarni patrzyłem na krew zastygłą na moich kłykciach. W ustach wciąż czułem słodki posmak, a na łuku brwiowym i podbródku piekły mnie świeże rany.

- Nie jesteś na mnie zły? - Z głośników dobiegł stłumiony głos brata Konstancji.

- Wydajesz się fajnym facetem. Namówiła mnie na to wszystko, ale to totalny idiotyzm. Nie znam cię, człowieku.

- Cicho bądź - zaprotestowała Konstancja.

- Wystarczyło umówić się z nim na kawę w centrum.

- Wtedy nie wiedziałabym, czy ma cojones. Wiesz, co to jest? Meksykanie tak mówią na to, czego brakuje mega większości facetów.

- Przekonałabyś się, gdyby spotkanie na kawie poszło po waszej myśli.

- Po co źłopać kawę z kimś, kto może nie mieć jaj? To z dupy strony, rozumiesz?

- Tak robi cały cywilizowany świat...

Przysłuchiwałem się tej wymianie zdań z uśmiechem na twarzy. W tym dziwnym rodzeństwie było coś mi bliskiego. Coś, czego sam nigdy nie miałem, a chciałem mieć.

Do tego Konstancja... Nigdy nie spotkałem nikogo, od kogo chęć życia biłaby z podobną siłą. Wciąż słyszałem jej dopingujący mnie krzyk. Przez cały czas sprawiała wrażenie, jakby to ona zainicjowała nasze spotkanie. Jakby to jej plan układał nasze życie, a nie moja prośba rzucona kilkaset metrów nad ziemią.

- Hej, jesteś tam?

Głos Konstancji wyrwał mnie z zamyślenia. Zerknąłem na zegarek elektroniczny umieszczony w kokpicie mojego auta. Minęła 23. Poddawałem się całkowitemu szaleństwu i cieszyło mnie to. Naprawdę czułem, że żyję. Z tymi wszystkimi siniakami, ranami i poobijanymi kłykciami. Ze świadomością, że nie wiem, co stanie się za kwadrans, godzinę lub jutro. Nie planując kolejnych lotów i nie zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek oderwę stopy od ziemi. Bez pieprzonego harmonogramu.

- Jestem - potwierdziłem i mrugnąłem długimi światłami. - Czujny i gotowy.

- Taka postawa mi się podoba. Nasza mama mówiła, że coś się podoba jak diabli. Jak dla mnie diabli się raczej nie mogą podobać, ale to kwestia gustu. W każdym razie kręci mnie to.

- Dzięki, że mi to mówisz po tym, jak o mało nie straciłem zębów.

- Właśnie to mnie kręci.

Konstancja zachichotała, a jej brat ciężko sapnął. Skupiony na prowadzeniu nie podjąłem tematu. Przed chwilą opuściliśmy obwodnicę i wjechaliśmy do miasta. Zastanawiałem się, w którą stronę będziemy jechać. Sławinek? Węglin? Wieniawa? Konstancja nie wyglądała na przybłędę studentkę, która pokątnie wynajmowała łóżko oraz kawałek podłogi. Miała w sobie luz i pewność siebie charakterystyczne dla ludzi na pewnym poziomie kulturalnym, a przede wszystkim materialnym.

- Czemu milczysz? - zapytała nagle.

Westchnąłem.

- Chyba wolę rozmowę na żywo niż przez telefon. Szczególnie z kimś takim jak ty.

- Mówiłam ci już, że jesteś mistrzem najbardziej gównianych tekstów do podrywu?

- Jeszcze nie.

- W takim razie właśnie oficjalnie ci to mówię. Jesteś pieprzonym mistrzem podrywu z serii „wieś tańczy, wieś śpiewa”.

- Dziękuję.

- Nie wierz jej! - Z głośnika dobiegł głos brata Konstancji. - Ona na ciebie leci, właśnie dzięki tym tekstom. Aż purpurowieje, gdy tak mówisz.

- Przepraszam, ale lepiej byłoby mi flirtować bez udziału osób trzecich.

Konstancja wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Akurat to ci się udało. Brawo! Bez udziału osób trzecich. Teraz mówisz jak prawnik albo inny nadęty bufon.

- Nadęty bufon? - Udałem ton oburzenia. - To mnie obraża!

- Takie jest życie. Jeżeli chcesz spędzić ze mną trochę czasu, przygotuj się na to, że usłyszysz o sobie całą prawdę.

- Prawdę, prawdę i tylko prawdę? Nie wiem, czy jestem na to gotowy.

- Zobaczymy. Zaraz zobaczymy. Uwaga, skręcamy w prawo.

Posłusznie wlokłem się za volkswagenem. Wjechaliśmy w wąską uliczkę osiedlową. Po obu stronach ciągnęły się rzędy zaparkowanych aut. Bloki przypominały ciemne klocki z pojedynczymi otworami pieców hutniczych. Pomarańczowe światło nielicznych latarni rozpraszało mrok.

Konstancja nagle zatrzymała samochód. O mało w niego nie wjechałem. Przyhamowałem dokładnie na progu spowalniającym, a koła mojego wozu zabuksowały.

- Jezu, ostrożnie!

Konstancja nie zwróciła na moje słowa żadnej uwagi. Zobaczyłem, że drzwi po stronie pasażera się otwierają, a po chwili z volkswagena wysunął się jej brat. Machnął w moją stronę. Zasalutował i się uśmiechnął. Następnie, lekko utykając, skierował się w stronę jednej z klatek schodowych.

- Zostaliśmy sami. - Usłyszałem z głośników. - Daniel idzie do swojej nory, a ja mieszkam niedaleko stąd.

- Już się bałem, że wyskoczą z propozycją trójkąta.

Konstancja znów zachichotała. Mrugnęła światłami awaryjnymi, co pewnie stanowiło jakiś jej umówiony znak pożegnania z bratem. Po chwili ruszyła w górę uliczki. Odezwała się, dopiero gdy mineliśmy kolejne skrzyżowanie.

- A teraz, mój drogi Pilocie, powiedz mi, czy jesteś dobrym człowiekiem? Czy raczej masz w sobie zło? Jak myślisz? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?



Stew

Singapur z okien mojego pokoju przypominał Manhattan. No, nie do końca. Był to Manhattan, którego wieżowce ktoś obdarł z jakiegokolwiek uroku krzykliwego art déco i każdy z nich obił szkłem. Szybami, lustrami, wielkimi bilbordami, czymkolwiek tylko sobie wyobrazicie. W liczących setki metrów taflach odbijało się pochmurne niebo. Nie widziałam horyzontu, ale pewnie gdzieś stamtąd, ze wschodu, nadciągały czarne chmury.

Klimatyzator cicho rzeził, a w pokoju miałam przyjemne dwadzieścia cztery stopnie. Zawsze się zastanawiałam, jakim cudem Wera daje radę zwiedzać w azjatyckim klimacie. Ja po przejściu z taksówki do hotelowej recepcji mało się nie rozpuściłam. Wilgotność musiała ocierać się o sto procent. Czułam się, jakbym

przed chwilą wyszła spod ciepłego prysznica. I to zlaną nie wodą, a jakimś lepkiem olejem.

Nienawidzę Azji. Nienawidzę tego, że w recepcji, zamiast z człowiekiem, rozmawiam z przypominającym odkurzacz robotem. Nienawidzę dziwnych kibli i kwaśnego zapachu, którym przesiąknięte jest powietrze. Nienawidzę rzek szerszych od Wisły, a przypominających ścieki.

Do odlotu pozostało mi osiem godzin. Leżałam na łóżku i bezmyślnie patrzyłam się w sufit. Nie miałam ochoty oglądać telewizji, a basen w hotelu zarezerwowanym przez linie był wielkości brodziku. No może nieco większego brodziku, ale chodzi mi o skalę. Nie muszę tłumaczyć, jak wyglądał przy niemal stuprocentowym obłożeniu ponad tysiąca pokoi.

Od kilku dni miałam dół. Nie wiem dlaczego, ale zastanawiałam się, czy jest sens ciągnąć to wszystko. Czy nie podeszłam do życia zbyt optymistycznie.

Po raz pierwszy, odkąd zostałam członkiem personelu pokładowego, zamarzyłam o tym, by wrócić na dłużej do domu. By mieć dom. Może to był efekt przeciągającego się jet lagu, ale byłam bliska też. Nie spałam od ponad dwudziestu godzin, lecz nie czułam się senna. Bolała mnie głowa, lecz nie pomagał żaden środek. Gdzieś tam ktoś na mnie czekał.

Wściekła zakryłam głowę poduszką i zamknęłam oczy. Starłam się uspokoić oddech. Przypomniałam sobie o metodzie relaksacyjnej, którą sprzedała mi jedna ze stewardes.

Staraj się rozluźnić tak bardzo, że nie będziesz czuła języka. W tym momencie zaśniesz.

Nim na dobre wdrożyłam się w to ćwiczenie, gdzieś obok zabrzęczała komórka. Po omacku odszukałam ją na łóżku. Leżała przy moim udzie zawinięta w cienką jak papier pościel.

Znowu wibracja.

Wściekła podniosłam się na lewym łokciu i zerknęłam na wyświetlacz. Odblokowałam go, po czym otworzyłam skrzynkę odbiorczą. Dwie nowe wiadomości pochodziły z tego samego numeru.

Widziałam pierwsze słowa ostatniego esemesa.

Bałaś się...

Bezmyślnie otworzyłam wiadomość. Wyświetliły mi się w kolejności, w jakiej przyszły.

Powiedziałaś, że nie jesteś kobietą, która będzie leżała bez ruchu.

Bałaś się. Całkowicie niepotrzebnie. To JA chcę się bać.

Nie musiałam się zastanawiać, od kogo pochodzą oba esemesy.

Markiz.

Przypomniała mi się jego męska, a zarazem chłopięca twarz. Mocne rysy i utkwione we mnie przenikliwe, lecz tajemnicze spojrzenie czarnych jak węgiel oczu. Orli nos. Pełne usta. Maniera mówienia niskim półszepcetem. Nieśmiały uśmiech.

Z odrętwienia wyrwała mnie kolejna wibracja. Stuknęłam palcem w ekran telefonu i odczytałam następną wiadomość.

Obiecałem, że jeszcze się zobaczymy.

Odrzuciłam poduszkę i usiadłam na łóżku. Zerknęłam za okno, na dziesiątki drapaczy chmur. Chciałam oderwać myśli tak, jak odrywa się je, patrząc w sufit, by przerwać serię nocnych koszmarów. Policzyłam do trzech.

Oczywiście nie stał się cud i nie obudziłam się w łóżku we własnym mieszkaniu. Nie zmieniło się absolutnie nic. Czerwona dioda na moim telefonie regularnie mrugała. Otarłam dłoń o kolano, po czym uruchomiłam pole odpowiedzi na esemes. Litera po literze wstukiwiałam wiadomość:

Proszę do mnie nie pi

W tym momencie przypominałam sobie słowa Konstancji.

„Markiz ma udziały w naszej linii, więc jest jednym z tych pasażerów, którym się nie odmawia. Niczego”. Zawiesiłam palec nad telefonem i się zastanowiłam. Lepiej byłoby ująć to nieco łagodniej. Są faceci, do których zwykła prośba nie trafia. Nie należy rozjuszać ich odmową. Może to sprzeczne z duchem czasów, ale dla nich „nie” nie zawsze znaczy „nie”. To z tego powodu, że przez setki lat kobiety nie mogły wprost powiedzieć „tak”. Mówiły więc „nie”, ale czekały na ich reakcję. To trochę skomplikowane.

Pieprzyć te myśli. Pieprzyć ideologię. Pieprzyć farmazony, których nasłuchiwałam się od Konstancji. Wytłumaczenia usprawiedliwiające wściek dupy jednej i drugiej strony.

Wykasowałam rozpoczęty esemes. Chciałam go sformułować całkiem inaczej, gdy telefon zabrzączał po raz kolejny.

Wejdiesz ze mną w tę grę?

Fuck. Głęboko zaczerpnęłam powietrza. Okej. Spokojnie. Powinnam udać zaskoczoną, odpisać i grzecznie podziękować. Nie dawać mu kosza od razu, ale delikatnie. Chciałam sobie wmówić, że to umiem. Ale czy na pewno tego chciałam?

Tym razem moja podświadomość prowadziła palce po ekranie. Starłam się ich nie kontrolować. Niech się dzieje, co chce. Pisząc, uśmiechałam się sama do siebie. Lęk nagle zniknął. W końcu miałam swój plan.

Chyba nie rozumiem, co to za gra.

Uznałam, że będę dowcipna i po chwili dodałam:

Poza tym dzielące nas parę tysięcy kilometrów może być problematyczne.

Wyślij. Wyślij. Wyślij.

Nie czekając na wątpliwości, wcisnęłam przycisk wysyłania i rzuciłam komórkę na łóżko.

– Szlag! – krzyknęłam w stronę lasu drapaczy chmur. – Ty idiotko!

Nim zdążyłam obrzucić się kolejnymi inwektywami, telefon znów zawibrował. Chwyciłam go i poderwałam się z łóżka. Stałam na miękkim dywaniku. Czułam, że stopy zapadają mi się w przyjemnym materiale. Poruszyłam palcami, po czym, wstrzymując oddech, rozjaśniłam ekran.

A gdybym zjawił się pod Twoimi drzwiami?

Przygryzłam wargę. Obróciłam telefon w dłoni i zerknęłam za okno. W szyby zaczął bębnić deszcz. No way. Abu Zabi, Dubaj, tam możesz uprawiać swoje poletko, Markizie. Ale w Singapurze nie zawracaj mi głowy.

Po raz kolejny dałam się ponieść chwili. Żadnej cenzury, żadnego powstrzymywania się przed wysłaniem wiadomości. Dlaczego miałabym nie być taka jak Konstancja? Dlaczego sama zawsze robiłam sobie pod górkę? Miałam być potulną, zahukaną myszką z pipidówki?

Wyślij.

Przypuszczam, że prywatne odrzutowce są zbyt wolne, by za mną nadążyć.

Tym razem nie pozwoliłam komórce się wygasić. Trzymałam ją w dłoni i czekałam na odpowiedź. Ta oczywiście nadeszła niemal natychmiast. Błyskawicznie przebiegłam wzrokiem kolejne litery.

Lubisz być zaskakiwana?

Ułamek sekundy po tym, jak przeczytałam to pytanie po raz drugi, rozległo się dudnienie do drzwi mojego pokoju. Drgnęłam przestraszona, a telefon wymysknął mi się z dłoni. Upadł na miękki dywanik.

Bezwiednie chwyciłam zawieszony na szyi szczęśliwy amulet.
Dudnienie rozległo się ponownie.



Jesteś przystojny, silny i męski. Jesteś mężczyzną, jakiego potrzebuje każda kobieta. Masz w sobie coś, co przyciąga mnie jak magnes. Nie potrafię patrzeć na Twoje zdjęcie bez tego dojmującego uczucia, które przebiega moją pierś, spływa po brzuchu, aż zanurza się we mnie, jakbyś to Ty we mnie wszedł. Wyobrażam sobie to i wciąż o tym myślę.

Jesteś właściwym facetem, aby rozmawiać o przyszłości, aby płakać lub śmiać się. Jesteś facetem, z którym chciałabym mieć syna. Dlaczego? – zapytasz. Syn pozwoliłby mi patrzeć na to, jaki byłeś, nim cię poznałam. Nim zobaczyłam Cię na tych wszystkich fotografiach. Wtedy należałoby do mnie całe Twoje życie bez wyjątku. Każda jego chwila. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Mielibyśmy syna takiego jak Ty. Nie chciałabym w nim zobaczyć ani krztyny własnego odbicia.

Ty, Ty, Ty!

Chciałabym Cię spotkać i zamienić z Tobą choć kilka słów. Jaki masz rozmiar buta? Jaki jest Twój ulubiony instrument? Jaki kolor kobiecych paznokci lubisz najbardziej? Jaki jest Twój ulubiony drink? O czym najczęściej myślisz tuż przed zaśnięciem? (Dziś pomyśl o mnie!)

Chciałabym wiedzieć to wszystko, aby być dla Ciebie idealną dziewczyną. Robiłabym zakupy, sprzątała, zajmowała się naszym synem wtedy, kiedy Ty miałbyś swoje sprawy na głowie.

Nie jestem zaborcza. Wiem, że mężczyźni mają swoje sprawy. Nie musisz się martwić, że chciałabym Cię usidlić i zamknąć w domu. Życie ze mną to wolność, a nie więzienie. Pieściłabym Cię i sprawiłabym, że sam nie chciałbyś nigdzie wychodzić. A wtedy wypychałabym Cię na siłę, bo wiem, jestem pewna, że musisz pracować, aby uczynić świat lepszym. Będziesz musiał wychodzić, aby zrobić to wszystko, czego jeszcze nie zdążyłeś. Wiem, że to tylko kwestia czasu.

Wyobrażam sobie, że jestem elementem Twojego planu i na samą myśl o tym drętwięję z podniecenia. Wiem też, że stałam się tym elementem w chwili, gdy zacząłeś czytać ten list. Mam rację. Prawda?

Ściskam Cię i całuję.



Mieszkanie Konstancji mieściło się na najwyższym z pięciu pięter niewielkiego bloku. Było przestronnym i nowoczesnie urządzonym apartamentem z kuchnią połączoną z salonem, pokojem gościnnym oraz sypialnią. Z kilkunastometrowego balkonu rozciągał się rozległy widok na okolicę. Ulicą w dole przemieszczały się pojedyncze auta. Sygnalizacja już nie działała i mrugało pomarańczowe światło.

Konstancja podała mi kieliszek z bezbarwną cieczą. Sama trzymała zrobiony przez siebie drink z wódki, soku ananasowego oraz jakiegoś niebieskiego alkoholu.

– Gdybym wiedział, że wylądujemy w twoim mieszkaniu, przyniósłbym wino i kwiaty – mruknąłem, podnosząc kieliszek jak do toastu. – Za spontaniczność.

Konstancja pokręciła głową.

– Kwiaty usychają i trzeba sobie zawracać głowę, żeby je wyrzucić. Wina nie lubię. I pamiętam, co powiedziałeś mi o wódce, ale to kara za obicie mi brata.

Nie wiem, dlaczego pomyślałem o usychających bukietach. O kurzu osiadającym na kolorowych płatkach kwiatów, które stają się całkiem blade i całkiem kruche, a wreszcie rozsypują się w pył. Później ta myśl miała mnie często prześladować jak natrętne prorocтво.

Tamtego wieczoru dość łatwo ją odegnałem. Wypiłem zawartość kieliszka i odstawiłem go na blat metalowego stolika. Skrzywiłem się.

– Wiesz, jakie to popieprzone? Zgadzasz się ze mną spotkać, wreszcie uwodzisz mnie, prawie wsadzasz mi dłoń do gaci, a wtedy dostaję sztchetą po plecach.

– A teraz jesteśmy tu. Oboje.

– Robisz tak z każdym facetem?

Natychmiast po zadaniu tego pytania chciałem ugryźć się w język. Konstancja jednak nie wyglądała na urażoną. Przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim, kołysząc drinkiem. Pochyliła się, po czym założyła nogę na nogę. Na jej twarz padało światło zawieszanej nad drzwiami balkonowymi lampy w kształcie latarni powozowej.

Konstancja uśmiechała się, marszcząc brwi. Pomyślałem, że moje pytanie mogło przywołać jej jakieś wspomnienia i tym bardziej go żałowałem. A może robiła to tylko po to, by się zrewanżować?

Nagle drgnęła i upiła łyk drinka.

– Nie – odezwała się całkowicie poważnym tonem. – Muszę cię zaskoczyć, ale nie wpuściłam tu wielu facetów.

– Okej, okej. – Uniosłem dłonie. – Zmieńmy temat.

– Zadałeś pytanie, masz odpowiedź. Możemy zagłębić się w szczegóły.

– Lepiej nie.

– Krępują cię?

– Po prostu nie chcę tego wiedzieć.

Konstancja pochyliła się i sięgnęła po butelkę wódki. Odkręciła ją, po czym obróciła, dając znać, bym postawił kieliszek.

- Nie lubisz prawdy? - zapytała, gdy skończyła nalewać. Odstawiła butelkę i spojrzała mi prosto w oczy. - Wydawało mi się, że jesteś jednym z tych facetów, którzy chcą znać prawdę.

- Pół godziny temu pytałaś, czy mam w sobie zło. Powiedziałem, że nie wiem. Teraz znów muszę ci tak odpowiedzieć. Sorry za rozczarowanie, ale po prostu nie wiem.

Nagle poczułem rozdrażnienie. Do czego zmierzały te wszystkie pytania? Czułem się jak na wizycie u psychologa, który stara się na mnie przetestować jakieś idiotyczne gierki. Miałem ochotę odstawić kieliszek i wyjść. Zapomnieć o tym całym wieczorze. Uznać go za zwykły wypadek przy pracy.

Konstancja najwyraźniej wyczuła mój nastrój i szybko podniosła się z krzesła. Stanęła tuż przy mnie. Objęła mnie w pasie, a głowę oparła o moje ramię. Jeżeli to też była gierka nastawiona na uwiedzenie, udało się jej. W jednym momencie porzuciłem plan opuszczenia mieszkania. Zamiast tego wychyliłem zawartość kieliszka, chuchnąłem i powiodłem wzrokiem po rozległej panoramie. Konstancja wtuliła się we mnie jeszcze mocniej.

- Przepraszam, czasem pierdolę jak potłuczona - wyszeptła z rozbijającą szczerością. - Po prostu są rzeczy, które wyczuwam. Wiem, jak to brzmi - zapewniła natychmiast, jakby chciała zatrzeć złe wrażenie, które te słowa mogły wywołać. - Ale już wtedy, w szybowcu, zobaczyłam, że nie jesteś jednym z tych banalnych idiotów, którzy codziennie chcą zawlec mnie do łóżka. Mimo tych gównianych tekstów z wiejskiej dyskoteki masz coś w sobie.

Parsknąłem. Dwa auta minęły się na skrzyżowaniu, o mało się nie zderzając. Rozległo się wściekłe trąbienie.

- Zło? - zapytałem. - Mam w sobie zło?

- *Maybe yes, maybe no.*

Tymi słowami nieoczekiwanie mnie zaintrygowała. Może była to kwestia wypitego alkoholu, a może tonu jej głosu. Odstawiłem kieliszek i oparłem się o balustradę. Starłem się spojrzeć jej w twarz.

- To w końcu wiesz, co wyczułaś? Czy maybe yes, czy maybe no? To słaba odpowiedź wróżek.

- Nie powiedziałam, że jestem wróżką.

- Tak to zabrzmiało.

- I naprawdę chcesz słuchać tych głupot? Zaraz mnie weźmiesz za totalnego świra i pożałuję, że w ogóle zaczęłam ten temat.

Wzruszyłem ramionami.

- Mów. Zaliczyliśmy chyba najgorszy możliwy początek, a jednak tu jestem. To pewnie znak, że oboje jesteśmy podobnie ześwirowani.

Konstancja uniosła szklankę do ust. Teraz na mnie nie patrzyła.

- Śmierć - szepnęła. - Masz w sobie śmierć.



Stew

Drzwi do mojego pokoju nie miały wizjerka. Nie wiem, dlaczego w hotelach nigdy nie montuje się judaszy.

Tysiąc myśli kłębiło mi się w głowie, gdy zatrzymałam się, nasłuchując. Słyszałam cichy szum klimatyzatora i trąbienie samochodów na ulicach. Jakaś para głośno klóciła się w pokoju obok. Na szczęście dudnienie do drzwi się nie powtórzyło.

To był tylko zbieg okoliczności. To z pewnością sprzątaczkki lub ktoś z obsługi.

Mimo że powtarzałam to raz za razem, sama w to nie wierzyłam. Sprzątaczkki nie przychodzą o tej porze. Nikt z obsługi nie zjawia się bez zapowiedzi. Zawsze dostaję się wcześniej telefon z recepcji, chyba że...

Telefon działał. Paliła się czerwona diodka ładowania bazy. Wzięłam słuchawkę i ścisnęłam ją w dłoni. Byłam gotowa w każdej chwili wezwać pomoc. Wystarczyło, żebym nacisnęła jedynekę, a uzyskałabym połączenie z recepcją. Nie było żadnego numeru łączącego z ochroną, ale w hotelu z pewnością byli ochroniarze. Byli też boye, elektrycy, członkowie obsługi... Na recepcji musiał być ktoś poza robotem przypominającym odkurzacz.

Popadałam w paranoję.

Nie mam się czego bać. Jeżeli to nie jest zbieg okoliczności, nic nie wskazuje, by Markiz był szaleńcem. Nie wyglądał na mordercę ani porywacza. Tyle że jak wygląda morderca lub porywacz? Czy dołki w policzkach i roztargniony wzrok hamują mroczne instynkty?

Serce waliło mi w piersi, a po plecach ściekał pot. Jednocześnie coś kusiło mnie, by otworzyć drzwi. Coś podsycalo moją ciekawość i ukryte pragnienia.

Położyłam dłoń na klamce. Przytknęłam ucho do drzwi i zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że gdzieś w głębi korytarza słyszę czyjś śmiech. Para za ścianą wciąż się klóciła. Poza tym panowała cisza.

Nagle usłyszałam dziwny szum. Po drugiej stronie drzwi, ale naprawdę bardzo blisko. Tuż obok. Szum powtórzył się i zastąpił go rytmiczny stukot.

Winda.

Wypuściłam powietrze i otworzyłam oczy. Przestraszył mnie odgłos rozsuwających się drzwi windy. Ja pieprzę. Nie miałam się czego bać. A może wcale nie bałam się, a starałam bronić przed tym, by wydarzyło się coś niespodziewanego? Zawsze wszystko musiałam mieć zaplanowane. Wyjścia, spotkania, pracę. Starałam się przewidzieć nawet przebieg prowadzonych esemesowo konwersacji. Nie mówiąc o randkach lub flircie.

Nigdy nie wyszło mi to na dobre. Od paru facetów zdążyłam usłyszeć, że jestem niespontaniczna i drętwa. Raczej nie były to pochwały.

Tu również wszystko doskonale zaplanowałam.

Nie miałam się czego bać.

Wmawianie sobie tego szło mi raczej słabo, ale ciekawość brała górę. Po raz kolejny pomyślałam o Markizie. Michele di Sant'Angelo nie wydawał się groźny.

Tajemniczy – tak.

Groźny – nie.

Ale przecież...

Wcześniej dwukrotnie pozwoliłam ponieść się emocjom i bez zastanowienia wysłałam esemesy. Dołączyłam do jego gry. Nie żałowałam tego. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że znaczna część mnie właśnie tego pragnie. Że nie powinnam się zastanawiać, co się stanie.

Pośpiesznie przekreśliłam zamek i nacisnęłam klamkę. Drzwi wymysknęły mi się z dłoni. Uderzyły z hukiem o ścianę. Mimo to nie zwróciłam na to uwagi.

Korytarz był pusty. Na metalowym wózku przede mną stał bukiet egzotycznych kwiatów. Ich pąki miały fioletowo czerwony kolor. Przypominały te robione z bibuły przez dzieci. Czułam ich delikatny, różany zapach.

Jeszcze raz rozejrzałam się po korytarzu, ale nie było na nim miejsca, aby się ukryć. Po obu stronach ciągnęły się drzwi. Jeden skraj był całkowicie przeszkłony, a na drugim znajdowała się klatka schodowa oraz szyby wind. Korytarz zakręcał pod kątem prostym i o ile ktoś nie zniknął w windzie, można się było skryć dopiero za jego załomem. Z pewnością ktoś, kto zostawił wózek, miał na to dość czasu. Odkąd zapukano do mojego pokoju, minęły już co najmniej dwie minuty. Poza tym podobne prezenty można było robić za pośrednictwem hotelowej obsługi.

Cholera.

Niepotrzebnie zwlekałam.

Jak zwykle niepotrzebnie bałam się zaryzykować, choć było to ryzyko postrzegane chyba tylko w moich kategoriach. W końcu na korytarzu znajdowały się co najmniej cztery kamery. Rejestrowały każdą sekundę i każdą przechodzącą osobę.

Ale Markiz był dość wpływowy, by zostały przypadkiem wyłączone.

Znowu zaczynałam panikować.

Zmrużyłam oczy i wyteżyłam wzrok. Wydawało mi się, że jedna z wind zjeżdża właśnie na drugie piętro, ale nie byłam pewna. To nie miało znaczenia.

Podeszłam do wózka i sięgnęłam po bukiet. Wyjęłam go z flakonu, po czym głęboko wciągnęłam powietrze. Różany zapach się nasilił.

Dopiero wtedy zobaczyłam niewielką kopertę z czerpanego papieru. Miała zalakowane zamknięcie i *en face* nie została podpisana. Z powrotem włożyłam bukiet do flakonu. Sięgnęłam po kopertę, po czym obróciłam ją w dłoni.

Twój Markiz

Eleganckie, choć kreślone z wyraźną nonszalancją litery nie pozostawiały wątpliwości. Zresztą nigdy ich nie miałam. Jakbym szóstym, siódmym czy jakimkolwiek innym zmysłem wyczuwała, że Michele znów pojawia się w moim życiu. Jakbym zza tego różanego aromatu czuła duszną, korzenną nutę jego perfum.

Przesunęłam wózek spod drzwi i wzięłam flakon. Cofnęłam się do pokoju. Starannie zamknęłam zamek, po czym odstawiłam bukiet na szafkę nocną. Skupiłam się na kopercie. Powąchałam ją, wyobrażając sobie dłoń Markiza sunącą tuż nad eleganckim papierem w kolorze kości słoniowej. Zdawało mi się, że czuję jego zapach.

Uśmiechnęłam się.

Wcale nie muszę być taką stłamszoną, nędzną pindą – zapewniłam się w myślach. – Nie muszę być pieprzonym pędrakiem. Koniec z wiejską, zahukaną dzikuską. Rozpoczynamy nowe życie.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Zerknęłam na wynurzające się zza wieżowców skłębione, czarne chmury. Pierwsze krople deszczu spływały po wielkiej szybie. Zazwyczaj lubiłam przypatrywać się burzom, ale wtedy w ogóle nie skupiła mojej uwagi.

Rozłamałam lakę i otworzyłam kopertę. Dołączałam do bajki Markiza.

Pierdolonej bajki, jak nazwała ją Konstancja.



Modłę się, żebyśmy wkrótce mogli się spotkać. Jeśli nie w tym, to w innym świecie. To jest mi zupełnie obojętne.

Wcześniej proszę Cię jedynie o jeden list, o jedną wiadomość, w której nakreślisz te kilka słów. Dlaczego milczałeś? Dlaczego nie pozwoliłeś dowiedzieć się im o tym wszystkim?

Powinieneś być dumny. Wzniósł. Zuchwały. Zasłużyłeś na to, by się Ciebie bano. Zasłużyłeś, aby mieć w kronice tego świata rubrykę ze swoją historią. Wielu będzie Ci jej zazdrościło, to pewne. Jeszcze inni zarzucą Ci kłamstwa albo będą chcieli, byś dał dowód na potwierdzenie swoich słów. Wtedy to zrobisz. Pokażesz im, że wszystko, co powiedziałeś, było prawdą. Kolejnego dnia ustąpią Ci miejsca i spuszczą głowy. Tak to wygląda.

Chyba że czegoś się wstydzisz? Nie. Nie rozczarowałeś mnie tak łatwo. Kiedyś, przez krótką chwilę, patrzyłam Ci prosto w oczy i udało mi się to ocenić. Nie rozczarowałeś mnie. Dlatego powiedz mi, kochany, dlaczego milczałeś?

Jak mogłeś to zrobić sobie, światu, historii?



Pilot

- Kojarzysz te opowieści o kotach, które w domach opieki kładą się na łóżkach osób mających wkrótce umrzeć? Dziś, jutro, za parę godzin...

- Zamierzasz mi powiedzieć, że za parę godzin umrę?

- Nie.

- Ale wyczuwasz we mnie śmierć?

- Tak. I wiedziałam, że wezmiesz mnie za świra.

Konstancja głośno fuknęła. Dopijała haustem drink, po czym sięgnęła po wódkę. Odkręciła korek i wrzuciła go do stojącej na stoliku popielniczki.

- Masz, nalej mi. Sama nie będę sobie polewać.

Posłusznie wlałam jej wódkę na dno szklanki. Podniosłem wzrok, a ona skinęła głową, dając znak, żebym lał dalej.

- Stop! - oznajmiła, gdy szklanka była wypełniona w dwóch trzecich. - Wystarczy. Teraz ty.

Wzięła ode mnie butelkę i zapełniła stojący na balustradzie kieliszek. Podała mi go. Poprzednie kolejki sprawiły, że poczułem się rozluźniony. Po opróżnieniu tego kieliszka wypełnił mnie lepszy nastrój. Już nie zamierzałem wychodzić. Słowa Konstancji, jakkolwiek absurdalnie by brzmiały, zainteresowały mnie. Gdzieś w głębi napawały mnie dziwnym niepokojem, a jednak wódka skrzętnie go tłumiła. Na wierzchu wypływała czysta, nierozcieńczona fascynacja.

- Chyba kompletnie nie rozumiem - odezwałem się po chwili. - Możesz mi to wyjaśnić czy mam zgadywać, o co w tym chodzi?

- Naprawdę nie trzańiesz teraz drzwiami?

- A co mi za różnica? - Uśmiechnąłem się. - Skoro już tu jestem, chętnie posłucham o wybrykach natury.

- Proszę bardzo.

Konstancja z uznaniem skinęła głową. Upiła łyk wódki i uzupełniła mi kieliszek. Wróciła do stolika. Obróciła metalowe krzesło, po czym przesunęła je do balustrady. Pomogłem jej przenieść stół i siadłem po drugiej stronie. Nie patrzyliśmy na siebie. Obserwowaliśmy obniżający lot samolot i wsłuchiwałem się w huk jego silników. Kierował się na lotnisko w Świdniku, a sto kilkadziesiąt osób na jego pokładzie musiało przyszykować się na powrót z wakacji do rzeczywistości. Nie wiem, dlaczego zawsze o tym myślałem, patrząc na lądujące samoloty.

Choć byłem wgapiony w niebo, czułem przyjemną obecność osoby, która wzbudza w nas zainteresowanie. Osoby, której towarzystwo wyjątkowo nam

odpowiada. Czasem jest to tylko złudzenie, chwilowa przyjemność, która zupełnie nagle zmienia się w znudzenie, rozdrażnienie lub złość. Czasem natomiast zmienia się w miłość.

Kątem oka zerknąłem na Konstancję. Siedziała pochylona z głową nieco uniesioną ponad szczupłe ramiona. Odchyliła ją i delikatnie rozwarła usta. Widziałem ich regularny zarys. Jej twarz składała się z mroków oraz półcieni, ale dostrzegałem w niej coś niezwykłego. Ostrość i upór, które kreśliły ogólny zarys. Gdybym malował jej portret, właśnie te cechy pragnąłbym oddać szybkimi, mocnymi pociągnięciami pędzla.

– Przed wielu laty byłem na imprezie mikołajkowej w firmie mojego ojca. – Konstancja stuknęła szklanką o mój kieliszek. Napiliśmy się, po czym podjęła tym samym pozbawionym emocji tonem: – Kojarzysz te kretyńskie małpie zabawy dla dzieci pracowników? Kilkanaście bachorów, góra prezentów i największy frajer, który nie potrafił się wykpić od robienia za Świętego Mikołaja.

– Tak. Pamiętam takie bale z przedszkola...

– No właśnie. A teraz pomyśl o tym grubym frajerze.

– O Świętym Mikołaju? – Starąłem się zażartować. – Co masz do niego?

– O facecie, który wciśnięty w czerwony strój z białymi obszyciami, z czapką z pomponem na głowie i przekrzywioną sztuczną brodą sadza sobie na kolanach kolejne dzieci.

– Nom, myślę o nim. I?

Konstancja obróciła się do mnie. Przez jej twarz niespodzianie przebiegł grymas złości. Dostrzegłem go w świetle zawieszanej z tyłu latarenki. Przez chwilę wpatrywała się we mnie bez słowa. Lustrowała mnie wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiała. Wreszcie odwróciła się i z powrotem utkwiała spojrzenie w znikających za dachami budynków światłach samolotu.

– Możesz mi nie przerywać? – zapytała cierpko. – Jeżeli chcesz zaraz wybuchnąć śmiechem, zrób mi tę przyjemność i powiedz, żebym się zamknęła. Nie znoszę tych spojrzeń, kiedy wszyscy mają mnie za idiotkę. Uznałam, że mogę ci o tym powiedzieć, bo...

Urwała w pół zdania, a mnie się zrobiło nieswojo. Założyłem dłonie pod pachami i odwróciłem się do niej.

– Przepraszam. Możesz mówić dalej. Nie zamierzam cię wyśmiewać, a ta historia naprawdę mnie interesuje. Ty... Ty mnie interesujesz.

– I właśnie dlatego słuchasz? To, kurwa, żałosne.

– Nie. Słucham, bo chcę wiedzieć, co było dalej. A przy okazji odrobinę cię poznać.

Konstancja skinęła głową. Jeszcze przez chwilę milczała, wreszcie odrzuciła do tyłu włosy. Wypuściła powietrze, oznajmiając, że właśnie podjęła decyzję.

– Jesteś pierwszą osobą, której zamierzam to powiedzieć – odezwała się i uniosła palec, dając mi znak, bym nie przerywał. – I nie dorabiał sobie do tego

żadnych kontekstów. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

Spojrzała na mnie z ukosa, a ja beztrąsko wzruszyłem ramionami.

– Opowiesz mi to wreszcie! Autentycznie zaraz mnie zeżre ciekawość.

– Zamknij się. Po prostu się już zamknij.



Stew

W kopercie znajdowała się złożona na pół, sztywna karteczka. Miała gustowny, jasny, ale nie biały kolor oraz wytłuczone poziome linie. W rogu umieszczono monogram z literą S oplatającą wielkie M.

Wyrzuciłam kopertę i drżącymi palcami rozłożyłam list. Zaskoczyło mnie, że jest tak krótki. Składało się na niego ledwie kilka zdań nakreślonych zamasztysem pismem.

Nie zamierzam Pani zmuszać do noszenia hidżabu i leżenia pode mną. Jestem może nieco nieokrzesanym, ale jednak Europejczykiem. W hidżabie nie mógłbym cieszyć się pięknem Pani kształtów. To byłoby dla mnie prawdziwą udręką, której nigdy nie zdołam pojąć.

A co do tego drugiego...

Krąży o mnie wiele plotek, lecz proszę się nimi nie przejmować i niczego nie obawiać. To ja chcę się bać. Wręcz o to proszę.

Zrobię wszystko, co mi Pani każe.

Wszystko.

m. MdSA

Kilkukrotnie przeczytałam list, aż poczułam w ustach słodki posmak krwi. Oddechowo, jak zawsze, gdy nad czymś intensywnie myślałam, przygryzałam policzki. Przełknęłam ślinę. Jeszcze raz zerknęłam na tych kilka nakreślonych zdań i nagle coś sobie uświadomiłam. Kolejne elementy połączyły się w logiczną całość.

Przebiegł mnie dreszcz. Skoro zarówno list, jak i podpis na kopercie zostały spisane ręcznie, Markiz musiał być w hotelu. Chyba że zlecił ich napisanie komuś innemu. Patrząc na monogram, lakę i charakterystyczne pismo, tę wersję należało bez wątpienia wykluczyć. W takim razie Michele z wyprzedzeniem wiedział, gdzie leczę. Sama dowiadywałam się tego na odprawie ledwie kilka dni wcześniej, a jednak...

On trzymał w garści całe linie lotnicze. Jako główny udziałowiec musiał mieć decydujący głos nie tylko w sprawach polityki firmy, ale w jego dłoni spoczywał

także los każdego pracownika. Konstancja znów miała rację. Markiz wiedział o wszystkim lub o wszystkim mógł się dowiedzieć.

Tylko jak zdobył numer mojego pokoju? Rezerwacji dokonywała firma zewnętrzna, ale też nie powinnam się łudzić. Właściwie nie zdziwiłoby mnie, gdyby Michele posiadał udziały w każdym z hoteli, w których nocowali członkowie jego załóg pokładowych. Nie miałam wątpliwości, że było go na to stać. A bez wątpienia sprawiał wrażenie człowieka spełniającego każdy swój kaprys.

Sama mogłam być jego kaprysem. Fantazją, którą chciał spełnić, a potem zapomnieć. Mogłam być wybrykiem, z których składała się jego bajka.

To ja chcę się bać. Wręcz o to proszę.

Te dwa zdania napawały mnie niepokojem. Dlaczego Markiz wspominał o strachu? Czego chciał się obawiać? Mnie? To zwykła kpina. Może lubił balansować na granicy skandalu. Nie bał się ujawnienia listów i esemesów, które kierował do swojej pracownicy. Gdybym je ujawniła, mogłabym liczyć na niezłe odszkodowanie. Czy o taki strach mu chodziło? Lubił świadomość, że ktoś może chcieć go zastraszyć? Podniecało go to? A może pobudzała go myśl o śledczych, którzy odkrywają jego związek z kobietą, która niespodziewanie zaginęła?

Krąży o mnie wiele plotek...

To, że jest bajecznie bogaty, to nie plotka. To, że jest bawidamkiem, z pewnością też nie. Widziałam to w jego oczach, głosie i uśmiechu. Jediną plotką, którą mógł mieć na myśli, była ta o zaginionych kobietach. Ewentualnie ta o jego perwersjach seksualnych. Choć obstawiałam, że obie miały tę samą podstawę.

Przełknęłam ślinę i otarłam pot z czoła. Było mi duszno. Jednocześnie czułam przyjemny dreszcz podniecenia. Zachowywałam się jak nastolatka, która nie wie, czy zgodzić się na randkę z chłopakiem, który prosi ją o to na oczach koleżanek.

Absurd.

Czułam się zupełnie inaczej.

Czułam się jak... Pieprzyć to.

Rozejrzałam się po pokoju i zatrzymałam wzrok na okrągłej czaszy czujnika dymu. Mimowolnie założyłam ręce na biuście. Byłam bez stanika i nagle poczułam się naga. Naga, a przede wszystkim obserwowana.

– Nie bądź idiotką – szepnęłam. – Nie bądź tępą pindą.

Gadanie do siebie zazwyczaj podnosiło mnie na duchu, ale nie tym razem. Przed oczami stanął mi obraz, jak na piramidzie z krzesel i walizek sięgam do czujnika dymu. Odkręcam go, a w środku znajduję kamerę.

– Idiotka.

Porzuciłam tę myśl i schyliłam się po kopertę. Dopiero teraz zauważyłam, że z jednej strony papier jest znacznie grubszy. Zawinięto go dwa razy, a...

Pospiesznie rozdarłam róg. Ostrożnie wsunęłam palce w powstały otwór i coś wyczułam. Poszerzyłam dziurę, po czym potrząsnęłam kopertą. Ze środka zaczęły wypadać banknoty o nominale 500 euro.



Pilot

– Miałam wtedy sześć albo siedem lat. Wierzyłam, że Święty Mikołaj naprawdę istnieje.

Konstancja napiła się wódki i głośno wypuściła powietrze. W tym momencie nie piła, żeby się rozluźnić. Piła, bo jak sądziłem, tylko dzięki alkoholowi mogła wylać z siebie tę historię.

Nie miałem pojęcia, dlaczego naszło ją na zwierzenia akurat przy mnie. Zastanawiałem się nawet, czy nie są to wysane z palca bajeczki, którymi starała się uwieść każdego faceta. Myślę, że na większość z nich by nie podziały. Od fantastycznych bzdur dużo ciekawsze zdawały się kształtne piersi skryte pod cienkim materiałem koszulki na ramiączkach. Jednak Konstancja mówiła tonem, który przykuł moją pełną uwagę. A może już wtedy wyczuwałem, że historia, którą opowiada, mogłaby być historią o mnie. Skoro ona miała cudowny szósty zmysł, dlaczego ja nie miałbym go mieć choćby względem samego siebie? Silenie się na zrozumienie pewnych mechanizmów jest żałosne. Wiem, że nie można zrozumieć Boga, niemowląt i śmierci. Banalne? O, nie. Całkiem prawdziwe.

– Byłam jednym z ostatnich dzieciaków w kolejce. Prawie wszyscy już cieszyli się prezentami, biegali, pokazując je rodzicom albo szarpali się z tasiemkami. Nie wiem, jaki idiota wpadł na pomysł opakowania prezentów dla dzieci w tasiemki, których nie dało się przerwać ani rozwiązać. Potrzeba było nożyczek.

– Niektórzy lubią taką zabawę. Wyczekane ponoć lepiej smakuje.

Zerknęła na mnie wyzywająco.

– Coś sugerujesz?

– Stwierdzam fakt. Znam to z autopsji.

Konstancja machnęła ręką. Trąciła szklanką mój kieliszek i się napiła. Utkwiła wzrok w punkcie, gdzie przed chwilą zniknął samolot. A wraz z nim wspomnienie o kilkuset osobach.

– Ja wolę mieć wszystko na tacy. Zawsze taka byłam. Napalona.

To ostatnie słowo niemal przeliterowała. Miałem wrażenie, jakbym rozmawiał ze schizofrenikiem. Jej powściągliwa poza sprzed paru minut zamieniła się w kipiącą, nieznoszącą czekania seksualność. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i wyduła wargi.

– No, co? – zapytała zadziornie.

– Przecież nic nie powiedziałem.

– W tym rzecz.

– Mów dalej.

- Naprawdę chcesz słuchać tej historii czy wolisz się teraz pieprzyć?

Bezpośredniość tego pytania wprawiła mnie w zakłopotanie. Żadna z wcześniejszych dziewczyn, z którymi łądowałem w łóżku na pierwszej randce, nie raczyła mnie wcześniej podobną grą wstępną. Mechanicznie obróciłem się i położyłem dłoń na biodrze Konstancji. Drgnęła, ale zaraz przesunęła się bliżej mnie. Przez chwilę patrzyłem jej prosto w oczy, starając się odgadnąć prawdziwe intencje. Podobała mi się. Znów miała delikatnie rozwarłe usta, jakby szykowała się do mocnego pocałunku.

Byłem podniecony, a jednak moje myśli wciąż wracały do tego, co powiedziała. Do śmierci. Do tego, że miałem być nią nasiąknięty. Podobne słowa to słaby afrodyzjak. Mogłem potraktować wszystko jako żart, lecz mimo całej swojej pozy Konstancja nie wyglądała na dziewczynę, która chce zaraz wybuchnąć śmiechem. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że gdybyśmy uprawiali wtedy seks, byłby to najsmutniejszy seks w moim życiu.

To głupie. Facet nie powinien się zastanawiać, lecz działać. Pochyliłem się i objąłem Konstancję jeszcze mocniej. Moje dłonie powędrowały pod jej koszulę i dotknęły ciała. Miała płaski, umięśniony brzuch. Oddychała szybko i płytko.

Pochyliłem się jeszcze niżej tak, że nasze usta dzieliło ledwie kilka centymetrów. Czuję to przyjemne napięcie, które towarzyszy podobnym chwilom, ale nie mogłem się zdobyć na nic więcej. Moje myśli wciąż uciekały ku tamtym słowom. Libido chciało odegnąć je jako wspomnienie idiotycznej bajeczki, ale podświadomość lub instynkt na to nie pozwalały.

Konstancja wyczuła moje wahanie. Odnotowałem, że uśmiecha się w dziwny, ponury sposób. Poza ustami nie drgnął żaden mięsień jej twarzy. Położyła palec na moich wargach i opuściła głowę na moją pierś.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Niby za co?

Doskonale wiedziałem, co miała na myśli, ale chciałem kontynuować grę niedopowiedzeń. Gdy się odsunęła, zobaczyłem, że na jej twarz powrócił wyraz zadumania. Po chwili, jakby nigdy nic, podjęła przerwana opowieść.



Stew

Obudziłam się tuż po szóstej. Na lotnisku musiałam być za cztery i pół godziny. Byłam skołowana, jakbym zeszłego wieczoru obaliła co najmniej ćwiarteczkę. I to czegoś mocniejszego niż lokalna, serwowana w hotelach wódka. Dzięki Konstancji już zdążyłam poznać jej mulisty, mdły posmak. Dosłownie jakby serwowano ją na wodzie zaczerpniętej wprost z rzeki. A że rzeka przypominała ściek, rozumowanie było proste. Do tego uzasadniało problemy jelitowe, jakich nabawiłam się tamtym razem.

O, nie. Nigdy więcej lokalnej wódki.

Nigdy więcej lodu mrożonego z wody zaczerpniętej w promieniu tysiąca kilometrów w każdą ze stron.

Tym razem przez całą noc na przemian śniłam koszmary i wybudzałam się z nich. Znacie to uczucie, gdy nie potraficie przerwać wciąż kontynuującego się złego snu? Gapiłam się w sufit, zapalałam nawet lampkę, a po chwili znów śniły mi się jakieś okropieństwa. Rano pamiętałam tylko końcową scenę, która nie wydawała mi się już w ogóle straszna. Stałam przed komisją egzaminacyjną i miałam odpowiedzieć na zupełnie normalne pytania. Dlaczego kościec ludzki składa się z cząstek takich samych jak kośćce jeży? Dlaczego tkanka skórna człowieka składa się z mąki? Myślałam, że komisja chce mnie podpuścić, i powiedziałam, że to wierutne bzdury. Tymczasem okazało się coś innego. Stara dama, przewodnicząca, oznajmiła mi, że nie mam racji. Gdyby ludzka skóra nie była z mąki, a kościec nie składał się z cząstek jeży, z kosmosu zniknąłby tajemniczy szum.

Boże, skąd to się wzięło...

Na wspomnienie tego snu mimowolnie się uśmiechnęłam. Wstałam i pośpiesznie spakowałam niewielką walizkę. Kwadrans później byłam gotowa zejść na śniadanie. Odsunęłam szafkę nocną, którą na wszelki wypadek zastawiłam drzwi. Zdałam sobie sprawę, że poczułam rozczarowanie, nie znajdując żadnego listu wsuniętego pod próg. Bałam się, a jednocześnie wyczekiwałam wiadomości od Markiza.

Poza tym wciąż o nim myślałam. To on był powracającym koszmarem na jawie. Wzbudzał mój strach, zaintrygowanie i jednocześnie wiedziałam, że potrafiłby mnie rozbawić. Choć z drugiej strony...

Byłam wściekła, że chciał mnie kupić. Irytowało mnie, że w ogóle mógł pomyśleć o wciśnięciu mi tej forsy. Parę tysięcy euro miało nakłonić mnie do zakochania się w nim? Spędzenia z nim nocy? Dwóch? A może całego tygodnia,

który jako główny udziałowiec zorganizowałby mi w przylotniskowym hotelu jakiegoś romantycznego miasta?

Singapur nie był romantyczny.

Może wybrałby przedział odpoczynkowy jumbo jeta?

Zganiłam się za tę głupią myśl i odruchowo przejrzałam się w wiszącym nad drzwiami szafy lustrze. Singapur był, jaki był, a ja nie powinnam się nad tym rozwodzić. Nie interesowało mnie, gdzie i kiedy Markiz chciałby się ze mną spotkać. Jeżeli na coś liczył, jego nadzieje były płonne.

Musiałam tak sobie powtarzać.

Musiałam sobie wmówić, że wszystko jest w porządku i funkcjonuję jak zawsze. Z jasno wyznaczonymi priorytetami oraz unikając zbędnego komplikowania sobie życia. Wieś zabita dechami pozostaje w człowieku ze swą fałszywą moralnością. Dlaczego fałszywą? Nawet teraz starałam się dać sobie furtkę i usprawiedliwić.

Usprawiedliwić, ale co?

– Dobra, opanuj się – szepnęłam do swojego odbicia. – Te listy, kasa i sama ty to tylko zabawki Markiza.

Zrobiłam krok i stanęłam niemal przed samą taflą lustra. Przycisnęłam do niego środkowy palec. Pokazywałam fucka Markizowi, choć znacznie bardziej pokazywałam go sobie.

– Pieprz się, natręcie. Pieprz się srający pieniędzmi, cherubinkowaty, rozkapryszony młokosie, myślący, że wszystko można kupić, a tak naprawdę będący kupą gówna z ładnym uśmiechem i smutnym spojrzeniem, bo pewnie od dziecka nikt cię czule nie przytulił ani bezinteresownie nie zamienił z tobą słowa, obrzydliwy, bufonowaty, nadęty żigolaku.

Ta tyrada sprawiła, że poczułam się lepiej. Zaśmiałam się na głos i pokręciłam głową. Odblokowałam drzwi, po czym sprężystym krokiem wyszłam na korytarz.

O, nie. Nigdy więcej lokalnej wódki. I nigdy więcej strachu przed Markizem. Może i byłam z wiochy, ale tym bardziej potrafiłam sobie radzić z natrętami. Zadufanymi w sobie sukinsynami, którzy myślą, że świat jest ich zabawką.

Musiałam znowu wziąć życie w swoje ręce.



Pilot

– Nie wiem, jak to określić, ale gdy wreszcie trafiłam na kolana tego pajaca przebierańca poczułam się, jakbym zaraz miała zemdleć, ale to coś zupełnie innego. To kurewskie uczucie, do którego nigdy się nie przyzwyczaję. Powraca co pewien czas.

– Jakbyś miała zemdleć, ale to coś zupełnie innego? Czyli co czułaś?

- Zawroty głowy, posmak krwi w ustach, a przede wszystkim słodki zapach unoszący się wokół. To nie były perfumy. Ten dziad pachniał migdałami albo wiórkami kokosowymi. Trudno mi to przyrównać.

- Tak pachnie śmierć?

- Obiecałeś, że nie będziesz się śmiać. Tylko spróbuj, a zasadę ci kopa w dupę.

- Nie śmieję się. Jestem ciekaw.

Sposób, w jaki Konstancja o tym wszystkim mówiła, nie skłaniał do żartów. Miałem wrażenie, że powinienem się usunąć z tego balkonu, aby ona tą opowieścią mogła podzielić się z Bogiem. Nie chodzi o to, żebym był przesadnie religijny. Po prostu w jej wyznaniu było coś mistycznego. Coś znacznie bardziej żarliwie spirytystycznego od wszystkich modlitw, które słyszałem w życiu.

- Tak. - Skinęła głową. - Zdaje się, że tak właśnie pachnie śmierć.

- Skąd ta pewność?

Konstancja wzruszyła ramionami. Nalała wódkę do mojego kieliszka i podała mi butelkę. Tym razem powiedziała „dość” dopiero, gdy alkohol wypełnił niemal całą jej szklanę.

- Przez cały czas, kiedy siedziałam na kolanach Mikołaja, czułam ten zapach. I przez cały czas było mi słabo. Zapytał się mnie, czy nie podoba mi się prezent, ale nie odpowiedziałam. Jak mógł mi się nie podobać, skoro jeszcze nie zdjęłam pierdolonej tasiemki? Rozumiesz sytuację?

Skinąłem głową.

- Rozpłakałam się, a on zaczął mnie pocieszać.

- Strzelam, że nie szło mu najlepiej.

- Dostałam spazmów. Uspokoiłam się dopiero, gdy zabrano mnie do innej sali. Piękne mikołajki, co? Narobiłam starym siary.

- W przedszkolu moja koleżanka zesrała się, siedząc na kolanach Mikołaja. To chyba gorsze.

Konstancja na ułamek sekundy wygięła usta w uśmiechu. Upiła wódkę, po czym oblizła usta. Z impetem odstawiła szklanę tak, że ta prawie się zbiła. Nie zwróciła na to uwagi. Ja również opróżniłem zawartość swojego kieliszka.

- Opowiedziałam o tym zapachu i moim samopoczuciu mamie, ale oczywiście kompletnie tego nie zrozumiała. Wzięła to za dyrdymały rozkapryszonego przez męża bachora. Ojcu wolałam w ogóle nie wspominać. Pewnie wysłałby mnie do psychiatry. A zaraz potem wydziedziczył.

- Ciekawego masz staruszka.

- Raczej...

Konstancja zamilkła. Zacisnęła usta i ukradkiem otarła łzę. Już wcześniej widziałem, że jej oczy się skrzę. Odwróciła się, po czym złożyła obie ręce na balustradzie. Oparła o nie czoło. Wydawało mi się, że jest zła, że odbiegamy od tematu, a poza tym sam chciałem do niego jak najszybciej wrócić.

- Dalej nie powiedziałaś, dlaczego uważasz, że to był zapach śmierci.

- Powiedziała, że uspokoiłam się dopiero, gdy przeniesiono mnie do drugiej sali.

- Tak, ale...

- Chwila, Pilocie. - Konstancja podniosła głowę i spojrzała na mnie, tym razem nie kryjąc łez. - Po kolei. Zgadnij, co stało się dalej.

- Święty Mikołaj dostał zawału? Zadławił się fragmentem sztucznej brody?

Pokręciła głową. Pozostała całkowicie poważna. Wypiła kolejny łyk wódki, ale tym razem nie uzupełniła mojego kieliszka. Sam nie chciałem jej o to prosić. Zaczynało kręcić mi się w głowie.

- Popęłnił samobójstwo. Powiesił się na pasku od spodni we własnym garażu, jakieś dwa miesiące później.

- Skąd wiedziałas, kto był za niego przebrany?

Konstancja spojrzała na mnie z ukosa.

- Ojciec mojej przyjaciółki. W międzyczasie odwiedziłam ją jeszcze parę razy i wyczułam dokładnie ten sam zapach. Nie czułam go nigdzie i nigdy wcześniej.

- A później?

Nie zważając na konwenanse, uznałem, że to dobra pora, aby polać sobie samemu do pełna. Napełniłem kieliszek, dając Konstancji czas na zebranie myśli. Widziałem, że szuka właściwych słów. I wiedziałem, do czego zmierza jej wywód. Nie miałem tylko pojęcia, czy powinienem natychmiast wyjść z jej mieszkania, zacząć się śmiać, czy zawlec ją do łóżka. Miałem ochotę zrobić to wszystko naraz.

Cholera jasna. Odsunąłem od siebie kieliszek i przeczesalem palcami włosy. Podszedłem do barierki, czując, że alkohol już zrobił swoje. Co prawda śliwa rosnąca nad moim oknem nadal bolała, ale nie zwracałem na to uwagi.

Byłem totalnie skołowany.

A jednocześnie miałem wrażenie, że teraz sam poczułem ten dziwny, słodkawy zapach.

Właśnie od siebie.



Stew

- Cztery tysiące euro? - Konstancja głośno gwizdnęła. - Cztery tysiące euro! Jezu Chryste! To miły, nieopodatkowany prezent, a ty masz z tym problem? Co z ciebie za oszołom!

- Nie jestem dziwką.

- Przecież nie płaci ci tego po całonocnym bzykaniu. Zresztą! Nawet gdyby tak było, to uwierz mi, że to dobra stawka.

- Przestań. Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie mam, kurwa, pojęcia! A ty? – Konstancja odwróciła się do Wery. – A ty rozumiesz coś z jej pierdolenia? No, powiedz jej, że gada jak potłuczona. Jakby jej się coś poprzestawiało we łbie. Nie wiedziałam, że w tym wieku można dostać upośledzenia umysłowego albo...

– Daj jej spokój. – Wera przewróciła oczami. – Ty byś tę kasę wzięła, ja pewnie też, ale ona nie.

Konstancja westchnęła. Upiła łyk kawy i zrobiła kwaśną minę.

– Naprawdę nie mam nic do opóźnionych – odezwała się, ocierając chusteczką piankę z górnej wargi. – Niech sobie żyją i w ogóle. Ale nie sądziłam, że będę się przyjaźniła z retardem. Nie do wiary...

– Nie potrzebuję takich prezentów – ucięłam.

Zaczynałam żałować, że w ogóle poruszyłam ten temat. Powiedziałam Konstancji i Werze o liście, pieniądzach i bukietach egzotycznych kwiatów. To było niepotrzebne. Mogłam się domyślić, jak skończy się pogawędka na ten temat, a jednak musiałam się wygadać. Musiałam podzielić się obawami i wątpliwościami. Oczywiście w oczach Konstancji zostałam strachliwą, wioskową pindą. Wera już myślała o kolejnej trasie zwiedzania. Kawa przed każdą z nas stygła.

To, że się przyjaźniłyśmy, mogło się wydawać dziwne. Trzy indywidualistki, żyjące własnymi problemami i mające własne ścieżki. Czasy, gdy byłyśmy nierozdzielne, zbyt szybko dobiegły końca. Mimo to wiedziałam, że każda z nas oddałaby za pozostałe życie. To mało logiczne, ale byłam o tym przekonana. Traktowałyśmy się jak rodzinę.

– Na razie nic ci nie szkodzi – zawyrokowała Wera. Dopiła kawę i wyskrobała łyżeczką z dna filiżanki resztkę pocukrzzonej piany. Zatrzymała łyżeczkę tuż przed ustami. – Wydadz to i zapomnij. Po prostu. – Oblizła łyżeczkę i wzruszyła ramionami. – Dla niego te euro to napiwek. Potraktuj tę kasę jako bonus za obsługę w samolocie.

– Wykonywałam swoją pracę.

Konstancja bezgłośnie zakłęta. O dziwo, w małej kawiarni na lotnisku w Zanzibarze nie chciała zwracać na siebie uwagi. Może знаła tu kogoś, a może w ten sposób starała się uszanować to, jak ważny i jak intymny to dla mnie był temat.

– Ta kelnerka też tylko wykonuje swoją robotę. – Skinęła w stronę ubranej na biało Azjatk. – A zamierzam jej zostawić napiwek. Poza tym musisz coś zrozumieć, pędraku. – Konstancja nachyliła się nad stolikiem i oparła piersi na rękach. – Jeżeli idę do McDonalda, mam to w dupie i płacę tyle, ile nabije mi kasa. Ale w takich miejscach zostawiam bakszysz. A ty, jak sądzę, nie jesteś jak McDonald's, tylko jak malutka, przytulna kawiarenka. Ciepłutka i zapewne nieco zbyt wilgotna, żeby to porównanie oddawało sedno moich myśli. Jesteś jak...

– Przestań! – Kopnęłam ją pod okrągłym stolikiem. Zawadziłam kostką o metalową nóżkę i naczynia na blacie brzęknęły. – Przez ciebie zaraz wszystko się

pobije.

- To emocje. Tak zachowują się kobiety zakochane.
- Wmów mi jeszcze, że zakochałam się w Markizie.
- Tak tylko gadam.
- Nie wszyscy zachowują się tak jak ty.

Konstancja odsunęła od siebie filiżankę i zachichotała.

- Dawaj dalej! Zaraz poczuję klimat wyzwisk z wiejskiego przedszkola!
- W Warszawie pewnie wyzywaliście się po angielsku?
- Nie. Po migowemu. - Konstancja pokazała mi środkowy palec. - Chcesz być głupia, to wpłać tę kasę na fundusz pomocy chorym na straszną chorobę. Wiesz, jaką?

- Mam to gdzieś.

- Nie. To inna jednostka. Ta nazywa się „wyżej-srasz-niż-dupę-masz”.

Wera kuksnęła ją w ramię.

- Uspokójcie się. Nie ma sensu drażyć tematu...
- Ja niczego nie drażę. - Pstryknęłam w Konstancję papierkiem po cukrze, ale nie trafiłam. - Oficjalnie zamykam dyskusję i zaraz za was zapłacę. Powiem kelnerce, że cały napiwek zawdzięcza rozrzutnej damie przybyłej prosto z Warszawy.

Konstancja popukała się palcem w czoło.

- Możesz być pewna, że nie będzie miała skrupułów, żeby go przyjąć.
- Dzięki. - Wera zerwała się z krzesła i zarzuciła na ramię torbę. - Lecę, bo zaraz mam shuttle busa. Następnym razem ja płacę.

Wzięłam rachunek i dorzuciłam kelnerce zwyczajowe dziesięć procent. Oczywiście nic przy tym nie powiedziałam. Skierowałam się do wyjścia, licząc, że zabiorę się gdzieś z Konstancją. Ona postanowiła jednak jeszcze chwilę zostać w kawiarni. Wymigała się paroma ogólnikami o jakimś spotkaniu. Nie zamierzałam wnikać.

Międzynarodowy Port Lotniczy Abeid Amani Karume to w zasadzie niewielkie lotnisko. Nie można się było na nim ani zgubić ani spędzić konstruktywnie czasu. Poza grupami turystów śpieszących po głównym korytarzu wokół wszystko wydawało się wymarłe. Nie było sklepów ani butików. A ja wciąż lubiłam snuć się między stoiskami na lotniskach. To pozwalało mi oderwać myśli i poczuć się jak te parę razy, gdy czekałam na wylot na wakacje. Dawne czasy.

Miałam już kierować się do wyjścia, gdy zobaczyłam punkt z hot spotem. Obawiałam się, że w hotelu nie będę miała sprawnego Wi-Fi, więc postanowiłam skorzystać z ostatniej okazji na darmowy internet. Usiadłam wprost przy ścianie i wyciągnęłam telefon. O dziwo bez problemu połączyłam się z siecią. Nigdy wcześniej nie byłam na Zanzibarze i miałam co do tego miejsca mnóstwo obaw. Jednocześnie krajobrazy wyspy kusiły mnie, myślałam o piaszczystych plażach, które widziałam, gdy podchodziliśmy do lądowania, o lazurowym morzu, o...

To wszystko musiało poczekać. Punktem pierwszym było wypytanie dziewczyn, co myślą o liście i forsie od Markiza. Niewiele mi pomogły, ale teraz miał wkroczyć punkt drugi.

Sprawdzenie w sieci wszelkich informacji o Michele Filippie di Sant'Angelo Jakimstam. Zwlekałam z tym od paru dni. Bałam się, że cała mistycyzacja sytuacji, do której zresztą nie chciałam się przyznać, pryśnie w ułamku sekundy. Bałam się tego, co znajdę. Znikome wiadomości, którymi podzieliła się ze mną Konstancja, wydawały mi się podejrzenie oględne. Poza tym odniosłam wrażenie, że Konstancja coś ukrywa. Nie zamierzałam tracić czasu na roztrząsanie, co to takiego.

Wpisałam hasło i zawiesiłam palec nad przyciskiem zatwierdzającym polecenie. O, nie. Niech będzie, co ma być. Impulsywnie kliknęłam „okej”. Przymknęłam oczy i wstrzymałam oddech. Policzyłam do trzech. Potem do pięciu. Czekanie przeciągnęłam do ośmiu. Oczy otworzyłam dopiero, gdy ktoś zahaczył nogą o moją stopę. Przesunęłam się i zerknęłam na ekran telefonu.

Łącze było wolne i wciąż obracało się kółko ładowania strony. Wreszcie po paru sekundach międlenia danych wyszukiwarka pokazała wyniki. Okazało się, że informacji o Markizie jest wyjątkowo dużo. Już pierwsze nagłówki przyprawiły mnie o dreszcze. Momentalnie zapomniałam o lazurowym oceanie, gnących się nad nim palmach i białym piasku.



Pilot

Nie wiem, dlaczego wspomnienie mojej pierwszej randki z Konstancją nasunęło mi się akurat wtedy. Zbliżaliśmy się do lotniska Salerno-Costa d'Amalfi, był pogodny ranek, a pod nami skrzyło się morze. Pogoda była niemal bezwietrzna i właściwie mógłbym wypuścić z rąk wolant.

Siedziałem z głową opartą o szybę i wsłuchiwałem się w kolejne komunikaty kontroli lotów. Wreszcie poruszyłem ramionami, rozluźniając mięśnie karku. Przetarłem oczy.

Z każdą sekundą włoskie wybrzeże stawało się coraz bardziej widoczne. W porannym słońcu wydawało się, że grzywy fal mieniają się złotą poświatą. Kilka niewielkich statków powoli przemieszczało się u wybrzeży Capri. Duży wycieczkowiec, niczym rzucona na wodę niezgrabna, kolorowa kłoda, obrał kurs prosto na Neapol.

Przeniosłem wzrok w stronę lądu. Góry rzucały długie cienie, ale na plaży pojawiły się już pierwsze osoby spragnione porannej kąpeli. Pojedyncze auta sunęły wąską serpentyną. Zapowiadał się piękny, pogodny dzień.

Lola obudziła się kilka minut temu. Teraz przeciągnęła się i położyła dłoń na mojej dłoni. Głośno ziewnęła. Przypatrywała mi się przez chwilę, mrużąc oczy. Przygryzła wargę i oderwała dłoń od mojej.

– O czym myślisz? – zapytała, sięgając po kubek z kawą.

W tym miejscu muszę coś wyjaśnić. Z Lolą mieliśmy prosty układ. Żadnych kłamstw, żadnych półprawd. Wiem, że to brzmi naiwnie i że właśnie takie założenie przyjmuje każda zakochana para. Wiem też, że u każdej, nawet najbardziej zakochanej pary w czasie związku definicja prawdy przesuwana się ku półprawdzie, a półprawdy ku kłamstwu. Nie mam na myśli chęci oszukania, zdrad albo innych plugawstw. Chodzi mi o te wszystkie momenty, kiedy chcemy drugą osobę uchronić od przykrości, cierpienia lub stresu. Mówimy półprawdy dla jej dobra. W pierwszych tygodniach albo miesiącach możemy mówić oczywiście pełną prawdę, bo wtedy granice wzajemnej wyrozumiałości są rozciągliwe jak guma. Potem ta guma zawsze parcie i grozi zerwaniem.

Z Lolą nie byłem na tyle długo, by wyrozumiałość zdążyła sparcieć. Jednak nasz układ był wywrócony na drugą stronę już od samego początku. Teraz wcale nie znajdowaliśmy się na etapie przejściowym. Znajdowaliśmy się u naszego kresu, a to również sprzyja szczerości. I, rzecz jasna, pogłębia pokłady wzajemnej wyrozumiałości.

– Przypomniała mi się Konstancja – stwierdziłem beznamiętnie, po czym pośpiesznie starałem się rozmyć temat. Wyrozumiałość polega również na tym. – Ciekawe, co u niej.

– Pewnie bawi się w kolejnym mieście. Imprezuje do białego rana i wstaje na kacu gigancie.

– Akurat to ani trochę by mnie nie zdziwiło. Swoją drogą, też bym się czegoś napił.

– Mhm.

– Prosecco na plaży? Bellini?

Lola nie podjęła tego tematu. Napiła się kawy i starannie zamknęła kubek termiczny. Przysunęła się do szyby, obserwując sunący pod nami wycieczkowiec. Nagle odwróciła się w moją stronę, po czym ponownie położyła dłoń na mojej dłoni. Znowu zerknęła za okno.

– Nigdy jej nie rozumiałam – wyszeptała nerwowo. – Dlaczego została cholerną stewardesą? Czekał na nią biznes ojca, miała dobre wykształcenie, знаła języki... To *pure nonsense. Madness*. Ja pieprzę, kiedy o niej myślę, zaczynam nawet gadać jak ona.

– Jesteś całkowicie inna.

– To znaczy? – Teraz Lola spojrzała na mnie uważnie. – Pytam całkowicie serio. Czym tak naprawdę się różnimy? Potrzebowałeś aż takiej odmiany czy faceci potrafią zakochać się w dowolnym typie kobiety?

– Nie lubię rudych.

– Wiesz, o co mi chodzi. I ja pytałam całkowicie poważnie.

Uśmiechnąłem się i minimalnie skorygowałem lot.

– Na przykład w tym jesteście niemal identyczne – stwierdziłem po chwili. – Wymagacie powagi w tematach, w których nie ma na nią miejsca. Nie wiem, czy wolę blondynki, czy brunetki. Spodobałaś mi się konkretnie ty. Taka, jaka jesteś, bez analizowania konkretnych cech. Bardziej zastanawia mnie, co ty widziałaś we mnie.

– Mogłabym ci odpowiedzieć tak samo.

– Ale?

– Nie ma żadnego ale. To pustosłowie.

Na twarzy Loli dostrzegłem grymas niezadowolenia. A może mi się tylko tak wydawało? Jednak w tonie jej głosu również kryła się irytacja.

– Gniewasz się? – zapytałem.

– Nie, czemu?

– Przecież widzę, że coś cię gryzie.

Lola łożyła dłonie pod pachy i wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię się na ciebie gniewać. Po prostu nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– O to, czym się różnisz od Konstancji? Przecież to oczywiste. Poza tym wydaje mi się, że...

Lola energicznie pokręciła głową. Weszła mi w słowo.

– Nie, nie, nie! Pytałam, dlaczego została stewardesą. Zawsze mnie to zastanawiało, ale teraz, kiedy odważyłam się wreszcie zapytać, ty zmieniasz temat.

– Nie zmieniam.

Zbliżyliśmy się do kontynentu, a wycieczkowiec zniknął daleko za nami. Przygryzając wargi, skorygowałem kurs na północny wschód i zacząłem obniżać lot. Od lotniska dzieliło nas kilkadziesiąt kilometrów. Obserwowałem nasilający się ruch na serpentynach pomiędzy Positano i Amalfi. W okolicę zapewne dotarły już pierwsze wycieczki.

Za godzinę lub dwie dziesiątki motorówek popłyną w stronę Capri, by tam turyści mogli przesiąść się do łodzi i wcisnąć jak sardynki do Lazurowej Groty. Tysiące innych ruszą ku Wezuwiuszowi lub Pompejom. W ten sposób ludzie cieszą się życiem. Albo wmawiają sobie, że się cieszą. Degustują wczorajsze owoce morza, popijają drinki z gnijących pomarańczy, fotografują zastygłe w upale palmy i spienione, chlupoczące o klify morze. Cieszą się chwilą. Nawet jeżeli ta chwila jest tego kompletnie niewarta, robią to, bo każe im to robić wewnętrzny przymus. Konwenans, wzięty urlop, czekające po powrocie spotkanie ze znajomymi, na którym będą pokazywać zdjęcia.

Zdałem sobie sprawę, że Lola wciąż na mnie patrzy. Nie chciałem jej zrobić przykrości i pograć się w ponurym nastroju. Nie teraz.

Nie tutaj.

Zamieniłem kilka zdań z kontrolerem lotów, po czym postanowiłem odpowiedzieć na jej pytanie. Oczywiście całkowicie prawdziwie.



Stew

Śledztwo w sprawie Michelego Filippa di Sant'Angelo (39 l.) zostało umorzone. Nie znaleziono żadnych dowodów, które potwierdziłyby związek Markiza z zaginięciem Anastazji Correi (26 l.) i Marii Jakimovic (23 l.). Obie kobiety ponad wszelką wątpliwość brały udział w zorganizowanym przez magnata finansowego przyjęciu. Kamery monitoringu z jego rezydencji uchwyciły moment ich przyścia. W trakcie zabawy przepaleniu uległ bezpiecznik i od północy (dnia 26.06) obraz przestał być rejestrowany. W krótkim komunikacie prokuratura poinformowała, że tę okoliczność postrzega jako niefortunny zbieg okoliczności, a nie rezultat celowego działania.

Markiz złożył oświadczenie na zorganizowanej przez siebie konferencji prasowej. Patrząc prosto w obiektywy skierowanych na niego kamer, mówił:

„Dołożę wszelkich starań, aby te kobiety zostały odnalezione. W pełni współpracuję ze służbami i pozostaję do ich pełnej dyspozycji o każdej porze. Myślami pozostaję z rodzinami zaginionych. Wyrażam przy tym głęboki, najszczerzy żal z powodu zaistniałej sytuacji. Wszystkie przyjęcia w moich progach mają służyć powszechnemu dobru, beztróskiej zabawie i bezgranicznej radości. Myśl o tym, że te kobiety po raz ostatni widziano właśnie w moim domu, jest szczególnie druzgocząca. Dotyka mnie osobiście każdego dnia. I dlatego zwracam się wprost do was, do dziennikarzy. Wiedźcie, że ja wytrzymam każde wasze szczucie. Żadna wasza potwarz i oskarżenie nie mogą mnie urazić, bo jestem w pełni szczerzy i całkowicie niewinny. Miejcie jednak na względzie moich bliskich. Nie rzucajcie osądów, dla których prokuratura nie znalazła żadnych podstaw. Dziękuję”.

Przypomnijmy, że Markiz już był uwikłany w podobne sprawy. W 2018 roku na policję zgłosiła się Maria W. Kobieta twierdziła, że w trakcie przyjęcia w posiadłości di Sant'Angelo na Ibizie w jednym z pokoi przypadkowo trafiła na skępowaną kobietę. Śledczy nie odnaleźli dowodów na potwierdzenie tych słów. Okazało się też, że składająca zawiadomienie pozostawała pod wpływem narkotyków. Poza tym miała mieć za złe

Markizowi, że z nieustalonych powodów ten chciał ją wyprosić z przyjęcia – co odnotowali inni goście.

W 2015 roku w wyniku nieszczęśliwego wypadku zginęła jedna ze służących rodziny di Sant'Angelo. W trakcie porządków doznała porażenia prądem przez jedno z urządzeń. Jej ciało odnaleziono w podziemnej kotłowni po dwóch dniach poszukiwań. Nieoficjalne źródła sugerowały, że kobiety w ogóle nie powinno tam być.

Był to kolejny z serii wypadków. Wcześniej z rusztowania poddawanego renowacji pałacu di Sant'Angelo pod Wrocławiem spadł robotnik. Dwóch kolejnych zostało rannych, gdy uderzył w nich fragment oberwanego stropu.

W wyniku tych wydarzeń zaczęto mówić o „klątwie rodu di Sant'Angelo”. Rodzina ta zresztą od wieków nie cieszyła się dobrą prasą. Już w XIX stuleciu jednego z jej członków podejrzewano o makabryczną tajemnicę. Luigi Alessandro miał być seryjnym mordercą znanym jako „Krwawy Moneciarsz” – ze względu na pruskie talary pozostawiane na oczach ofiar.

Biografowie rodziny twierdzą jednak, że doszukiwanie się jakiegokolwiek związku arystokraty z zabójcą stanowi wymysł wyobraźni. Szkalujące rodzinę historie miały być tworzone przez ich konkurencję w rozmaitych interesach. Warto przy tym wspomnieć, że di Sant'Angelo posiadają kilka spółek zarejestrowanych w Polsce. Zajmują się między innymi przetwórstwem drzewnym, posiadają dom aukcyjny pośredniczący w sprzedaży ekskluzywnych antyków oraz pracownię jubilerską, której wyroby cechowane są ich nazwiskiem. Jesienią w Warszawie zostanie otwarty hotel ich sieci, „La Vera Bellezza”.

Kilkanaście kolejnych artykułów, które przejrzałam, skupiało się przede wszystkim na klątwie rodu di Sant'Angelo. Część z nich stanowiło całkowitą fantastykę, ale część opisywała więcej przypadków zaginięć, zranień i śmierci w obrębie licznych posiadłości rodziny. Wydawało się, że z większością z nich Markiz nie mógł mieć żadnego związku. Często w trakcie wypadków znajdował się nawet w innym państwie. Mimo to zniknięcia bez śladu kilku kobiet wydawały się co najmniej dziwne. Intensywność zbiegów okoliczności bywa podejrzana.

Jako mało wiarygodne potraktowałam sugestie, jakoby Markiz dopuścił się kilku gwałtów. Niczego mu nie udowodniono, zdaje się, że nawet ani jedna sprawa nie trafiła do sądu. Mimo to w internecie nie umierała żadna plotka. A już na pewno nie te dotyczące życia w najwyższych sferach. Zdawało się, że to była cena tego, że los dał tym ludziom bająnskie fortuny.

W artykułach zmieniały się tylko nazwiska. Na podstawie chronologii wpisów łatwo było dostrzec, jak niedomówienia ewoluowały i stawały się absurdalnymi wydmuszkami. Niczym matryoszki kolejne skorupy pochłaniały wcześniejsze, bardziej rachityczne wcielenia. Kilka wypadków stało się zarzewiem powstania bajek o kłatwie, natomiast uroda i ekscentryczny styl życia Markiza pozwoliły przypiąć mu łątkę zbrojeńca oraz gwałciiciela.

Oderwałam wzrok od komórki i się przeciągnęłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego bronie Markiza. To, że wybielałam jego obraz z publikacji prasowych, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Ale tym razem przynajmniej się nie oszukiwałam.

Rzadko myślałam się co do ludzi. Spędziłam z Markizem niewiele czasu, ale nie wydawał mi się człowiekiem skłonny do wyrządzania zła. Wiedział, czego chce, i dążył do tego za wszelką cenę, lecz to cechy, które w mężczyznach zawsze mi się podobały. Może to wioskowe podejście? Może w dzisiejszych czasach mężczyzna powinien być zniewieściałym, wykastrowanym lalusiem, a wszelkie przejawy samczej dominacji należało stłumić w zarodku?

Boże, nigdy nie czułam się tak jak tamtego wieczoru w limuzynie. Zastanawiałam się, czy Markiz pozwoliłby mi z niej wyjść. Co by zrobił, gdybym odmówiła wejść do środka? Kazałby ochroniarzom wciągnąć mnie siłą? Nie sądzę. Bałam się, byłam roztrzęsiona, ale zarazem to mi się podobało. Przynajmniej tak mi się wydawało z perspektywy dziesięciu dni.

Podświadomie odliczałam czas od tamtego spotkania. To chore. Mogłam się wściekać za forszę z listu, lecz ją też rozgrzeszyłam. Uznałam ją za podwyżkę za nadgodziny. Wtedy, w limuzynie, Markiz potraktował mnie jak naziemną stewardesę. To skojarzenie wydawało się trafne.

Rozejrzałam się po lotnisku i zdałam sobie sprawę, że zapalono już sztuczne światła. Hala przylotów opustoszała. Kilkadziesiąt metrów ode mnie rozpoczynał się ogonek kolejki do odprawy. Dwóch czarnoskórych pilotów szybkim krokiem minęło stanowisko celników. Pokrzykując tubalnymi głosami, wymienili z nimi kilka zdań. Z dworu dobiegł mnie huk startującego jumbo jeta. Spojrzałam na przeszkloną ścianę hali i dostrzegłam jego kadłub lśniący w czerwonym, zachodzącym słońcu. Ten widok nieustannie mnie zachwycał. Przez chwilę obserwowałam wzbijający się w przestworza samolot. Wreszcie zmieniłam pozycję i znów zerknęłam w ekran komórki.

Załadowałam wyniki graficzne wyszukiwania. Po kolei wgrywały się rozmaite zdjęcia Markiza. Można by powiedzieć, że przez ostatnie lata niemalże się nie zmienił. W wieku ocierającym się o czterdziestkę wyglądał tak samo jak przed ponad dekadą. Zazwyczaj, nawet jeżeli zdjęcia robiono ewidentnie z ukrycia, jakimś zmysłem wyczuwał fotografa i spoglądał wprost w obiektyw. Dlatego teraz zdawało się, że jego spojrzenie świdruje mnie z kilku miniatur.

Przymknęłam oczy i przypominałam sobie, jak wyglądał na żywo. Fotografie były martwe. Natomiast ja miałam prawdziwe wspomnienie. Pomyślałam o jego mocnych szczękach, o równo przystrzyżonym zaroście i chłopięcym uśmiechu. Przypominałam sobie dołki w jego policzkach. Równie idealnie pamiętałam zaskoczone, nieco speszzone spojrzenie, gdy zrozumiał, że naprawdę się go boję. Albo że boi się go przynajmniej jakaś część mnie.

Kim jesteś naprawdę, Michele Filippo Jakiśtam?

Nie wiem, czy to pytanie wypowiedziałam na głos, czy tak realnie ukształtowało się jedynie w moich myślach.



Pilot

– Chcę się zapisać na kurs dla członków *cabin crew*.

Konstancja oznajmiła mi to, gdy lekko skacowany otworzyłam oczy. Nie pamiętałam końcówki poprzedniego wieczoru. Wiedziałam, że rozmawialiśmy o Świętym Mikołaju i o jej śmiertelnych przecuciach. Z porannej perspektywy brzmiało to jak zwykłe banialuki. Albo jak pijacki bełkot szaleńca.

– Chcesz zostać moją stewardesą?

Poderwałam się, sprawdzając, czy pęknie mi głowa. Poza suchością w ustach i pulsującym limem nad okiem czułam się całkiem nieźle. Zdziwiająco nieźle.

Chwyliłam Konstancję za nadgarstki i przyciągnęłam ją do siebie. Nie wiedziałam, na ile pozwoliliśmy sobie poprzedniego wieczoru, ale sądziłam, że na sporo. Konstancja siedziała teraz na mnie okrakiem całkiem nago. Nie wydawała się skrzepowana. Odrzuciła kołdrę na podłogę i uśmiechnęła się wyzywająco.

– Mogłabym być twoją zberezną stewardesą. Tyle że w szybowcu nie byłoby miejsca chyba dla nikogo więcej.

– A po co nam ktokolwiek więcej?

– Ja pieprzę, uwielbiam ten twój gówniany romantyzm. Nie wyskocz mi zaraz z GPS-em.

– GPS-em?

– Pierścionkiem – parsknęła, pochylając się nade mną. – Tak się mówi.

– Gdybyś wczoraj nie wlała we mnie morza wódki, myślałbym nieco szybciej.

– Później sam nie mogłeś się oderwać od butelki.

– Boże... Przepraszam. Czasem włącza mi się tryb autopilota nastawionego na następny kielonek.

– To nic. Wszystko zostaje między nami.

Popatrzyłam w twarz Konstancji. Właściwie po raz pierwszy mogłam się dobrze jej przyjrzeć. Miała naprawdę seksowne, wyraźne rysy i wyzywające spojrzenie. Nie

wiem, czy nie zmyła wczorajszego makijażu, czy nałożyła już nowy, ale wyglądała olśniewająco. Poczułem się cholernie szczęśliwy. I podniecony.

Oparłem się na łokciach i spojrzałem na jej krągłe, jędrne piersi. Popatrzyłem po różowych brodawkach oraz brązowych pieprzykach. Skierowałem spojrzenie w dół. Powiodłem nim po płaskim brzuchu, szerokich biodrach i zatrzymałem się na gładko ogolonym łonie. Odcinało się nieco bledszym kolorem od reszty ciała.

Konstancja siedziała nieco poniżej mojego pępka. Widząc moje spojrzenie, poruszyła się i odrzuciła do tyłu włosy. Zebrała je dłońmi, jakby chciała je spiąć w koński ogon. Patrzyłem na jej wygolone pachy, na zarysowujące się pod skórą bicepsy i kilka siniaków powyżej prawej piersi oraz na obojczyku. Nie zamierzałem o nic pytać. Nie chciałem zaczynać zbędnej dyskusji.

Konstancja położyła dłonie na mojej piersi. Oparła się i wyprężyła jak kotka.

– Twój kutas łaskocze mnie w tyłek. – Uśmiechnęła się, umyślnie się przesuując. Otarła się o mnie. Raz i drugi, aż poczuła, że zaczynam na dobre twardnieć.

Chwyliłem ją za ramiona i zrzuciłem z siebie na łóżko. Opierając się na goleniach, usiadłem nad nią. Odciągnąłem jej ręce do góry, po czym zacząłem całować jej pierś. Cmokałem jej skórę, zmierzając ku sterczącemu sutkowi.

Nagle podniosłem głowę i spojrzałem jej prosto w oczy. Były roziskrzone, a na jej policzkach pojawił się rumieniec.

– Czy my... – odezwałem się, wiedząc, że zrozumie, co mam na myśli.

Wzruszyła nagimi ramionami. Nie przestając się uśmiechać, przygryzła szelmowsko palec.

– Nie pamiętam. Chyba sięgam pamięcią niewiele dalej niż ty.

– Więc mogliśmy kochać się pierwszy raz i nawet o tym nie pamiętamy.

– Może takie początki są najlepsze?

Nie odpowiedziałem. Czas miał pokazać, że nie ma lepszych i gorszych początków. Jest tylko teraźniejszość, która kształtuje się bez względu na to, co było. Inny początek nie mógłby uczynić naszego życia lepszym lub choćby znośniejszym.

Przycisnąłem Konstancję do łóżka i znów pocałowałem jej pierś. Najpierw omiatałem językiem sutek, a kiedy zaczęła głośno wzdychać, delikatnie przygryzłem brodawkę. Wolną dłonią uciskałem drugą pierś. Mocno, coraz mocniej...

Konstancja zaczęła się wić na łóżku. Zszedłem pocałunkami niżej i wzdłuż linii jej żeber. Zaśmiała się, gdy wsunąłem język do jej pępka. Wciąż zaciskałem dłońie na jej nadgarstkach. Miotła się, ale utrzymywałem ją w miejscu. Przebierała nogami, jakby chciała wyrzucić spod nas całą pościel. Coraz głośniej jęczała.

Pocałowałem jej łono i wciągnąłem jej prawdziwy zapach. Byłem totalnie podniecony. Nagle, zupełnie zniенаcka moją uwagę zaprzętęła myśl o zapachu śmierci. Migdałowym lub kokosowym. Jednak teraz te myśli nie mogły mnie

odciągnąć od jej giętkiego ciała. Nie mogły mnie powstrzymać. Nawet jeżeli Konstancja miała rację, jeżeli wyczuwała śmierć lub samobójców, to mogło mnie jedynie nakręcić. Poczulem gwałtowny przypływ euforii.

Wyprostowałem się i delikatnie na niej położyłem. Konstancja rozsunęła nogi, więc z łatwością w nią wszedłem. Mocno i głęboko.

– Jeżeli naprawdę mam umrzeć, musimy zrobić to jak nigdy dotąd – szepnąłem jej do ucha. Miała zamknięte oczy, ale mruknęła potakująco. – Mam teraz ochotę kochać się z tobą jak z nikim wcześniej. Jesteś tak cholernie wyjątkowa.

Wzdychała, nie odzywając się. Wchodziłem w nią delikatnie raz za razem. Powoli, nieśpiesznie, ale głęboko.

– Pieprz mnie – syknęła, nagle podrywając głowę. Polizała mnie po uchu i przygryzła jego płatek. Starła się wyrwać ręce z mojego uścisku, ale jej na to nie pozwoliłem. – Pieprz mnie, pieprz mnie, pieprz...

Jej słowa zamieniły się w regularny jęk. Wciąż poruszałem się, czując, że robi się coraz bardziej mokra. Nasze ciała zaczęły obciekać potem.

– Czujesz tu śmierć? – Nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie. Przestałem kontrolować nie tylko emocje, ale i umysł. – Jest tu gdzieś ta pierdolona śmierć?

Konstancja otworzyła szeroko oczy. Szarpnęła się tak, że udało się jej oswobodzić jedną dłoń. Nim zdołałem ją znowu schwytać, wbijała paznokcie w moje plecy. Przeciągnęła nimi, rozcinając skórę.

– Zawsze jest – wycodziła. – Zawsze jest gdzieś obok.

– Niech nasz każdy raz będzie jak ostatni.

Konstancja nie spuszczała wzroku. Oboje patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Nasze oddechy przyśpieszyły i skorelowały się w zgrabną symfonię.

– Nie mogłoby być nic lepszego. – Nie mówiła, lecz syczała. – Rób tak, rób właśnie tak... Już nie wytrzymam. O, Boże!

– Jeżeli możesz tu wyczuć śmierć, powiedz jej, że mam ją gdzieś!

– Tak, tak!

Konstancja jeszcze mocniej wbijała paznokcie w moje plecy. Przeciągała nimi ku moim pośladkom.

– Powiedz, że ją pieprzę. Że teraz mogę umrzeć.

Poruszałem się coraz szybciej. Nagle jęk Konstancji zamienił się w dziki pisk, a jej ciało zaczęło drżeć. Rozwarła szeroko oczy, ale nie patrząc już na mnie. Jej wzrok błędził gdzieś po suficie.

Całym sobą czułem, że dochodzi. Nie powstrzymałem się i również poddałem bezrozumnej ekstazie. Nie bacząc na to, czy Konstancja się zabezpiecza ani czy daje mi na to przyzwolenie.

Wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Cały świat skurczył się do rozmiaru ziarnka cukru. Implodował.

A potem uległ gwałtownej eksplozji euforii, której towarzyszył przeciągły krzyk nas obojga. Gdy z niej wyszedłem, cały spocony opadłem na łóżko. Starając się

nabrać powietrza, obróciłem się na plecy. Czuję ciężar rozlewający się po całej klatce piersiowej. Byłem piekielnie szczęśliwy.

I pusty.

– Nie powiedziałaś, czy dobrze robię, zapisując się na kurs dla członków *cabin crew*.

Słowa Konstancji dobiegły do mnie jak zza ściany. Z trudem spłotłem je w logiczną całość.

– Nie lepiej zrobić licencję pilota?

– Ty już ją masz.

– Chyba mówiłaś, żebyśmy się w sobie od razu nie zakochiwali? – Uśmiechnąłem się. – Nie stawiaj tej karty na mnie. Nie mieszaj mnie do żadnych planów, skoro wyczułaś ode mnie śmierć.

– Brawo. – Konstancja pocałowała mnie w czoło. – Szybko się uczysz.

– Więc dlaczego chciałabyś zostać stewardesą? Mówiłem ci już, że moje linie lotnicze nie przewidują rekrutacji.

Przygryzła wargi, wyraźnie zastanawiając się, czy może powiedzieć mi prawdę. Po chwili ją usłyszałem.



Stew

On Sand Club znajdował się na samej plaży. Był jednopiętrowym budynkiem w lokalnym, eklektycznym stylu. Stanowił pomieszczenie tanzańskiego domostwa z angielskim pubem i amerykańskim klubem nocnym. Ściana od frontu była wyburzona i zamiast niej ciągnął się długi, oświetlony mnóstwem kolorowych lampek bar. W głębi znajdowała się sala taneczna, na której kilkadziesiąt osób tańczyło w rytmie skocznej, plemiennnej muzyki. Na zewnątrz, wzdłuż ściany, ustawiono stoliki, do których serwowano lokalne dania i napoje. Kelnerzy lawirowali między podchmielonymi gośćmi.

Dochodziła północ i gdy stawiliśmy się z Konstancją i Werą na miejscu, nie było już wolnych krzeseł. Zamówiliśmy drinki, po czym wyszliśmy na plażę. Ocean szumiał, omywając drobniutki piasek. Pod palmami rozpalono ogniska i rozpięto hamaki. Miejscowi opiekali w ogniu owoce morza oraz ryby. Aromatyczny zapach mieszał się z wonią oceanu, olejków do opalania i ciężkich perfum. Gęste powietrze drżało w rytmie dzikiej muzyki.

Usiadliśmy prosto na piasku. Po ramionach łaskotała nas delikatna, ale ciepła bryza. Jednak pierwsze łyki drinków zawsze działały ochładzająco. Konstancja wyjęła kostkę lodu i zaczęła nią pocierać czoło. Następnie omiotła nią jak szminką usta, a potem kości policzkowe. Wreszcie wytarła zwilżone dłonie w piasek.

Momentalnie, wyraźnie ożywiona, zaczęła łytać to na mnie, to na Werę. Gdy wreszcie uchwyciła nasze spojrzenia, szeroko się uśmiechnęła.

– Kocham tę robotę! – Wzniosła w górę szklankę z mojito i stuknęłyśmy się. – Mam nadzieję, że jak będę bardzo stara, ktoś wpadnie na pomysł utworzenia linii lotniczych dla zgrzybiałych staruszków.

– I zgrzybiali staruszkowie lubią młode ciała – wtrąciła Wera.

– E tam...

– Wiesz, że tak jest.

– To się okaże. To się, kurwa, okaże! Ale sama nigdy nie rzucę tej roboty. Patrzcie!

Konstancja z ekscytacją rozglądała się wokół. Była jak dziecko. Czerpała radość ze wszystkiego, co nas otaczało. Machała dłonią, wskazując to na ognisko, to na hamaki, to w stronę czerni oceanu.

– Statek! Tam w oddali płynie jakiś statek. Widzicie?

Rzeczywiście na horyzoncie przesunął się rozświetlony punkcik. Konstancja nadal wskazywała go palcem. Czasem zachowywała się jak pobudzona kilkulatka. Nigdy nie poznałam nikogo z większą pasją życia niż ona. Mogłam jej nie rozumieć, mogłam się z nią nie zgadzać, lecz jej towarzystwo sprawiało mi autentyczną radość. Wiem też, że czasem tkwił w niej smutek równie głęboki jak chęć życia. W chwilach, gdy brał górę, spotkałam ją tylko kilka razy i za każdym głęboko to współodczułam. Jednak tamtej nocy na Zanzibarze Konstancja była w pełni szczęśliwa. Zresztą każda z nas miała powód być szczęśliwą.

– Chodźmy tańczyć! – rzuciła po tym, gdy kolejnym łykiem opróżniła niemal całą szklankę. – Bajabongo, moje laski!

– Daj żyć, kobieto. Naciesz się tym widokiem.

Sączyłam sex on the beach i nie miałam ochoty nigdzie się ruszać. Wera też raczej nie. Mimo że było prawie czterdzieści stopni, cały dzień włóczyła się po wyspie. Sandały odparzyły jej stopy. Teraz była w różowych kłapkach z fluorescencyjnym znaczkiem w kształcie flaminga.

– No, nie dajcie się prosić. Tylko my. Żadnych facetów.

– Nie wierzę, że to mówisz.

– Zabawa to zabawa. Nie potrzebuję do niej testosteronu w zasięgu ręki.

Wera roześmiała się i czkając, przysłoniła usta.

– Nie licz na to, że później trafimy do twojego pokoju.

– A wiecie, że to mogłoby być całkiem ciekawe? Kto zna nas lepiej niż my nawzajem?

– Jezu, po raz drugi nie wierzę...

– Statek zniknął. – Konstancja podniosła się i spojrzała w stronę horyzontu. Przez chwilę wyglądała na naprawdę smutną z powodu zniknięcia statku. Nagle dopiła drink, odstawiła szklankę na tacę przechodzącego kelnera i zatarła dłońie. – To najlepszy znak, że już czas.

– Wróżyysz z ruchu statków? – zapytałam, kładąc się na piasku. – Mnie stąd nie ruszysz.

– Wera, i ty, Brutusie, przeciwko mnie?

– Pójdę, jeżeli amputujesz mi stopy i przyszyjesz nowe bez otarć.

– Da się zrobić. Albo zaraz znajdę kogoś, kto zafunduje ci zajebisty masaż.

– Nawet nie próbuj. – Weronika pogroziła jej palcem. Kilka kropli spłynęło jej po szklance. Natychmiast je otarła i oblizała wierzch dłoni. – Kuśtykające stewardesy łapią się raczej na pokład twoich geriatrycznych linii przyszłości. Nie chcesz, żeby mnie jutro wypieprzyli z roboty.

– Zawsze jedną konkurentkę mniej. I tak przez ciebie mam notoryczny *pain in the ass. If you know what I mean.*

Wera chciała kuksnąć ją w piszczel, ale Konstancja uskokczyła.

– Róbcie, co chcecie – oznajmiła, maszerując w stronę sali tanecznej. – Ja zamierzam się bawić! A tu jest mega zabawa!

Odchodząc, uniosła w górę dłonie i wygięła tułów w rytmie muzyki. Roześmiałyśmy się z Werą, ale obie zostałyśmy na miejscach. Przez chwilę milczałyśmy. Dwóch przechodzących obok nas podpiitych mężczyzn na migi dało nam znać, żebyśmy z nimi zatańczyły. Udałyśmy, że nie zwracamy na nich uwagi. Po chwili odeszli do swojej grupki bawiącej się kilkanaście metrów dalej przy jednym z ognisk.

Moje myśli co chwilę uciekały ku wiadomościom, które znalazłam w internecie. Zastanawiałam się nad tym, czy Markiz mógł wyrządzić jakiejś kobiecie krzywdę. Wyobrażałam sobie, że chce mnie zgwałcić w swojej limuzynie. Nikt by go wtedy nie powstrzymał. Starłam się sobie zobrazować jego twarz wykrzywioną w opętającym gniewie, w akcie jakiejś seksualnej wściekłości, ale wydawało się to niemożliwe. Te eleganckie, regularne rysy nie dawały się modelować w ten sposób. Nie udałoby się to nawet najzdolniejszemu malarzowi. A mimo to Michele wzbudzał we mnie strach.

Przez kilka minut zastanawiałam się, jak skierować rozmowę z Werą na jego temat. Chciałam dowiedzieć się, co o nim naprawdę myśli. W kawiarni przy Konstancji właściwie nie wyraziła swojego zdania. A z pewnością była znacznie bardziej wyważona i obiektywna od niej.

Jednak moje myśli o tej porze, a może raczej powodowane alkoholem, skierowały się ku klątwie ciążyącej podobno nad rodem lub rezydencjami di Sant'Angelo. Do kilku wypadków i niefortunnych zbiegów okoliczności łatwo było dorobić drugie dno. Klątwy? To było dobre sto lat temu, ale nie w XXI wieku. Tak przynajmniej myślałam, gdy czytałam o tym wszystkim na lotnisku. Teraz, mimo że wokół znajdowało się wielu ludzi, nie byłam już taka pewna. Gnące się płomienie ognisk, czerń oceanu i bezgwiazdna noc pobudzały wyobraźnię.

Zamierzałam coś powiedzieć, gdy Wera szturchnęła mnie w ramię. Odstawiła szklankę na piasek i podciągnęła kolana pod brodę.

- Ja pierdolę... - syknęła. - No, nieźle.

- Co takiego?

- Spójrz tam.

Powiodłam wzrokiem w stronę, w którą ukradkiem wymierzyła palec. Przy ognisku na plaży ustawiła się spora kolejka. Zapewne zaraz miały być serwowane przekąski. Nieco dalej grupa nastolatków grała w piłkę.

- Tam. - Wera powtórzyła z naciskiem i ukradkiem poruszyła głową.

Spojrzałam nieco dalej w prawo. Na kawałek plaży rozciągający się między klubem i palmami. Natychmiast poczułam duszność. Choć wypitał ledwie jednego drinka, zakręciło mi się w głowie. Przez chwilę wydawało mi się, że mi się przewidziało, ale to było niemożliwe. Z tej odległości widziałam wystarczająco wyraźnie.

W naszą stronę szedł Michele di Sant'Angelo. Był ubrany w lniany garnitur i koszulę, a w dłoni trzymał mokasyny. Tuż obok niego szła Konstancja. Z daleka do nas machała. A Markiz wygiął usta w tym swoim tajemniczym, nieco zakłopotanym uśmiechu.



Pilot

- Wyobrażasz sobie, jak zjebane życie może mieć ukochana córeczka bogatego tatusia? Widzisz to mieszkanie? - Konstancja podniosła się i objęła poduszkę. Skinęła głową, jakby chciała zmusić mnie, abym się rozejrzał. Popatrzyłem po nowocześnie urządzonej wnętrzu, skupiłem na chwilę wzrok na sprzęcie grającym wartym zapewne niewiele mniej niż mój szybowiec, następnie zerknąłem na gigantyczny telewizor zawieszony na ścianie i kilka wiszących obok bohomazów. Konstancja musiała dostrzec moją konsternację. - Mieszkanie to prezent na dwudzieste urodziny. A te rozmazane rzygowiny z farby to dzieła sztuki. - Mówiąc „dzieła sztuki” niemalże sylabizowała. - Mają stanowić mój kapitał na emeryturę, gdybym uznała, że przez całe życie nie chcę jednak pracować. Rozumiesz, jak wspaniałomyślnego mam ojca? Dopuszcza sytuację, że nigdy nie zarobię na siebie nawet grosza.

- To wygodna perspektywa - stwierdziłem. - Ja na prawie pełnoletniego Puchacza wydałem wszystkie oszczędności życia.

- Puchacz? Tak nazywa się twój szybowiec?

- SZD-50 Puchacz.

Konstancja rzuciła poduszkę w kąt wielkiego łóżka i obróciła się do mnie bokiem. Popatrzyłem po jej krągłych piersiach. Położyłem dłoń na jej biodrze, po czym przesunąłem ją ku pośladkowi. Gładziłem jej skórę. Wędrowałem po jej

gładkiej powierzchni ku końcowi pleców. Ucisnąłem zagłębienie kręgosłupa tuż nad krzyżem, a potem znów pogładziłem pośladki. Nagle Konstancja drgnęła. Sięgnęła po stojącą przy łóżku butelkę gruzińskiej wody mineralnej i łapczywie się z niej napiła.

- Chcesz? - Podała mi ją. - Po wódce zawsze mnie suszy.

Również wziąłem kilka łyków i odstawiłem butelkę na podłogę.

- Gdybym wypił tyle co ty, pewnie potrzebowałbym dziś kroplówki.

Konstancja zachichotała. Położyła się na wznak z założonymi za głowę rękoma i przymknęła oczy.

- Córki bogatych tatusiów szybko uczą się dużo pić. Albo dziedziczą mocne głowy, albo muszą je sobie wytrenować.

- Mówisz, jakby to było coś złego.

- Bo to jest coś złego. - Konstancja powiedziała to powoli i z naciskiem, ale wciąż nie otwierając oczu. - W pewnym momencie uświadamiasz sobie, że już niczego nie możesz zmienić, a twoje życie polega na przeżywaniu kolejnych dni. Godzina po godzinie od rana zastanawiasz się, czy już otworzyć kolejną butelkę, zająć się skretem, czy może dla urozmaicenia pójść na bajabongo. A może wykupić wycieczkę za granicę? Rozumiesz, że wszystko poszło z dupy strony. Mam papierki dobrych uczelni, ale zero pierdolonego zapału. Bez jakichkolwiek chęci nawet najlepsza robota może wykończyć, więc po co się w ogóle do niej zabierać?

- Właśnie dlatego chcesz zostać stewardesą?

- Nie do końca. - Konstancja otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Najwyraźniej nie zamierzała jeszcze przechodzić do sedna. Nagle zrzuciła kolejną poduszkę i rozsunała nogi. Z rękoma wciąż założonymi za głowę obserwowała moją reakcję. - Kogo widzisz? - zapytała. - Co o mnie myślisz?

Przeładziłem włosy i cicho zagwizdałem.

- Widzę piękną kobietę. Kształtną, z mocną głową i paranormalnymi zdolnościami. - Mówiłem szybko, aby Konstancja mi nie przerwała. - Wynajmującą brata, by na pierwszej randce stłukł jej ewentualnego zalotnika. Poza tym widzę wrażliwą, może nieco zagubioną dziewczynę. Taką, która będzie się zarzekała, że nie potrzebuje pomocy, ale której całe życie jest wołaniem o pomoc i bliskość.

Konstancja zaśmiała się nerwowo. Podciągnęła nogi i zakryła dłońmi piersi.

- Proszę, proszę - odezwała się z emfazą. - Prawdziwy pan psycholog.

- Zadałaś pytanie, więc odpowiedziałem najszczerzej, jak potrafię.

- Masz mnie za mega próżną i mega tępą. Oceniasz mnie.

Zaskoczony zmrużyłem oczy. Przez twarz Konstancji przemknął grymas złości. Nagle zerwała się z łóżka i chwyciła moje leżące przy nim jeansy. Cisnęła nimi we mnie. Po chwili poleciały na mnie bokserki oraz koszula.

- Już mnie oceniał, co? - Konstancja włożyła czerwone stringi i zarzuciła obcisły top. - To takie proste!

- Ale ja...

Chciałem zaprotestować, lecz nagle zabrakło mi słów. Nie zamierzałem się kłócić ani tłumaczyć. Zacząłem się powoli ubierać.

– Wiesz co? – Konstancja obeszała łóżko i stanęła tuż przede mną. – Najgorsi są ci faceci, którzy robią maślane oczka, ale myślą tylko kutasem. Mogłam się tego od razu spodziewać. Jesteś taki banalny.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Chciałaś mojej opinii, to ją dostałaś.

– Pieprzony, chodzący banał.

Podniosłem się z łóżka i stanąłem naprzeciw Konstancji. Utkwiłem w niej zaskoczone spojrzenie. Z pewnością nie robiłem maślanych oczu. Było mi jej żal. Zastanawiałem się, czy to zachowanie mogło być spóźnioną reakcją na alkohol, a może na jakieś tabletki. Konstancja była pobudzona i miała zroszone potem czoło. Jej oczy nabiegły krwią.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem ze szczerą troską.

– Pieprz się.

– Nie ironizuję. Pytałem całkiem poważnie.

Nieoczekiwanie Konstancja uderzyła mnie z liścia. Z całej siły, prosto w policzki. Skóra zapiekła mnie, ale się nie poruszyłem. Konstancja przytrzymała dłoń na mojej twarzy. Chwilę później zaczęła płakać.

– Chciałabym zostać stewardesą, bo mogłabym się do czegoś przydać. – Zacerpnęła tchu, łkając. – Mogłabym dać z siebie więcej niż w pieprzonej firmie mojego ojca. Nie jestem bezużyteczna, rozumiesz? Nie jestem pindą z pustym łbem i wypchanym portfelem.

Skinąłem głową, ale nic nie powiedziałem.

– Pomyślałam, że jeżeli w samolocie wyczułabym od kogoś ten cholerny zapach, to ukradkiem mogłabym przekazać zamiar na psychiatrę lub infolinię dla samobójców. Przecież na pokładzie nikt nie ucieknie ani się nie zabije. Mogłabym uratować ludzi. Mogłabym zrobić coś dobrego i nie udawać kogoś, kim nie jestem. Pieprzonej pani dyrektor, która ma trzymać wszystkich za mordy i załatwiać wszystkim jak najbardziej spektakularne fuck-upy.

– Ten twój dar... – odezwałem się, lecz nie wiedziałem, do czego zmierzam.

Wydawało mi się, że jest mnóstwo innych zawodów, w których można mieć kontakt z ludźmi. Ale właśnie taka była Konstancja. Gdy ją poznałem, zmieniło się całe moje życie.



Stew

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale gdy zobaczyłam Markiza, straciłam nad sobą panowanie. Chciało mi się płakać i śmiać. Wierzchem dłoni otarłam łzę. Starłam

się opanować drżenie rąk. Odwróciłam się twarzą ku czarnej toni oceanu, aby Michele nie dostrzegł tej dziewczęcej mieszaniny emocji.

Kątem oka obserwowałam, jak spokojnie zbliża się w naszą stronę. Beztrosko machał trzymanymi w dłoni mokasynami i gwizdał. Widziałam uśmiech na jego twarzy. Wyczuwałam, że patrzy się teraz tylko na mnie. Że świdruje mnie wzrokiem. Że mnie połyka. Że ten uśmiech jest skierowany właśnie do mnie. Że wyczekuje mojej reakcji. Słyszałam roześmiany głos Konstancji. Po angielsku przedstawiała Markiza, a ten odpowiadał coś łamaną polszczyzną. Mimo to nie patrzył ani na Konstancję, ani na Werę. Szedł prosto w moją stronę. Jakby już od dawna łączyło nas coś więcej, a on tylko chciał to potwierdzić. Jakbym była jego. Jakbym znalazła się na tej plaży jak dar wyrzucony przez ocean u jego stóp.

Tego było za wiele. Myśli, wątpliwości i wyczytane w sieci informacje zakotłowały się w mojej głowie. Zerwałam się tak gwałtownie, że poślizgnęłam się na zwilżonym przez fale piasku. Mimo to dopadłam Markiza i nim zdążył zareagować, uderzyłam go z liścia w twarz.

– Wsadź sobie w dupę te swoje euro – wycedziłam, patrząc mu zadziornie prosto w oczy. – Myślałeś, że jestem dziwką?

Odepchnęłam go, lecz on wciąż delikatnie się uśmiechał. Nadal pewny siebie, a jednocześnie zakłopotany i zawstydzony. Nikt inny nie potrafił równocześnie wyrazić tych emocji. Nie bronił się. Widziałam, jak Konstancja przewraca oczami i robi do Weroniki wymowną minę.

– Szpiegujesz mnie?! – wrzasnęłam. – Tak? Latasz za mną jak jakiś zboczeniec?

Jeszcze raz pchnęłam Michelego, lecz teraz mocno zaparł się w piasku. Poczułam, że mięśnie na jego klatce piersiowej napięły się pod koszulą. Delikatnie musnął dłonią moją dłoń. Nie chciał mnie chwycić za nadgarstek, ale zrobił ten sam ruch, który wykonał w samolocie. Poczułam prąd wędrujący od mojej ręki ku piersiom.

– Nie jesteś dziwką, a ja cię nie szpieguję – odezwał się płynnym angielskim. – Obawiam się też, że euro, wsadzone w dupę, mogłyby się zmarnować, tymczasem chciałem ci sprawić nimi drobną przyjemność. Za czas, który mi poświęciłaś na przejazdżkę.

Z trudem powstrzymałam uśmiech. Zachowywałam się naprawdę jak durna nastolatka. Swoje zmieszanie zamaskowałam, chcąc jeszcze raz odepchnąć Markiza. Tym razem zrobiłam to znacznie słabiej. Wyczuł, że momentalnie uleciała ze mnie złość. Na jego twarz powrócił tryumfujący uśmiech. To spowodowało, że znów się zagotowałam.

– Oddam ci tę forszę, gdy się tylko spotkamy – mruknęłam. – Nie mam jej teraz przy sobie.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. – Markiz wzruszył ramionami. – Jeżeli ci nie odpowiada, rozdaj ją ludziom nocującym tu, na plaży. Albo spal w którymś z ognisk.

- Dlaczego ty tego nie zrobisz, skoro tak gardzisz kasą?

- Bo wolę ją dawać tobie.

Zrobiłabym wszystko, aby powiedział, że woli dawać forszę kobietom takim jak ja. A jednak nie zrobił tego. Skierował swoje słowa wprost do mnie. Natychmiast zwróciłam uwagę na ten szczegół. Słowami mężczyźni mogą kupić kobiety znacznie szybciej i łatwiej niż kasą. To był najlepszy dowód.

- Skończcie tę przepychankę. - Konstancja stanęła między mną i Michelelem. Położyła dłoń na moim ramieniu. - Widzę, że już zdążyliście się poznać, ale teraz przekażę najważniejsze wieści. - Przeniosła spojrzenie ze mnie na Werę. - Mówię to w imieniu Markiza, bo on jest zbyt wstydlivy, by zrobić to osobiście, prawda?

Markiz wzruszył ramionami, jakby było mu to zupełnie obojętne. Wciąż pochłaniał mnie wzrokiem. Miałam wrażenie, że nie istnieje dla niego nic poza mną. Boże. Spuściłam wzrok i udałam, że obserwuję ludzi przy ognisku.

- Michele zaprasza nas na swój jacht. - Konstancja podskoczyła i klasnęła z podekscytowania. - Jest zacumowany sto metrów od brzegu i oferuje wszelkie możliwe udogodnienia. W tym kilkuosobowy personel. Niczego nie pomyliłam?

Michele natychmiast przytaknął. Wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Tak, tak - zapewnił. - Bardzo serdecznie zapraszam na drinka i drobną zabawę. Jest tam kilku moich przyjaciół, a ja zszedłem na chwilę na ląd. Nie wiedziałem, że was tu spotkam.

- Naprawdę? - fuknęłam.

- Naprawdę - odparł, a w jego głosie nie wyczułam nuty fałszu. - To niewiarygodne, prawda? Taki zbieg okoliczności!

- Ja chyba dziękuję. - Wera wymownie odchrząknęła. - Jestem zmęczona i śpiąca.

- Ale jutro czeka nas wolny dzień! - zaprotestowała Konstancja. - Zostawisz mnie? - zapytała błagalnym tonem. - Kolejny raz?

- Nawet nie zaczynaj...

- Wypinasz się na mnie, mendo!

- Po prostu...

Wera spojrzała na mnie. Czekwała, że nazwę to wszystkim szaleństwem. Abstrakcją. Totalną. Tak bym pewnie zrobiła, gdyby nie wzrok Markiza. Zdawało mi się, że nie mogę odmówić. Czarował mnie. Bezgłośnie prosił, żebym poszła razem z nim i uwierzyła w jego dobre intencje. A ja nie potrafiłam się mu oprzeć. Był tylko on i ja.

Byliśmy my dwoje.

Markiz doskonale odczytywał moje myśli. Wiedziałałam to. Przestał się uśmiechać, ale wyciągnął w moją stronę dłoń. Był poważny i skoncentrowany, jakby od tego, co zaraz zrobię, miało zależeć jego życie. Nie niecierpliwiał się. Czekał, nie zamierzając mnie pośpieszać. Konstancja i Wera kompletnie dla niego nie istniały. Cały świat zamknął się w naszych wzajemnych spojrzeniach.

Wypuściłam powietrze i pokręciłam głową. Nie dowierzałam temu, co robię. Moje ciało jeszcze się broniło, ale decyzja została podjęta.

Uśmiechnęłam się i ufnie wyciągnęłam dłoń w jego stronę. Markiz natychmiast wzięął mnie pod ramię.

– Nie zaszkodzi pójść – zwróciłam się do Wery. – Na drink, góra dwa i wracamy.
Konstancja pisnęła z podekscytowania.



Pilot

Tamtego ranka, gdy Konstancja powiedziała mi, dlaczego chce zostać stewardesą, podzieliła się tylko częścią prawdy. Pełnię jej intencji poznałem nieco później. Ale wtedy to nie miało znaczenia. Namiastka prawdy była dla mnie wystarczająca. Dla niej też. Wciąż płakała, lecz płacz wściekłości zamienił się we łzy ulgi. Chyba nigdy nie będę w stanie pojąć, jak bardzo Konstancja chciała się podzielić tym samym wyznaniem.

Nie zrozumieję tego, wiedząc, co wydarzyło się chwilę później. Chwilę po tym, gdy oderwała dłoń od mojego policzka i się odwróciła.

– Wypierdalaj – wycodziła, nie patrząc mi w oczy. – Po prostu wyjdź i wynoś się z mojego życia.

Byłem kompletnie skołowany. Czułem się, jakbym przebywał z kompletną wariatką, a jednak to mnie kręciło. Było w tym coś wyjątkowego. Coś, co można przyrównać do gwałtownego położenia szybowca na jedno skrzydło, aby zaraz wywinąć pętlę.

Podszedłem do Konstancji i położyłem dłonie na jej biodrach. Podwinąłem jej top. Stałem tuż za nią.

– Boisz się? – zapytałem. – O to ci chodzi. Prawda?

– Pierdolony psycholog mi się trafił.

– Gdybym pozował na psychologa, zapytałbym, czy ktoś cię skrzywdził.

Odgarnąłem włosy z jej karku i pocałowałem ją w szyję. Nie poruszyła się.

– Odpowiedziałabym, że mam twardą dupę.

– To nie znaczy, że klapsy cię nie bolą.

Jedną dłonią złapałem ją za pośladek, a drugą ręką objąłem i chwyciłem lewą pierś. Przycisnąłem ją do siebie. Musnąłem wargami płatek jej ucha i chuchnąłem. Konstancja się wzdrygnęła.

– Miałabym problem, żeby wskazać osobę, która mnie nie skrzywdziła. Nawet jeżeli nie miała takiego zamiaru. *Fuck!* Całe życie tak wychodziło, że miałam mega przejebane. Obrywało mi się za wszystko i za wszystkich. *Never ending story.*

- Ja cię nie skrzywdzę - zapewniłem i pocałowałem ją w kościsty obojczyk. - Możesz mi zaufać. Możesz być pewna, że tym razem nie trafiłaś najgorzej. Wiadomo, mam swoje wady, ale...

Konstancja mi przerwała.

- Przestań. Nie możesz wiedzieć, co będzie. Nie znasz mnie i nie wiesz, kim jestem.

- Ale wiem, jaki jestem ja sam.

- To tylko pierdolone złudzenia. Wmawiamy sobie, że jesteśmy dobrzy, że wiemy, jak zachowalibyśmy się w różnych sytuacjach, ale tylko się oszukujemy. Dalej mi nie wierzysz, że potrafię wyczuć śmierć. Nie mów, że jest inaczej. Myślisz, że jestem interesującą wariatką z odklejoną którąś tam klepką. Jestem dla ciebie jak egzotyczna Maoryska lub Pigmejka. Mogę cię fascynować, ale finalnie...

Konstancja urwała w pół zdania. Wciąż stałem za nią, ale już nie zaciskałem w dłoniach jej ciała. Po prostu obejmowałem ją w pasie. Przyciskałem do siebie, jakbym chciał, by zapadła się we mnie i poczuła się bezpieczna. Nie wiedziałem nic o jej przeszłości, a niewiele więcej o terażniejszości, lecz było mi jej bardzo żal. Nie mam pojęcia dlaczego. Z drugiej strony czułem złość. Na nią, na siebie, na całą tę sytuację.

- Powiedziałaś mi to wszystko dlatego, by mnie zafascynować? - zapytałem, nieudolnie ukrywając rozdrażnienie. - To twój sposób na podryw?

- Boże... Właśnie o tym mówię.

- Nie. Po prostu trudno mi uwierzyć w taką historię. To znaczy... - Zmieszałem się i opuściłem dłonie. Jednak nasze ciała wciąż się stykały. - Z tym Świętym Mikołajem. To mógł być zwykły przypadek, a ty sobie wmówiłaś na całe życie jakiś podtekst.

Konstancja jedynie się zaśmiała.

- Teraz twierdzisz, że wyczułaś we mnie coś, co czułaś wtedy. Może to jakiś mechanizm odświeżania wspomnień? Przenoszenia myśli? Nie wiem. Nie znam się na cholernej psychologii, ale nie musimy zaczynać w ten sposób. Nie zaczynajmy od tego, czego nie rozumiemy.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz.

- Bo wiem, że nie zamierzam się zabijać? Bo twierdzę, że znam się na tyle, że zaraz nie podejść do okna i nie wyskoczę?

Konstancja odwróciła się i chwyciła mnie za dłonie. Nie patrzyła mi w oczy, ale widziałem, że po jej policzkach ciekną łzy. Głośno pociągnęła nosem. Oparła czoło o moją pierś i nabrała powietrza.

- Wierz lub nie, ale wyczuwam go bardzo delikatnie. Nie wiem, co oznacza. Nie chcę wiedzieć. Ale to ten sam zapach.

- Wolałbym pachnieć Hugo Bossem - zażartowałem, siląc się na uśmiech. - Ale wiesz co? Skoro to delikatny zapach, miejmy go po prostu gdzieś. Okej? Uznajmy, że to przez stare, wywietrzałe perfumy. Dasz radę?

- Oszukiwać się?
- Spróbować uwierzyć, że cię nie skrzywdzę.
- Ty skrzywdzisz mnie najbardziej – oznajmiła, podnosząc głowę. Spojrzała mi prosto w oczy i dodała: – Oboje siebie skrzywdzimy.



Stew

- Hello! Wspólna przejażdżka? I nic nie mówiłaś?!

Muzyka była tak głośna, że Konstancja musiała krzyżeć. Jacht Markiza miał około trzydziestu metrów długości i sylwetkę rekina. Został pomalowany w różne wzory, lecz w nocy były one niemal niewidoczne. Dopłynęliśmy do niego motorówką, którą Michele trzymał w przystani za klubem.

Na jachcie już przed naszym przybyciem impreza rozkręciła się w najlepsze i kilkanaście osób tańczyło w rytmie jazgotliwej muzyki. Teraz razem z Werą i Konstancją znajdowałyśmy się wśród nich. W naszych dłoniach natychmiast po wejściu na pokład wylądowały szklanki z drinkami, a Konstancja, nie wiem skąd, dorwała aromatycznego skręta. Markiz przeprosił nas i obiecał wkrótce wrócić. Zamierzał się pokazać wśród innych gości.

- Nie było czym się chwalić - odrzyknęłam, przykładając dłonie do ust. - Ale właśnie dlatego chciałam się czegoś o nim dowiedzieć.

- Wyhaczył cię. - Konstancja z uznaniem pokiwała głową. - Brawo, brawo!

- Z przyjemnością ci go odstąpię.

- Nawet tak nie gadaj! Jestem szczęśliwa, że wreszcie możemy we trzy się zabawić. Najwyższy czas!

Wzruszyłam ramionami i upiłam drinka. Był znacznie lepszy i znacznie mocniejszy niż ten serwowany w klubowym barze.

- A ja dalej nie wierzę w naszą głupotę. Pchamy się w paszczę lwa i...

Konstancja przewróciła oczami.

- Ja pierdolę. Powinnaś pisać kazania.

- Po prostu, chyba nas nieco poniosło. Dopiero gadałyśmy o...

- Nie sraj żarem. - Wera poruszała biodrami w rytm muzyki. Starła się nie odrywać stóp od pokładu. Jacht bardzo delikatnie falował. - We trzy jesteśmy bezpieczne.

- Sama nie wiem.

- Dla takiej zabawy jestem gotowa umrzeć!

Dalsze słowa Konstancji zagłuszył refren śpiewany przez większość tańczących na pokładzie. Podszedł do nas mężczyzna w koszulce polo i krótkich spodenkach w hawajskie wzory. Na migi zachęcił Konstancję do tańca. Nie trzeba było jej prosić dwa razy. Natychmiast odwróciła się w jego stronę i zaczęła poruszać się idealnie dopasowana do piosenki, którą zapewne każda z nas słyszała po raz pierwszy.

- No to Konstancja przepadła. - Wera upiła drinka i odstawiła go na szklany blat przytwierdzonego do pokładu stolika. Popatrzyła gdzieś za mnie i zmrużyła oczy. -

Widziałaś?

- Co?

Odwrociłam się i starałam zrozumieć, co przykuło jej uwagę. Po chwili na mostku przed sterówką jachtu zobaczyłam Markiza. Stał w otoczeniu kilku osób i wznosił toast. Światło z reflektora rozszczepiało się w smukłym kieliszku do szampana.

Obok Michele stała zgrabna Mulatka ubrana jedynie w intensywnie żółty kostium kąpielowy oraz dwóch mężczyzn w rozpiętych koszulach. Mulatka co chwilę gładziła jednego z nich po ramieniu. Wydawało mi się, że to ten sam mężczyzna, który prowadził limuzynę Markiza. Nie byłam jednak pewna. Zdałam sobie sprawę, że moją uwagę pochłonęła Mulatka. Zastanawiałam się, kim jest, i obserwowałam jej interakcję z Michele. Miała giętkie, kocie ruchy, ale trzymała się od Markiza na dystans. Ten tłumaczył coś otaczającym go osobom, od czasu do czasu wskazując w stronę oceanu.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają? - Wera stanęła tuż przy mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie o niczym. Bogacze przez większość życia rozmawiają o niczym.

- Mówisz, jakbyś była do niego uprzedzona.

- Stwierdzam fakt.

Dopiłam drink i sięgnęłam po kolejny stojący na stoliku. Obok nich stały przekąski, ale nie byłam głodna. Natomiast Wera wyssała z pancerzyków kilka krewetek.

- Jesteś zła, że jest tam z kobietą? - zapytała z pełnymi ustami. Uśmiechnęła się i klepnęła mnie w ramię. Była lekko wstawiona. - Nie przejmuj się, on teraz widzi tylko ciebie.

- Większość naszych rozmów jest o niczym. - Udałam, że słowa Wery w ogóle mnie nie obchodzą. - Rozmawiamy o pracy albo o ciuchach i nic z tego nie wynika.

- Możemy też rozmawiać o miłości.

- To jeszcze gorsze.

- Rozmawiać o miłości?

Skinęłam głową. Również mnie zaczynało szumieć w głowie. Przyjemna bryza owiewała mi twarz, ale jednocześnie czułam wypalający mnie od środka żar. Gadałam jak potłuczona, bo tylko w ten sposób potrafiłam zagłuszyć myśli.

- Rozmowy o miłości, Bogu, rodzeniu się i umieraniu są bez sensu - stwierdziłam. - To filozofowanie dla filozofowania. Już lepiej gadać o ciuchach. Przynajmniej wtedy można się dowiedzieć, gdzie będą dobre promocje. A ani dla miłości, ani dla umierania Bóg nie przewidział promocji.

- Czasem jesteś do porzygania liryczna.

- Po prostu...

Urwałałam, bo moje spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Markiza. Michele uśmiechnął się do mnie i wznosił kieliszek jak do toastu. Zamienił kilka słów

z Mulatką, po czym znów się odwrócił. Na migi pokazał, że za moment do nas dołączy. Wrócił do rozmowy, ale widziałam, że co chwilę na mnie spogląda.

– Jak ty to zrobiłaś? – Wera wykorzystała przerwę między piosenkami, by nie musieć krzyczeć.

– Niby co takiego?

– Dobrze wiesz. Zaprzątnęłaś w głowie facetowi, z którym chciałyby się przespać połowa ludzkości. Albo i jej większa część.

– Może to kwestia papryczki?

Wera spojrzała na mnie i zmrużyła brwi. W odpowiedzi wyciągnęłam spod koszulki wisiorek.

– Podobno to starożytny amulet – zaśmiałam się, sięgając po koreczek z ośmiornicy lub czegoś podobnego. – W każdym razie Markiz zwrócił na niego uwagę.

– Już grzebał ci pod bluzką? Jezu Chryste, Konstancja byłaby dumna!

– Nigdzie mi nie grzebał. Zobaczył go, jak obsługiwałam go w samolocie.

– „Obsługiwałam go w samolocie”! – Wera po mnie powtórzyła i uśmiechnęła się wymownie. – No, no...

– Przestań.

To wszystko również mnie wydawało się dziwnym zbiegiem okoliczności. Spontaniczność i przypadkowość podobno tworzą najlepsze filary miłości, ale... Do jasnej cholery. O jakiej miłości tu mowa? Bywałam naiwna. Ale nie aż tak, by nie dostrzec, że coś tu nie gra. Zbiegi okoliczności istniały, lecz wydawało mi się, że cały ten proces rozgrywa się poza mną. Jakby ktoś nim sterował. Jakbym stała się elementem czyjegoś planu. Nie wiem, skąd naszły mnie te spostrzeżenia. Chciałam podzielić się nimi z Werą, ale nim zdążyłam przeżuć ośmiornicę, pojawił się przy nas Markiz.

– Mam nadzieję, że niczego wam nie brakuje? – zapytał z autentyczną troską. Teraz nie patrzył na mnie, ale na Werę. – Wszystko w porządku? Mógłbym w jakiś sposób wam uprzyjemnić pobyt na jachcie?

– Jest fantastycznie – odparła Wera.

– Wasza przyjaciółka...

– Bawi się z którymś z gości.

– Doskonale. *Je suis content. Je suis très content...*

Zza pleców Michelego wyszedł śniady, postawny mężczyzna z krótkim zarostem pozostawionym wzdłuż linii szczęki. Teraz nie miałam wątpliwości, że to kierowca Markiza.

– Oooo! Poznajcie Hamida.

Michele odsunął się, byśmy mogli uścisnąć sobie ręce.

– To mój wielki przyjaciel i oddany współpracownik. Jak to się mówi, zanim weszły żetony, wymienialiśmy się zawartością pampersów. Przepraszam za ten żart.

– Nie obrazisz się Markizie, jeżeli poproszę tę panią do tańca? – Hamid uśmiechnął się do Wery.

– Ale ja mam odparzone stopy! Nie nadaję się do...

– Staniesz na moich butach, a całą resztą zajmę się ja. Możesz być nawet boso.

– Ale...

Wera popatrzyła na mnie pełnym wątpliwości wzrokiem, ale skinęłam głową.

– Idź, idź. Ja tu zostanę.

– Proszę się o nic nie martwić – dodał Michele. – Hamid jest naprawdę dobrym tancerzem. Kiedy Allah nie widzi, wywija jak opętany.

Mężczyźni roześmiali się i Wera odeszła z Arabem w głąb pokładu. Ludzie tańczyli właściwie wszędzie, ale tam było znacznie więcej miejsca.

Po raz pierwszy zostałam z Markizem sam na sam. *Tête-à-tête*, jak mawiają Francuzi.



Kochany, Najdroższy, Najmilszy...

Nie, nie. Powinnam skreślić te słowa. Zaczynałam już list na milion różnych sposobów i zaraz go darłam. Mam Ci tyle do powiedzenia, a nie wiem, jak się do Ciebie zwrócić. Proszę, błagam, powiedz, jaką formę lubisz najbardziej? Jak zwracali się do Ciebie najbliżsi? Ci prawdziwi najbliżsi, nie ci, którzy tylko za takich chcieli uchodzić. Wiem, że otaczało cię mnóstwo fałszywych, podstępnych ludzi, którzy w końcu wydali Cię jak Jezusa. Gnoje.

Wiedz, że byłabym dla Ciebie potulna. Robiłabym zawsze to, czego tylko zapragniesz. Nigdy bym się nie opierała. Byłabym Twoją kotką – maskotką, Twoją zabawką i najwierniejszą przyjaciółką. Mężczyzna taki jak Ty potrzebuje prawdziwej przyjaciółki. Nie tych głównianych pind, które otaczają nas na każdym kroku. Nienawidzę ich równie bardzo jak Ty. Mam ochotę chwycić za nóż i poderznąć gardło każdej idiotce, która twierdzi, że mogłaby obejść się bez faceta. Krew mnie zalewa, gdy widzę te tępe gęby kurew, które uważają, że mężczyzn można zmieniać jak rękawiczki. Pindrzą się, ubierają jak dziwki, a potem zawodzą, że jakiś facet spojrział na nie z pożądaniem. Ja byłabym Twoja i tylko Twoja. Na zawsze. Zresztą wierz mi albo nie, już jestem Twoja.

W dzieciństwie nie miałam wielu przyjaciół, ale z każdym z nich utrzymuję kontakt do dzisiaj. Jestem wierna. Mam ideały i zasady, o jakich ten popierdolony świat całkiem zapomniał. Niepotrzebne mi prawa wyborcze, abym poczuła się równa z mężczyznami. W dupie mam parytety i to, jak wiele bab jest prezesami największych korporacji. Wiem, co napisano w Biblii.

Jestem kobietą i prawą ręką mężczyzny. Jestem z żebra Adama. Jestem krwią z Twojej krwi.

Moglibyśmy wspólnie rozpieprzyć to wszystko. Podłożylibyśmy wielki ogień pod kulę ziemską i rozpalilibyśmy gigantyczne ognisko. Spalilibyśmy grzech. Spalilibyśmy rozpustę. Spalilibyśmy bluźnierstwo. Na zgliszczach zostalibyśmy tylko we dwójkę. Ty i ja. Kusi Cię ten obraz?

Nikt nie zrozumie Cię tak dobrze jak ja. Wiem o tym. I teraz wiesz o tym również Ty. Gdyby było inaczej, masz dość jaj, żeby mi o tym powiedzieć. Prawda? Nie zawieźdź mnie.



Pilot

Nie mogłem się otrząsnąć ze wspomnienia tamtej popieprzonej rozmowy z Konstancją. Lola wydawała się ukontentowana moim wytłumaczeniem, dlaczego jej przyjaciółka została stewardesą. Mimo to nie odzywaliśmy się do siebie przez długi czas po wylądowaniu w zadupiaстым porcie lotniczym Salerno-Costa d'Amalfi. Później nasza rozmowa sprowadziła się do krótkich, koniecznych wymian zdań.

Tak jak zawsze to było w naszych wspólnych, krótkich marzeniach, wynajęliśmy poobtłukiwanego fiata 500 i postanowiliśmy pojechać na północ. Wkrótce zostawiliśmy w dole czerwone dachówki Salerno, dominującą nad nimi kopułę kościoła i wznoszącą się ku bezchmurnemu niebu dzwonnice.

W pełnym skupieniu obserwowałem krętą drogę, a Lola podziwiała rozległą panoramę zatoki. Trzymała mnie za rękę, którą zmieniałem biegi. Kątem oka rejestrowałem spokojną, błękitną toń morza oraz wyrastające z niej ostre klify zatoki. Co jakiś czas odrywałem wzrok, by zerknąć na szczyty gór mające za charakterystyczną dla upalnych dni, delikatną mgiełką. Po chwili znów musiałem skupić się na prowadzeniu.

Wąska droga biegła serpentyną. Ruch nie był duży, ale nie przekraczałem czterdziestu kilometrów na godzinę. Kilkusetmetrowa przepaść po mojej lewej skutecznie temperowała rajdowe zapędy.

– Myślisz, że miała rację?

Pytanie Loli wyrwało mnie z zamyślenia. Droga na tym fragmencie prowadziła ostro w dół i wyhamowałem do minimalnej prędkości.

– W czym miała mieć rację? – zapytałem akurat, gdy minęliśmy znak informujący, że wjechaliśmy do Amalfi. Przed nami ze skały zionęła czerń tunelu.

– Dobrze wiesz.

– Teraz ty zaczynasz ten temat?

– Wiem, że od dawna chciałeś o tym pogadać. Unikałam go i uważam, że robiłam źle. Oszukiwanie się nic nie da.

Teraz Lola mówiła dokładnie tak jak Konstancja. Nie musiała wtrącać tytułów piosenek, zwrotów zaczerpniętych z angielskiego lub słówek, które mogli zrozumieć tylko licealiści.

– Wszyscy kiedyś umrzemy – odparłem. – Nawet jeżeli chciałbym o tym rozmawiać, to nic nie zmieni.

Wzruszyła ramionami.

– Mogę postarać się zapomnieć o tym temacie. Ot tak.

– Po prostu naprawdę nie musimy go wałkować.

– Chcę tylko pow...

Przerwałem jej. Właśnie wyjechaliśmy z tunelu i ostre słońce zakłuło mnie w oczy.

– Spójrz, jaki widok!

Po chwili zaparkowałem wśród setek skuterów i pojedynczych aut osobowych. Przyzwyczajeni do klimatyzacji nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaki upał panuje na dworze. Gdy wyszliśmy z fiata, uderzyła nas fala gorąca. Nawet bryza o intensywnym zapachu ryb nie była ożywcza. Morze było gładkie jak stół, a jego taflę przecinały dziesiątki statków. Daleko, niemal na horyzoncie, przesuwał się potężny wycieczkowiec. Mógł być to ten sam, którego widzieliśmy z pokładu samolotu.

Powolnym krokiem ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża. Uliczka była wąska i kręta. Po naszej prawej stronie wznosiła się brudnobiała ściana kamienic. Na ich parterze znajdowały się restauracje i sklepy. Niektóre dwu- lub trzypiętrowe budynki zaadaptowano na hotele. Na kilkusetmetrowym odcinku kamienice płynnie przeszły w obrośniętą bluszczem i śródziemnomorskimi kwiatami skarpę. W jej zboczu z górniczą zawziętością wykuto kilka prywatnych garaży. Wisiały na nich wielkie tabliczki z sankcjami za utrudnienie wyjazdu.

Droga nie miała pobocza, a stoliki restauracji stały niemal na ulicy. Szliśmy gęsiego, przez co nie mieliśmy jak rozmawiać. Nie przeszkadzało mi to. Delektowałem się wspaniałym widokiem, zapachem płynącym z pizzerii oraz knajpek, aromatem suszonego na słońcu prania i zwilżanego szlauchami asfaltu. Niewielka, żwirowa plaża pełna była turystów. Z pojedynczej wychodzącej z nadbrzeża restauracji dobiegał gwar rozmów oraz niesione bryzą strzępy włoskich szlagierów.

Wkroczyliśmy do centrum. Ulice stały się nieco szersze i zaczęły się rozgałęziać. Pojawiły się też wydzielone miejsca parkingowe oraz chodniki oddzielone od jezdni glinianymi donicami z czerwonymi kwiatami.

Znowu szliśmy obok siebie, ale nadal milczeliśmy. Trzymaliśmy się za ręce i wiedziałem, że Lola nie jest na mnie zła. Nie było między nami tego napięcia, które często towarzyszy skłóconym parom. Nie odzywaliśmy się, bo dopasowani

ludzie czasem rozmawiają w milczeniu. Tak mi się zdaje. Nasze dłonie oblepił pot, ale nie przeszkadzało nam to. Zgodnie szliśmy w raz obrany kierunku.

Katedrę i jej okolice zostawiliśmy sobie na później. Teraz odwróciliśmy się plecami do morza i wspinaliśmy stromymi uliczkami. Nie było tu wielu turystów i właśnie to nam odpowiadało. Widzieliśmy rodziny pijące kawę na balkonach kamienic, niewielkie zaniedbane patia, wreszcie minęliśmy dom, na którego podwórzu kłębiło się kilkadziesiąt kotów. Kilku malców biegało między nimi, grając w piłkę.

Im wyżej się znajdowaliśmy, tym robiło się duszniej. Pot całkowicie oblepił nam ubrania i zatrzymaliśmy się w niewielkim sklepie, aby trochę ochłoniąć i kupić wodę. W środku pachniało sprzedawanymi z lnianych worków ziołami oraz warzywami. Dwójka Włochów przekomarzała się, żywiłowo pokazując coś na pierwszej stronie wielkoformatowej gazety.

Po chwili przerwy ruszyliśmy w dalszą drogę. Mozolnie wspinaliśmy się wyłożoną kamiennymi płytami uliczką. Od czasu do czasu droga zamieniała się w długie, schodkowe podejścia. Mimo że byłem zmęczony i głodny, cieszyłem się, bo szliśmy całkowicie sami.

Już nie otaczały nas kamienice. Teraz po jednej stronie mieliśmy nagrzone, przesłonięte siatką ochronną zbcze, a po drugiej niewielki mur. Tuż za nim rozciągała się przepaść. Znajdowaliśmy się kilkadziesiąt metrów ponad kopułą katedry. Mieliśmy stąd piękny widok na całą zatokę. Słońce zbliżało się do zenitu i skrzyło białozłotymi refleksami na delikatnie zmarszczonym morzu.

Nagle drogę zagrodziła nam metalowa furtka. Podszedłem do niej i szarpnąłem, mimo że doskonale widziałem potężne kłódki.

– Zamknięte – syknąłem wściekły. – Jak można zamknąć cholerny cmentarz?

Rzeczywiście niemal od godziny szliśmy, kierując się znakami wiodącymi w stronę *Belvedere cimitero monumentale*. Nie miałem pojęcia, co to za miejsce ani czego się tam spodziewać. Nazwa kazała myśleć, że to cmentarz. Jednak co jakiś czas nieco poniżej szczytu wzniesienia ukazywała się nam potężna budowla złożona z kolumn i łuków. Mogło to być mauzoleum lub coś całkowicie innego, czego nazwa jedynie opacznie kojarzyła się z nekropolią.

Lola przyłożyła sobie butelkę wody do czoła. Przez chwilę wpatrywała się w metalową bramę, wreszcie zrezygnowana usiadła na murku.

– To dlatego szliśmy całkowicie sami – zawyrokowała.

– Myślisz, że wszyscy inni turyści sprawdzają rozkład otwarcia cmentarza albo czegokolwiek, czym to jest?

– Jeżdżą windą.

Lola skinęła głową w stronę przeszklonej konstrukcji, której wcześniej nie zauważyłem. Znajdowała się nieco powyżej nas, nad załomem skalnym. Rzeczywiście zamiast pokonywać całą tę drogę serpentyną i na piechotę, za niewielką opłatą można było wjechać windą.

– Trochę ruchu nikomu nie zaszkodziło. Poza tym co za przyjemność stracić takie widoki, gapiąc się w ścianę windy. To dla emerytów.

– Dzięki temu można mieć siłę rozejrzeć się po okolicy.

– Przesadzasz. To gorsze niż wjeżdżanie kolejką na Giewont.

Otarłem pot z czoła. Usiadłem na murku i objąłem Lolę ramieniem. Przez chwilę znów milczeliśmy. Na horyzoncie pojawiły się pojedyncze obłoczki. Potężny wycieczkowiec był już jedynie skrzącym w słońcu punkcikiem. Fatamorganą.

– Wiesz, wcale się jej nie boję – odezwałem się jako pierwszy. Lola oparła głowę na moim ramieniu, ale widziałem, że zaciska usta. Jej wargi drżały. – Nie boję się jej. Chciałbym, żebyś to wiedziała.

– Wiem.

– To już nasza druga podróż. Druga z trzech. Cokolwiek miałyby się wydarzyć, jesteście tu razem.

– Tak... – Lola chciała powiedzieć coś więcej, ale głos się jej załamał.

– Nie boję się jej – powtórzyłem.

Prawdą było jednak, że sam nie potrafiłem siebie przekonać. Wiedziałem jednak, że Lola całkowicie mnie rozumie. Rozmowę o wszystkim odbyliśmy w milczeniu, wspinając się ku cmentarzowi, który był zamknięty na cztery spusty.



Stew

– Przyplynałeś tu z Emiratów? – zagaïłam, starając się przerwać niezręczną ciszę. Markiz popijał whisky bez lodu i spoglądał w czerń oceanu. Szaleństwo imprezy zdawało się rozgrywać gdzieś poza nami. W całkiem innym świecie. Tu byliśmy tylko ja i on. Konstancja i Wera tańczyły kilkanaście metrów dalej na pokładzie dziobowym. Z głośników leciały dzikie, afrykańskie rytmy.

Michele odwrócił się do mnie. Oparł się plecami o reling i przecesał dłonią rozwiewane przez bryzę ciemne włosy.

– Przyleciałem – odezwał się niskim, spokojnym tonem. Nie musiał krzyczeć, abym go słyszała. – W zasadzie nie lubię pływania po oceanie. Mam jachty na paru akwenach, a to jeden z moich ulubionych.

Mówił to bez cienia wyższości. Stwierdzał fakt, który dla niego stanowił coś całkowicie naturalnego. Znów zaczął mnie świdrować wzrokiem. Początkowe skrępowanie mijało. Nie czułam się w jego towarzystwie tak nieswojo jak ostatnio.

– Lubię obserwować sztormy z łądu – ciągnął Markiz. – Nie mam choroby morskiej, ale jachty wydają mi się cholernie kruche – słowo „kruche” wymówił z naciskiem. – W samolotach czuję się bezpiecznie, choć mam pod sobą dziesięć kilometrów nicości. Chyba nicość odpowiada mi bardziej niż kotłująca się woda.

- Utopienie się to paskudna śmierć.
- Mój brat się utopił, gdy był małym chłopcem.
- Przykro mi...

- Daj spokój. - Markiz machnął ręką. Przez jego twarz na moment przemknął wyraz cierpienia, ale zaraz znów się rozpogodził. - Nawet go nie pamiętam. Podczas jednego z przyjęć wpadł do basenu przy willi pod Rzymem, którą moi rodzice kupili parę dni wcześniej. Nikt tego nie zauważył. Szukano go cały wieczór, bo jego ubranie tak nasiąkło, że pociągnęło go na samo dno. Od tamtego czasu matka kazała zlikwidować wszystkie baseny. Ale - Michele odstawił szklankę i wyciągnął w moją stronę dłoń - dlaczego rozmawiamy o takich sprawach! Zatańczymy? Nalegam.

Zadrżałam. Spuściłam wzrok i poczułam falę gorąca przelewającą się przez moje ciało. Zwierzęcy magnetyzm Markiza przyciągał mnie do niego. Zapomniałam o informacjach znalezionych w internecie. Nagle wszystkie wątpliwości i domysły stały się nieistotne.

- Chętnie - zgodziłam się. - Tyle że chyba nie do końca czuję ten rytm.
- To nic.

Michele oderwał ode mnie wzrok i zerknął gdzieś w stronę nadbudówki. Kilukrotnie machnął ręką, wreszcie obrócił w powietrzu palcem, jakby kreślił w poziomie zero albo literę „o”. Muzyka momentalnie zamilkła. Sekundę później afrykańskie tony zastąpił powolny walc.

- Teraz lepiej? - Markiz uśmiechnął się, zadowolony z radosnego zaskoczenia, które musiał wyczytać z mojej twarzy. - Lubisz bostona?

- Chyba tego też nigdy nie tańczyłam.

- Więc spada na mnie przyjemność pierwszego razu. Możesz mi w pełni zaufać.

Boston był zdecydowanie wolniejszy od walca wiedeńskiego. Markiz prowadził mnie pewnie po ograniczonej przestrzeni pokładu. Wciąż trzymaliśmy się na dystans od reszty tańczących na przodzie statku. Kilukrotnie gubiłam kroki, ale w końcu wczułam się w powolny, posuwisty rytm.

- Wspaniale pani tańczy! - Nie wiem, dlaczego znów byliśmy per „pani”. - To dla mnie ogromna przyjemność. - Markiz pochylił się i szeptał mi niemal do ucha. Jedną dłonią delikatnie obejmował moją dłoń, a drugą trzymał niemal wyprostowaną na mojej talii. - Boston kojarzy mi się z amerykańskimi latami dwudziestymi. To wentyl spokoju dla charlestona i innych wygibańców, przy których pewnie bym się połamał. A mimo to czuję ducha tamtej epoki.

- Wielkiego Gatsby’ego?

- Tak, też. - Moja uwaga wyraźnie ucieszyła Michelego. Znacznie się ożywił. - Lubi pani literaturę amerykańską?

- Lubię Hemingwaya i Steinbecka. Czasem też Fitzgeralda, ale bywa strasznie nierówny.

- O, tak! Od „Wielkiego Gatsby’ego” wolę „Tenera è la notte”, nie wiem, jak dokładnie brzmi tytuł po angielsku.

- „Czuła jest noc”. Po prostu.

- Zgodzi się pani, że w tej książce tkwi jakaś dojmująca prawda? Ona jest piekielnie autentyczna.

Zarumieniłam się. Byłam wściekła, ale nie potrafiłam tego powstrzymać. Markiz używał ładnego, wyszukanego języka, lecz robił to całkowicie naturalnie.

- Tej nie pamiętam - stwierdziłam szczerze. - Czytałam ją pewnie kilkanaście lat temu.

- Musiała się pani bardzo wcześnie nauczyć czytać. - Markiz nie przestawał się uśmiechać. - Proszę ją sobie przypomnieć. Pewne pozycje docenia się dopiero po latach.

- Na przykład Tołstoja. I Manna.

- Pani myśli dokładnie jak ja!

Markiz obrócił mną i ponownie pochylił się, szepcząc mi wprost do ucha.

- Uważam, że „Czuła jest noc” została napisana właśnie w rytmie bostona. Powolnym, ale zarazem takim, w którym każde zdanie, ten każdy książkowy krok, ma znaczenie.

- W takim razie będę musiała to sobie przypomnieć.

- Koniecznie.

Michele nieznacznie odsunął się ode mnie, jednak wciąż trzymał mnie za dłoń. Następnie delikatnie mnie ku sobie pociągnął. Wygięłam się, opierając na jego muskularnym ramieniu. Przez ułamek sekundy pozostawał idealnie wyprostowany. Potem pochylił się, jakby chciał mnie pocałować, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Tylko kilka centymetrów dzieliło nasze usta. Przebiegł mnie przyjemny, podniecający prąd. Nim zdążyłam się otrząsnąć lub poczuć skrępowanie, z głośników ryknęła żwawa, współczesna piosenka.

- Ludzie nie potrafią się bawić. - Markiz na powrót się wyprostował i delikatnie mi się uklonił. - Dziękuję za ten taniec. Byłaś wspaniała.

Znów byliśmy na „ty”. Jakby dla chwil uniesienia, dla tańca i sztuki zarezerwowane były formy wyższe. Jakby wtedy musiało nas łączyć coś bardziej wzniosłego.

- Chciałaś mnie o coś zapytać? - Michele wziął szklanekę z whisky i się napił. - Śmiało.

Nie wiem, jakim cudem wyczuł, że niespodziewanie zaczęłam się nad czymś zastanawiać. Przez chwilę się nie odezwałam. Udałam, że szukam swojego drinka, wreszcie go wzięłam i również upiłam łyk. Spojrzałam na czarny ocean, w którym odbijały się światła z jachtu.

- No, dalej - nalegał Markiz. - Nie wahaj się! Możesz mnie zapytać, o co tylko zapagniesz.

Jego chłopiący, beztroski ton dodał mi animuszu.

- Za co wznosiłeś toast? - zapytałam. - Tam, na górze, ze swoimi przyjaciółmi.

- Ach, to... - Michele sięgnął do kieszeni i wyciągnął cygaro. Obciął je, a końcówkę wyrzucił za burzę. - Dziś świętuję... Powiedzmy, że swoje urodziny, choć to nieco bardziej skomplikowane.

- Może być coś skomplikowanego w tym, czy się ma urodziny, czy ich się nie ma? Powinam ci chyba złożyć życzenia.

- Wszystkie już dawno się spełniły. Albo właśnie się spełniają. - Markiz odpalił cygaro i po chwili wypuścił z ust gęsty kłęb dymu. Zaciągnęłam się przyjemnym, drzewnym aromatem. - Poza tym szkoda zajmować się mną. Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego o tobie.

- A ja...

Wymijająca odpowiedź na moje pytanie zaciekała mnie, lecz uznałam, że nie będę drążyła tego tematu. Skoro Markiz nie chciał o nim mówić, wolałam nie naciskać. Poza tym jego pełna uwaga znów skupiła się na mnie. Mimowolnie odszukałam wzrokiem Konstancję i Werę. We dwie bawiły się w większym gronie. Konstancja jakby wyczuła moje spojrzenie, odwróciła się i mi pomachała. Tańczący obok niej Hamid zrobił to samo. Odmachnęłam im.

- Przyjaciele. - Markiz stanął tuż koło mnie. Nasze ramiona się dotykały. - Jesteśmy szczęśliwi, gdy są wszystkim, co mamy.

Te wypowiedziane w zadumie i z pełną powagą słowa zdziwiły mnie.

- To znaczy? Chyba nie do końca rozumiem.

- To znaczy, że po ich śmierci tęsknimy mniej niż po śmierci kogoś z rodziny. A jednocześnie możemy polegać na nich znacznie mocniej.

- Sądzę, że to zależy. I od rodziny, i od przyjaciół.

- Naprawdę? - Markiz po raz kolejny pociągnął cygaro. Nadal stał obok mnie, ale wiedziałam, że patrzy w stronę oceanu. Jego palce smagnęły moją dłoń, choć jej nie uchwyciły. - Kochasz swojego ojca? - zapytał niespodziewanie.

- Bardzo - odparłam zgodnie z prawdą.

- Ale nie rozmawiasz z nim o problemach miłosnych? Nie radzisz się, co zrobić w takiej sytuacji? - W tym momencie Michele objął mnie i przycisnął do siebie. Zrobił to delikatnie, a ja się nie opierałam. Omiótł mnie gęsty dym cygara zmieszany z aromatem perfum Markiza. Byłam jak szmaciana laleczka, którą ścisnął w ramionach. Mógł zrobić ze mną, co chciał. Czułam się bezpiecznie i pewnie. Choć nie rozumiałam, do czego zmierza, wiedziałam, że nadajemy na tych samych falach. Różniliśmy się we wszystkim, a jednak...

- Nie - odpowiedziałam drżącym głosem. - Jestem już dużą dziewczynką.

- Powiedziałyby ci, że to szaleństwo. Powiedziałyby ci, żebyś nie traciła czasu na kogoś takiego jak ja. Jestem o tym przekonany.

- Zapewne nie byłby zachwycony, bojąc się, że to tylko zabawa. Takie jest prawo ojców.

- Do odmawiania szczęścia? - Markiz wbił palce w moje włosy, po czym przeciągnął dłoń w dół aż do karku. Na skórze czułam jego krótkie paznokcie. - No, powiedz, czy ojciec ma prawo kazać córce porzucić szczęście?

- Sądzę, że ojcowie myślą perspektywicznie.

- A ta chwila nie ma perspektyw? - Michele rzucił niedopalone cygaro na stolik i jeszcze mocniej przycisnął mnie do siebie. Lewą dłoń poprowadził po moich plecach. Zatrzymał ją tuż nad paskiem bufiastych spodni. Wsunął dwa palce pod gumkę. - Czy przyjemne wspomnienia nie są wystarczającą perspektywą? W ogóle czy jest sens planować perspektywy? Życie to nie jest cholerny biznes. Jest czymś znacznie więcej. Możesz w nim plajtować nieskończenie wiele razy, a potem znów być na szczycie. W biznesie potrafią to tylko oszuści.

- A w życiu nie? - zagadnęłam, starając wczuć się w metaforę Markiza. Zadrżałam, gdy pochylił się i niemal oparł czołem o moje czoło. Westchnął. Po chwili pełną piersią wciągnął zapach moich włosów. Pocałował mnie w czubek głowy, jak niegdyś robił to mój ojciec.

- W życiu nie - powiedział, przeciągając palcami tuż nad moim prawym pośladkiem. Drugą dłonią powiódł po moim boku, niby przez przypadek musnął przez koszulę miseczkę stanika i dotknął mojej szyi. Miał ciepłą, ale nie gorącą dłoń. - W życiu oszuści nigdy nie są szczęśliwi. Nigdy nie trafiają na szczyt. Czasem wydaje się im, że się na nim znaleźli, ale to nieprawda. Ich naturą jest oszukiwanie samych siebie. Nie mają przyjaciół.

- Ale my mamy.

- Owszem. Dlatego już dawno zwróciłaś moją uwagę.

- Bo mam przyjaciółki?

Markiz delikatnie uniósł mi twarz i pocałował mnie w skroń. Następnie jego usta smagnęły o płatek mojego ucha. Kolejny dreszcz przeszył moje ciało. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Byłam szczęśliwa. Chciałam krzyknąć z radości, a jednocześnie nie chciałam, by ktokolwiek zwrócił na nas uwagę. Pragnęłam zachować te chwile tylko dla nas. Zazdrośnie strzegłabym ich przed resztą świata.

- One jedynie utwierdziły mnie w tym, co robię.

- Chyba nie do końca rozumiem...

Michele nie zwrócił na te słowa żadnej uwagi. Wyprostował się i objął mnie obiema rękoma w talii. Trzymał mnie, jakby chciał chronić przed chłodną bryzą. Tymczasem od środka palił mnie potworny gorąc.

- Za Hamida oddałbym życie - oznajmił z pełną powagą. - Pewnie tak samo jak ty za swoje przyjaciółki.

Skinęłam głową, a Markiz kontynuował.

- Jego rodzice służyli moim, a później prowadzili razem interesy. Czasy zmieniały się, a my szanowaliśmy tych, którym mogliśmy zaufać.

– To rozumiała. Choć wtedy w aucie odniosłam wrażenie, że coś cię krępuje. Nie zachowywałaś się jak... – zawiesiłam głos, starając się znaleźć właściwe słowo. W końcu zakończyłam w sposób, który przyszedł mi na myśl jako pierwszy. – Nie zachowywałaś się jak teraz.

Michele poruszył się w rytmie jednego z hitów Sinatry. Był to pierwszy utwór od dawna, który kojarzyłam. Choć, prawdę powiedziawszy, gdyby mnie zapytać, nie pamiętałam, co działo się wokół od co najmniej kwadransa.

– Mam wiele lęków – Markiz wyszeptał mi prosto do ucha. – Boję się śmierci przez utopienie, ale jeszcze bardziej nie lubię prowadzić aut. To głupie, prawda? Powierzam swoje życie komuś innemu. Ale gdy prowadzi Hamid, czuję się bezpiecznie. Kierowca w każdej chwili może cię zabić. Rozumiesz, co mam na myśli?

Chyba nie rozumiałam, ale przytaknęłam. Było mi tak gorąco, że wysunęłam się z objęcia Markiza. Oparłam się o reling i spojrzałam na majaczące w oddali światelka portu. Miałam miękkie nogi. Marzyłam o tym, aby ta chwila trwała jak najdłużej, a jednocześnie chciałam, by sytuacja natychmiast się wyjaśniła. Czy kokietował mnie jak wiele kobiet? Zalecał się? Uwodził? Czy chciał dzisiaj czegoś więcej? Kiedy? Teraz? Za chwilę?

Boże. Chciałam natychmiast poznać odpowiedzi na te pytania.

– Ty też możesz ich z łatwością zabić – ciągnął Michele. – W każdej chwili możesz zbić szybę, próbować otworzyć drzwi, zdzielić ich wprost w potylicę przy stu milach na godzinę. Dlatego tak bardzo liczy się wzajemne zaufanie.

Czułam, że Markiz pilnie lustruje mnie wzrokiem. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Teraz jego ton nie był bez troski ani chłopiący. Mówił z dziwną, zimną żarliwością. Ale nie bałam się.

Już się go nie bałam.



Pilot

Wspominałem o dziecku, które zmarło. O Synusiu. O Królewiczu. O Nim. Było to jeszcze przed Lolą. Królewicz był dzieckiem moim i Konstancji. Z Konstancją wiązała się tylko śmierć. Wiele związków rozpada się po śmierci dziecka, a my staraliśmy się o nie ponownie. Bez skutku.

Ale wybiegłem nieco w przyszłość. Nie aż do Amalfi i Loli, lecz dla porządku tej historii muszę opowiedzieć o ojcu Konstancji. Tak, właśnie o tym wstrętnym milionerze, który wychował ją pod cholernym kloszem. Czasem myślę, że to była bańka, z której odessano całe powietrze. Wypełniona próżnią i nicością.

Śmiercią.

Ale to nie ma znaczenia. Ojca Konstancji widziałem dwa razy w życiu. Po raz pierwszy, gdy wparował do jej mieszkania i musiałem stać się mimowolnym świadkiem bezsensownej kłótni. Wtedy właściwie zignorował moją obecność. Potraktował mnie, jakbym nie istniał. Nie odpowiedział na moje przywitanie ani na próbę podjęcia mediacji między nim a Konstancją. Awantura dotyczyła jej pomysłu zapisania się na kurs dla przyszłych cabin crew. Chłop po prostu nie mógł tego przeboleć.

Wychodząc, obrzucił mnie wymownym spojrzeniem. Obwinił mnie za całe zło świata. Pamiętam jego długą, szarą twarz i głęboko osadzone błękitne oczy. Lustrowały mnie pilnie przez kilka sekund. Nozdrza jego prostego nosa pracowały, jakby chciał wyczuć mój zapach. Nagle bez słowa wyszedł na korytarz i trzasnął drzwiami.

Wiem, że chciał dla Konstancji jak najlepiej. Oddałby za nią życie, bo też była dla niego całym życiem. Zdaje się, że jej brata traktował jako zbyteczny element systemu ekonomicznego, który kazano mu nazywać rodziną. Nie utrzymywali niemalże kontaktów. Oczywiście prócz regularnych przelewów, które dobry ojciec wysyłał na konto obojga swoich dzieci.

Drugi raz ojca Konstancji spotkałem w kawiarni. Jakies pół roku po scysji w mieszkaniu zaprosił nas na kawę i ciastko. Wymigiwałem się, ile mogłem, ale ostatecznie sam uznałem, że nie wypada dezertować. Jedyne, co mogłem stracić, to czas. Nie żebym nim szafował, lecz bilans zysków i strat wychodził na zero. Wiedziałem, że zgadzając się przyjść, robię Konstancji przyjemność.

Wystroiłem się w najlepszy, bo jedyny garnitur i stawiłem punktualnie pod umówionym adresem. W tamtym czasie pomieszkowałem u Konstancji, lecz jeszcze się w pełni do niej nie wprowadziłem. Dla zachowania pozorów postanowiliśmy, że przyjdę oddzielnie. Woleliśmy nie narażać jej staruszka na dodatkowy stres. A przy okazji nie zaprzepaścić i tak nikłej szansy spędzenia wspólnie miłego czasu.

Był początek grudnia i ulice udekorowano już świątecznymi instalacjami. W oknie kawiarni siedziało kilku Świętych Mikołajów, szybę oprószono brokatem i przyklejono płatki śniegu w skali miliard do jednego. Poza tym na stolikach ustawiono stroiki ze sztucznych gałązek iglaka.

Szmira.

Szajs.

Ale ojciec Konstancji był w zaskakująco dobrym humorze. Czekał na nas przy wejściu i zaprowadził do wybranego wcześniej stolika. Chciał siedzieć przy oknie z widokiem na wewnętrzne patio. Padał deszcz ze śniegiem. Temperatura była na plusie i na bruku utworzyły się kałuże.

Zamówiliśmy kawy z cynamonem oraz skórka pomarańczy i obawiałem się, że w trakcie czekania będziemy milczeć. Tymczasem ojciec Konstancji okazał się duszą towarzystwa. Sypał dowcipami, opowiadał o ostatnim udanym przetargu, chwalił córkę, że ma jego krew i czasem mu się potrafi przeciwstawić. Nie

wypytywał o mnie. Przynajmniej nie robił tego w ten natarczywy sposób, jaki zdarza się niektórym ojcom. Rozmawiał ze mną o szybowcach, o lataniu i o tym, jak wyrobić licencję pilota. Musiał o tym poważnie myśleć, bo zaskoczył mnie ilością zebranych informacji. Był jednym z tych ludzi, którzy nie poruszają tematów, o których nie mają zielonego pojęcia. Przypuszczam, że przed przyjściem do kawiarni solidnie przemyślał zagadnienia warte poruszenia. I musiał to zrobić ze szczerymi, dobrymi intencjami. Ani razu nie zбочyliśmy na żaden drażliwy temat. A staż Konstancji przygotowujący do pracy na pokładzie samolotu nie wzbudzał już w nim żadnych głębszych emocji. Właściwie kwitował go pobłażliwym uśmiechem. Traktował go zapewne jako kolejną z miliona fanaberii ukochanej córki.

Tego przedpołudnia jego twarz była znacznie bardziej odprężona, niż gdy spotkałem go po raz pierwszy. Miał rozluźnione rysy, a pilne spojrzenie błękitnych oczu nie było tak natarczywe. Świdrowało, lecz nie oceniało. Wydawało mi się nawet, że dostrzegam w nim radosne błyski. Potraktowałem je jako symptom sympatii i całkiem się odprężyłem.

Ojciec Konstancji opowiadał o interesach oględnie, lecz z pasją. Widać było, że poświęcił się im, bo był w tym dobry i lubił to robić. Jego dwie firmy inwestowały na Bliskim Wschodzie. Trzecia wznosiła luksusowe apartamentowce w Bułgarii i Ukrainie. Oczywiście z działalnością każdej wiązało się mnóstwo anegdot.

O dziwo, ani razu nie poczułem się jako ten gorszy. Nie pojawiły się żadne aluzje do tego, czym się zajmuję i jaki mam z tego dochód. Jednak ojciec Konstancji interesował się szybownictwem jako biznesem. Zastanawiał się nad perspektywami rozwoju, możliwościami inwestycji i ewentualną stopą zwrotu. Dopiero po naleganiach córki zdecydował się zmienić temat, lecz obiecał mi, że jeszcze do niego wrócimy. Miał rozważyć udzielenie mi nieoprocentowanej pożyczki na zakup samolotu, abyśmy mieli alternatywę dla wyciągarki. Problem braku drugiego licencjonowanego pilota nie był dla niego istotny.

– Może ja sam się tym zajmę? – zasugerował z błyskiem w oku. – Co o tym sądzisz, Konstanieńko? Dałbym radę się jeszcze czegoś nauczyć?

Zwracał się do swojej córki jak do małego dziecka. W jego ruchach, sposobie mówienia i mimice był aż przesyty ojcowskiej czułości. Gdyby mógł, z chęcią wzięby ją na kolana. Otoczył ramionami i nie pozwolił zejść, nawet gdyby miał nastąpić koniec świata.

Mam wrażenie, że tamtego dnia nie poruszyliśmy tylko jednego tematu. Matki Konstancji. Nie pojawiła się o niej ani jedna wzmianka, a ja wcześniej również o nic nie pytałem. Nie zamierzałem też próbować się niczego dowiedzieć. Uznałem, że na wszystko przyjdzie pora. Poza tym nie byłem aż tak ciekawy.

Ojciec Konstancji co chwilę odruchowo gładził gładko ogoloną brodę. Gdy opowiadał smutne historie, wyginał usta w podkówkę albo ocierał niewidoczne łzy. Nie sądziłem, że może się okazać równie ekspresyjnym facetem. Spodziewałem się

starego drania, biznesmena, któremu z trudem przez gardło przejdą słowa przywitania. To, z jakiej strony się prezentował, wyraźnie cieszyło Konstancję. Co chwilę zaciskała pod stolikiem dłoń na mojej dłoni lub na udzie. Śmiała się. Szczerze i niepohamowanie. Domyślałem się, jak wielką ulgę odczuła. Chyba spodziewała się prawdziwej katastrofy.

Kiedy przeszliśmy do tematu dzieci, ojciec Konstancji gwałtownie uniośł ręce. Wykrzyknął coś, przytknął palec do ust i przewrócił oczami. Roześmialiśmy się. Wtedy klepnął mnie w bark i zajął mi głęboko w oczy. Chciał o coś zapytać, ale przeszkodził mu dzwonek telefonu. Refren z piosenki z płyty *The Wall* Pink Floydów.

- Co, do cholery... - syknął, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Wyciszyłem wszystkie dzwonki prócz... - Zerknął na wyświetlacz komórki. Jego twarz gwałtownie spochmurniała, a mięśnie szczęki zadrżały. - Przepraszam. Muszę odebrać.

Wstał od stolika i ruszył w stronę wyjścia. Gdy zniknął w głębi sali, Konstancja utkwiała we mnie wymowne spojrzenie. Wiedziałem, że oczekuje jakiegokolwiek reakcji oraz spostrzeżeń.

- Inny człowiek niż ostatnio - mruknąłem. - Naprawdę miło się dzisiaj rozmawia.

- *Daddy* ma dwa oblicza.

- Z pewnością w obu z nich jesteś jego oczkiem w głowie.

- Tak, tyle że...

Konstancja przerwała. Usłyszałem za sobą kroki, a po chwili jej ojciec stanął obok stolika. Miał napiętą twarz i co chwilę zaciskał usta.

- Coś się stało? - zapytała Konstancja.

- Muszę lecieć. Ta banda idiotów nie potrafi sobie poradzić pięć minut sama...

- Wyczulij, tato. Zbyt surowo oceniasz ludzi. Jeżeli posiedzisz z nami jeszcze chwilę, świat się nie zawali. Daj mu szansę pokręcić się samemu.

Konstancja usiłowała rozweselić ojca i nakłonić go, by wrócił do stolika. Ten jednak znowu przybrał oficjalne oblicze biznesmena zafrasowanego walką o zasobną przyszłość. Sięgnął do wieszaka po płaszcz, wyciągnął portfel, po czym ukradkiem wsunął w dłoń córki kilka banknotów. Przytulił ją. Pocałował w przedziałek i pogładził po plecach. Szepnął coś do jej ucha. Gdy się wreszcie od niej oderwał, podał mi dłoń i mocno uściskał. W jego spojrzeniu nie dostrzegłem niechęci.

- Tato...

Moją uwagę zwrócił dziwny ton Konstancji. Jej głos drżał. Chciała coś powiedzieć, lecz zamiast tego jeszcze raz przytuliła się do ojca. Ten uśmiechnął się i z wyraźną niechęcią wywinął z jej uścisków. Bąknął coś niezrozumiale. Wreszcie skierował się do wyjścia i niemalże wybiegł na ulicę. Drzwi brzęknęły o ścianę. W tym samym momencie Konstancja rzuciła się po kurtkę. Pośpiesznie ją nałożyła

i nagle zastygła w pół ruchu, jakby uznała, że jednak nie ma potrzeby nigdzie wychodzić. Spuściła głowę.

– Co jest? – zapytałem. – Wychodzimy?

– Wyczułeś to?

– Co?

– Kurwa. – Konstancja zakłęła i przysłoniła dłonią drżące usta. – To nie perfumy.

– O czym ty mówisz?

W jej oczach dostrzegłem łzy. Z trudem powstrzymywała płacz.

– Mój ojciec. Teraz od niego poczułam ten pieprzony zapach.

Obszedłem stolik i położyłem dłonie na jej biodrach. Nie interesowało mnie, że goście ze stolików obok zaczynają się nam przypatrywać. Przytuliłem Konstancję. Przeczesalem palcami jej włosy i uśmiechnąłem się łagodnie. Naprawdę byłem wtedy zakochany.

– Ten sam zapach, który czujesz od paru miesięcy ode mnie, i nic mi nie jest? Chyba nie ma się czym martwić.

– Od ciebie wciąż jest delikatny. Wyraźny, lecz delikatny. A u niego... Mój Boże... Nigdy nie czułam go tak intensywnie.



Dziękuję, dziękuję, dziękuję za Twoją odpowiedź. Dziękuję za każde słowo. Czytałam Twój list tyle razy, że nauczyłam się go już niemal na pamięć. I wiesz co? Staralam się sobie wyobrazić, że to ja go piszę. Wyobrażałam sobie, że jestem Tobą i pochylałam się nad tą kartką papieru. Tam. W zamknięciu. Z dala od prawdziwych ludzi. Bo przyszło mi do głowy, że ktoś taki jak Ty musi otaczać się marzeniami.

Wyobrażasz sobie świat, jakim chciałbyś go uczynić. Widzisz go tak, jakbyś sam go stworzył. To cecha ludzi wyjątkowych. Mam nadzieję, że się nie mylę.

A tamta dziewczyna... Pomagała Ci? Wierzyła w Ciebie? Dopingowała we wszystkim, co robisz? Nie jestem zazdrosna. Jestem jedynie piekielnie ciekawa. Wszystko bym dała, aby być na jej miejscu. Pozwoliłbyś mi? Myślisz, że nadałabym się do tego i wytrzymała Twoją próbę? Jesteś w stanie to wyczuć po przeczytaniu tych kilku zdań?



Stew

– Jeszcze jednego? Zapalimy, prawda?

Markiz nie trzyma w dłoni cygara. To leży na stoliku. Podaje mi krótkiego skręta z haszyszu. Nie opieram się, biorę go, a kiedy podsuwa mi zapalniczkę natychmiast się zaciągam. Bucha płomień. Wszystko wokół rozjaśnia się, jakby wzeszło słońce, a jest przecież noc. Nagle światło gaśnie i znów jest ciemno.

Zaciągam się. Kaszlę. Dym dławi mnie, a jednocześnie czuję pełne rozluźnienie. Co za błogi stan. Alkohol pozbawił mnie lęku, ale haszysz wprowadził mnie w stan nieśmiertelności. A może coś znajdowało się w zakąskach? A może sama tego chciałam?

Nie przypominam sobie.

Nie chcę sobie niczego przypomnieć.

Cienie. Wokół mnie przesuwały się cienie. Na horyzoncie mrugają światła portu. W oddali przepływa jakiś wielki statek. A może to my płyniemy? Statek mógłby się okazać portem lub na odwrót. Ta myśl wzbudza moją radość.

Po raz kolejny z głośników dobiegają tony bostona. Markiz musiał go zamówić specjalnie dla mnie. Tym razem od początku wczuwał się we właściwy rytm. Nie gubię kroków i wpasowuję się w Michelego, jakbyśmy tworzyli jeden organizm.

Jesteśmy jednym organizmem.

Konstancja macha do mnie z przedniego pokładu. Uśmiecha się szeroko. Bije mi brawo i wraca do swojego towarzystwa. Szukam wzrokiem Wery, ale nie mogę jej odnaleźć.

Kogo szukałam? Już nie pamiętam.

Tańczę, co chwilę zaciągając się skrętem. Nigdy nie czułam się taka wolna. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa i bezpieczna. Nie interesuje mnie, co powiedziała by mój ojciec. Nie mógłby mi zabronić radości. Powinien być szczęśliwy, widząc moje szczęście. Markiz miał rację. Po przyjaciołach nie tęsknimy tak bardzo jak po rodzinie. Ale przyjaciele mogą nam dać znacznie więcej.

A kochankowie?

Od kochanków mamy prawo wymagać szczęścia.

Wtulam się w pierś Michelego i zapadam się w nią jak w gęstą toń. Przez chwilę zastanawiam się, czy aby nie wpadłam do oceanu, ale nie. Otacza mnie gorąc. Czuję pocałunki na swoim czole, czuję je na oczach, na nosie i wreszcie na ustach. Moje wargi płoną. Moje ciało wygina się nie w rytmie tańca, a w rytmie ekstazy.

Wyrzucam skręta za burtę i o mało sama nie wypadam przez reling. Znów jestem w ramionach Markiza. Śmieje się i gładzi mnie po policzku. Pieści mnie. Jesteśmy na pokładzie całkowicie sami. Statek zniknął, muzyka ucichła, a ocean stał się gładki jak stół. Znajdujemy się pośrodku niczego. Czerń zasysa nas, jakbyśmy stanęli twarzą w twarz z czarną dziurą.

Imploduję. Zapadam się w siebie i mieszam z radością, która płynie z podstawy mojego kręgosłupa. Z prawdziwego czakramu kobiecego ciała.

Implozja trwa, cała drzę, a świat porusza się w rytmie palców Markiza. Jest we mnie i ja jestem na nim. Zaraz wychodzi, dotyka mnie tak, że przebiega mnie

lodowaty dreszcz. Lód rozpuszcza się i zamienia w płomień żarzący się tuż pod pępkiem. Czuję pot spływający po moim policzku.

A może to łza?

Markiz przytula mnie i przysłania mi usta. Krzyczę, liżąc jego palce. Obiema dłońmi gładzę jego twarz. Przeciagam po szorstkim, dwudniowym zarostcie i szukam swojego odbicia w zmrużonych oczach. Staram się odczytać, jak wiele kobiet widziało ten tajemniczy uśmiech. Jak wiele kobiet uwiódł ten posępny mrok?

Ocean wokół mnie gaśnie. Światło zapala się dopiero w arktycznym zimnie klimatyzowanego więzienia.

Ogrzej mnie.

Jesteś pijana. Odpocznij.

Ogrzej mnie, zaraz zamarznę.

To czysta pościel.

Pójdę za tobą.

Jeżeli właśnie tego chcesz.

Mróz w kolejnej lodowej sali tężeje. Potęguje go huraganowy wicher przeciagu. Okna są otwarte, a w środku pali się tylko jedno światło. Rolety biją o okna. Lampa zaciągnięta jest niebem. Przysłania ją niebieska folia lub...

Gubię wątek. Na chwilę moje myśli uciekają gdzieś w stronę kosmosu, gdzie na pewno spotykają się z naganą mojego ojca. Nie chcę teraz o nim myśleć. Chcę myśleć o Markizie. Nie istnieje już nic poza nim.

A jednak wokół są ludzie. Dwie, maksymalnie trzy osoby. Nie widzę. Markiz jest tuż obok. Znów pali cygaro i czuję jego cedrowy zapach.

Kobięcy pisk. Dziki, gardłowy pisk. Widzę sylwetkę wleczoną po podłodze i wpatruję się w nią z pełnym skupieniem. Zarys przypomina schowanego do skorupy żółwia olbrzyma.

A jednak to człowiek, który nigdy nie dożyje stu lat. Kobieta płacząca i dławiąca się łzami. Błagająca o litość. Tarzająca się i starająca walczyć o wolność. Przyszły niewolnik prowadzony na targowisko próżności. Czytałam o zanzibarskich handlarzach żywym towarem. Przez półtora wieku nic się tu nie zmieniło. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Wszyscy jesteśmy ofiarami życia.

Kobieta ma jeszcze nadzieję. Wzbudza ją w niej ton Markiza, którym ten zwraca się do jednej z osób. Na moment przestaje żałośnie łkać, a przysłuchuje się słowom. Nie wiem, czy je rozumie. Dla mnie są białym szumem w tle radości. Nic nie może mi zepsuć nastroju.

To miłość. Na nią nie da się nic poradzić.

Słyszę tylko te dwa zdania, lecz nie wiem, kto je wypowiada. Podobają mi się. Chciałabym mieć podobne motto życiowe. Powtarzam je kilkukrotnie, aby pamiętać, gdy się obudzę. Powtarzam je bez końca, aż nie słyszę nic poza nimi. Dwa

zdania wypowiedziane moim głosem są całym światem. Nie ma nic wokół. Nie ma już nawet Markiza.

Już dość. Tym razem imploduję na dobre. Zapadam się w sobie i odkrywam najgłębsze pokłady nicości.

Kobieta, która wyczuwa śmierć. To prawda?

Nie wiem, dlaczego te zdania brzęczą mi w uszach, gdy odzyskuję świadomość. Miałam zapamiętać coś zupełnie innego. Co? Cholera.

Otwieram oczy.

Już świt.



Pilot

Ojciec Konstancji zginął w wypadku samochodowym trzy dni po naszym spotkaniu w kawiarni. Wypadł z drogi i jego mercedes za pół miliona złotych dosłownie owinął się o drzewo. Auto spłonęło. W sprawie pojawiło się sporo wątpliwości i prokuratura rozważała wątek zabójstwa. Okazało się, że w ostatnich tygodniach ojciec Konstancji dostawał pogroźki. Ponoć jakieś jego interesy nie szły zbyt dobrze i zalegał z płatnościami. Oficjalnie wszystko było w porządku. Jego firmy notowały zysk, zatrudniały coraz więcej pracowników i zdobywały kontrakty. Lecz na rynkach, na których operował, to, co oficjalne, stanowiło jedynie wierzchołek góry lodowej.

W nadpalonym portfelu znaleziono dokumenty ojca Konstancji i ćwierćdolarówkę z 1959 roku, którą zawsze nosił na szczęście. Jednak to było za mało. Aby zidentyfikować zwęglone ciało, potrzebne były testy DNA. Nie wiem, dlaczego śledczy nie chcieli oprzeć się na dokumentacji medycznej oraz stomatologicznej. Wykonano sekcję, lecz w sprawie wciąż były wątpliwości. Kilkukrotnie musieliśmy odkładać termin pogrzebu. A żeby była jasność, niemal cała organizacja spadła na mnie. Daniel nie odbierał telefonów. Odciął się od świata, jakby w ten sposób mógł cofnąć czas. Albo jakby dawał wyraz, że ta śmierć kompletnie go nie obchodzi.

A Konstancja...

Śmierć ojca kompletnie ją rozbiła. Łykała całe garście środków uspokajających i zapijała je wódką. Chciała spać. Budziła się, wymiotowała i kazała mi opuścić jej mieszkanie. Sorry. Wypieprzać z jej mieszkania.

Oczywiście zostawałem, starałem się nią zająć i podmieniałem część tabletek na nieszkodliwe witaminy. Potem sytuacja się powtarzała. Rzyganie, obwinianie całego świata, nakaz eksmisji i znów płytki, przerywany sen. To trwało przez ponad tydzień, aż do pogrzebu.

Śmierć ojca Konstancji również na mnie wywarła głęboki wpływ. W głowie wciąż kłębiły mi się myśli, czy Konstancja naprawdę mogła ją przewidzieć. Czy nie był to tylko idiotyczny zbieg okoliczności? Czy nie mogła podświadomie podsłuchać gdzieś gróźb kierowanych do ojca i przekuć ich w zapach śmierci? W końcu tamtego dnia, w kawiarni, mogło stać się właśnie coś takiego. Zmiana, jaka dokonała się w jej ojcu po odebranych telefonie, idealnie pasowała do obrazu sytuacji nakreślonego przez prokuraturę.

To były moje tłumaczenia. Starłem się racjonalizować coś, co było racjonalności całkowicie pozbawione. Roztrząsałem każde słowo i gest Konstancji. Słyszałem o kotach, które w szpitalach lub hospicjach siadały przy łóżkach chorych, którzy mieli wkrótce umrzeć. Ale człowiek? Może rzeczywiście istniała jakaś aberracja genów, która wyostrzała zmysły. Tyle że jak mogła pachnieć niespodziewana śmierć?

Rozumiałem, że swój zapach mogą mieć samobójcy. W ich mózgach zachodzą przecież zmiany chemiczne i dopuszczałem myśl, że na przykład depresję da się wyczuć. Gdzieś nawet o tym czytałem. Ale śmierć w wypadku? Oczywiście zacząłem zastanawiać się, czy ojciec Konstancji nie popełnił samobójstwa. Czy całkowicie rozmyślnie nie wjechał z prawie dwiema stówami na liczniku w drzewo. Wydawało się to możliwe.

Ale ja wcale nie zamierzałem się zabić. Nigdy nie myślałem o samobójstwie. Odebranie sobie życia traktowałem jako tchórzostwo lub największe poświęcenie. Tchórzem nie byłem, a poświęcać się nie miałem potrzeby. Nikt przeze mnie nie cierpiał, a zabijając się, nikogo nie mogłem uratować. Trzeciej drogi nie widziałem. Naprawdę cieszyłem się życiem jak nigdy przedtem.

A mimo wszystko zacząłem się zastanawiać, czy byłbym zdolny się zabić. Ot tak. Po prostu. Bez żadnego wyraźnego powodu. Tyle razy, prowadząc auto, zastanawiałem się, co by się stało, gdybym delikatnie poruszył kierownicą w prawo. Lecąc szybowcem, mimowolnie wyobrażałem sobie, że kieruję dziób prosto w ziemię. Albo że, stojąc na balkonie w mieszkaniu Konstancji, zbyt mocno wychylam się za barierkę. Zdaje się, że takie myśli towarzyszą większości z nas. To zjawisko opisano na wszystkie strony w branżowej prasie psychiatrycznej i psychologicznej. Nie byłem świrem. Naprawdę nie chciałem umierać.

Nie czułem zapachu śmierci. Jednak podświadomie dopuszczałem do siebie myśl, że Konstancja mogła mieć rację. Że przepowiedziała mi śmierć. Po pogrzebie jej ojca unikaliśmy tego tematu jak ognia. Baliśmy się go oboje.



Zamrugałam. Kształty otaczających mnie przedmiotów zaczęły się wyostreć. Obite drewnem ściany, zamontowany na jednej z nich telewizor, obok klimatyzator i witrażowa lampka Tiffany'ego. Bardzo ładna lampka.

Pośrodku przytwierdzony do podłogi mahoniowy stół z intarsjowanymi hebanem bokami. Wielkie okna z przyciemnianymi szybami i widokiem na pustkę. Błękit nieba? Ocean?

Gdzie ja jestem?

Oderwałam głowę od niewielkiej poduszki i jęknęłam. Łupało mnie w czaszce, jakby niewidzialna siła starała się wyrwać mi z niej mózg. Z trudem usiadłam na skórzanym łóżku, zaścielonym aksamitnie gładką pościelą. Na podłodze leżały moja torebka, koszula i spodnie. Stanik zahaczył o nogę stolika. Byłam w samych majtkach.

- Auć... - Przytknęłam palec do skroni.

Z trudem przełknęłam ślinę i jeszcze raz zamrugałam. Przy początkach migreny to czasem pomagało. Ale nie tym razem. Tego ranka nie atakowała mnie standardowa, okiełznana już migrena, a gigantyczny kac. Kurwa. Musiałam się jakoś ogarnąć.

- Niech to...

W ustach miałam trampka, a żołądek przylepił mi się do gardła. Język przypominał drewniany kołek, który wysysał całą wilgoć. Oblepiony był gęstą, kwaśną śliną.

Fuj. Czułam się jak gównno.

Do tego nie pamiętałam znacznych fragmentów zeszłego wieczoru. Boston, rozmowa o ojcu, hasz, tak, ten cholerny hasz, potem chyba drugi boston? Tego nie byłam już pewna. Jawa mieszała mi się ze snem.

Zwlokłam się z łóżka i na czworaka doczołgałam do torebki. Najchętniej obróciłabym ją, po czym wysypała całą zawartość na podłogę. Nie przerażała mnie perspektywa bałaganu ani konieczności zbierania rzeczy. Przerzązał mnie huk, jaki mógłby temu towarzyszyć.

Dlatego ostrożnie zaczęłam przebierać między przegródkami w poszukiwaniu jakichkolwiek proszków. Zawsze nosiłam przy sobie coś przeciwbólowego. Migrena dziesięć kilometrów nad ziemią to nic przyjemnego, więc musiałam się zabezpieczyć. Szczególnie gdy ma się obsłużyć kilkadziesiąt rozwrzeszczanych dzieciaków i dwa razy tyle jeszcze bardziej upierdliwych dorosłych.

Znalazłam napoczęty listek i wydusiłam tabletkę. Położyłam ją na język, ale natychmiast rozejrzałam się za wodą. Przez tak suche gardło nie dałabym rady przełknąć drospsa, nie mówiąc o sporej, chropawej tabletkce.

Obok łóżka stała szklanka z przezroczystą cieczą. Nie pamiętałam, żebym piła jakiś niekolorowy alkohol. Nie wyczułam również ze szklanki żadnego zapachu. Woda. Lub rozpuszczony lód. Taką miałam nadzieję.

Wzięłam łyk i przełknęłam tabletkę. Oparłam się plecami o łóżko. Odchyliłam do tyłu głowę i ponownie przymknęłam oczy.

Nagle za powiekami zamajaczyło mi wyrwane z kontekstu wspomnienie. Pojedynczy kadr, który rozbłysnął z całą siłą i boleśnie wżął się w mój umysł. Przypomniała mi się skrzepowana kobieta. Ta, która starała się uciec przed Markizem i jednym z jego przyjaciół. Choć cały obraz był bardzo zamazany i nie pozwalał się odtworzyć na nowo.

Może to tylko mi się śniło? Wspomnienie przypominało strzępki koszmarów, które staramy się rano uchwycić, by w dziennym świetle roztrzaskać absurdalność snu. Zazwyczaj okazuje się, że stanowią tylko niezrozumiałe sceny. Chcielibyśmy zajrzeć do sennika, lecz nie wiemy, jakie hasło mielibyśmy wyszukać.

Śniło mi się?

Zdarzyło się naprawdę?

To wszystko przez gadanie z Werą i Konstancją. Przez te kretyńskie artykuły wyczytane w internecie. Zastanowiłam się, czy stawiając sprawę w ten sposób, bronię Markiza i oszukuję swoje prawdziwe myśli, czy myślę tak naprawdę. A może nie myślę, lecz czuję?

Nim zdążyłam roztrzaskać to pytanie, usłyszałam pukanie do drzwi. Po chwili pukanie się powtórzyło.

Otworzyłam oczy i gwałtownie się poderwałam. Zatoczyłam się, ale jakimś cudem nie upadłam. Zrobiło mi się słabo. Nie wiedziałam, czy drzwi są zamknięte ani czy w ogóle mają jakikolwiek zamek.

– Chwilę! Sekunda!

Zaciskając zęby, pośpiesznie nałożyłam stanik i naciągnęłam spodnie. Zakładając koszulę, poczułam zapach cygarowego dymu. Odrzuciłam do tyłu włosy. Wyglądałam jak gówno, ale nie mogłam nic na to poradzić. W zasadzie miałam to w nosie. Działałam jak automat.

W torebce znalazłam niewielką, podróżną flaszkę perfum. Psiknęłam nimi wokół i zerknęłam w stronę okna. Było zamknięte, ale klimatyzator pracował pełną parą, więc w pokoju nie było zaduchu.

– Proszę! – krzyknęłam, siadając na łóżku i zapinając ostatnie guziki.

Eksplozja bólu przetoczyła się w mojej czaszce. Przytknęłam palec do skroni i odruchowo się skuliłam. Nawet nie usłyszałam odgłosu otwierania drzwi.

Gdy podniosłam głowę, Markiz kucnął tuż obok mnie. Na stoliku stała taca z talerzem, na którym piętrzyły się tosty. Obok, w szklanych pojemniczkach, znajdowały się rozmaite dżemy, a dalej szklanka z sokiem pomarańczowym. Z metalowego dzbanka unosił się zapach kawy.

Zdałam sobie sprawę, że Markiz o coś pytał, ale nie zarejestrowałam jego słów. Utkwiłam w nim tępe spojrzenie. Rozmasowywałam palcami skronie. To dawało niewielką, lecz zauważalną ulgę.

– Źle się czujesz? – Michele dotknął mojego kolana. – Zjedz śniadanie, od razu zrobi ci się lepiej.

– Dzięki, chyba nie jestem głodna – wydukałam z trudem.

– Bzdura. Po kilku gryzach apetyt ci wróci i poczujesz się jak nowo narodzona. Słowo daję. Poranki po haszyszu bywają bardzo męczące.

Podniosłam nieco głowę i starałam się skoncentrować. Michele miał na sobie rozpiętą do połowy szarą, lnianą koszulę z wywiniętymi rękawami oraz luźne, jasne spodnie. Był ogolony. Biła od niego mocna woń korzennych perfum. Mimo że przy migrenach drażni mnie większość zapachów, ten aromat mi nie przeszkadzał. Wręcz przeciwnie. Kojarzył mi się z czymś przyjemnym.

– Lepiej się nie przysuwaj – wyszeptalam. – Skoro sama czuję swój smród, nie jest najlepiej.

– Ja czuję jedynie wyspikane pośpiesznie perfumy.

– Boże...

– Podobają mi się.

Markiz podsunął mi pod usta szklankę z sokiem. Przechylił ją, a ja jak małe dziecko wzięłam łyk. Sok był zimny i skondensowany. Musiał zostać wyciśnięty dopiero przed chwilą z pomarańczy trzymany w chłodni.

– No, dalej. Jeszcze trochę.

– Nie, nie...

– Pij. Zaufaj mi. Doskonale wiem, że z każdym łykiem będzie ci się teraz wydawało, że napełniasz się jak beczka, ale to zaraz minie.

Posłusznie wypiałam pół szklanki, po czym się wyprostowałam. Oblizałam usta.

– Niewiele pamiętam z końcówki wczorajszego wieczoru. To ty mnie tutaj zakwaterowałaś?

– Wybrałam najlepszą kajutę.

Markiz uśmiechnął się i odstawił szklankę na tacę. Wziął tost, po czym posmarował go grubą warstwą dżemu.

– Masz, ugryź.

– Przestań.

– Proszę cię...

W głowie znów zakotłowały mi się wspomnienia. I znów stanowiły strzępki obrazów, których nie potrafiłam ze sobą połączyć ani jednoznacznie zakwalifikować do jawy, snu lub narkotycznego zwiđu.

– Przestań! – Odtrąciłam dłoń Michelego i głęboko wciągnęłam powietrze. – Gdzie są moje przyjaciółki? – zapytałam, siłąc się na surowy ton.

– W kajucie za ścianą. – Markiz skinął, jakby chciał wskazać za moje plecy. Nie wyglądał ani trochę na speszonego. Przyglądał mi się badawczo i sięgnął po kolejny tost. – Chyba jeszcze śpią. Żadna z was nie była w stanie wrócić do hotelu o własnych siłach. To może kwestia zetknięcia z tym piekielnie mocnym, lokalnym haszem...

- Bzdura!

Poderwałam się z łóżka i znów zatoczyłam. Michele podtrzymał mnie w pasie. Z pobłażliwym uśmiechem pomógł mi usiąść.

- Cholera...

- Usiądź i zjedz. Napij się.

Po tamtych łykach soku mój żołądek najwyraźniej zaczął pracować, bo poczułam głód. Wzięłam podany mi przez Markiza tost i go ugryzłam. Przez chwilę trzymałam kawałek w ustach. Smak dżemu daktylowego na języku sprawił mi autentyczną przyjemność. Zachłannie wzięłam kolejne gryzy. Błyskawicznie pochłonęłam chrupiący tost i popiłam go sokiem.

Gdy zaczęłam pałaszować drugą kanapkę, Michele przeciągnął się wyraźnie zadowolony. Usiadł na podłodze i podciągnął kolana pod brodę. Utkwił we mnie spojrzenie, ale się nie odzywał.

- Jeżeli będziesz się dalej gapił, to zarcie stanie mi kołkiem w gardle...

Natychmiast się odwrócił. Zerknął na niebieski cyferblat zegarka, a potem w stronę okna.

- Przepraszam. To dla mnie takie przyjemne...

- Patrzyć na obżerającą się, wymiętoszoną i pewnie jeszcze lekko zjaraną kobietę?

- Móc spędzać z nią poranek taki jak ten.

- Mówisz, jakby to miał być ostatni poranek naszego życia - mruknęłam, po czym sięgnęłam po dzbanek kawy.

Wydało mi się, że przez twarz Michelego przemknął dziwny cień. Wydał wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zmieszał się i wskazał na tacę. Odezwał się już z całkowicie zmienionym wyrazem twarzy.

- Nie przyniosłem filiżanki. Zaraz to nadrobię, daj mi sekundę.



Pilot

Wiele razy widziałem, jak Konstancja, mijając kogoś na ulicy, gwałtownie pochmurnieje. Oglądała się, marszczyła czoło, ale nigdy nic nie powiedziała. Domyślałem się, co może być powodem tych krótkich chwil jej zakłopotania. Potem zawsze zamykała się w sobie, stawała się mniej rozmowna i poważniała. Wolalbym myśleć, że to kwestia hormonów, PMS-a albo czegokolwiek nadającego się do racjonalnego wytłumaczenia, ale wiedziałem, że jest inaczej. Nie miałem wątpliwości, że Konstancja coraz wyraźniej wyczuwa od ludzi aromat śmierci.

Nigdy jej o to nie zapytałem. Nie chciałem też wiedzieć, czy zapach wyczuwany ode mnie staje się bardziej intensywny. Bałem się poznać prawdę. Bałem się w nią

uwierzyć.

Ktoregoś wiosennego ranka wybraliśmy się na spacer. Kluczyliśmy między blokami, trzymaliśmy się za ręce i rozmawialiśmy na błahe tematy. Był ciepły, słoneczny dzień. Rozkwitły już forsycje, a drzewa delikatnie się zazieleniły.

- Zaczyna się dobry wiatr do szybowania – stwierdziłem, gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni boiska. Spojrzałem w niebo i przysłoniłem oczy dłonią. – Temperatura też robi się całkiem ludzka.

- Nigdy nie zrozumiem, dlaczego w szybowcu nie można zamontować klimatyzacji.

- Nie chodzi tylko o temperaturę. Prądy, nośność, ciśnienie... Nikt nie zapłaci za lot trwający pięć minut.

- Ja myślę, że chętni i na to by się znaleźli.

- Miło by było. Przydałby się ktoś, żeby ocierać szybę ze szronu.

- Ludzie kochają latać.

- Po przelocie w przymrozku szybko zmieniliby zdanie. Nawet ci, którzy kochają latać, przede wszystkim kochają wygodę.

Staralem się bagatelizować temat rozmowy, ale wiedziałem, do czego pije Konstancja. Przez ostatnie pięć miesięcy Puchacz stał pod plandeką. A mnie, nie wiedzieć czemu, odeszła chęć latania. Pracowałem za barem, czasem podejmowałem się drobnych prac na lotnisku. Poza tym nie przejmowaliśmy się gotówką. Nie liczyłem na to, że ustawi nas spadek po ojcu Konstancji, ale moje potrzeby nie były duże. Jeżeli miałem dość, żeby kupić jej czasem kwiaty i bilety do kina, wszystko było w porządku. Poza tym sezon planowałem utworzyć za dwa, góra trzy tygodnie. Zapisy na Facebooku już się rozpoczęły. Kolejka chętnych nie była imponująca, ale parę osób już się zgłosiło i zarezerwowało termin.

Objąłem Konstancję w pasie i ruszyliśmy dalej. Minęliśmy niewielki zagajnik, po czym przeszliśmy przez zwirowy parking. W przeszklonej fasadzie biurowca po drugiej stronie ulicy odbijało się niebo. Zawsze fascynował mnie ten widok.

- Wracamy? – zapytałem, prowadząc nas do przejścia dla pieszych.

- Jeszcze nie. Proszę, jeszcze chwilę.

Pogoda i pora roku wyraźnie poprawiły Konstancji humor. Zawiesiła się na moim ramieniu. Dała mi całusa w policzek i pociągnęła mnie w przeciwną stronę. Wsunęła dłoń do mojej dłoni. Po raz pierwszy od miesiący zaczęła nucić jakąś piosenkę. Nie znałem jej. Współczesne listy przebojów mogłyby dla mnie nie istnieć. Zatrzymałem się na pierwszych albumach Guns N' Roses i Nirvany.

Przytulając się, minęliśmy bladą, roztrzęsioną kobietę. Miała około pięćdziesięciu lat, czarne, przetykane siwizną włosy i zaczerwienione oczy. W dłoni trzymała rulon zwiniętych plakatów. Widziałem, że przed chwilą jeden z nich przyklejała do latarni. Popatrzyła się, a potem pośpiesznie odeszła, jakby popełniła tym jakąś straszną zbrodnię.

Konstancja nagle przestała nucić. Spojrzała na mnie, ale się nie odezwała. Jej twarz przybrała wyraz zdziwienia i niedowierzania. Gwałtownie pociągnęła mnie w stronę tamtej latarni. Gdy przy niej stanęliśmy, cicho zakłęła. Jednocześnie ugięty się pod nią nogi i upadłaby, gdybym jej nie podtrzymał. Zatoczyła się. Odwróciłem się i w ostatniej chwili objąłem ją w pasie.

– Co się stało?

Pokręciła jedynie głową. Głośno nabrała powietrza i przymknęła oczy. Gwałtownie zbladła, a jej usta drżały, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. Przełknęła ślinę i popatrzyła za kobietą, która nas przed chwilą minęła. Był to wzrok matki żegnającej na dworcu dziecko odjeżdżające na pierwsze kolonie. Przynajmniej tak mi się wtedy skojarzył.

Zerknąłem na przyklejony do latarni plakat. Znajdowało się na nim czarno-białe zdjęcie młodej, ładnej dziewczyny. W jej szeroko rozwartych oczach krył się cień zakłopotania. Pod szyją miała zawiązaną chustę, a usta wyduła w delikatny dzióbek, jakby chciała przesłać fotografowi całusa. Wyglądała naprawdę uroczo.

Pod zdjęciem wielką czcionką widniały jej imię i nazwisko: **ANNA MORAWSKA**. Nieco niżej i mniejszymi literami figurowało: **ZAGINIONA**. Na plakacie znajdowały się jeszcze dwa numery telefonów oraz informacja, że gdy dziewczynę widziano po raz ostatni, była ubrana w niebieskie jeansy, białą koszulę oraz czerwony sweter. Stało się to przed dwoma dniami.

Spojrzałem na Konstancję i starałem się cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Obejmowałem ją, a ona wciąż przytrzymywała się mojego ramienia. Oddychała szybko i ciężko.

– Wracajmy – odezwała się drżącym głosem. – Wracajmy już do domu.

Z trudem wyjęła z kieszeni komórkę i zaczęła coś pisać. Widziałem, że nie trafia w właściwe klawisze. Co chwilę kasowała litery lub wybierała podpowiedzi ze słownika.

– Powiesz mi, co się stało?

– Wyślę ci esemesa, ale obiecaj, że odczytasz go dopiero, gdy ci o tym powiem.

– Oszalałaś? O co w tym chodzi?

– Zaufaj mi. Okej? Naprawdę cię błagam.

Popatrzyłem na jej pełną determinacji twarz, na zarumienione policzki i zaciśnięte usta. Skinąłem głową. Bez słowa zawróciłem w stronę naszego mieszkania.



Nie chcę Cię oceniać. Nie zamierzam Cię analizować jak ci cholerni psychiatrzy. Straciłeś dość czasu obserwowany przez nich każdego dnia.

Mogłabym być na ich miejscu, ale to niepotrzebne. Brzydziłabym się samą sobą.

Na miejscu tych gnoi wolałabym usiąść obok Ciebie i po prostu wspólnie posiedzieć. Pogadać, nie wdając się w żadne gierki ani podchody. Jesteś sprytny. Pewnie podszedłeś ich dwukrotnie, nim się zorientowali.

Na Twoim miejscu zrobiłabym to samo. Rozumiem Cię. Zrozumienie tym różni się od zdiagnozowania, że wynika wprost z serca, a nie z tabelk. Chciałabym być przy Tobie. Choć na chwilę trafić z Tobą do jednego pokoju, gdzie moglibyśmy posiedzieć w ciszy.

Ja również uwielbiam ciszę. Denerwuje mnie hałas, który ten świat wzbudza, obracając się wokół własnej osi. Wiesz, co mam na myśli. Również Ci od tego niedobrze? Mdli Cię tak bardzo jak mnie?

Ciągle zastanawiam się, kim byłam w poprzednim życiu. To znacznie bardziej interesujące niż to, kim będę w następnym.

A Ty już wiesz, kim będziesz?

Pamiętasz, kim byłeś?



Stew

– Chciałaś wracać do domu. Krzyczałaś, że sama sobie poradzisz... – Markiz upił łyk kawy i oblizał usta. Przed chwilą przyniósł dwie filiżanki ze spodkami. Proste, ale bardzo eleganckie. Do obu z nich nalał gęstej, aromatycznej kawy. – Przepraszam, to moja wina. Nie powinienem był proponować ci tego cholerstwa. Czasem nie zdaję sobie sprawy, jak bardzo się do tego przyzwyczaiłem. Nie myśl, że palę często, raczej z doskoku, kiedy jestem tutaj, ale za pierwszym razem...

Michele bezradnie rozłożył dłonie, jakby w tym geście miał zamknąć wszystkie tłumaczenia. Wydawało mi się, że jest zakłopotany moją oschłą reakcją. Wciąż nie potrafiłam się zdobyć na uśmiech ani na choćby dozę wdzięczności.

Nie wiedziałam, czy mogę mu ufać. To uczucie powracało jak bumerang, a wszystko, co działo się między nami, wciąż przywoływało je na nowo.

– Chciałem zejść z tobą na motorówkę i odwiedzić cię do hotelu – ciągnął Markiz.
– Nawet gdybyś miała zamiar wracać gdzieś samolotem, obiecałem, że to zorganizuję. Mniej więcej w momencie, gdy zastanawiałaś się nad lotniskiem, na którym chciałybyś wylądować za parę godzin, odcięło ci zapłon.

– Słucham? – zdziwiłam się użytym przez Michelego kolokwializmem.

– Odcięło ci zapłon. – Starał się mówić poważnie, ale widziałam, że kąciki jego ust drżą. – Zemdłałaś. Zaliczyłaś zgoną. Straciłaś przytomność.

– Co za wstyd...

- Zrobiłaś to z klasą. Powiedziałaś „pardon”, usiadłaś na pokładzie i odpłynęłaś.
- Byliśmy wcześniej w jakiejś innej kajucie? - zapytałam, siląc się na obojętny ton. - Chodziliśmy gdzieś?

Markiz zmrużył oczy. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Ty naprawdę nic nie pamiętasz!

- Bardzo zabawne. Naprawdę, cholernie śmieszne.

- Może to i dobrze? - Nagle spoważniał, lecz było widać, że wciąż z trudem tłumi śmiech. - Przegrałem zakład i przez jakąś godzinę robiłem za twojego służącego. Poza wyszukiwaniem lotnisk oraz organizowaniem powrotu robiłem parę upokarzających rzeczy.

- Zakład?

- Założyliśmy się o niewykonalne. - Widząc moją zdziwioną minę, Markiz natychmiast dodał: - Mieliśmy wyznaczyć sobie zadanie, które jest ogólnie wykonalne, ale którego drugie nie byłoby w stanie zrobić.

- Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co było dalej...

- Nic strasznego. Sądziłem, że nie dasz rady zjeść sannakji, a kucharz miał je akurat pod ręką. Przypomnę ci, że sannakji to jeszcze ruszająca się macka ośmiornicy.

Wydało mi się, że jakieś wspomnienie wskakuje do rozpędzonego kalejdoskopu.

- To przez to czuję się tak okropnie - wycedziłam.

Markiz dopił kawę i odstawił filiżankę na talerzyk.

- Myślę, że to jednak hasz - wydał zabawnie wargi i udał, że wypuszcza dym. - W każdym razie pochłonęłaś tę mackę jak cukierek. Brawo. Naprawdę, brawo, bo znam niewiele osób, które się odważyły.

- A jakie zadanie dałam tobie?

Michele odsunął spodek z filiżanką i oparł się plecami o łóżko. Nie patrzył na mnie, co bardzo mi odpowiadało. Chwytał jednak moją dłoń i wsunął palce między moje palce. Nie opierałam się. Byłam ciekawa i przestraszona. A przede wszystkim cholernie zażenowana. Nigdy wcześniej nie doprowadziłam się do takiego stanu. Pierwszy raz zdarzyło mi się przy człowieku, który wydawał się obrazem wyciętym z moich najbardziej skrywanych marzeń. Jednak nie wyglądał na zrażonego.

- Nie wiem, skąd wiedziałaś, że tego nie zrobię... - szepnęła, kręcąc głową.

- Czego?

- Sądzę, że dziewięćdziesiąt procent osób na pokładzie zrobiłoby to bez wahania.

Szturchnęłam go, nieco pokrzepiona zawołanym komplementem. Przynajmniej tak starałam się interpretować te słowa. Michele odwrócił się i niespodziewanie pocałował moją dłoń. Czując ciepło jego warg, mimowolnie zdrząłam. Nie odrywając ust od mojej skóry, spojrzał na mnie. Poglądził mnie po

udzie, a następnie powiódł dłonią w dół po kolanie i łydce. Przeszywały mnie kolejne dreszcze. Miałam ochotę wić się w ekstazie. Boże. To ON klęczał u moich stóp. To ON starał się mnie uwieść. Wyrzuciłam z głowy wszelkie obawy i wątpliwości. Zapomniałam o nich.

Starałam się opanować. Markiz jeszcze raz pocałował moją dłoń, po czym zmarszczył czoło.

- Kazałaś mi skoczyć do wody – powiedział łagodnie. – Choćby z motorówki. Ale miałem zanurzyć się na chwilę w oceanie i przepłynąć kilka metrów. – Przechylił głowę i delikatnie pogładził mi dłoń. – Skąd wiedziałaś, że tego nie zrobię? Jakim cudem odgadłaś, że jestem takim tchórzem?

Teraz to ja się zaśmiałam. Śmiechem maskowałam wszystkie rozrywające mnie od środka emocje. Napływające do oczu łzy szczęścia, kołoczące sercem podniecenie i ekstazę, która sprawiła, że moje dłonie drżały.

- To proste – odezwałam się po chwili. Wydawało mi się, że istnieje tylko jedno logiczne rozwiązanie. – Wczoraj mi powiedziałaś, że boisz się jeździć samochodem. A w każdym razie, że tego nie lubisz. To specyficzny rodzaj agorafobii. Osoby nią dotknięte zazwyczaj boją się nie tylko przebywania w ciasnych miejscach, ale przede wszystkim nie lubią tego, że mogą nie dostrzegać czegoś w pobliżu siebie. – Uśmiechnęłam się nerwowo. Nie wiem, gdzie o tym czytałam i czy przytaczam tę teorię zgodnie z prawdą. Równie dobrze zachowanie Markiza mogło być czystą kurtuazją. – Boją się wystawić stopy spod kołdry w ciemnym pomieszczeniu, bo w końcu coś może być pod łóżkiem. Boją się pływać po ciemku, bo coś może być tuż obok nich. Pamiętałam tylko te dwa przykłady. I, jak widać, trafiłam.

- Jesteś szarlatanem.

- Nieprawda!

- A ja jestem jedynie twoim sługą.

Markiz sięgnął do tylnej kieszeni spodni i położył przy mnie na łóżku niewielką kopertę.

- Otwórz ją. – Jego ton wcale nie był służalczy. – Śmiało.

Obróciłam się i rozerwałam skraj koperty. Nim zajrzałam do środka, Michele dodał tonem wytłumaczenia:

- Mam więcej forsy, niż potrafilibyśmy wydać ja, moja rodzina i nasi przyjaciele. To nie próba przekupstwa.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam plik banknotów oraz dwa złote kolczyki. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz. Po chwili jednak spłynął ze mnie i tym razem nie zamienił się w złość.

- Znowu chcesz mi zapłacić, czy o co chodzi? – zapytałam.

- Nie. – Markiz pokręcił głową i złapał mnie za obie dłonie. – Mój Boże, nie myśl tak. Raczej chciałbym ci kupić wszystko, czego tylko zapragniesz. Podobają ci się? Proszę, powiedz mi prawdę.

Obrócił kopertę tak, że kolczyki wysunęły się na prześcieradło. Były całe złote i miały piękne zdobienia. Wielkim zapięciem ręka jubilera nadała kształt fantazyjnie wycinanych, pustych w środku kul. Zdobiły je szlifowane rubiny. Mimo że były piękne, uwagę od nich odciągały wielkie, cudownie rozpraszające światło brylanty. Nie wiem, ile mogły mieć karatów, lecz na żadnym pierścionku zaręczynowym nie widziałam brylantów takiej wielkości. Musiały być warte fortunę.

– Podobają ci się? – Markiz był wyraźnie ciekaw. Przygryzł wargę i zamilkł, niecierpliwie obserwując moją reakcję. Gdy nadal milczałam, jeszcze raz pocałował mnie w dłoń. – Przepraszam, jeśli odbierasz to jako...

Przerwałam mu.

– Są piękne – powiedziałam drżącym głosem. – Nigdy nie widziałam piękniejszych...

Przez chwilę zakołatała mi w głowie myśl, że zachowuję się jak dziwka. A potem wyparła ją następna. Miała melodię głosu Konstancji.

Przecież ci się podoba. Przecież to twoje marzenia.

Staniesz kiedyś w niebie, popatrzysz na to wszystko z kurewskiego wysoka i zastanowisz się, dlaczego położyłaś lagę na każdą ziemską rozrywkę.



Pilot

Leżeliśmy na czarno-białej, pretensjonalnej kanapie w salonie. Ja starałem się skupić na programie informacyjnym, a Konstancja gapiła się w sufit. Co chwilę rozluźniała i zaciskała dłonie. Denerwowało mnie to, ale nie zamierzałem wyrwać jej z zamyślenia. Miała przymknięte oczy, napięte rysy i co chwilę przygryzała wargę. Jej twarz była znacznie ciekawsza do analizowania niż ostatnie wydarzenia. Miała wręcz posągowy kształt. Bez problemu mógłbym sobie wyobrazić ją jako obrobiony marmur. Twarz Matki Boskiej z piety. Twarz Joanny d'Arc wznoszącej modły na stosie. Twarz...

Nagle Konstancja otworzyła oczy. Zdałem sobie sprawę, że wsłuchuje się w odczytywaną przez redaktora wiadomość. Jej rysy momentalnie stały się jeszcze mocniejsze. Obróciła się na bok i podparła głowę na dłoni.

Nie zwróciłem uwagi na zapowiedź newsa. Byłem zbyt zamyślony. Nie wiedziałem, czego miał dotyczyć materiał. Zerknąłem na telewizor i odruchowo położyłem dłoń na łydce Konstancji. Drgnęła przestraszona. Zerwała się z kanapy i niemal upadła.

– Co jest?

Zdziwiłem się, ale uciszyła mnie, przykładając palec do ust. Syknęła.

Na ekranie pojawił się plakat, który tego przedpołudnia widzieliśmy na spacerze.
ANNA MORAWSKA

Zaginiona

Moją uwagę ponownie zwróciło jej nieco zakłopotane spojrzenie i subtelnie wydęte usta. Plakat zniknął i na ekranie pojawił się reporter. Znajdował się niedaleko miejsca, w którym spotkaliśmy kobietę rozwieszającą plakaty.

Dwudziestojednatkę po raz ostatni widziano we wtorek wieczorem, gdy opuściła stancję przyjaciółki. Miała udać się prosto do mieszkania przy ulicy Głębokiej. Najkrótszą drogą dzieliło ją od niego około dwóch kilometrów. Wiadomo, że ze swojego telefonu nie wzywała taksówki.

Przyjaciółka potwierdza, że Anna Morawska zamierzała przejść się na piechotę, aby zaczerpnąć powietrza. Nie wiadomo, czy spotkała kogoś po drodze. Dokładnie o dziewiętnastej czterdzieści osiem wysłała esemesa do mamy z informacją, że zadzwoni do niej, jak tylko wróci do mieszkania. Mogłoby to sugerować, że ktoś do niej dołączył i dlatego nie chciała rozmawiać.

Policjanci przeglądają zapisy z kamer, które znajdowały się przy wytypowanych potencjalnych trasach Anny. Na razie bezskutecznie.

Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje, które mogą być pomocne w sprawie, proszone są o kontakt pod jeden z dwóch numerów telefonów. Numery te za chwilę zostaną wyświetlone na państwa ekranach. Śledczy podkreślają, że przydatna może być każda wiadomość.

Pojawiła się plansza z numerami telefonów, następnie grafika z przypuszczalną trasą powrotu Anny Morawskiej do mieszkania, a potem reporter podsumował szczegóły sprawy. Materiał zakończył się i obraz z powrotem przeniósł się do studia.

- A teraz czas na informacje sportowe - oznajmiła blondwłosa dziennikarka. - Dla państwa poprowadzi je...

Kobieta zawiesiła głos. Zza kadru ktoś położył przed nią plik kartek. Kątem oka widziałem, że Konstancja międlila palcami dolną wargę. Przeszępowwała z nogi na nogę. Podeszła do drzwi i wróciła do kanapy. Oparła się pośladkiem o jej profilowany bok.

- Mamy wiadomość z ostatniej chwili. - Dziennikarka podniosła wzrok i zmieszana zerknęła prosto w obiektyw kamery. - Niestety nie jest to dobra wiadomość - odezwała się po chwili. - Policjanci właśnie odnaleźli ciało zaginionej Anny Morawskiej. Nie mamy jeszcze oficjalnego komunikatu w tej sprawie, lecz zdaje się, że rzecznik komendy wojewódzkiej zaraz przekaze więcej informacji...

Dziennikarka pytająco popatrzyła w bok studia. Skinęła głową i nerwowo przebrała plik kartek.

- Chwileczkę. Już się łączymy.

Obraz przełączył się i na ekranie pojawiła się niewielka sala konferencyjna. Do środka pośpiesznie wchodzili dziennikarze. Na niewielkim pulpicie stał laptop. Obok niego spocona policjantka położyła plik kartek. Następnie szybkim krokiem usunęła się poza kadr. Z głośników telewizora dobiegał szmer rozmów przerywanych nerwowym pokasywaniem.

Konstancja kucnęła obok kanapy i schowała twarz w dłoniach. Stałem obok niej. Poglądziłem ją po włosach, ale się nie poruszyła. Tłumiła szloch. Jej ramiona drżały i co chwilę pociągała nosem.

- Wiedziałaś, że nie żyje? - zapytałem cicho. - Wyczułaś to?

Konstancja otarła twarz dłońmi. Zerknęła na mnie. Przez chwilę nie odezwała się, jakby nie dosłyszała pytania. Wreszcie zacisnęła usta i skinęła głową.

- Wyczułaś to od kogoś innego? Od jej matki? Skąd wiedziałaś, że to akurat ona?

- Nie wiem. To było jak pierdolona sraczka sekwencji przed moimi oczami. Film wyświetlony w tempie tak przyśpieszonym, że ledwie rejestrowałam sceny.

- Chcesz mi powiedzieć, że miałaś wizję?

- Tak... Może... Znów mi nie wierzysz?

- Sam nie wiem. Jezu, jak mam...

Opadłem na kanapę i założyłem ręce za głowę. Przymknąłem oczy. Konferencja właśnie się rozpoczęła. Usłyszałem niski, męski głos.

Niestety wszystko wskazuje na to, że zwłoki odnalezione na terenie budowy przy ulicy Głębokiej należą do zaginionej Anny Morawskiej. Na razie nie mogą odnieść się do przyczyn zgonu, ale bierzemy pod uwagę udział osób trzecich. Będziemy musieli poczekać na wyniki autopsji. Muszę jednak podkreślić...

Zza ledwie rozwartych powiek dostrzegłem, że Konstancja sięga po pilota i wyłącza telewizor. Przez chwilę zastygła na klęczkach, wsparta jedną dłonią o stół. Łkała. Nagle podniosła się i uderzyła pięścią o blat. Zdawało mi się, że następnie przykłada pięść do ust. Starła się pohamować szloch.

- To nie były wizje. Chyba nie... Kurwa. Nie wiem, co to było.

Otworzyłem oczy i nabrałem powietrza. Konstancja stała w tym samym miejscu ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wstałem i przyciągnąłem ją do siebie. Nie powstrzymywała mnie. Objąłem ją w pasie, po czym dotknąłem czołem jej czoła. Odgarnąłem jej włosy za uszy.

- Co widziałaś? - zapytałem szeptem. - Powiedz mi, do cholery...

Konstancja delikatnie skinęła głową. Pociągnęła nosem i wywinęła się z mojego objęcia. Cofnęła się, po czym spojrzała mi prosto w oczy. Starła się uspokoić.

- Sprawdź ten esemes. Ten, który wysłałam ci na spacerze.

- Ja pieprzę. Dziś wygrywasz całą pulę nagród w konkursie na najbardziej nawiedzoną kobietę roku.

- Zaraz przyznasz mi jeszcze wszystkie wyróżnienia. Nie mów hop...

Konstancja chciała się uśmiechnąć, ale jej usta wygięły się w krzywym grymasie. Z oczu zniknął zwyczajny, wesoły blask. Jej ramiona zadrżały i chwilę później znów wybuchnęła głośnym płaczem. Nie pozwoliła mi się dotknąć, nim nie wziąłem telefonu.

- Teraz mi wierzysz? - wychlipała, gdy odczytywałem esemes.



Stew

Markiz taktownie dał mi okazję do ogarnięcia się. Miał zanieść naczynia po śniadaniu, odbyć jakąś rozmowę telefoniczną, a potem obiecał wrócić. Prosił jedynie, bym przymierzyła kolczyki. Chciał je koniecznie zobaczyć w moich uszach, kiedy wróci. Zgodziłam się. Choć wiedziałam, że nasza rozmowa zamieniła

się w wymianę pretekstów, tym bardziej mi to odpowiadało. Zawsze lubiłam romantyczne niedomówienia.

Gdy weszłam pod niewielki, ale kosmicznie wyglądający prysznic, czułam motyle w brzuchu. Straciłam kilka minut, by zorientować się, że wody się nie odkręca żadnym kurkiem. Należało nacisnąć podświetlany przycisk. Intensywność strumienia oraz temperaturę wody regulowało się na ekranie dotykowym. Można było również wybrać tryb, w którym razem z wodą leciał szampon lub żel pod prysznic. Czułam się jak na myjni samochodowej.

Na szczęście ból głowy ustąpił niemal całkowicie i poczułam zastrzyk energii. Zadowolona, myjąc się, nuciłam jakąś piosenkę. Błyskawicznie się wytarłam, zostawiłam półmokre włosy i zajęłam się dalszą toaletą. Po solidnym kwadransie byłam całkowicie gotowa. Zgodnie z moim zegarkiem właśnie dochodziła dziewiąta. Markiz wciąż nie wrócił, więc podeszłam do okna i zaczęłam przyglądać się zatoce. Ocean był spokojny, a niskie fale załamywały się, znacząc go delikatnymi białymi grzywami. Za piaszczystym cyplem oraz linią pochyłonych nad wodą palm dostrzegłam dach On Sand Club. Na brzegu zbierali się pierwsi turyści. Dwaj miejscowi chłopcy rozkładali na plaży budkę z przekąskami, a trzeci taszczył wózek z towarem. Obróciłam głowę i popatrzyłam w głąb oceanu. Na horyzoncie dostrzegłam kilka niewielkich łodzi rybackich. Przypominały zapałki rzucone do wanny napełnionej turkusową wodą. Kontrastowały z nią ciemne sylwetki rybaków.

Wydawało się, że niebo to wielka, wypełniona fantazyjnie uformowanymi chmurami kopuła. Błękitnobiała przykrywka tacy, na której zaserwowano iście rajską wyspę. Poczułam ochotę wskoczyć do wody i zanurkować. Chciałam cieszyć się życiem. Bawić się. Tańczyć. Wykrzyzczyć światu wszystkie żale, byle tylko oczyścić teraz swoją duszę.

Albo sumienie.

Oderwałam wzrok od okna i przejrzałam się w lustrze. Popatrzyłam po swojej twarzy, zatrzymałam wzrok na skrzących się kolczykach, a następnie przyjrzałam się całej sylwetce. Wyglądałam nieźle. Naprawdę niczego sobie. Miałam lekko zaczerwienione oczy i wczorajsze ubranie, ale mogłam sobie wystawić solidną czwórkę z plusem. A może tylko tak mi się wydawało?

Popatrzyłam na przebijający spod koszuli stanik. Fałszywie uwydatniał dość małe piersi. Kloszowany krój koszuli miał znowuż poszerzyć wąskie, nieco chłopiące biodra. Mój brzuch był płaski, ale nie umięśniony. Od paru miesięcy nie miałam czasu na regularne ćwiczenia.

Dość. Musiałam przerwać ten strumień myśli, bo wiedziałam, do czego prowadził. Powodował narastanie wątpliwości i potęgował brak wiary w siebie. Onieśmiał mnie. A nieśmiałość dodawała uroku jedynie okutanym setką szmat dziewiętnastowiecznym guwernantkom. Przynajmniej jakoś tak ujęła to kiedyś Konstancja. A może mówiła wtedy o zakonnicach? O płonącym rumieńcem licu

kobiety oddanej Bogu? Z jej ust można było usłyszeć wiele mądrości. Wszystkie z nich dobrze brzmiały przede wszystkim w teorii.

Odblokowałam komórkę i wybrałam pole rozmowy grupowej, którą prowadziłam z Werą i Konstancją przez jeden z komunikatorów. Zawiesiłam palec nad ekranem. Po chwili wstukałam najprostszą możliwą wiadomość.

Ja: *Żyjecie?*

Odpowiedzi przyszły niemal natychmiast.

Wera: *Melduję, że tak. Chcę, żeby spuszczone mnie na ląd i lecę pocykać foty.*

Konstancja: *Żyję ae wołałabym umrzeć*

Wera: *Kac?*

Konstancja: *Mega kurewski kac zabójca a miały być tylko dwa drinki :(Zaraz wypadną mi oczy jak pekińczykowi*

Wera: *:)*

Konstancja: *Ja pier papier Koniec z %%% Chce mi się płakać FUCK FUCK FUCK Wyrzygałam wszystko co wszamałam aż szkoda tych krewetek Nie tknę ich już nigdy*

Wera: *Fu!!! Bez szczegółów!
A ty jak się masz Stew?*

Ja: *Dochodzę do siebie.*

Konstancja: *Jakbym miała faceta to bym więcej myślała*

Ja: *Jakby baba miała wąsy...*

Przerwało mi delikatne pukanie. Odruchowo poprawiłam włosy i odwróciłam się od okna. Schowałam telefon.

– Proszę!

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Markiz. W dłoni trzymał bukiet czerwonych kwiatów z wielkimi, mięsistymi płatkami w kształcie wachlarzy.

Pomiędzy nimi były powkładane pojedyncze rośliny z dużymi żółtymi dzwonekami. Od razu poczułam intensywny, słodki zapach.

Michele zamknął drzwi i delikatnie się skłonił. Nic nie mówiąc, wręczył mi bukiet. Zauważyłam, że ukradkiem spogląda na kolczyki. Uśmiech delikatnie rozszerzył kąciki jego ust.

- Dziękuję - powiedziałam, biorąc kwiaty. Rozejrzałam się za czymś, gdzie mogłabym je włożyć.

- Wyglądają pięknie. Doskonale pasują do twoich małych, subtelných płatków. Powinnaś być modelką.

Przez moment musiałam wyglądać jak kretyńka. Patrzyłam na bukiet i zastanawiałam się, co miałyby pasować do jakichś płatków. Dopiero po chwili zrozumiałam, że Markiz mówi o moich uszach. Zarumieniłam się.

Gdy Michele zrobił krok w moją stronę i położył mi dłoń na biodrze, kolczyki oraz bukiet stały się nieistotne. Przez głowę znów przetoczyły mi się miliony wątpliwości. Nogi zdrząły mi, jakby dawały sygnał do ucieczki. Jeszcze miałam na nią szansę. Jeszcze nie miałam czego żałować. Nic się nie stało.

Markiz przyciągnął mnie do siebie. Nie odzywał się. Patrzył mi prosto w oczy i jak zwykle uśmiechał się tajemniczo. Zmarszczki w kącikach jego oczu się pogłębiły.

Boże.

Nie wiedziałam, co robić. Panikowałam. Zaczęłam szybko oddychać i patrzyłam wszędzie, byle ominąć jego twarz. Wciąż mogłam uciec.

Uciec, uciec, uciec...

Na plecach czułam ciepło jego ręki. Czułam duszącą, słodką woń kwiatów, które trzymałam w wyciągniętej, sztywnej dłoni. Przynajmniej nie musiałam tłumaczyć się z tej lekko wymijającej pozycji. Byłam zgarbiona. Automatycznie się wyprostowałam i moje spojrzenie znów spotkało się ze spojrzeniem Markiza.

Jasna cholera.

Przygotowywałam się na tę chwilę, marzyłam o niej, a jednocześnie piekielnie się jej bałam.

No, dalej. Nie możesz teraz zrobić z siebie frajera. Nie możesz uciec.

Starłam się przywołać ton głosu i słowa Konstancji, ale nie potrafiłam się skupić. Kajuta zawężyła się do jednego jedyne go miejsca. Kątem oka patrzyłam na niedbale zaścienione przez siebie łóżko.

A więc tam?

Nie, nie, nie.

Powstrzymywałam się, gdy Markiz się wyprostował i położył obie dłonie na moich biodrach.

- Nie bój się - wyszeptał mi prosto do ucha. - Spełnię wszystkie twoje marzenia. Zrobię, co tylko zapragniesz. Powiedz mi tylko...

- Ja nie wiem, czy...

– Ciiii. – Michele przytknął mi palec do ust. Przeciągnął nim, wywijając mi dolną wargę. Delikatnie ją ścisnął. – Nie ma mowy o żadnych wątpliwościach. Możemy mówić o wszystkim, ale nie o tym.

– Mhm...

Z trudem łapałam dech. Zastanawiałam się, co mogłabym powiedzieć. O czym, do licha, mielibyśmy teraz rozmawiać? Markiz podciągnął moją koszulę i pogładził mnie po brzuchu. Nagle pochylił się i agresywnie pocałował mnie w szyję. Przyssał się, po czym delikatnie przygryzł skórę. Przebiegł mnie dreszcz. Mimowolnie odgięłam głowę, pozwalając mu się całować.

Michele przeciągnął językiem po moim ramieniu i ku obojczykowi. Pocałował go, ponownie zasysając skórę. Czułam jego ślinę. Czułam jego palce rozpinające guzik moich spodni. Czułam jego dłoń wsuwającą się w moje majtki.

Michele przycisnął mnie jeszcze mocniej do siebie i przytknął usta do mojego ucha.

– To ja chcę się bać – wyszeptał. – Pamiętasz, że o tym pisałem? Wiedziałem, że ta chwila nadejdzie.

Markiz polizał mnie po uchu i wziął do ust końcówkę kolczyka zwieńczoną brylantem. Delikatnie wypuścił ustami powietrze. Jego ciepło jakby wlało się we mnie. Ponownie cała zdrzałam.

Rzuciłam bukiet na ziemię. Decyzja została podjęta.



Pilot

Dziewczyna jest martwa. Jej zwłoki leżą na terenie jakiejś budowy. Chyba tej koło skrzyżowania na Głębokiej.

Gdy czytasz esemes o tej treści i dostałeś go sześć czy siedem godzin przed podaniem tych danych przez policję, do głowy przychodzą ci różne myśli. Uwierzenie w wizje nie jest łatwe. Zastanawiasz się, czy przypadkiem twoja dziewczyna nie jest w coś zaplątana. Czy nie utrzymuje kontaktu z mordercą. Czy sama nim nie jest.

Potem nadchodzi cię poczucie winy. Uwierz mi, że właśnie tak jest. Wypierasz się tych wszystkich podejrzeń i wściekasz się na samego siebie. Jak mógłbyś jej nie uwierzyć?

Tak, po prostu.

Wizje? Dajcie spokój. Przecież to szaleństwo.

Jeszcze później myślisz o tych wszystkich jasnowiedzach, wróżbitach i innych oszustach występujących w telewizji. Czy im również powinieneś uwierzyć? To wydaje się łatwiejsze niż posądzenie własnej dziewczyny o popełnienie mordu.

Poza tym część z nich może być oszustami. Pal diabli. Wystarczy, żeby jeden procent mówił prawdę, a potwierdzi się całość twojej mozolnie budowanej teorii.

Jest znikomy odsetek osób tak wrażliwych, że wyczuwają nagromadzone emocje. Pytasz się, czy śmierć jest jakimś kłębkim nagromadzonych emocji, i muszę powiedzieć, że nie mam bladego pojęcia. Po prostu tak jest. Wiem, że moja teoria ma mnóstwo dziur i niedociągnięć. Wiem, że opiera się na domysłach. Ale uwierzenie w irracjonalną parapsychologię jest w tym momencie wyjściem najbardziej racjonalnym.

Nie oszukujmy się.

Mimo to musiałem sobie wszystko poukładać. Oczywiście, zaakceptowanie wizji nie jest tak trudne, jak uwierzenie w Boga lub demony. Można dorobić do tego całkiem naukową ideologię. Poza tym policja już dawno przyznała, że w niektórych sprawach korzysta z pomocy jasnowidzów.

Tonący brzytwy się chwyta.

Ja też musiałem stworzyć sobie podwaliny dla zrozumienia tego świata. Musiałem zdecydować się, która z teorii przekonuje mnie najmocniej. Choć to niezbyt trafne porównanie, stojąc w rozkroku – oddalałem się. Oddalałem się od Konstancji, od poważnego życia, od marzeń. Czułem to. Poza tym wciąż myślałem o tym, co w rzeczywistości moja dziewczyna wyczuwa ode mnie. Czasem nachodziły mnie naprawdę pogmatwane myśli. Konstrukcje tak skomplikowane, że sam się w nich gubiłem. Kwadratura koła i podział kąta na trzy części w jednym.

Po pierwsze: Konstancja mogła być szalona.

Po drugie: wyczuwając ode mnie zapach śmierci, mogła w swoim szale dążyć do zabicia mnie.

Po trzecie: mogła już zabić swojego ojca.

Po czwarte: mogła zabić dziewczynę z plakatów.

Nie, nie, nie. To absurd. Kwadratura koła i podział kąta na trzy równe części to problemy nierozwiązywalne. Potwierdzają to odpowiednie wywody. A ja potrzebowałem pilnych rozwiązań.

Zrozumiałem, że tak naprawdę o Konstancji wiem bardzo niewiele. Nie miałem pojęcia o jej pasjach, o marzeniach i przeszłości. Nigdy nie odbyliśmy poważniejszej rozmowy. Żyliśmy z dnia na dzień. Najgłębsze deklaracje czy plany przemknęły mimochodem w dniu, kiedy spotkaliśmy się w kawiarni z jej ojcem. Potem wszystko szlag trafił. Było dobrze tak, jak jest, ale...

No właśnie.

Gdy masz uwierzyć, że twoja dziewczyna ma wizje, lepiej, żeby w historii waszego związku nie pojawiały się żadne „ale”.

– Idę się przejść. Idziesz ze mną?

Konstancja stała w progu salonu. Miała na sobie granatową sukienkę w białe grochy i czarne adidas. Założyła wielkie okulary. Usta pomalowała krwistoczerwoną szminką.

- Nie. Muszę popracować.

- Nad czym?

- Zastanawiam się nad prowadzeniem bloga o szybkości. Rudy twierdzi, że to pomogłoby ściągnąć nam klientów. Opracował wzór strony internetowej, a teraz zastanawiamy się nad tematami wpisów.

- Przejebane.

- He?

Konstancja podeszła do mnie i pocałowała mnie w czoło. Uśmiechnęła się blado.

- Będę miała przejebane, jeżeli zostaniesz blogerem – stwierdziła przekornie. – Zaczynasz nagrywać ze sobą filmiki, wrzucać zdjęcia, a potem zlecą się fanki i będą chciały, żebyś je przeleciał. Wróć! – Konstancja jeszcze raz pocałowała mnie w czoło. – Żebyś się z nimi przeleciał. Marzysz o tym, Pilocie?

Jedynie westchnąłem. Nie miałem ochoty na te kumpelskie utarczki słowne. W głowie wciąż kłębiły mi się pytania, a Konstancja zachowywała się, jakby nic się nie stało. Jakby te wizje stanowiły coś zupełnie normalnego. Choć, być może, starała się o nich zapomnieć.

I żałowała, że napisała do mnie tamten esemes.

Wydawało mi się, że na jej twarzy dostrzegam ulgę. Sprawilem jej przyjemność, nie wlokąc się na wspólny spacer.

- Będę za trzydzieści, czterdzieści minut – oznajmiła, a po chwili drzwi antywłamaniowe rozdzieliły nasze światy.

Tak naprawdę opracowywanie tematów na bloga już dawno odłożyłem na czas bliżej nieokreślony. Nie uważałem, żeby to był dobry pomysł. Poza tym nie chciało mi się pisać wypracowań o tym, co sprawia mi największą przyjemność w działaniu. To jak teoretyzowanie o praktyce. Nie mogło być niczego nudniejszego. Mój blog zaczynałyby, wypełniały i kończyły słowa: „Chodź, polatajmy! Nie czekaj – zróbmy to już teraz!”.

Daj się przelecieć!

Po co tracić czas na pisaninę, skoro niebo stoi otworem. Po co się rozdrabniać. Po co tracić siły na półśrodki. Akurat to Konstancja całkowicie rozumiała. Dlatego byłem pewien, że nie brała na poważnie myśli, że zamierzam prowadzić blog.

Zaczynałem biznes z dupy strony. Ale nie powiedziała mi tego.

Gdy wyszła, podszedłem do okna i czekałem, aż zobaczę ją wychodzącą z klatki. Po niespełna minucie usłyszałem, że otwierają się drzwi. Wkrótce zobaczyłem, jak Konstancja maszeruje w stronę niewielkiego parku. Przeszła przez uliczkę osiedlową i przecięła parking. Ponętnie poruszała biodrami. Boże, szalałem za nią.

Starając się powstrzymać wyrzuty sumienia, poszedłem do jej pokoju. Drzwi, jak zawsze, były uchylone. Wahając się przez chwilę, stałem w progu. Wreszcie powtórzyłem wszystkie sofizmaty, którymi przekonywałem się do tego kroku od wielu dni. Robiłem to dla naszego dobra. Dla uspokojenia myśli. Dla wyjaśnienia wszystkiego.

Dlaczego więc nie zapytałem jej wprost?

Pieprzyć to.

Wszedłem do środka i wciągnąłem zapach cytrusowych perfum zmieszanych z silnym aromatem lawendy. Konstancja miała świra na punkcie saszetek z suszonymi ziołami, które odświeżały powietrze. Rozkładała je wszędzie. Wkładała do szaf, pod materac łóżka, nawet do brudownika. Może ten zapach jej o czymś przypominał? A może zabijał woń śmierci?

Roześmiałem się na tę ostatnią myśl. Musiałem się śpieszyć.

Nie wiedziałem, czego szukam. Najpierw przejrzałem niewielką biblioteczkę wypchaną głównie romansami i podręcznikami szkolnymi. Poodsuwałem większość książek, ale nie znalazłem niczego interesującego. Beżowa bieliźniarka była niemal zupełnie pusta. Większość rzeczy Konstancja przeniosła do komody stojącej w salonie. Nie wiem, dlaczego spaliśmy właśnie tam, ale to salon w naturalny sposób stał się naszym pokojem. Jej sypialnia niemal się opróżniła. Przenosiliśmy się do niej jedynie po imprezach, gdy ktoś z gości nocował w salonie lub piętrzyły się w nim góry nieuprzątniętych talerzy i flaszek.

Zajrzałem pod łóżko. Nic. Nawet kłębka kurzu.

Popatrzyłem po ścianach w kolorze pudrowego różu i nabrałem powietrza. Znów naszły mnie wyrzuty sumienia. Czułem się jak złodziej. Jak oszust i intruz.

Moje spojrzenie spotkało się z przenikliwym wzrokiem ojca Konstancji. Jego wielka fotografia wisiała nad blatem lakierowanego na czarno damskiego biureczka. Podeszedłem do niego i otworzyłem jedną z trzech szuflad.

Długopisy, połamane ołówki, kredki, gumki do włosów, nożyk do papieru...

Na wierzchu drugiej szuflady leżał stary album ze zdjęciami. Odłożyłem go na bok i sięgnąłem dalej. Przebrałem dłonią między dokumentami. Trafiłem na notatki, rachunki, listy.

Listy...

Otarłem pot z czoła i ostrożnie odłożyłem tekturową teczkę. Nie mogłem zostawić żadnych śladów. Konstancja była roztrzępana, ale utrzymywała porządek. Wiedziała, gdzie trzyma swoje rzeczy.

Zerknąłem na pierwszy z listów. Był kserówką wiadomości napisanej ręcznie. Od razu rozpoznałem drobne, pełne zawijasów pismo Konstancji.

Drżącą dłonią sięgnąłem po kolejny list.

A potem kolejny.

– Mój Boże... – szepnąłem sam do siebie.



– Boję się ciemności. – Markiz wyszeptał mi prosto do ucha. – Nie bierz mnie za wariata, to nie ma brzmieć podniecająco. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

– Wiem – odparłam. – To ten sam lęk wiążący się z jazdą samochodami i pływaniem w nocy, gdy nie widzisz nic wokół.

– I wiesz, dlaczego ci o tym mówię?

Zająknęłam się. Nie miałam pojęcia. Nie rozumiałam, dlaczego Michele przerywa pieszczoty, by podzielić się ze mną swoimi obawami. Teraz pragnęłam, byśmy jak najprędzej znaleźli się nadzy obok siebie. Marzyłam o tym. Domagała się tego każda część mojego ciała.

– Wszyscy mamy swoje lęki.

Markiz delikatnie pchnął mnie w stronę łóżka. Nie spuszczać ze mnie wzroku, rozpiął guziki mojej koszuli. Nie wypowiedział przy tym nawet słowa. Jakby obserwował drzenie mięśni na mojej twarzy. Jakby wyczekiwał najdrobniejszej reakcji.

Szybkim ruchem odsłonił mi ramiona i zerwał ze mnie koszulę. Popatrzył na moje zakryte stanikiem piersi. Chwycił prawą i zacisnął dłoń. Poczułam, jak koronka wbija mi się w skórę. Ramięczko napięło się, a Markiz natychmiast je zsunął.

– Wszyscy się czegoś boimy – powiedział, skupiając na mnie całą uwagę. – Śmierci, życia, bólu, jasności albo ciemności. To bez znaczenia. Ja znam twoje lęki. Chcę, żebyś ty poznała moje.

– Skąd wiesz, jakie są moje lęki?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Michele zmrzążył oczy. Uśmiechnął się, a ja wiedziałam, że teraz to zupełnie nieważne. Że nie chcę wiedzieć, co wie i skąd. Nie obchodziło mnie to. Tak naprawdę bałam się właśnie tego, że mógłby znać moje lęki. A teraz bałam się, że kilkoma słowami mógłby potwierdzić tę obawę.

Pokręciłam głową w momencie, gdy Markiz rozpiął mi stanik. Przytrzymałam go wewnętrzną stroną ramienia, ale ostrożnie go ściągnął. Odsłaniał moje piersi jak kolekcjoner sztuki ukazujący przyjacielom nowy, cenny okaz w swoich zbiorach. W ostatniej chwili przymknął oczy. Gdy usłyszał, że biustonosz wylądował na ziemi, otworzył je i głęboko wciągnął powietrze. Dopadł do mojej piersi i mocno ją pocałował. Obrócił językiem kilka razy wokół sutka. Przyjemny prąd przebiegł przez moje ciało, rozładowując się gdzieś pod pępkiem. Za każdym razem, gdy Michele mocniej zaciskał dłoń, a jego język muskał moją brodawkę, czułam to samo. Rozluźniałam się w jego uściskach jak szmaciana lalka.

Już nie myślałam o lękach ani o zaginionych kobietach. Wszystkie moje zmysły zamknęły się w obrębie ciała. Bódźce uwypuklały ekstazę.

Nagle Markiz oderwał się ode mnie i nie rozpinając większości guzików, ściągnął koszulę przez głowę. Z kieszeni spodni wyjął niewielkiego pilota. Spojrzał mi prosto w oczy i nacisnął guzik.

Momentalnie zrobiło się całkowicie ciemno. Jakby okna jachtu przełączyły się w tryb nocny albo jakby były jedynie ekranami, które można w każdym momencie zgasić. Widziałam jedynie czerwoną diodę palącą się nad jednym z kontaktów oraz niebieski, cyfrowy wyświetlacz zegara zamontowanego w boazerii.

– Teraz jestem cały twój. Możesz zrobić ze mną, co tylko zapragniesz.

Głos Markiza nie był już tak stanowczy i mocny jak dotąd. Usłyszałam, że Michele siada na łóżku. Położył dłonie na moich pośladkach. Poprowadził je ku guzikowi. Rozpiął go, a następnie ściągnął mi spodnie. Zrobiłam krok, by zrzucić je ze stóp. Wtedy poczułam, że Markiz całuje mnie przez bieliznę. Czułam jego język między koronką, czułam jego wilgoć, ciepło i lepkość. Czułam, że powoli zsuwa mi majtki.

Czułam, jak dopada do mnie i całuje po łonie, a potem, jak te całusy stają się coraz szybsze, krótsze, aż wreszcie dotknął moich ud i rozsunął mi nogi. Objął wargami moją łechtaczkę. Poczułam jego język w sobie, głęboko w sobie. Nie mogłam powstrzymać jęków. Wydobywały się ze mnie w rytmie ruchów Markiza. Jego zarost, ocierając się o wewnętrzną stronę moich ud, dodatkowo mnie nakręcał.

– Boże... – wycedziłam, wijąc się z rozkoszy. – Tak, tak...

Chwyciłam go za włosy. Czułam, że on również drży. Jego dłonie zaciskały się na moich pośladkach, ale nie były to pewne, pełne mocy uściski, którymi obdarzał mnie wcześniej. Odkąd zgasło światło, Markiz stał się znacznie bardziej delikatny. Jakby opadł z sił, a jednocześnie czekał na mój ruch.

Pociągnęłam go za włosy, dając znać, by się podniósł. Byłam już w pełni podniecona i gotowa na wszystko. Gdy Markiz wstał, dotknęłam jego męskości. Zacisnęłam dłoń i zaczęłam nią poruszać, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Michele całkowicie mi się podporządkował. Sapał, odchylając się nieco do tyłu. Rękoma chyba opierał się o łóżko. Wygiął się nienaturalnie do przodu.

Pchnęłam go na łóżko i natychmiast na nim usiadłam. Wsunął się we mnie bez problemu. Złączyliśmy się w jedno. Zaczęliśmy poruszać się w doskonale zgranym rytmie. Pisaliśmy na nowo bostona. Ze zmiennym tempem i dynamiczniejszymi przejściami. Posuwistego do granic bólu i możliwości ludzkiego ciała.

Wreszcie obróciłam się, dając znać, by Michele się podniósł. Gdy wstał, opadłam na materac i oparłam się na łokciach. Niemał od razu przyciągnęłam go do siebie. Wszedł we mnie mocno i głęboko. Pochylił się jak byk szykujący się do szarży. Jego włosy pachniały szamponem oraz bryzą zmieszaną z aromatem cygar. W ekstazie objęłam dłońmi jego twarz. Po ciemku starałam się wyczuć bieg każdej jego zmarszczki, linię zarostu, ust, długość rzęs i brwi.

Dotknęłam jego czoła. Był spocony jeszcze mocniej niż ja, a do tego lodowato zimny. Mogła to być kwestia kontrastu między moimi wrzącymi wargami i skórą w normalnej temperaturze, ale...

To był jego strach.

Wiedziałam, że to przez lęk przed ciemnością.

I ta myśl kazała mi jeszcze mocniej go pragnąć i jeszcze bardziej pożądać. Kochałam go. W tamtej chwili naprawdę kochałam go każdą cząstką swojego ciała. Przyśpięszyłam.

Markiz poruszał się, dopasowując się do mojego rytmu, ale pozostał całkiem bierny. Wydawało mi się, że odkąd zgasło światło, jego mięśnie są nienaturalnie naprężone. Pod palcami wyczułam, jak mocno zaciska zuchwę. Pocałowałam go w usta, ale nie odpowiedział mi pocałunkiem. Przez zęby wydobyło się z niego jedynie ciężkie sapnięcie.

Przez ostatnie sekundy dyszał coraz głośniej i mocniej. Zaczęliśmy poruszać się jeszcze szybciej. Nie potrzebowaliśmy melodii ani wyuczonych ruchów. Całkowicie spontanicznie zjednoczyliśmy się w miłosnym tańcu.

– Już, już... – wyszczałam, nie mogąc pohamować ekstazy.

Zacisnęłam dłonie na włosach Markiza i wygięłam się w euforycznym uniesieniu. Ciemność momentalnie się rozjaśniła. Moje ciało na moment przestało istnieć, a potem znów zostało rzucone na łóżko w tonącej w mroku kajucie. Michele położył się tuż obok mnie. Słyszałam, jak ciężko dyszy. Przesunęłam się i po omacku złapałam go za rękę. Nasze palce splotły się, a ciała ponownie zetknęły.

Markiz pocałował mnie w ramię.

– Dziękuję – wyszeptał. – Zaraz odsłonię okno i cała iluzja zniknie.

– Jaka iluzja? – zaciekałam się.

– Ciii... Jeszcze chwilę. Jeszcze kilka sekund na tym świecie, tylko ja i ty.



Pilot

Przedemną leżały wszystkie te listy, które mogliście wcześniej przeczytać. Miały na sobie pieczętki odpowiednich dyrekcji zakładów karnych i właściwych organów. Adresatami każdego z nich byli więźniowie.

Konstancja kierowała do nich miłosne wyznania, umizgi, flirt i prośby o kontakt. Słowa otuchy i pociechy. Wyrazy uznania dla psychopatów. Podlizywanie się im. Niemal gratulowanie tego, co zrobili.

Nie mogłem w to uwierzyć.

Nie mogłem uwierzyć, że zakłady karne pozwalają na taką korespondencję. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale wydawało mi się, że najgorsi przestępcy powinni być całkowicie odcięci od świata. Bez prawa głosu w wyborach, bez prawa do przeglądania prasy, wreszcie bez prawa kontaktu ze światem. Wyobrażałem sobie ich jako ludzi zamkniętych w ciemnych, ciasnych klinkach. Odseparowanych od społeczeństwa.

Słyszałem o PlayStation i telewizorach plazmowych. Słyszałem o siłowniach. Ale, do cholery, to miały być rozrywki więźniów w Skandynawii. Nie w Polsce. Nie w moim świecie. Słyszałem nawet o skazanych na karę śmierci, którzy w zakładach karnych brali śluby. Piękne historie, w sam raz na ostatnie strony gazet lub końcówki serwisów informacyjnych, ale całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Słyszałem też o hybrystofilii. Chorobliwej fascynacji sprawcami najgorszych przestępstw. Ponoć nie było to przesadnie rzadkie zjawisko. Mordercy, gwałciciele, recydywiści, wszyscy najgorsi dewianci pobudzali libido swych fanek.

To był jakiś koszmar...

Rozłożyłem wokół siebie listy i zamarłem w bezruchu. Nie obchodziło mnie, czy Konstancja zaraz wróci, czy już nigdy jej nie zobaczę. Powinienem wstać, spakować się i jak najszybciej postarać się o niej zapomnieć. Od początku mogłem domyślić się, że jest szalona. Że jest totalną wariatką.

Ale kim ja byłem dla niej?

Elementem nierealnego świata, który zbudowała wokół siebie?

Kaprysem?

Nie obchodziło mnie to. Przynajmniej chciałem sobie wmówić, że w ogóle mnie to nie interesuje. Tymczasem nie miałem nawet siły się podnieść. Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem po rozsypanych wokół listach. Jak na złość moje spojrzenie wylaapywało najbardziej wymowne fragmenty.

Kochany, Najdroższy, Najmilszy...

Modłę się, żebyśmy wkrótce mogli się spotkać.

Chciałabym być przy Tobie. Choć na chwilę trafić z Tobą do jednego pokoju...

Czytałam Twój list tyle razy, że nauczyłam się go już niemal na pamięć.

Ja byłabym Twoja i tylko Twoja. Na zawsze. Zresztą, wierz mi albo nie, już jestem Twoja.

Co za gówno!

To było szaleństwo. Wściekły chwyciłem ksero jednego z listów i zmiałem go w kulkę. Cisnąłem nią w fotografię ojca Konstancji. To musiały być jego geny. Jego cholerne geny. Wiedział, że wydał na świat chorą kreaturę. A jednak mnie nie ostrzegł.

Wiedział.

A może wcale nie?

Może ostrzegął mnie swoją niechętną postawą z naszego pierwszego spotkania?

Głównym problemem ojców jest to, że są bezgranicznie zakochani w swoich córkach. Gdyby odebrano im nieco miłości, mogliby przejrzeć na oczy. Często właśnie przez nadmiar ojcowskiej miłości na świecie pojawiają się dziwki, femme fatale i lesbijki. W tamtej chwili byłem tak wściekły, że musiałem znaleźć jak najwięcej winnych. Złość na Konstancję mi nie wystarczała. Potrzebowałem innych ofiar.

Kompletnie zdezorientowany siedziałem na podłodze i mierzyłem się wzrokiem z jej ojcem. Z człowiekiem, od którego podobno wyczuła to samo, co ode mnie.

Śmierć.

Może tylko dlatego się ze mną zadawała? Nie. To była już tylko nadinterpretacja. Chronologicznie to ja byłem pierwszy. Nie on. To ode mnie jako pierwszego wyczuła śmierć.

A jeśli kłamała?

Jeśli już wcześniej wyczuwała ją od niego tak delikatnie jak teraz ode mnie?

Roześmiałem się na głos. Byłem śmieszny.

– Kobieta wyczuwająca śmierć – wycodziłem na głos. – Tak powinnaś się podpisywać pod tymi listami.

Może właśnie to ją kręciło. Śmierć. Nieważne jaka i z czyich rąk. Śmierć. Najbardziej problematyczne rozwiązanie wszystkich problemów.

Zmiałem kolejny list i ponownie cisnąłem nim w zdjęcie ojca Konstancji. Następny z nich rozdarłem na pół.

– Szmata.

Zacisnąłem usta i zamknąłem oczy. Jakim durniem musiałem być, żeby dać się tak mamić? Niektóre z listów datowane były na parę tygodni temu. Miesiąc. Dwa. Konstancja musiała je pisać po tym, jak się ze mną całowała. Jak się kochaliśmy lub słuchałem jej zwierzeń. Jak spałem albo wychodziłem na spacer. Nigdy nie widziałem jej nad kartką papieru z długopisem w ręce.

A jednak to było jej pismo.

Mój potok myśli przerwało krótkie, elektroniczne brzęczenie domofonu. Odgłos, który sygnalizował, że ktoś wpisał kod wejściowy do klatki.

Konstancja wracała do domu.



Stew

– Muszę już iść.

– Dziś przecież masz wolne.

– Chcę wrócić do hotelu – wyraziłam się jaśniej. – Po prostu chcę.

– Naprawdę? Naprawdę właśnie tego teraz chcesz?

Stałam obok Markiza na rufie jachtu. Kilka metrów od nas stał Hamid, który odkąd wyszliśmy na pokład, towarzyszył nam jak cień. Paru przyjaciół Michelego kręciło się po pokładzie dziobowym, ale teraz ich nie widzieliśmy. Słyszałam za to ich rozgorączkowane rozmowy.

Z oceanu wyskoczyła kolorowa ryba. Obróciła się do góry brzuchem, wygięła i z pluskiem na powrót wpadła do wody.

– Ona też chciała zobaczyć powierzchnię. – Markiz zabębnił palcami w reling. – Przez długi czas już nie wyskoczy ponownie. To kwestia rozczarowań.

– Nie mogę rozczarować się swoim światem.

– Opuszczając mój?

Nie wiedziałam, do czego zmierza Michele. Po raz kolejny wciągał mnie w rozmowę metaforami. Nie sądzę, aby to była maniera wyniesiona ze świata negocjacji biznesowych. Raczej cecha charakterystyczna Markiza. Tak jak nad wyraz wyprostowana sylwetka i giętkość chodu. Jak perfumy o korzennym zapachu i jego tajemniczy uśmiech. Jak ta uroczą niepewność czy też zagubienie, które czasem pojawiały się na jego twarzy.

Mimo to poczułam się niepewnie. Porozumiewanie się niedomówieniami odbierało mi poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Podświadomie w każdym słowie Michelego doszukiwałam się groźby albo podstępu. Jednak teraz, nawet gdybym miała przy sobie szklanę, nie zbiłabym jej. Nie miałabym odwagi mierzyć w Markiza ostrym szkłem. A może po prostu tak bardzo już mu ufałam, że choć jedna część mojego mózgu wysyłała sygnały alarmowe, to druga kazała je bagatelizować.

– Kiedyś będę mogła tu wrócić – powiedziałam, patrząc na słońce skrzące się na spokojnej tafli oceanu. Niewielkie fale przyjemnie chlupotały o burtę nieruchomego jachtu. – Oczywiście, jeśli pozwolisz.

– Moje pałace są twoimi pałacami. – Michele przysunął się i również oparł o reling. Wychylił się, patrząc w dół. Przygryzł wargi, wreszcie wyprostował się i odezwał zmienionym, szorstkim tonem. – Wczoraj Hamid opowiadał mi baśń o Ali Babie. Nie słyszałam jej od dzieciństwa.

– Lubiłam ją.

– Wyobraź sobie pojedynczego śmiałka, który zamyka się w jaskini największych szumowin świata. Pośród ich skarbów.

– Jego brat przypłaca to życiem.

– Przypłaca życiem swoją chciwość! – Markiz odwrócił się do mnie i dotknął moich włosów. Delikatnie założył je za uszy. Widziałam, że z zadowoleniem patrzy na kolczyki, ale zaraz przeniósł wzrok na moją twarz. – Chodziło o chciwość Kasima, czy jak mu tam... Kasim?! – zawołał w stronę Hamida, po czym dodał kilka słów po arabsku. Mężczyzna coś mu odpowiedział i Markiz znów odwrócił się do mnie. – Kasim. Dobrze pamiętałem. Jego ciało zbójcy rozkawałkowali i dla przestrogi złożyli w Sezamie. Miał go już nigdy nie opuścić i skończyć jako przestroga dla innych śmiałków.

Niewidzialna dłoń zacisnęła się na moim sercu. Miałam wrażenie, że na moment przestało bić. Wreszcie drgnęło, wyrzucając podwójną porcję krwi, która błyskawicznie przetoczyła się do moich nóg i głowy. Mocniej zacisnęłam dłoń na metalowej barierce. Przełknęłam ślinę.

Może doszukiwałam się w słowach Markiza drugiego dna. Może byłam zbyt przewrażliwiona i tworzyłam jego fałszywy obraz. Zachowywałam się jak schizofreniczka. A raczej mój mózg pracował jak mózg schizofrenika, choć wszelkie osobowości zdawały się istnieć jednocześnie. Ta zauroczona Michele i ta, która czuła przed nim głęboki strach. Która właśnie wyobrażała sobie, jak wyrwa mi z uszu kolczyki. Jak pastwi się nad moim nagim, martwym ciałem. W jakiś pokręcony sposób obawiałam się, że Michele jest seryjnym zabójcą, który pozbywa się kobiet usiłujących w jego mniemaniu go uwieść. A które w rzeczywistości uwodził on sam.

– Znacznie bardziej lubiłam bajkę o Aladynie – odezwałam się, starając panować nad głosem. – I jej ekranizacje.

– Omar Sharif? Czy był to ktoś inny...

– Raczej kreska animatora ze studia Walta Disneya.

– Kiedyś czytałem, że Walt Disney został po śmierci zamrożony w ciekłym azocie, na wypadek gdyby pojawiły się metody wskrzeszania. – Michele głęboko wciągnął powietrze. Machnął do kogoś, kto pojawił się na mostku nad nami, i z powrotem spojrzał na mnie. – Ale to nieprawda. Byłem na jego grobie w małej, kalifornijskiej miejscinie. To się nazywa obdarcie z dziecięcych złudzeń. Możesz mi wierzyć albo nie, ale od tamtego dnia przestałem wieczorem zmawiać pacierz.

– Kryzys wiary przez to, że zobaczyłeś grób Walta Disneya?

Staralam się spokojnie kontynuować rozmowę. Przecież dopiero się kochaliśmy, a teraz obleciał mnie idiotyczny cykor. To głupie.

Głupie, głupie, głupie.

Przez cały czas pilnie obserwowałam ruchy i mimikę Markiza. Był pewny siebie i opanowany. Założył dłonie za plecy, a jedną nogę wysunął nieco do przodu. Dzięki temu mógł stać doskonale prosto i utrzymywać równowagę. Przedpołudniowe, leniwe słońce oświetlało mu prawą część twarzy. Cienie na drugiej połowie podkreślały męską ostrość jego rysów. Po raz kolejny przybrał pozę zamyślnego marzyciela, przeniesionego z płótna Caspara Davida Friedricha. Rzuconego z zamglonych gór wprost na bezkresną toń oceanu.

Markiz utkwiał wzrok w niebie, po czym gwałtownie rozprostował ręce. Przeniósł wzrok na mnie.

– Kryzys wiary przez to, że odkryłem prawdę. I że zobaczyłem ją na własne oczy.

– Michele w zamyśleniu przygryzł wargę. – Raczej o to chodziło.

– To mógł być symboliczny nagrobek.

– Nie. Z pewnością, nie. – Zdecydowanie pokręcił głową. – A ty, Stew, jesteś wierząca?

Wzruszyłam ramionami i się rozejrzałam. Zdałam sobie sprawę, że Hamid gdzieś zniknął. Na pokładzie nad nami również nie było nikogo. Podobnie na wąskim odcinku między kabinami na rufie i tylnym pokładem. Nie dobiegał mnie już także gwar rozmów z dziobu.

- Wierzę w coś – wyszeptalam. – Tylko nie wiem w co.
 - W przeznaczenie? – Markiz zrobił krok w moją stronę.
 - Może.
 - W sens tego wszystkiego? – Kolejny krok.
 - Tak. W to na pewno.
 - W klątwy?
 - Nie, chyba nie, ale...
 - A w naszą przyszłość? – Znów krok. – Strach przed ciemnością nigdy nie był dla mnie tak miły jak dzisiaj. Chcę, żebyś o tym pamiętała.
 - Ja...
 - Wiem. Nic nie musisz mówić. Szczęście nie potrzebuje słów, prawda?
- Sploszona spuściłam wzrok i wyciągnęłam komórkę. Odblokowałam ją i udałam, że mam nadchodzące połączenie. Zawiesiłam palec nad ekranem.
- Pewnie moje przyjaciółki...
- Michele zatrzymał się tuż obok mnie i wyciągnął dłoń. Położył ją na moim ramieniu. Zadrżałam. Wstrzymałam oddech, czując, że jego palce się zaciskają.
- Spójrz tam. – Markiz nagle oderwał dłoń i przytknął ją do czoła, zacinając oczy. – Przywołałem już dla was motorówkę. Przez kretyńskie lokalne przepisy po każdym kursie muszę ją odsyłać do portu. To chore.
 - To chore – powtórzyłam za nim.



Pilot

Kiedy Konstancja weszła do mieszkania, wciąż siedziałem na podłodze pośród tych wszystkich listów.

- Hej, Pilocie, gdzie jesteś? – zapytała z przedpokoju.

Nie odpowiedziałem. Bez słowa, w głębokim napięciu czekałem, aż sama mnie odnajdzie. Słyszałem, jak zagląda do salonu, otwiera drzwi do kuchni i przechodzi do łazienki.

- Nie wygłupiaj się. Jeżeli zaraz wyskoczysz z za rogu i będziesz...

Stanęła przy wejściu do swojego pokoju i urwała w pół zdania. Przygryzła wargę. Nasze spojrzenia spotkały się i natychmiast wypełniły wzajemnymi oskarżeniami. Przez kilka sekund milczeliśmy. Bez ruchu obserwowaliśmy się, czekając na reakcję drugiego. Zastygliśmy jak starożytne rzeźby, które mogłyby opowiedzieć niezwykłą historię, lecz nie potrafią mówić. Zastygliśmy w poważnych pozach. Równie dobrze można by pozbawić nas kawałków rąk lub nóg, obtłuc trochę na twarzach, a z pewnością byśmy nie drgnęli.

Jeszcze nie.

Wreszcie Konstancja oblizła usta i przeniosła wzrok gdzieś za okno.

– Kupiłam ci krzyżówki – powiedziała niewinnym tonem.

W tamtym czasie z przyjemnością rozwiązywałem krzyżówki. Usypiały równie dobrze jak piwo, a były od niego zdrowsze. Poza tym pozwalały poznać nowe słowa, takie jak „tonika” czy „diatermia”. Były też inne, znacznie zabawniejsze.

– Dziękuję. – Kiwnąłem głową. – Naprawdę dziękuję.

Nasze ruchy wciąż były zdawkowe, jakby oblepiła nas gęsta maź. Konstancja, wciąż patrząc za okno, rzuciła w moją stronę zeszytem z krzyżówkami. Ten wyśladował obok listów. Kilka z nich przesunęło się z szelestem po podłodze.

Drgnąłem. Nieprzyjemny dreszcz przypomniał mi, że mam mięśnie, ścięgna i kości. Że nie jestem antycznym posągiem.

– Co to jest? – zapytałem ciszej, niż chciałem, więc zaraz powtórzyłem: – Co to, kurwa, jest?

– To... – Konstancja wzruszyła ramionami. Nadal na mnie nie patrzyła. – Nie mogę ci powiedzieć.

Zerwałem się z podłogi i w ułamku sekundy znalazłem się tuż przy niej. Spojrzałem na jej smagniętą opalenizną twarz, na zebrane w kucyk ciemne włosy i długie rzęsy, którymi zatrzepotała, starając się strząsnąć zmieszanie. Zacisnęła usta.

– Nie możesz mi powiedzieć? – Parsknąłem. – Jesteś szalona. Rozumiesz? Szalona!

– Proszę, uspokój się...

Konstancja złapała mnie za dłoń. Przyciągnęła ją do siebie, abym ją przytulił. Cofnąłem się z obrzydzeniem.

– Nie zachowuj się tak.

– Jak? Do cholery, rozumiesz, co zrobiłaś? Czy ty w ogóle masz tego świadomość? Wysyłałaś pieprzone listy miłosne do największych popierdoleńców w tym kraju.

Spuściła głowę, a ja perorowałem dalej:

– To jest totalnie popieprzone! Musisz się leczyć. Nie wiem, czy powinno być mi bardziej żal ciebie, czy siebie. Najpierw wyczuwasz śmierć, potem widzisz trupy, a w międzyczasie korespondujesz z seryjnymi mordercami albo gwałcicielami. Co to za popieprzone typy? – Roześmiałem się nerwowo. – Jesteś niebezpieczna. Powinni cię zamknąć i porządnie przebadać.

– Nie mów tak! Sam widziałeś tamtego esemesa.

– I wiesz co? – Tym razem nie wyrwałem się z jej objęć, ale spojrzałem jej prosto w oczy. – Chyba nie chcę wiedzieć, jaka jest prawda. Nie chcę wiedzieć, skąd przyszło ci do głowy, co stało się z tamtą dziewczyną.

– Chyba nie sugerujesz, że...

Zirytowany przegładziłem dłońmi twarz.

– Niczego nie sugeruję. Niczego nie chcę wiedzieć.

- Ale...

- To koniec.

Do oczu Konstancji gwałtownie nabiegły łzy. Zaczęła histerycznie kręcić głową.

- Nie, nie, nie... Proszę. Nie mów tak. Nigdy tak nie mów!

- Zostaw mnie.

Cofnąłem się i jeszcze raz popatrzyłem po rozrzuconych na podłodze listach. Nic z tego nie rozumiałem. Czułem się, jakbym odgrywał rolę w jakimś idiotycznym przedstawieniu.

- Nie mogłam powiedzieć ci prawdy... - Konstancja szeptała, starając się powstrzymać drżenie głosu. Nie wychodziło jej to. - Nie mogłam tego zrobić, widząc, że nigdy mi nie wierzysz. Wtedy byłoby jeszcze gorzej.

- W co niby miałbym nie wierzyć?

- We mnie.

- W romans z paroma mordercami? Czy w miłosne wyznania pisane do gwałciiciela? Kim oni w ogóle są? Niestety, kojarzę tylko jednego gościa skazanego na dożywocie. Ale to pikuś. Prawda?

- To nie tak. - Pokręciła głową i przytknęła palce do skroni. - To nie tak. Zupełnie nie tak! Boże...

Minąłem ją, kierując się do drzwi. Chciałem się spakować i wynieść, ale zabrałoby mi to zbyt wiele czasu. Musiałem uciec z tego świata jak najszybciej. Musiałem zaczerpnąć tchu.

- Jesteś popieprzona - rzuciłem, wychodząc na klatkę.

Konstancja pobiegła za mną, ale zamknąłem drzwi. Dwukrotnie przekręciłem zamek, który ze środka można było otworzyć jedynie kluczem. Wiedziałem, że Konstancja nie ma go przy sobie. Przez drzwi nadal coś do mnie krzyczała.

Szybko zbiegłem po schodach. Gdy wyszedłem z klatki, intensywne słońce zakłuło mnie w oczy. Nad okolicą przetoczył się łoskot podchodzącego do lądowania jumbo jeta.



Stew

- Jaki on jest?

- Dlaczego pytasz właśnie mnie?

- Przecież spędziłaś z nim całą noc! Nie udawaj niewiniątka.

Rudowłosa anorektyczka z potwornie kościstymi, odsłoniętymi ramionami oraz przebijającą spod skóry siatką żył patrzyła na mnie mętным wzrokiem. Mówiła po angielsku z mocnym szkockim akcentem. Z trudem ją rozumiałam.

- Tylko rozmawialiśmy.

Powiedziałam to usprawiedliwiającym tonem, który natychmiast zwrócił uwagę Konstancji. Uśmiechnęła się do mnie z drugiego skraju przecinającej fale motorówki. Byłyśmy na pokładzie razem z Werą, Szkotką i jeszcze jedną dziewczyną. Ta czwarta co chwilę wymiotowała za burtę. Nawet nie starała się usiąść, tylko stała z głową wystawioną na zewnątrz. Motorówką sterował smagły Murzyn zadziornie połyskujący przekrwionymi białkami oczu.

– Tylko rozmawialiście? – dopytywała Szkotka. – Widziałam was z górnego pokładu. Michele nie mógł oderwać od ciebie wzroku.

– Pewnie tylko ci się zdawało.

– Wiem swoje. I bardzo chciałabym wiedzieć, jaki on jest.

Rozdrażniona zacisnęłam dłoń na niewielkiej torebce. Każda z nas dostała od Michelego elegancko zapakowane zawiniątko z kosmetykami. Zastanowiłam się, jaki naprawdę był Markiz? Nawet gdybym chciała odpowiedzieć na pytanie rudej, chyba bym nie potrafiła. Zresztą, co ja wiedziałam o Michele di Sant'Angelo Jakimśtam? Natrętne spojrzenie błękitnych, trupich oczu Szkotki zaczęło mnie irytować. Widziałam, że Konstancja i Wera z zaciekawieniem przysłuchują się naszej wymianie zdań. Nie zdążyłyśmy jeszcze same porządnie porozmawiać.

– Skoro byłeś na jachcie, pewnie wiesz o Markizie tyle co ja – odezwałam się cierpko.

– Och, z pewnością nie. – Ruda wzruszyła ramionami i na moment przeniosła wzrok na wymiotującą dziewczynę. – Trafiłam tam przez przypadek z chłopakiem, którego poznałam na brzegu. Dupek na jachcie zostawił mnie i gdzieś polazł. Zdaje się, że znał Markiza. Mówił, że cumuje tu od dobrych paru dni. Ale dopiero wczoraj zrobił pierwsze przyjęcie. Podobno nigdy wcześniej nie zdarzały się na jego pokładzie dni bez zabawy.

– Czyli jednak wiesz więcej niż ja – odparłam, przekrzykując warkot silnika wzbijającego się na wyższe obroty. Murzyn ustawił motorówkę tak, by przecinała fale pod odpowiednim kątem. Od przystani dzieliło nas już mniej niż sto metrów i zdaje się, że prąd znosił nas nieco na bok.

– Nawet nie wiem, czy to prawda. Czasem mam wrażenie, że wszyscy wokół mnie kłamią.

Ruda zrobiła żalostną minę i pociągnęła nosem. Konstancja za jej plecami biła mi brawo. Mnie albo jej. Albo nam wszystkim.

– Też czasem mam takie wrażenie – powiedziałam, patrząc na przyjaciółkę.

Szkotka natychmiast się ożywiła.

– Naprawdę?

– Mhm.

– Ja później budzę się i nie pamiętam, gdzie byłam zeszłego wieczoru. I boję się, że zgubiłam komórkę.

– Czy komórka jest taka ważna? – Do rozmowy włączyła się Wera. – Czasem dobrze jest zerwać ze światem wszystkie kontakty.

- Jak to? - Ruda wytrzeszczyła oczy. - Za pomocą komórki można płacić na całym świecie - mruknęła. - Nawet tu. Nawet na Bali.

- Nie jesteśmy na Bali. To Zanzibar.

Szkotka znowu wzruszyła kościstymi ramionami.

- A co za różnica? - Wyciągnęła z kieszeni krótkich spodni telefon i obróciła go w dłoń. - Każdego dnia sprawdzam, czy dostałam od starych przelew. A potem wiem, że znów mogę robić, co tylko zapragnę.

- Robią ci przelewy każdego dnia? - dopytałam głupio.

- Właśnie nie. Chyba nie... Sama nie wiem.

Motorówka zwolniła, a spojrzenie rudej uleciało gdzieś ku pojedynczym obłoczkom sunącym nad nami. Zatoczyła się i przez chwilę myślałam, że upadnie na pokład. W ostatniej chwili złapała się dłonią burty. W drugiej ręce kurczowo ścisnęła telefon.

- Hirłiri! - krzyknął Murzyn. Brzmiało to jak wezwanie wojenne jakiegoś plemienia. - Hirłiri!

Zdałam sobie sprawę, że „hirłiri” to wypowiedziane na wydechu i z mocnym lokalnym akcentem „Here we are”. Wymowny gest wskazujący na drewniane, gnące się molo potwierdził moje przypuszczenia. Ruda podniosła się i oparła na moim ramieniu.

- Ten kutas, który zabrał mnie na jacht - czknęła - mówił, że Markiz przyciąga degeneratów jak lep muchy. Sądziś, że jestem degeneratem? A może użył słowa „dekadent”? Widzisz różnicę między degeneratem a dekadentem? Prawdę powiedziawszy, ja jej wcale nie widzę, ale powiem ci, że w ten sposób wyrażał się mój ojciec. Degeneraci to, dekadenci tamto. Klasyfikował wszystko i wszystkich, lecz nie rozumiał znaczenia cech, które tak hojnie nadawał. - Szkotka przerwała potok słów i czknęła. Złapała wyciągniętą dłoń Murzyna i pozwoliła pomóc mu się wciągnąć na pomost. Gdy na nim stanęła, mocny podmuch wiatru rozwiął jej włosy. Miała bladą, chudą twarz i cienki nos. Wciąż mierzyła mnie trupim wzrokiem.

- Wiesz co? - odezwała się, gdy stanęłam obok niej.

- Nie mam pojęcia - odparłam nieco rozbawiona. Na łądzie, poza jachtem Markiza znów poczułam się pewniej. - Chyba się pogubiłam.

Konstancja puściła do mnie oko, po czym szepnęła coś Murzynowi do ucha. Wera wymownie pokręciła głową.

- On mówił też... - Ruda zdjęła buty. Nagimi stopami weszła na plażę i zaczęła rozgarniać piasek, który nie nagrzał się jeszcze na tyle, by parzyć. - Mówił, że Markiz jest niebezpieczny. I żebyśmy się cały czas trzymała przy nim, bo coś może mi się stać. A potem sam zniknął! A ja? No, zobacz. Stoję tu obok i żałuję, że nic się nie stało. Może on woli chłopców? Spójrz na mnie i powiedz mi całkiem szczerze, czy ze mną jest coś nie tak? No, śmiało!

Szkotka nie czekała na odpowiedź. Odblokowała telefon i zmrużyła oczy. Uśmiechnęła się, zapewne widząc, że ma zasięg. Uruchoimiła internet, po czym

oddaliła się w swoją stronę. Przez chwilę wiodłam wzrokiem za jej kościstą sylwetką.

– Szurnięta ćpunka. – Konstancja kuksnęła mnie w bok. – Już myślałam, że się zaprzyjaźnicie. *Shame on you. Shame on you, punk.*



Pilot

Niczego nie sugeruję. Niczego nie chcę wiedzieć.

Dwa zdania, które wściekły wycedziłem do Konstancji, utkwiły mi w pamięci. Oba były takim samym kłamstwem. Po pierwsze, rozmyślnie coś sugerowałem. Interpretację chciałem pozostawić jej. Niedopowiedzenia bodą bardziej niż rzucona gniewnie na stół talia prawd. Tym bardziej jeżeli o prawdzie nie miałem błędnego pojęcia.

Po drugie, wszystko bym oddał, żeby tylko zrozumieć, o co w tym chodzi. Jedyne duma nie pozwalała mi zostać i kontynuować tamtej rozmowy. Jeżeli Konstancji na mnie zależało, powinna być ze mną stuprocentowo szczerą. Raz zawiedzionego zaufania nigdy nie da się w pełni odzyskać.

Wychyliłem kieliszek wódki i odstawiłem go na kontuar oznaczony odbiciami szklanek. Młody, wyciągnięty jak szczypior barman przecierał zawieszony naprzeciw mnie kufle. Ich ekspozycję odświeżano każdego dnia zaraz po otwarciu tego podłego przybytku pijaństwa. Otwarcie co prawda miało nastąpić dopiero za godzinę, ale na wszystko się znajdzie sposób.

Do środka udało mi się dostać po interwencji u właściciela, który kiedyś dla całej firmy wykupił loty moim szybowcem. Skoro widziałem, że ktoś się w środku płacze, dlaczego nie mogłem mi kilka razy poleać?

To, że kuchnia była zamknięta, mogłem w pełni zrozumieć.

Nieco mniej to, że wódka była ciepła. Ale nie zastanawiałem się nad tym.

– Zły początek dnia? – zagadnął szczypior. Był trochę obrażony, że ma przeze mnie więcej roboty.

– Aha.

– Wiem coś o tym.

Jedyne wzruszyłem ramionami. Nie interesowało mnie, co o złych początkach dnia wiedział barman. Przesunąłem w jego stronę kieliszek, dając znać, by go uzupełnił. Jednocześnie odblokowałem telefon i uruchomiłem przeglądarkę. Zignorowałem kilkanaście esemesów oraz nieodebranych połączeń od Konstancji. Nikogo innego nie obchodziłem.

Przez kolejne pół godziny przeglądałem informacje o osobach, do których pisywała moja dziewczyna. Nie miałem pojęcia, czy z którąkolwiek z nich się

spotkała. Choć treść niektórych listów nie powinna pozostawiać wątpliwości.

Wreszcie poczułem rozluźnienie, a wódka zaczęła szumieć mi w głowie. Knajpa została otwarta i pojawili się pierwsi goście. Trzech studentów mających zamiar opijać jakieś kolokwium. Byli głośni i pretensjonalni. Jeden z nich, o przyszczatej, nalanej twarzy podrostka, co chwilę wesoło pogwizdywał. Jakby liczył na to, że jego wesoły nastrój udzieli się całemu światu. Dwóch pozostałych, mały okularnik i elegancik w granatowym garniturze i niedbale owiązanej wokół szyi apaszce, co chwilę mu wtórowali. Ich wybuchy śmiechu doprowadzały mnie do furii.

Starłem się skupić na kolejnych artykułach. Jeden z listowych przyjaciół Konstancji odsiadywał wyrok za gwałt oraz dwa zabójstwa. Trzeciego nie zdołano mu udowodnić. Prokuratura w ostatnim momencie wycofała je z aktu oskarżenia. Ponoć obawiano się, by przez to nie położyć całej sprawy. Oskarżony przez cały proces milczał. Nie odezwał się nawet słowem. Gdy wydawano wyrok, uśmiechał się, a jego adwokat wnosił o uznanie go za niepoczytalnego. Bezskutecznie.

Sprawa przeszła przez kolejne instancje, aż wreszcie otarła się o Sąd Najwyższy. Ten dopatrzył się jakichś uchybień i cała zabawa musiała ruszyć od nowa. Łącznie trwała przez prawie pięć lat. Oburzenie opinii publicznej zmobilizowało do działania rząd. Uchwalono poprawkę ustawy, która miała zapobiec podobnej obstrukcji w przyszłości. Ponoć obecnie proces trwałby o połowę krócej. Mogłem w to uwierzyć, zwłaszcza że zbliżała się kampania wyborcza.

Po ostatecznym wyroku morderca nadal był w dobrym humorze. Mimo że wymierzono mu karę dożywotniego pozbawienia wolności, zdawał się tym zupełnie nie przejmować. Odezwał się tylko raz, gdy wyprowadzano go z sądu.

Prawda przerażałaby was jeszcze bardziej.

Te skierowane do reporterów słowa wywołały lawinę spekulacji. Mimo to kilka śledztw dziennikarskich zakończyło się niepowodzeniem. Nie odkryto żadnych rewelacji. Prawda zdawała się zamknięta w stu osiemnastu tomach akt.

Kolejny adresat listów Konstancji miał na koncie uprowadzenie dwóch kobiet. Jedną z nich, uroczą blondynkę, która w trakcie procesu stała się gwiazdą mediów, udało się uratować. Druga po pięciu dniach od policyjnej akcji uwolnienia niestety zmarła. Gdy wydobyto ją z prowizorycznie wzniesionej w lesie szopy, była skrajnie wycieńczona i miała otwarte złamanie uda. Prawdopodobnie podczas próby ucieczki wpadła w zastawione przez swojego oprawcę wnyki. Ponoć to właśnie przez nieleczone złamanie doszło do zakażenia i zgonu. Brakowało mi oficjalnego komunikatu.

Co ciekawe, uratowana kobieta twierdziła, że porywacz traktował je dobrze. Nakłaniał tę drugą do jedzenia, lecz ta kategorycznie mu odmawiała. Uciekając, ponoć miała świadomość, że szopa otoczona jest pułapkami. Miały one chronić porywacza oraz jego ofiary przed dzikimi zwierzętami.

Właściwe organy zgodziły się na opublikowanie wizerunku sprawy. Wszystko dlatego, że w chwili, gdy policja wkroczyła do szopy, ten znajdował się gdzieś

całkiem indziej. Udało mu się uciec, a następnie przez blisko dwa tygodnie poszukiwały go służby policyjne całej Europy. Wreszcie znaleziono go w jakiejś zapyziałej albańskiej wiosce. Jej mieszkańców zaniepokoiła przeciągająca się obecność kogoś obcego. Tam obcy nadal wzbudzali nieufność.

Patrzyłem na łagodne, chłopięce rysy bruneta i nie mogłem uwierzyć, że ktoś taki jest zdolny do popełnienia okrutnych zbrodni. W jego głęboko osadzonych, błękitnych oczach tlił się strach. Szerokie, mięsiste usta na każdym ze zdjęć wydawały się rozchylone w wyrazie zdziwienia. Zgodnie z opisem z listu gończego miał 171 centymetrów wzrostu i ważył około 60 kilogramów. Był szczupłej budowy ciała, a znakiem szczególnym była niewielka blizna na prawym uchu.

Żadna z porwanych kobiet nie została zgwałcona ani wykorzystana seksualnie. Aby zadbać o ich komfort psychiczny, sprawca we wnętrzu szopy wydzielił nawet pomieszczenie sanitarne. Za brudną ceratą znajdowały się nocnik oraz misa z wodą.

W tej sprawie oskarżony przyjął całkowicie inną taktykę niż morderca, o którym czytałem wcześniej. Ochocho zeznawał i tłumaczył powody swojego działania. Chciał stworzyć idealne społeczeństwo złożone ze współczesnych Amazonek. Nigdy nie wytłumaczył, co rozumie pod pojęciem „współczesnych Amazonek”.

Wobec faktu, że nie miał żony ani córek, pozostawało mu sprowadzenie pierwszych obywaterek siłą. W przyszłości pragnął mieć z nimi dzieci, lecz najpierw uznał, że musi je do siebie odpowiednio przekonać. Ponoć całymi dniami opowiadał im o swoich poglądach oraz marzeniach. Czytał im prace Marksa, Lenina oraz Engelsa. Czasem fragmenty Mein Kampf Hitlera. Z żadnym z nich się nie zgadzał. Zamierzał stworzyć własną wersję manifestu, choć największą trudność sprawiało mu wymyślenie odpowiedniego tytułu. Utrzymywał, że swoją koncepcję państwa zaczerpnął z pewnych anegdot wzmiankowanych w dziele Marca Polo o podróży na Daleki Wschód.

Media wydawały się zachwycone tak ciekawą osobowością oskarżonego. Jednak mimo że ten zachowywał się całkiem odmiennie od swojego poprzednika, jego adwokat również wnosił o uznanie go za niepoczytalnego. W tym wypadku skutecznie. Sprawa została umorzona, a brunet trafił do zakładu leczniczego. Zapewne nadal wpatrywał się w lustro zdziwionym, zakłopotanym spojrzeniem. Nie wiadomo, czy na jego oddziale pracują jakiegokolwiek kobiety. Ponoć dostaje wiele listów.

Od lektury kolejnego artykułu oderwało mnie mocne szturchnięcie w ramię. Telefon prawie wypadł mi na bar. To pryszczaty grubas wymachiwał rękoma, starając się zwrócić uwagę paru dziewczyn, które niedawno dosiadły się do kontuaru. Całkowicie zaprzątnięty biogramami listowych przyjaciół Konstancji, nawet nie odnotowałem ich obecności.

- Ej, uważaj - syknąłem.

Przedemną stał pełny kieliszek. Lektura artykułów tak mnie pochłonęła, że zdążyłem już nieco wytrzeźwieć. Zapomniałem o wódce. Nie miałem pojęcia, która

jest godzina. W barze zapalono światła, a zza okna przebijała żółta poświata latarni.

Grubas przepraszająco uniósł dłonie.

– Sorry, stary.

Bez słowa dopiłem wódkę i schowałem telefon do kieszeni. Gdy wyszedłem z baru, okazało się, że na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Zatrzymałem się przed wejściem i nabrałem świeżego powietrza. Nie wiedziałem, w którą stronę iść ani co robić.

Wiedziałem natomiast, że nie chcę wracać do Konstancji.



Stew

Lot z portu Abeid Amani Karume w Zanzibarze do Dubaju trwa niecałe sześć godzin. W jego trakcie można podziwiać ośnieżone szczyty Kilimandżaro, zielone równiny Etiopii oraz dzikie rubieże Dżibuti. Zatoka Adeńska ma kolor chabrow. Nigdzie indziej woda widziana z dziesięciu kilometrów nie ma takiego odcienia.

Większość podróżnych to turyści, którzy przez Emiraty wracali z Tanzanii do domów. Do Niemiec, Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii... Na pokładzie zawsze trafiało się też kilku Polaków. Wbrew pozorom nie było z nimi problemów. Niemal nigdy nie awanturowali się, a incydenty z alkoholem sprowadzały się do problemów z dobudzeniem ich w momencie, gdy konieczne było zapięcie pasów lub wyprostowanie foteli. Naprawdę nic wielkiego.

Większość podróżnych obserwowała przesuwaną się pod nami krajobraz. Loty odbywały się w ciągu dnia, a widoczność zazwyczaj była dobra. Czasami mglista peleryna przysłaniała pogranicze etiopsko-kenijskie. Wszystko przez masyw Kilimandżaro, który na długie godziny zatrzymywał tak rzadkie w tej części świata chmury. Zachowywał się, jakby chciał je przyciągnąć i obejrzeć z najbliższej odległości. Podetkane pod wydatny, ośnieżony nos.

Przez cały lot ani razu nie zerknęłam za okno. W ogóle zdarzało mi się to rzadko, lecz teraz działałam na autopilocie. Poprzedniego wieczoru razem z Konstancją i Werą zjadłyśmy kolację, lecz żadna z nas nie zgłębiała szczegółów wieczoru spędzonego na jachcie. Połączyła nas zmowa milczenia. To, co się wydarzyło, mimowolnie potraktowałyśmy jako temat tabu.

Przez to poczułam się jeszcze bardziej winna. Wyrzuty sumienia storpedowały chwilową radość i zadowolenie.

– Dlaczego nie potrafisz się cieszyć? Zawsze znajdziesz problem. Zawsze coś roztrząszasz!

Patrzyłam na swoje odbicie w małym, składanym lusterku. Odbijająca się w nim twarz szydziła ze mnie. Brzydziła się mną. Widziałam, jak pogardliwie się

uśmiecha.

– Ty dziwko, dziwko, dziwko. Jesteś jak Konstancja. Gorsza niż Konstancja.

– O, nie. Wcale, nie!

Obróciłam głowę i chwyciłam ostrożnie płatek ucha. Obejrzałam w lusterku kolczyk. Regulamin zabraniał noszenia biżuterii, a ja całkiem o tym zapomniałam. Przypomniało mi o tym zawistne spojrzenie stewardesy z Tajlandii albo Filipin. Nigdy nie mogłam rozróżnić tamtych typów urody. Jednak byłam pewna, że zaraz moje przewinienie zostanie doniesione wyższym instancjom. Nie zdziwiłabym się, gdyby ukradkiem zrobiono mi nawet zdjęcie.

– Zawistna pinda.

Zdjęłam kolczyki i przez chwilę patrzyłam, jak leżą na mojej dłoni. Poruszałam nimi tak, by brylanty jak najlepiej łapały światło. Ile mogły być warte? Kilka, może kilkanaście tysięcy euro. A może więcej? Przypuszczam, że więcej. Wiele, wiele więcej.

Zacisnęłam dłoń i zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie moment, gdy Markiz sprawił, że kajutę wypełnił mrok. Zaraz zganiłam się za tę myśl. Nie powinnam tego wspominać. To był zatruty owoc, który zatruewał mój umysł.

– Nie, nie, nie... – powtórzyłam, patrząc wprost w swoje odbicie.

Złożyłam lusterko i wrzuciłam je do kosmetyczki. Kolczyki zawinęłam w ręcznik papierowy. Przez chwilę wahałam się, czy również nie wrzucić ich do kosmetyczki, ale uznałam, że to zły pomysł. Nie ufałam ludziom. Po tej Tajko-Filipince można się było wszystkiego spodziewać.

Wsunęłam zawiniątko do kieszeni i starannie zapięłam guzik. Przygłodziłam spódnicę. W moim bagażu znajdowało się kilka tysięcy euro podarowanych mi przez Markiza w Singapurze. Wciąż tkwiły w kopercie, ale już nie zamierzałam ich zwracać. Michele dostał za nie to, czego pragnął. Nie powinnam traktować tego jako zapłatę dla prostytutki, a prezent od uwodziciela dla damy. Podobnie jak te kolczyki i bukiety. Podobnie jak każde z jęgo słów.

Wszystko to tylko kwestia perspektywy.

– Albo jej braku – dodałam na głos, choć już nie w stronę swojego odbicia.

Wyszłam z kabiny i wróciłam do pracy. Lot przebiegał bez zakłóceń, lecz wciąż nie potrafiłam się na niczym skupić. Prowadziłam schematyczne rozmowy, uśmiechałam się, ale tak naprawdę pozostawałam odcięta od świata. Dwa razy wracałam się, aby zapytać, czy dobrze zapamiętałam, co zamawiali podróżni. Totalny brak profesjonalizmu.

Mój wzrok skupiał się jedynie na zakochanych parach. Na ludziach, którzy po romantycznych wakacjach wracali do rzeczywistości, lecz jeszcze nie chcieli się z tym pogodzić. Patrzyłam na kobiety leżące w uściskach mężczyzn, na ich splecione dłonie, prawdziwe uśmiechy i przelotne, pełne czułości pocałunki. To się nazywa miłość. Rozkoszna ułuda, która zawsze trwa dłużej lub krócej, niż chcemy. Ułuda, którą przerywa odkrycie prawdy lub śmierć.

Ułuda, która czasem okazuje się jedynie kaprysem hormonów.

Widok tych wszystkich rozanielonych twarzy sprawiał mi ból. Za każdym razem ożywiały wyrzuty sumienia i pobudzał głos, który wrzeszczał, że powinnam się siebie brzydzić. Dziewczyna z wiochy pozwoliła sobie na zbyt wiele. Zbłądziła. Zgrzeszyła.

Już nigdy nie będzie taka sama.

Już nigdy.

Wspomnienie seksu z Markizem bombardowało mnie teraz mimowolnie. Chciałam je odrzucić, a ono powracało raz po raz. Regularnie. Coraz szybciej.

To był błąd. Potworny błąd.

Nie jesteś żadną damą.

Jesteś dziwką.

Dziwką, dziwką, dziwką.

Ocknęłam się nad muszlą toaletową w kiblu na lotnisku w Dubaju. Z lądowania i ostatnich minut lotu miałam jedynie mgliste wspomnienie. Nie wiedziałam, czy jestem tu od kwadransa, czy od godziny. Spojrzałam na swoje wymiociny. Od wczoraj nie przełknęłam niemal niczego, więc zwróciłam jedynie żółcią.

Otarłam usta chusteczką i spuściłam wodę. Niezgrabnie podniosłam się i odszukałam komórkę. Z odrazą patrzyłam na palce, którymi przeczesywałam włosy Markiza. Chciałam je połamać, chciałam się ukarać, chciałam...

Wyszłam z kabiny i odłożyłam telefon na skraj umywalki. Pod gorącą wodą wyszorowałam dłonie. Jakaś kobieta obok mnie przewijała dziecko. Dwa razy mydliłam ręce i bezskutecznie zmywałam z nich wspomnienie chwil rozkoszy. Czułam, że tak naprawdę jedynie coraz mocniej wcieram je w siebie. Wchłaniałam je każdą cząstką ciała. Dopiero teraz uzmysławiałam sobie, że to wydarzyło się naprawdę. Że to ani nie piękny sen, ani nie koszmar.

Przyciągnęłam walizkę na kółkach i wysuszyłam dłonie. Z powrotem sięgnęłam po komórkę. Odblokowałam ekran. Rozejrzałam się, czy w pobliżu nie ma nikogo znajomego. Wstydziłam się siebie i całego świata. Myślałam, że będzie zupełnie inaczej.

A przecież wszystko toczyło się dokładnie tak, jak chciałam. Powinnam być dumna.

Powinnam.

Dotknęłam kieszeni, w której trzymałam kolczyki. Czułam wypukłość zwiniętego ręcznika papierowego. Z odrazą oderwałam od niej dłoń i oparłam się o umywalkę. Z powrotem zerknęłam na ekran komórki.

Dość.

Musisz to zrobić.

Drżącą dłonią wybrałam kontakt. Dwukrotnie myliłam się i klikałam nie na tę osobę, którą chciałam. Wreszcie zatwierdziłam wybieranie połączenia.

- Cześć, kochanie. - Zniekształcony odległością głos odezwał się po kilku sygnałach.

- Zrobiłam to - wyrzuciłam z siebie, nie czekając, aż stracę odwagę. Gardło mi się zacisnęło i kolejne słowo przypominało skrzek. - Zrobiłam...

Powoli wypuszczane powietrze zatrzeszczało w słuchawce.



Pilot

Rudy zaferował mi łóżko wodne oraz półkę w lodówce. Powiedział, że zgodnie z jego obliczeniami zmieści się na niej dziewięć piw. Zgodnie z praktyką, która przerastała obliczenia, upychał ich jedenaście. Ta różnica dwóch piw stanowiła zagadkę jego życia. Podobnie jak to, jakim cudem dziesięciokilowa Zojka pochłania dziennie porcję karmy dla psa olbrzyma. Tu moim zdaniem rozwiązanie było proste i zamykało się w jednym słowie: „apetyt”.

Nie potrzebowałem półki w lodówce. Jednorazowe wstawienie się w barze całkowicie mi wystarczało za stypę. Postanowiłem, że u Rudego będę jadał śniadania, a od rana do nocy czas spędzę na lotnisku. Miałem plan poświęcić się blogowi, a może nawet napisać jakiś dojrzały i poważny artykuł związany z szybownictwem.

Wszystko, byle nie myśleć o Konstancji.

Czekało mnie jeszcze najtrudniejsze zadanie. Wyprowadzka z mieszkania, w którym miałem zostawić swoje najlepsze wspomnienia. Tych nie dało się zapakować do poobdzieranej walizki z logo firmy, które przypominało znaczek firmowy luksusowej marki. W przypiływie poetycznego zwątpienia pomyślałem, że właśnie takie jest moje życie. Nędzną imitacją, która momentami ocierała się o doskonałość, jednak na zawsze pozostała tandetnym gównem.

Ładne, co?

Po dwóch dniach pomieszkiwania u Rudego, po odrzuceniu kilkudziesięciu telefonów i usunięciu kilkuset esemesów, a przede wszystkim po odstawionej przez niego szopce, gdy Konstancja zjawiła się w jego mieszkaniu, wypytując, czy przypadkiem nie wie, gdzie jestem, przyszedł czas decyzji. Potrzebowałem swoich rzeczy i nie chciałem dłużej trzymać jej w niepewności. Nie robiłem tego oczywiście dla niej, ale może choć trochę w imię szacunku i wciąż istniejącego uczucia. Zastanawiałem się, co myśli, i próbowałem spojrzeć na świat jej oczami.

Otarłem się o to w tym przedsennym stanie, gdy przewracałem się z boku na bok na łóżku wodnym. Następnego dnia wstałem z samego rana i postanowiłem ostatecznie się przeprowadzić.

Konstancja miała obrzękniętą twarz i co chwilę wydmuchiwała nos. Bez słowa obserwowała, jak się pakuję. Nie tłumaczyła się ani nie płakała. Usunęła się w kąty i tępo patrzyła za okno. Obracała w dłoni połączany wisiorek, który jej kiedyś podarowałem.

Podeszła do mnie, gdy większość ciuchów już upchnąłem do walizki, a inne nie miały szansy do niej się zmieścić.

Stała w progu i oparła się ramieniem o futrynę. Spuściła głowę. Nie pamiętam, które z nas odezwało się pierwsze. Pamiętam, że była to jedna z najsmutniejszych rozmów, które dane było mi odbyć. I jak wszystkie smutne rozmowy wiele w niej było niedopowiedzeń, ukrytych prośb oraz całkiem wyraźnych wyrzutów. I wielkie nic treści.

- Odchodząc, przekreślasz wszystko, w co wierzyłeś przez ostatnie lata. - Konstancja co chwilę nerwowo gładziła podbródek. Denerwowało mnie to.

- Żyłem pieprzonymi złudzeniami, że jesteś inna niż wszyscy.

Za późno zdałem sobie sprawę, że „inna” to w tym przypadku złe słowo.

- Nie zmieniałam się, odkąd mnie poznałeś.

- Tak - fuknąłem. - Teraz wiem, jak szurnięta jesteś, byłaś i będziesz. Szkoda, że nie wiedziałem tego wcześniej.

- Czasem, żeby nic się nie zmieniło, musimy zmienić wszystko. Rozumiesz? Lampedusa miał rację.

- Nie rozumiem. Nie chcę rozumieć. I skończ z tym cholernym filozofowaniem.

- Nigdy nie byłam wobec ciebie nie fair.

Prychnąłem. Prawdą było, że nigdy nie widziałem Konstancji takiej jak wtedy. Poważnej i skupionej na każdym wypowiedzianym słowie. Eterycznej. Ta najbardziej wyrazista z kobiet, które poznałem, wydawała się wówczas jedynie moim wyrzutem sumienia.

Wrzuciłem do walizki kosmetyczkę z przyborami do golenia i zapiąłem zamek.

- Po resztę rzeczy wrócę innym razem. Kiedy wymyślę, gdzie będę mieszkał.

- Tu jest twoje mieszkanie. - Konstancja zrezygnowana spuściła głowę. - Ze mną.

- Jesteś szalona.

- Nie chcę, żebyś mnie zrozumiał, ale żebyś mi zaufał. Tak jak robiłeś to do tej pory.

- Nigdy wcześniej nie znajdowałem wśród twoich rzeczy listów miłosnych do morderców. Trochę sobie o nich poczytałem.

Konstancja odrzuciła do tyłu włosy i znowu pociągnęła nosem. Utkwiła we mnie gniewne spojrzenie. Wiedziała, że łzami nie jest w stanie nic zdziałać. Najwyraźniej postanowiła przyjąć odmienną taktykę.

- Więc po co czegoś szukałeś? Jeżeli chce się znaleźć problem, zawsze się go znajdzie.

Te słowa momentalnie mnie rozjuszyły. Rąbnąłem otwartą dłońią w walizkę tak, że metalowy uchwyt niemal pękł.

- Ja pierdolę - wycedziłem, prostując prowadnicę. - Jesteś nienormalna? Gdybym przyłapał cię, jak pieprzysz się z kimś innym, też powiedziałabyś, że szukam problemów?

- Z nikim się nie pieprzyłam.

- Tym gorzej - odwarknąłem, prowadząc walizkę do przedpokoju. - Nie będziesz miała o czym pisać do kochasiów za kratkami. Pewnie lubią sprośne historyjki.

- Kochanie...

Konstancja przygryzła wargi i powstrzymała spazm płaczu. Jej oczy się zaskrzyły. Zrobiło mi się głupio za to, co powiedziałem, ale duma nie pozwoliła mi już zawrócić. Przeszedłem obok niej, stukocząc kółkami po hiszpańskiej terakocie.

- Kochanie...

Wyciągnęła dłoń, lecz się nie zatrzymałem. Nawet na nią nie popatrzyłem. Nie potrzebowałem ostatnich spojrzeń ani teatralnych pożegnań.

- Tak bardzo bym chciała, żebyś mi zaufała. Jeżeli wyjdiesz, nie będę za tobą biegła. I już nigdy pierwsza się nie odezwę, ale...

Uciałem te słowa, zamykając drzwi. Nie chodziło o zaufanie. Wierzyłem, że poza wymianą słów między Konstancją i tymi zbrodniarzami do niczego nie doszło. Chciałem w to wierzyć. Nie mogłem jednak żyć z kimś, kto ukrywał przede mną swój świat. Marzycielki z podstawówek nazwałyby go pewnie magicznym. Być może przed stu laty nazwałyby go tak również dojrzałe panny zaczytujące się romansami. Dla mnie był to jednak świat szaleństwa i fałszu. Tak mocno niezrozumiały, że musiałem się od niego uwolnić.

Hybrystofilia.

Abstrakcja, która okazała się rzeczywistością, całkowicie mnie przytłoczyła. Kiedyś marzyłem o tym, by patrzeć na świat oczami Konstancji. Teraz wiedziałem, że spojrzenie z cudzej perspektywy wypacza obraz i może przyprowadzić o szaleństwo.

Być może byłem naiwny i niedojrzały. Może jedynie nieco zbyt dumny. W każdym razie myślałem, że sam decyduję o swoim losie.

Gdy wlokłem walizkę osiedlową uliczką, ani razu się nie odwróciłem. Jednak byłem pewien, że Konstancja wyszła na balkon i odprowadza mnie wzrokiem. Słyszałem jej płacz. Na plecach czułem jej spojrzenie. Czy to również był szósty zmysł?



Stew

Z głośnika słuchawki dobiegł zdeformowany śmiech.

- Udało ci się podejść Markiza? - Głos męczyzny był niski i bełkotliwy. Jakby się dopiero obudził po solidnej libacji. - Jesteś niesamowita!

- Czuję się trochę inaczej.

- Bo...

- Ciągłe o tym myślę. Nie mogę tego zapomnieć. Ale pieprzyć to. Udało się i jesteśmy na dobrej drodze.

- Kiedy tak mówisz, nie wiem, czy mam mieć do ciebie pretensje, czy ci dziękować.

- Przecież o wszystkim...

- Wiem. Po prostu dopiero teraz dociera do mnie, co się stało.

- Możemy o tym nie mówić?

- Mhm.

- Jesteś zły?

- Mhm.

- Mhm, nie czy mhm, tak?

- Mhm, nie wiem. Jeżeli już, to na siebie. Albo nawet nie na siebie. Na świat. Na ten cały pierdolony świat. Kurwa mać! Nie mogliśmy zrobić niczego innego?

- Przestań.

- Dlaczego mam przestać?

- Użalasz się na coś, na co nie mamy cholernego wpływu. Wiesz to. Mówiłeś, że to wiesz i że wszystko rozumiesz. Sam tego chciałeś.

- Wiem.

- Ja pieprzę! To dlaczego w twoim głosie słyszę ton, jakbyś się zaraz miał powiesić?

- Przepraszam. Ja naprawdę jestem...

- Jestem, co? Wyduś to z siebie.

- Jestem ci wdzięczny.

- Mam taką nadzieję. Mam, kurwa, taką nadzieję.

- Tak właśnie jest.

- Normalnie aż mam ochotę się wypowiedzieć. Najpierw ucałować twój pusty, durny łeb, a potem się wypowiedzieć.

- Jesteś kilka tysięcy kilometrów stąd.

- Wyobraź sobie, że zdaję sobie z tego sprawę.

- Kochanie...

- Co?

- Nie płacz. Słyszę, że płaczesz.

- Nie, nieprawda. To pieprzony szum na łączu albo coś. Dlaczego miałabym płakać?

- Proszę, przestań. Sam jestem skołowany, ale przecież tyle razy wszystko omawialiśmy. Między nami nie ma miejsca na fałsz. Nigdy nie było.

- Ale... Okej. Jasne. Masz rację.

- Teraz czas działać dalej.

- Jasne.

- Wiesz, co masz robić?

- Tak. Nie jestem idiotką.

- Nie denerwuj się...
- Muszę kończyć. Gadam z kibla, a płacze się tu za dużo ludzi.
- W porządku.
- Buziak.
- Hej, zaczekaj!
- No, co?
- Naprawdę jestem ci wdzięczny. Tak bardzo wdzięczny. Kocham cię. I trzymam kciuki...



Pilot

Trzy dni mojego pomieszkiwania u Rudego zlały się w fantasmagoryczne pasmo powtarzanych scen. Puste rozmowy, sprawdzanie telefonu, czy aby nie nadszedł żaden esemes, sen, biwakowanie przy Puchaczu na lotnisku i od początku to samo. Męki Syzyfa w praktyce.

Były to trzy dni z dobrą pogodą, dzięki której obsłużyłem więcej klientów niż zwykle. Wyciągarka sprawdzała się świetnie, ale o zakupie wynoszącego w powietrze samolotu nie było już mowy. Nie miałem też takiego planu. Bez poczucia, że jest się z kimś blisko, tak bardzo blisko, życie stawało się prostsze. Odrzucało się plany i marzenia. To dziwne, jak wiele marzeń jest zależnych od tego, czy się z kimś spotykamy. Czy jest ktoś, z kim można je dzielić.

Tymczasem moja ambicja ograniczyła się do przeżycia następnego dnia. Pragnąłem dotrzeć do momentu, gdy walnę się na łóżku wodnym i będę mógł zamknąć oczy. Kilka godzin snu równało się mojemu kilkugodzinnemu nieistnieniu. Zniknięciu ze świata, a przy tym pozbyciu się wszystkich zmartwień. Czy kiedykolwiek myśleliście o śnie jak o wstępnym przygotowaniu do śmierci? Nie mówię o tych rzadkich nocach, kiedy męczą nas koszmary albo śnimy o dzikiej, nieokielznanej zabawie, o której nigdy byśmy w rzeczywistości nawet nie pomyśleli. Mówię o tych częstszych nocach, z których nic nie pamiętamy. Tak samo jak z okresu przed urodzeniem. Brak wspomnień to brak życia.

Zojka biegała wesoło po płycie lotniska. Zazwyczaj nie oddalała się od nas dalej niż na kilkanaście metrów, ale teraz pewnie zwietrzyła trop. Być może jakaś mysz lub szczur pędziły po świeżo skoszonej trawie.

Rudy wystawił twarz do słońca i zamknął oczy.

- Myślisz o niej? – zapytał niewinnym tonem.
- Niech cię szlag – odparłem.

Obrócił głowę i spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie wiedziałem, że jest tematem tabu. Wczoraj wieczorem sam o niej gadałeś.

- Ja mogę. Ty nie.

- I przyrzekasz mi, że z tym esemesem to prawda? Że było dokładnie tak, jak mówisz? Naprawdę go napisała, a potem okazało się, że ta dziewczyna...

- Niech cię szlag – powtórzyłem jedynie.

Po raz kolejny Rudy zaczynał ten temat. Nie interesowało go moje rozstanie. Interesowała go historia, która mogła nadać jego życiu głębszy sens. Był synem dewotki. Ojciec obumarł go, gdy ledwie nauczył się chodzić, więc prawie przez całe życie pozostawał pod destrukcyjnym wpływem matki. Służył do mszy jako ministrant, uczęszczał na dodatkowe zajęcia z religii w parafii, a do tego zmuszano go do udzielania się w życiu lokalnej społeczności. Pewnego dnia ksiądz, w którego jego matka była zapatrzona jak w święty obrazek, został ekskomunikowany. Pobożna parafianka umarła kilka tygodni później.

Jednak dla Rudego już po wielu latach od zrzucenia jarzma religijnego prowadzenia się wiara pozostała ważnym elementem życia. Chodził na msze, spowiadał się, a jednocześnie wiem, że za wszelką cenę czekał na cud, który pozwoliłby mu uwierzyć. Czuł, że był to winien matce. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale o najlepszych kumplach wie się takie rzeczy.

Dlatego tak bardzo fascynowała go historia z esemesem. Wprowadzała do jego życia element mistycyzmu. Namacalny może nie bezpośrednio, ale przez kogoś, komu z pewnością ufał. Jednak w tamtym czasie ja nie ufałem sam sobie, więc nie wspominałem ani słowem o szóstym zmyśle Konstancji. To wszystko wciąż było dla mnie zbyt zagmatwane.

- Obraziłbyś się, gdybym z nią o tym pogadał? - zagaił, wodząc wzrokiem za Zojką. Przywołał ją krótkim gwizdnięciem. - Zojka, Zojeczko! Kochanie, chodź tu, do nogi!

- Nie interesuje mnie to - odparłem. - Rób, co chcesz.

- Naprawdę chciałbym z nią o tym porozmawiać.

- Wiem.

- Ciebie to nie interesowało?

Wzruszyłem ramionami. Przeglądałem na telefonie kolejny artykuł o zabójcy, z którym korespondowała Konstancja.

- Znam parę osób, które miały różne przeczucia. Nawet policji czasem pomagają jasnowidze...

- Ale żaden z nich nie był dziewczyną mojego kumpla!

- Nieaktualną dziewczyną - poprawiłem go.

Rudy machnął ręką.

- Tylko tak gędzisz. Dobrze wiesz. Nigdy nie spotkałem pary, która dogadywałaby się lepiej. Przeżyjecie sto lat i razem zdiadziejecie. Będziecie niedołączonymi zaślinionymi staruszkami wysysającymi sobie zarcie z zakamarków protez. Zojka! Skarbie, wróć tutaj, mam dla ciebie smaczki!

Mogłem mu wtedy powiedzieć o zapachu śmierci, który wyczuła ode mnie Konstancja, ale uznałem to za zbyt niedorzeczne. Poza tym wydawało mi się zbyt intymne. Czymś, o czym wiedziałem tylko ja i ona.

Podniosłem głowę i spojrzałem na wysokiego mężczyznę, który podążał w naszą stronę. Miał spodnie w kancik, obcisłe różowe polo oraz stylowy kaszkiet. Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że kilka metrów za nim biegnie ośmio-, maksymalnie dziesięcioletnia dziewczynka. Czułem, że facet zaraz zapyta, czy podczas lotu może mieć małą na kolanach.

Przewinąłem artykuł i podniosłem się z rozkładanego krzesła. Wielki transparent obok mnie załopotał na wietrze. Ten element marketingowy wymyśliła oczywiście Konstancja. Podobnie jak krótkie, zabawne hasło.

Czasem miałem wrażenie, że Konstancja wymyśliła całe moje prawdziwe życie. Jakby przed nią nie było w nim niczego. Jakbym narodził się wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

W końcu życie to wspomnienia.

– Dzień dobry! – krzyknął z daleka mężczyzna. Odwrócił się do dziecka i powiedział do niego na tyle głośno, byśmy usłyszeli każde słowo: – No, Lenka, bądź grzeczną dziewczynką i przywitaj się z panami.

Lenka nie była grzeczną dziewczynką, bo spuściła głowę i nagle się zatrzymała. Speszona obróciła głowę. Jej piskliwe słowa porwał wiatr.

Rudy wyszedł im naprzeciw, zaczynając od jednej ze swoich oklepanych, durnych gadek. Jak dla mnie każda z nich bardziej odstraszała klientów, niż ich przyciągała. Osobiście czułbym się przy nim jak na arabskim targowisku.

Oparłem się o krzesło i zerknąłem w ekran komórki. Musiałem ją obrócić, aby nie odbijało się w nim słońce. Nie słuchałem rozmowy toczącej się za moimi plecami. Doczytałem artykuł do końca i wtedy przez głowę przemknęła mi jakaś nieskładna myśl. Pomysł? Skojarzenie?

Przeczytałem ostatnie dwa akapity jeszcze raz. Nagle wydało mi się, że wszystko rozumiem. To by było zbyt proste...

A jednak.

Klepnąłem Rudego w ramię i puściłem się biegiem do samochodu.

– Muszę coś załatwić – rzuciłem, nie zwracając uwagi na mężczyznę, który trzymał teraz dziewczynkę na barana. – Wpisuj wszystkich do terminarza. Adiós!



Stew

Kolejny tydzień minął nudno. Trzy długie loty pozwoliły mi nabrać przynajmniej symbolicznego dystansu. Trochę wprawy wystarczyło, by jet lagi nie zwały mnie

do łóżka, ale działały kojąco. Albo na siłę doszukiwałam się w swoim życiu plusów. Chciałam odnaleźć sens w otaczającym mnie chaosie myśli, skojarzeń i wspomnień. Starłam się stać nieruchomo, podczas gdy wokół przelewały się niekończące się procesje podróżnych. Mimo to huk przelatujących samolotów rozsadzał mi głowę.

Obróciłam się na bok i podłożyłam poduszkę pod policzek. Czułam, że przy nosie spływa mi łza, ale zupełnie tego nie kontrolowałam. Nie było mi ani źle, ani smutno. Nie było też nawet trochę dobrze.

Leżałam całkowicie wyprana z uczuć, zawieszona w jakiejś emocjonalnej próżni. Przez ostatnie dni dążyłam do tego stanu, a kiedy go wreszcie osiągnęłam, wiedziałam, że równie dobrze mogłabym sobie strzelić w łeb. Choć strzelanie w łeb to dość męska metoda otrzeźwiania się. Ja pewnie wybrałabym tabletki lub truciznę. Mój małomiasteczkowy melodramatyzm.

W każdym razie wyprucie z emocji to najgorszy ze stanów. Gdy nienawidzimy, kochamy, brzydzimy się sobą lub jesteśmy z siebie dumni, mamy poczucie osadzenia na świecie. Jesteśmy częstką czegoś większego. Czegoś, co nie pozwala nam po prostu implodować i rozpuścić się raz na zawsze.

Mogłabym się rozpuścić raz na zawsze i nie zrobiłoby mi to różnicy.

Kolejna łza pociekła mi koło nosa. Załaskotała mnie, ale nie miałam ochoty się drapać. Było mi to obojętne.

Gapiłam się w cień rzucany przez żaluzję na ścianę. Poruszane przez delikatny przeciąg zasłony wyginały się i układały w fantastyczne kształty. Nie interesowało mnie jakie. Nie doszukiwałam się w nich rysów znanych mi osób.

Leżąca obok komórka zawibrowała, a po chwili mrugnęła czerwona dioda.

Esemes.

Poruszyłam się i wierzchem dłoni otarłam łzy. Twarz miałam mokrą, jakbym przed chwilą skropiła ją wodą. Sięgnęłam po komórkę, po czym mechanicznie ją odblokowałam. Na ekranie wyświetliło się kolorowe zdjęcie. Przedstawiało Michelego na tle jachtu. Najwyraźniej znajdował się w motorówce, bo na oceanie za nim widać było warkocz białej, spienionej wody.

Przeszłam do wiadomości tekstowej. Normalnie dozowałabym sobie tę przyjemność, lecz teraz wszystko stało się obojętne. Serce zabiło mi mocniej może jedynie przez ułamek sekundy.

Chyba sprzedam Freedę. Teraz każdy jej zakątek przypomina mi o tobie. A jeżeli nie mogę Cię tu mieć przez cały czas, sam nie potrafię tu być. A może zechciałabyś wybrać się ze mną w rejs? Co Ty na to?

Freeda. Tak musiał się nazywać jego jacht. Nadał mu nazwę od wolności? Od Fridy? Od...

Te pytania pojawiły się równocześnie i zaraz znikły. Nie potrzebowałam dostać na nie odpowiedzi. Nie obchodziły mnie.

Patrzyłam na swoją twarz odbijającą się w wygaszonym ekranie. Nie byłam ani ładna, ani brzydka. Byłam po prostu opatrzona. Przynajmniej przez siebie.

Ta myśl sprawiła, że moje usta na sekundę wygięły się w lekkim uśmiechu. Po chwili znów wyprostowały się, a oczy, o ile w ogóle się roziskrzyły, znów zmatowiały.

Wiatr poruszył żaluzjami tak, że uderzyły o ścianę. Mimo to było mi duszno. Jedynym, co dawało mi poczucie, że naprawdę żyję, była oplatająca moje płuca duszność. Wypruta z emocji, a jednak gdzieś głęboko, w podświadomości, denerwowałam się. Nie mogłam oszukać siebie.

Telefon zawibrował po raz kolejny. Odblokowałam go, nim mrugnęła diodka. Esemes. Znów od Michelego, choć teraz bez zdjęcia.

Za cztery dni lądujesz w Monachium. Będę tam na ciebie czekał. Boże, wybac mi tę natarczywość, ale chyba całkiem oszalałem. Niczego nie oczekuję. Albo zechcesz się ze mną spotkać, albo uczynisz mnie najsmutniejszym człowiekiem na świecie. I nie myśl, że piszę to, aby wzbudzić w Tobie litość. Raczej chcę, abyś wiedziała, jak wielką masz siłę.

Rzuciłam telefon na łóżko i obróciłam się twarzą do poduszki. Z trudem oddychałam. Docisnęłam twarz jeszcze mocniej, po czym zaczęłam wrzeszczeć z taką siłą, że aż rozbolało mnie gardło. Rozkaszałam się. Oderwałam głowę od poduszki i, ciężko dysząc, obróciłam się na bok.

Nie chciałam lądować w Monachium. Interesowało mnie tylko jedno jedyne lotnisko. Na każdym innym zawsze byłam intruzem i kłamcą. Miałam tylko jeden dom. Nie był to jacht Markiza ani żaden z jego pałaców. Żaden z nich nie mógł się nim stać.

Powinłam się cieszyć. Powinłam być zadowolona, że wszystko idzie jak z płatka, a otaczała mnie pustka. Przynajmniej jej rogi zaginały się i zaczynały mnie denerwować. Nie wiedziałam tylko, na co miałabym być wściekła. Na siebie? Na świat? Na Michelego?

Żaluzja po raz kolejny załomotała o okno. Podniosłam się i cisnęłam w jej stronę poduszką. Ta zbyt wcześnie wymsknęła mi się z dłoni i straciła szklanekę z szafki nocnej. Słyszałam szkło roztłukujące się o podłogę. Szklane kawałki wżynały mi się w mózg.

Niedługo wszystko się miało wyjaśnić. Tak, byłam oszustką. A co gorsze, czułam, że zasługuję na ukaranie. Wyrzuty sumienia kazały mi wyobrazać sobie siebie za kratami lub pozbawioną pracy i perspektyw. Upokorzona. Porzuconą gdzieś na pustyni lub w zakurzonej przydrożnym rowie. To była moja siła. Nic innego.

Tamtego popołudnia byłam w jednym z miliona dołków, w które notorycznie wpadałam. Działałam jak cholerne odbicie gry w golfa w krzywym zwierciadle. Potrzebowałam, by ktoś wyjął mnie i uderzył, przenosząc w stronę pozycji startowej. Tyle że nie wiedziałam, co miałyby nią być. Chwila urodzin? Osiemnaste urodziny? Trzy lata wstecz? Dzień przed poznaniem Markiza?

W lepszych momentach wyrzuty sumienia całkowicie znikwały. Zamiast nich pojawiała się nadzieja. Zieleń rozbłyskująca na horyzoncie. Ta zieleń zbyt często miała ciężki, korzenny aromat. Wciągałam go i przytrzymywałam w płucach. Gdy wypuszczałam powietrze, zdawałam sobie sprawę, że od dawna żyję jedynie złudzeniami. Karmiłam się nimi, nie wierząc w szanse powodzenia. A teraz, gdy lada chwila wszystko się miało wyjaśnić, oblatywał mnie strach. Czułam do siebie wstręt.

Tamto popołudnie pamiętam jak przez mgłę. Nawracający wstręt dodał mi sił. Wstałam, powlokłam się do łazienki i wzięłam lodowaty prysznic. Całkiem naga wróciłam do sypialni. Przeciąg wzbudził dreszcze na mojej skórze. Nie traciłam czasu, aby szukać ubrań. Podeszłam do łóżka i odblokowałam telefon.

Pośpiesznie wpisałam wiadomość.

Do zobaczenia za cztery dni. Nie mogę się doczekać.

Wysłałam ją.



Pilot

Siedzieliśmy w kuchni, po dwóch stronach niewielkiego szklanego stolika. Na blacie stały filiżanki świeżo zaparzonej kawy. Czułem jej przyjemny zapach. Pochylaliśmy się i mówiliśmy przyciszonymi głosami. Jakbyśmy omawiali największe tajemnice tego świata, które zawistnie pragnęliśmy zachować tylko dla siebie. Jakby podniesiony głos lub zbyt głośne brzęknięcie filiżanki odstawianej na spodeczek mogły zgładzić odbudowującą się między nami równowagę.

– Pomogłaś im? – zapytałem wprost.

Konstancja obróciła w dłoni filiżankę. Upiła łyk kawy i oblizała usta.

Delikatnie skinęła głową.

– Jedna uprowadzona już nie żyła – powiedziała, bawiąc się bransoletką. – Znalaziono ją w wykopanej w lesie jamie, którą z góry zakryto chaszczami. Druga była wycieńczona, ale być może ją odratują. Przez wiele miesięcy żyła obok gnijących zwłok, karmiąc się konserwami, które jej zostawił ten świr. Całkiem po ciemku i pijąc deszczówkę. Kajdanki prawie wrosły jej w ciało. Chciałam odwiedzić

ją w szpitalu, ale skurwysyny mi nie pozwolili. Chyba trochę jej odpaliło, bo trzymają ją teraz w psychiatryku. W sumie nic dziwnego...

Chciałem coś powiedzieć, ale Konstancja uniosła dłoń i mówiła dalej:

– Ten kutas chciał zakładać dwuosobowe wspólnoty kobiece. Ale to nie jest *the end of the fucking story*. – Upiła kolejny łyk kawy i po raz pierwszy tego dnia spojrzała mi prosto w oczy. – Udało się odnaleźć dwie ofiary tamtego seryjnego zabójcy sprzed lat. Oczywiście martwe na amen, ale rodziny przynajmniej mogły urządzić pogrzeby.

– I nic mi nie powiedziałaś...

Odsunąłem od siebie filizankę. Przytknąłem palce do skroni i intensywnie zacząłem je uciskać. Tym razem opowieść Konstancji nie wydawała mi się już tak niezwykła. Wierzyłem jej. Są przecież psy szkolone do znajdowania zwłok. Dlaczego ona miałaby nie mieć jakichś dodatkowych zdolności.

A może było to tylko zwykłe przecucie? Zbieg okoliczności?

– Miałam z gliniarzami *deal*. – Konstancja wstała i wzięła z szafki butelkę wody. – Ja nie puszczać pary z gęby, oni pozwolą mi korespondować i widywać się z tymi sukinsynami. Dostałam nawet podkładkę od prokuratora czy tam innego mega ważnego garniturowca.

– Jako kto? – dopytałem.

– Jako policyjna konsultantka. Ponoć właśnie tak zatrudniają profilerów i wszystkich, którzy... – Konstancja zawiesiła głos i napiła się wody – którzy mają jakieś ogólnie nieakceptowane umiejętności.

– Sama się do nich zgłosiłaś?

Skinęła głową.

– Już jakiś czas temu przydarzyła mi się podobna sytuacja jak z tą zaginioną dziewczyną. Jeszcze zanim się poznaliśmy. Potem to się powtórzyło. Miałam wybór: albo tkwić z własnymi domysłami i później się obwiniać, albo zaryzykować zrobienie z siebie kretynki. Wybrałam tę drugą opcję. To był *good choice*.

– A gliniarze od razu podłapali twój trop? – zapytałem z powątpiewaniem. – Uwierzyli ci?

– Żartujesz? Oczywiście, że nie.

– Więc?

Konstancja wzruszyła ramionami. Chciała sprawiać wrażenie rozluźnionej, lecz widziałem, że jest wyjątkowo spięta, a kolejne słowa przychodzą jej z trudem. Nim je wypowiedziała, zastygały na jej wargach, formując się w zdania. Dopiero wstępnie uładzone ulatywały ku mnie wraz z ciepłym jej oddechem.

– Wychodząc, zapisałam na kartce parę informacji, podobnie jak potem tobie w esemesie. Zostawiłam tę kartkę na biurku debila, który ze mną rozmawiał. Musiał ją przeczytać, bo dwa dni później psi patrol zgarnął mnie zaraz po wyjściu z klatki. Chyba podobnie jak ty uznali, że musiałam mieć ze sprawą coś wspólnego. – Uśmiechnęła się niewyraźnie i odrzuciła do tyłu włosy. – Na szczęście szybko

zorientowali się, że to kompletna bzdura. Nie chciałam, żeby ojciec się o tym dowiedział.

- Myślę, że mógłby być tym zainteresowany. - Również się uśmiechnąłem. - Zapewne już kolejnego dnia planowałyby otwarcie rodzinnego biznesu wróżbiarskiego.

- Może masz rację...

Konstancja nagle spoważniała. Uleciały z niej napięcie, strach, ale również radość. Była zupełnie poważna. Wpatrywała się we mnie z wyczekiwaniem.

- Wrócisz do mnie, prawda? - zapytała, gdy cisza zaczęła się przeciągać. - Może dałam dupy, może i jestem pojebana, ale... Wiesz, że cię mega kocham.

- Mhm.

- Wiesz, prawda?

Mega wiem. Chciałem tak powiedzieć, ale nie powiedziałem.

Wstałem od stolika i przeczesalem palcami włosy. Głośno wypuściłem powietrze. Nawet jeżeli wierzyłem Konstancji, przecież nic się nie zmieniło. A właściwie miałem jasno wyłożone, że jest bardziej popieprzona, niż sądziłem. Rudy rzeczywiście powinien przeprowadzić z nią wywiad. Dla mnie cała historia zamykała się w prostych, naukowych ramach. Dopuszczałem istnienie dodatkowych zmysłów, bez konieczności boskich ingerencji. Racjonalizowanie pozwoliło mi podjąć ostateczną decyzję.

- Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś? - zapytałem, podchodząc do Konstancji.

- Nie chciałam cię do tego mieszać. Dałam sobie pięć dni. Postanowiłam, że albo wrócisz sam z siebie, albo wtedy ci o wszystkim powiem.

- Powiedziałybyś?

Skinęła głową.

- Tak. Choćbyś miał mnie wyśmiać i odejść na dobre. Nie potrafię bez ciebie żyć. Nie potrafię żyć, wmawiając sobie, że cię nie kocham.

Pocałowałem ją. W nos, a potem w oba policzki. Dotknąłem czołem jej czoła i spojrzałem jej prosto w oczy. Dostrzegłem w nich radość. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

Niespełna rok później umarł nasz syn. Wtedy Konstancja nie miała żadnego przecucia lub może o niczym mi nie powiedziała. Kiedy patrzę na tamte wydarzenia z perspektywy lat, wydaje mi się, że w ostatnich miesiącach ciąży nie była tak szczęśliwa jak inne ciężarne matki. Zbyt często w zadumie spoglądała na rosnący brzuch i zbyt często przyłapywałem ją, gdy ukradkiem płakała. Oczywiście perspektywa lat może wszystko wypaczać. Może tak właśnie powinno być i nie było w tym niczego dziwnego.

Może.

W międzyczasie Konstancja kilkakrotnie współpracowała z policją. Nie znałem rezultatów tej współpracy, bo nie chciałem ich znać. Zawarliśmy milczące

porozumienie, że ten temat w naszych rozmowach będziemy omijać. Podobnie jak przecucia, jakie Konstancja miała wobec mnie.

W trzecim miesiącu ciąży Konstancja ukończyła kurs dla członków zespołów pokładowych. Szybko znalazła pracę i zaczęła swoje podróże. Wtedy myślałem, że to jedynie kaprys bogatej córeczki. Potem miało się okazać, że to była konieczność i głos rozpacz. Ale jeszcze nie miałem o tym pojęcia.

Mimo to czuliśmy się szczęśliwi. Planowaliśmy ślub, lecz zdecydowaliśmy poczekać z nim do porodu. Wiedzieliśmy o prawnych komplikacjach. Nie przeszkadzało nam to i żyliśmy, ciesząc się każdym kolejnym dniem. Ja szybowałem dziesięć razy niżej i wolniej niż Konstancja, lecz wystarczało mi to. Dobre chwile mieszały się wtedy z lepszymi. Dni, które wtedy uznawałem za kryzysowe, teraz wydają mi się niemal doskonałe. Gdy dwójce ludzi jest ze sobą naprawdę dobrze, nie ma złych chwil. Zapatrzeni w siebie, nie dostrzegają większości przeszkód, które los kładzie na drodze ich życia.

To szczęście zawsze znajduje swój koniec. Po raz pierwszy umarło razem z naszym synem. Potem jednak podnieśliśmy się lub tylko tak się nam wydawało. Świty i zachody słońca miały intensywniejsze barwy niż wcześniej.

Kolejny koniec nadszedł wtedy, gdy przecucie Konstancji dało o sobie znać na nowo. Rzuciło na nas cień, jaki samolot wzlatający w stronę słońca rzuca na wiosenną dolinę. Cień, który przesuwa się wolno i dostrzegalny jest tylko dla kogoś znajdującego się w oddali.



Stew

Lubię moment, gdy rozszczelniają się drzwi samolotu. Nie lubię, gdy znajduje się za nimi połączony z terminalem lotniska rękaw. Zdecydowanie wolę podstawione schody, bo wtedy mogę wprost z pokładu odnieść pierwsze wrażenie o miejscu, w którym się znajduję. Choćbym znajdowała się w nim po raz kolejny – w końcu nic dwa razy nie jest takie samo. Zmieniają się zapachy, kolory i ludzie. Zmieniają się cienie. W końcu i to powszednie, ale mimo wszystko lubię ten dreszczyk emocji wzbudzanych choćby na wspomnienie pierwszego razu.

Od płyty lotniska w Dubaju zawsze bucha piekielny żar. Uderza w twarz i wdziera się do samolotu. Nawet najwydolniejsza klimatyzacja musi stopniowo ustąpić mu pola. Wycofuje się tak, że w końcu jedyną chłodną enklawę stanowi kabina pilotów.

Dokładnie pamiętam tamten ranek. Ledwie minęła ósma, a temperatura już sięgała czterdziestu stopni. Na niebie nie było nawet pojedynczego obłoku. Gdy

drzwi się rozsunęły, miałam wrażenie, że otacza nas mgła. Dopiero po chwili moje oczy przyzwyczyły się do ostrego słońca.

Przez ostatnie godziny starałam się skupić na pracy. Nie chciałam dać się ponieść przerażeniu tak, jak ostatnim razem. Teraz skupiłam się na obsłudze każdego z podlegających mi pasażerów. Ani razu nie pomyliłam wody z herbatą, nie zapomniałam o najbardziej popieprzonych życzeniach ani nie dałam się wyprowadzić z równowagi. Traktowałam to jak szkolenie. Jak ćwiczenie się przed tym, co miało wkrótce nastąpić.

Udawało mi się. Przez cały ten czas niemal nie myślałam o Michele. Dopiero zapach dubajskiego lotniska mi o nim przypomniał. Ten specyficzny aromat już zawsze miał mi się kojarzyć z naszym pierwszym spotkaniem. Pierwszym, które utkwіło w mojej pamięci.

Mrużąc osłepione słońcem oczy, owiewana pustynnym żarem, zatelepałam się, jakbym weszła do zimnej wody. Zapach Markiza przypomniał mi o nim niespełna czterdzieści osiem godzin przed tym, jak znów miałam go zobaczyć. Te czterdzieści osiem godzin wypełniło tępe wyczekiwanie. Nie wyszłam z hotelu, jadłam tylko tyle, by mieć coś w żołądku, a mój umysł przez cały czas zaprzętały wyobrażenia tego, co się wydarzy. Przeważenie jednak mnie paraliżowało. Nie potrafiłam go już od siebie dłużej odsuwać. Zawładnęło mną. Tak samo jak myśli o Michele.

Lot do Monachium jest kolejnym fragmentem mojego życiorysu, który przypomina białą plamę. Może nieco rozmazaną, z kolażem kilkusekundowych wspomnień, ale wspomnień tak poszatkowanych, że trudno byłoby ułożyć z nich jakąkolwiek sekwencję.

Wiem, że co rusz zmuszałam się do skupienia na pracy i starałam się uspokoić. Kierowałam myśli na neutralne tematy. Pewnie również bezgłośnie sobie nucilałam. Byłam jak kompletnie pijany *pour gay* (chyba wiecie, kto tak mówił), który za wszelką cenę nie chce dać po sobie poznać, jak wiele wypił.

W przeciwieństwie do Dubaju Monachium powitało mnie mżawką oraz przyjemnym chłodem. Nie wiem, jak to działa, lecz rześkie powietrze dobrze robi nie tylko pijakom, ale i nieszczęśnikom, którzy z przerażeniem pozwolili prowadzić się losowi za rękę. Przynajmniej dobrze zrobiło mnie.

Stałam w eleganckim uniformie i pełnym makijażu, z twarzą zwróconą pod wiatr. Co chwilę ocierałam ją dłońmi z deszczu. Deszcz mógł mieszać się ze łzami, ale nie chciałam o tym myśleć. Cieszyłam się każdą sekundą życia. Smakowałam ją. Nigdy wcześniej nie byłam tak bardzo świadoma upływającego czasu i przeszłości, którą co rusz stawała się terażniejszość.

Domyślałam się, co może się wkrótce wydarzyć. Byłam na to gotowa, lecz deszcz, ten ożywczy deszcz, który zamieniał się w ulewę, przynosił mi ulgę. Pozwalał mi o wszystkim zapomnieć.

Jeżeli rzeczywiście ciekły mi łzy, były to łzy radości i ulgi. Być może nawet się wtedy modliłam. Po raz pierwszy od wielu lat. Z pewnością nie była to modlitwa

skierowana do żadnego konkretnego boga ani tym bardziej Boga, ale do tej Opatrzności, która kiedyś zdawała się nade mną czuwać. Albo pokierowała moim życiem tak, że znalazłam się właśnie tam. Z zacinającym w oczy deszczem, chłodnym wiatrem targającym włosy na karku i otaczającym mnie hukiem odrzutowców.

Kwadrans później weszłam do głównego budynku. Dopiero wtedy sięgnęłam do torebki. Wyjęłam komórkę, po czym wyłączyłam tryb samolotowy. Poza standardowymi esemesami od operatora nie otrzymałam jednak żadnej wiadomości.

– Cholera – zakląłam, wychodząc z windy. Zaczęłam się niepokoić.

Momentalnie naszło mnie złe przeczucie. Na szczęście, zanim przybrało konkretne kształty i napisało własne scenariusze przyszłości, mój telefon zawibrował. Natychmiast odebrałam wiadomość.

Już się nie mogę Ciebie doczekać. Mam nadzieję, że nie zmieniłaś planów i nadal godzisz się na to, by się ze mną spotkać. Co za przyjemność! Szofer będzie czekał przed głównym wejściem. Zobaczysz Cię.

Zerknęłam na wielką tablicę informacyjną. Chciałam znaleźć najkrótszą drogę do wyjścia. Miałam miękkie nogi i marzyłam o tym, by zmienić szpilki na wygodne buty.



Pilot

Interes szedł dobrze, loty szybowcem mieliśmy zarezerwowane niemal na całe lato, a pogoda sprzyjała snuciu planów, których mieliśmy nigdy nie zrealizować. Mimo to w powietrzu unosiło się niezrozumiałe napięcie. Mówi się, że niektóre zwierzęta są w stanie wyczuć trzęsienie ziemi, wybuchy wulkanów lub nadchodzące tsunami. Zbierają się wtedy w stada i starają się uciec. Uciekają oczywiście tylko te, których człowiek nie przywiązał do siebie lub do zagrody. Uciekają tylko te, które są prawdziwie wolne.

W tamte dni ja też podświadomie coś przeczuwałem. Byłem zadowolony, ale wieczorami dopadało mnie niezrozumiałe przygnębienie. Po euforycznym dniu nachodziła mnie dziwna nerwowość. Nie potrafiłem się skupić na filmach ani książkach. Leżałem wtedy przytulony do Konstancji i gapiłem się w przestrzeń, która wydawała się zaciskać wokół mnie tak, jak narzucony na głowę worek foliowy zaciska się podczas próby nabrania oddechu.

Zojka odeszła niespodziewanie. Rudy mówił, że obudził się i po raz pierwszy po otwarciu oczu nie zobaczył jej pyszczka położonego na skraju łóżka. Nie polizała go po twarzy ani nie skomlała, chcąc wyjść na spacer. Jej zimne, nieruchome ciało leżało zwinięte w kłębek na podłodze tuż obok niego. Musiała w nocy przyjść i się pożegnać. Nie obudziła go. Być może w ciemności patrzyła na jego twarz, a może jedynie chcemy myśleć, że właśnie tak było. W każdym razie położyła się obok łóżka, a potem odeszła w zupełnej ciszy.

Pochowaliśmy ją w nocy, na obrzeżach lotniska. Niedaleko miejsca, w którym niemal codziennie rozstawialiśmy nasz sprzęt. Obok krzykliwego transparentu z hasłem wymyślonym przez Konstancję.

Rudy stracił jedyną i najlepszą przyjaciółkę. Całymi godzinami gapił się w jej grobik, który stanowił ledwie zauważalny ślad wśród hektarów krótko przyciętej trawy.

– Myślisz, że zwierzęta naprawdę nie mają duszy? – zapytał któregoś dnia. Było pochmurno, wiał mocny wiatr i do południa musieliśmy odwołać wszystkie loty. Potem pogoda miała się poprawić.

Nieopatrnie odparłem:

– Myślę, że my również możemy jej nie mieć.

Na twarzy mojego przyjaciela pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia. Jakbym tym krótkim, wypowiedzianym mimochodem zdaniem wyraził najgłębszą prawdę.

Nie odezwał się już. Przez godzinę lub dwie wertował Pismo Święte, w którym miał mnóstwo stron pozaznaczanych kolorowymi karteczkami. Od pewnego czasu nie wspominał o tym, że chciałby porozmawiać z Konstancją o jej przeczuciach. Nie wiem, dlaczego ten temat odszedł w niepamięć, ale w tamtym czasie Rudy przestał też chodzić do kościoła. Nasze rozmowy stały się krótkie i bezładne. Rudy zaczął unikać nawet rozmów z klientami. Robił swoje, naciągał liny, obsługiwał wyciągarkę, a potem zniknął w cieniu transparentu.

Powiesił się nad ranem, w ostatni dzień sezonu. Jakby nie chciał mi swoją śmiercią narobić kłopotu. Zmartwiłem się, kiedy nie przyszedł na umówione spotkanie i przez kilka godzin nie odbierał telefonu. Razem z Konstancją pojechaliśmy do jego mieszkania. Wciąż miałem klucze, których nie oddałem po tamtych kilku dniach, kiedy kołłem ból na jego łóżku wodnym.

Rudego znaleźliśmy dyndającego na linie zawiązanej na żyrandolu. Kabel oderwał trochę tynku, więc czubkami palców dotykał ziemi. Musiał potwornie się męczyć. Nie zostawił żadnego listu pożegnalnego, więc przyczyn jego decyzji mogliśmy się tylko domyślać. Przypuszczam, że nie mógł się doczekać momentu, w którym pozna tajemnicę wszechrzeczy. Ale to tylko puste domysły.

Na jego pogrzebie nie było tłumów. Przyszło kilku znajomych, jakiś starszy mężczyzna przywiózł jego matkę dewotkę, po czym natychmiast sam się ulotnił. Nie było stypy. Zaskoczyło mnie, jak bardzo samotnym człowiekiem musiał być

Rudy. A przecież nigdy mi się z tego powodu nie żalił. Zawsze wydawał się całkowicie pogodzony ze swoim życiem i losem.

Wieczorem po pogrzebie otworzyliśmy z Konstancją butelkę whisky, którą kilka miesięcy temu dostałem od niego na urodziny. Zdaje się, że wcześniej nie było ku temu dobrej okazji. Albo po prostu nie chcieliśmy jej dostrzec.

Siedzieliśmy na pasie zieleni, kilka metrów od grobu Zojki i od pasa ubitej trawy, z której uprzątaliśmy już cały sprzęt. Było zimno, ale pogodnie. Księżyc rzucał srebrzystą poświatę na twarz Konstancji. Gdzieś w oddali od czasu do czasu nieśmiało przemykały samochody. Rozłożyliśmy koc i piliśmy wprost z butelki. Whisky smakowało jak węgiel.

Uznaliśmy, że wrócimy taksówką albo prześpimy się wprost na ziemi i jakoś dotrwamy do kolejnego dnia. W odwodzie mieliśmy śpiwór, do którego z pewnością nie zmieścilibyśmy się we dwójkę. Mogliśmy też spać w samochodzie zaparkowanym na wąskim poboczu.

– Wiedziałaś, że umrze? – zapytałem, przerywając ciszę.

Konstancja spuściła głowę, a srebrzysta poświata przesunęła się z jej twarzy na starannie uczesane włosy.

– To dlatego unikałaś spotkania się z nim, mimo że ciągle na to nalegałem?

Nie odpowiedziała. Zastygła w bezruchu jak starożytny posąg syreny, porzucony pośrodku niczego. Nagle drgnęła i pociągnęła łyk whisky. Głośno chuchnęła. Cmoknęła i oblizała usta.

– Co to za posmak? – zapytała zaskoczona. – Jest jak...

Cmoknęła raz jeszcze i nagle odwróciła się w moją stronę. Dotknęła mojego podbródka. Delikatnie obróciła mi twarz tak, by padało na nią światło księżyca. Bezkarne mógłbym się wtedy przemienić w wilkołaka. Nie miałem pojęcia, jak zabawnie prawdziwa była ta myśl.

– Pilocie...

– Tak?

Pośpiesznie wyciągnęła z kieszeni telefon i zapaliła latarkę. Zaskoczony, zmrużyłem oczy.

– Co ty ro...

– O, mój Boże!

Powiał chłodny wiatr i zadrzałem. Zrobiło mi się bardzo zimno. A wiatr nie przestawał dąć wprost w moją twarz.



Hamid co chwilę łypał we wsteczne lustro. Wydawało mi się, że uśmiecha się do mnie, ale takt zabraniał mu się odezwać jako pierwszy. Zamieniliśmy jedynie kilka słów, gdy wkładał do bagażnika mój skromny bagaż. Potem zapadła niezręczna cisza.

Siedziałam na tyle zabytkowego bentleya. Wdychałam aromat nawoskowanych skór oraz drogiego tytoniu. Za oknem przesuwał się nowoczesny krajobraz stolicy Bawarii. Do przednich siedzeń na stalowych stelażach zamontowane były elegancko fornirowane blaty. W podłokietniku po mojej prawej znajdował się niewielki barek. Tym razem od Hamida nie dzieliła mnie żadna szyba, a mimo to czułam się bezpieczniej. Jego pewny, płynny sposób prowadzenia uspokajał mnie, bez względu na to, gdzie jechaliśmy. Mimo to ciągle zastanawiałam się nad celem naszej podróży.

Mijaliśmy nowoczesne szklane domy, industrialne wieżowce i podniesione po wojnie kamienice pełne małych okien. Mijaliśmy kościoły, uniwersytety i nowoczesne centra handlowe. Patrzyłam na lśniące od kałuż place oraz kryjących się pod parasolami przechodniów. Kiedy kilkanaście minut później znów wyjechaliśmy na przedmieścia, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Hamid wybrał akurat tę trasę. Nie musieliśmy jechać przez centrum Monachium. Czy Markiz nakazał, by obrał właśnie tę drogę? Aby zobaczyć ludzi? Nie wystraszyła się, że od samego początku prowadzi mnie ku jakiejś samotni?

Oparłam się o skórzane oparcie i nabrałam tchu. Przełknęłam ślinę, po czym odchrząknęłam, zwracając na siebie uwagę. Nie sądzę, aby to było szczytem taktu w relacji z szoferami. Jednak nie miałam w tym specjalnego doświadczenia.

– Dokąd jedziemy? – Starłam się, aby mój głos nie zadrżał. – Dokąd mnie wiesz?

Hamid po raz kolejny łypnął w lustro. Uśmiechnął się tak, że zobaczyłam zmarszczki pod jego oczami.

– Markiz kazał nic nie mówić, aż będziemy na miejscu.

– Nic nie mówić w ogóle czy na temat celu podróży? – dopytałam niby bez troskim tonem.

– O celu podróży. Poza tym możemy rozmawiać do woli.

– W takim razie powiedz chociaż, czy jedziemy daleko?

– Ależ pani jest ciekawska! Proszę wybaczyć, że nie mogę odpowiedzieć, Markiz...

Wymownie westchnęłam. Hamid był służącym Michelego, a ja byłam jego gościem. Przynajmniej teoretycznie. Wobec tego jakaś pokrętna logika nakazywała mi się nie bać tego sympatycznego, drobnego mężczyzny.

– Markiz nie musi o wszystkim wiedzieć – mruknęłam.

– Nie musi.

– Więc może jednak...

Tym razem to Hamid mi przerwał.

- Kobiety, kobiety, kobiety – wypowiedział jednym tchem. – Zawsze się tak kończy. Proszę o odrobinę cierpliwości.

- Czyli to niedaleko – skwitowałam.

- Dlaczego tak pani myśli?

- Przez tę odrobinę cierpliwości. To dużo mniej niż kazać komuś być cierpliwym. Albo uzbroić się w cierpliwość.

- Naprawdę? Może pani nadinterpretuje albo przykłada zbyt wielką wagę do słów.

- Tak właśnie robią kobiety, kobiety, kobiety?

- Właśnie. Właśnie tak.

Nasza pokraczna, bezładna wymiana zdań trwała jeszcze przez kilka minut. Mimo to nie dowiedziałam się niczego konkretnego. Wreszcie Hamid odwrócił się do mnie, puścił mi oko i potem zamilkliśmy. Mówienie było dla mnie sposobem na zabicie wyrzutów sumienia, więc te pojawiły się niemal natychmiast. Nie potrafiłam oderwać od nich myśli. Trzymałam dłonie na kolanach, gapiłam się za okno i rozważałam wszystkie możliwe scenariusze. Oczywiście każdy z nich był kompletnie niewiarygodny.

W końcu zjechaliśmy z głównej drogi i skręciliśmy w wąską, asfaltową ścieżkę. Bentley ledwie się na niej mieścił. Hamid co rusz musiał zwalniać niemal do zera, by o milimetry omijać konary rozłożystych drzew, kamienie lub potężne kałuże. Cud, że od dawna z naprzeciwka nie jechało żadne auto. Być może znajdowaliśmy się już na prywatnej posesji.

Przez kilka minut odczuwałam narastający niepokój, jednak nagle kłębek w moim żołądku zaczął się rozwijać. Zwyciężył zachwyt nad bajecznym krajobrazem. Po obu stronach ciągnęły się zielone łąki przetykane pojedynczymi kępami drzew i krzewów. Gdzieś w dali widać było drewniane płoty. Po bokach i przed nami wznosił się łańcuch niezbyt wysokich, lecz dzikich gór. Ciemna zieleń lasów kontrastowała z białością polan oraz stalowym błękitem rozciągającego się nieba.

Nad górami pojawiło się słońce. Przez chwilę jakby nabierało intensywności, wreszcie rozbłysło na tyle mocno, że po falistej okolicy zaczęły przesuwac się cienie chmur. Ta niesamowita przemiana ponurego ranka w pogodne południe poprawiła mi nastrój. Poczulałam się raźniej. Przecież w tak pięknym miejscu ludziom nie mogła dziać się krzywda.

Hamid po raz kolejny niemal wyhamował i solidnym, drewnianym mostkiem pokonaliśmy wartki, górski strumień. Płytko, spieniona o kamienie woda perliła się jak gazowana.

Droga zakręciła i zaczęła się wspinać pod górę. Odwróciłam wzrok w drugą stronę. Wtedy zrozumiałam, dokąd zmierzamy. Nieomal pisałam.



Pilot

O krwotoku, który dostałem wieczorem po pogrzebie Rudego, myślałem tylko przez chwilę. W takich okolicznościach nie mógł być istotny. Niektóre wspomnienia nigdy nie są warte uwagi.

Pod nami ciągnęła się płaska rdzawa ziemia, przetykały ją pojedyncze pasy sadów cytrusowych oraz winnic. Wino z tego zakątka świata musiało mieć metaliczny posmak. Nie było tu miast ani wsi. Przynajmniej nie w takim sensie, w jakim myślimy o wsiach, gdy jesteśmy w Polsce. Domy były rozrzucone, jakby ludzie chcieli się trzymać jak najdalej od siebie. Nawet biały, intensywnie biały, kościół stał niemal zupełnie samotnie pośród niczego. Na placu przed nim kręciło się kilka kolorowych punkcików. Kilka kolejnych widziałem na kolonialnej dzwonnicy, której najwyższe piętro robiło zapewne za punkt widokowy. W dobrą pogodę musiała rozciągać się z niej rozległa panorama. Tym przyjemniejsza, że niespełna pół kilometra dalej biegł poszarpany klif.

Pochyliłem samolot na skrzydło i spojrzałem na ocean bijący o ostre kamienie. Woda kotłowała się i pieniała. Zapewne ze względu na mocne prądy i mielizny w zasięgu wzroku nie przepływały żadne łodzie. Dopiero w oddali, gdzie skotłowana kipiel rozprostowywała się jak bibuła, sunęło kilka jachtów. Na niektórych z nich powiewały kolorowe flagi.

– Myślisz, że to regaty? – zapytała Lola.

– Nie mam pojęcia.

– To muszą być regaty. Tylko podczas regat dorośli faceci zdobią jachty jak domy Barbie.

– Domy Barbie były zdobione kolorowymi proporczykami?

Lola wzruszyła ramionami. Pochyliła się, patrząc na ziemię pod nami.

– Nie wiem – powiedziała, pilnie coś obserwując. – Ojciec nie kupił mi zbyt wielu Barbie. A wszystkie trzymałam w tekturowym pudle pod łóżkiem.

– To musiały być bezdomne Barbie.

Lola zaśmiała się. Szczerze i krótko. Słońce wyszło zza chmury, więc zsunęła z głowy okulary z wielkimi, zielonymi szklami.

– Na co tak patrzysz? – zapytałem.

Drgnęła, jakbym przyłapał ją na czymś zakazanym. Wyprostowała się i odwróciła w moją stronę.

– Ktoś ma piękny dom z ogrodem – stwierdziła obojętnym tonem. – Basen, własny plac zabaw, a wszystko to pośród niczego. Czy warto mieć coś pośród niczego? – Nie czekała, aż odpowiem. Zaśmiała się, tym razem sztucznie i nerwowo. – Zdaje się, że widziałam też kilka psów i całą zgraję dzieci.

Wyrównałem lot i spojrzałem w miejsce, w którym wydawało mi się, że Lola widziała tę idylliczną posiadłość. Wokół rozciągała się jedynie rdzawa pustynia. Nie było tu nawet sadów.

– Może to hotel? – zapytałem. – Hotel dla zwierząt i dzieci. Rodzice, wybierając się na wakacje, mogą je zostawić na tydzień lub dwa. Przynajmniej nie mają stąd dokąd uciec.

– Jesteś okropny.

– Ja? Dlaczego?!

Szczerze zdziwiony, gwałtownie zanurkowałem. Wytraciłem prawie sto metrów, ale Lola nawet na to nie zareagowała. Poczułem się głupio, że stosuję wobec niej te same zagrywki, którymi niegdyś raczyłem Konstancję.

Widziałem, że chce coś powiedzieć. Oblizła usta, łypnęła w moją stronę, a potem znów utkwiała spojrzenie za oknem. Słowa wzbierały w jej ustach, lecz wahała się, czy pobudzić je do życia. Nie zamierzałem jej popędzać. Skierowałem samolot w stronę oceanu. Jachty przesunęły się na północ. Nagle z pokładu jednego z nich w powietrze wystrzeliła cała seria sztucznych ogni.

– Coś świętują – mruknąłem. – Mogliby poczekać przynajmniej do zmierzchu.

Lola zdawała się nie zwracać na fajerwerki żadnej uwagi. Wreszcie słowa w jej ustach stały się zbyt wielkie, aby potrafiła je utrzymać lub przełknąć.

– Będziemy mieć dzieci? – zapytała cicho. Jej głos ledwie przebił się zza trzasku wybuchających sztucznych ogni.

– Oczywiście – odparłem. – Ale jeszcze nie teraz.

– Ciesz się – powiedziała poważnie. – Na samą myśl, że będziemy mieć dzieci.

– Ja też.

Tak naprawdę nie byłem sobie w stanie wyobrazić, jak to jest być rodzicem, ale wiedziałem, że bardzo tego chcę. Chciałem patrzeć, jak w brzuchu Loli powstaje życie, które zostanie na świecie po tym, gdy sam zniknę. Chciałem tego i bardzo się tego bałem. Sprowadzając na ziemię życie, sprowadzamy na nią też śmierć. Już raz się o tym przekonałem.

Przez kilka minut milczeliśmy pogrążeni we własnych myślach. Jak zwykle od tych szczęśliwych przemknąłem ku najbardziej ponurym. Nienawidziłem się za to. Ponownie obniżyłem lot i nadleciałem nad kontynent od strony oceanu. Wskazałem palcem na prawo i w dół.

– Uważasz, że zostalibyśmy rozstrzelani, gdybym wylądował na tamtym polu? – zapytałem beztrosko. – Wygląda na doskonale proste.

– Najwyżej powiemy, że mieliśmy awarię. Wszyscy wierzą ludziom, którzy mają awarię.

Uśmiechnąłem się. Spojrzałem na Lolę i poczułem przyływ miłości. Przyływ uczucia, który zdarza się rzadko, ale wtedy z siłą oceanu wali o klif serca. Miłość to umiejętność cieszenia się banałami.

Odprężyłem się. Pole kilkaset metrów pod nami wcale mnie nie interesowało.

- Obawiam się, że musiałbym to zgłosić przez radio.

Lola westchnęła lekceważąco.

- Możesz zrobić, o czym tylko zamarzysz - zaprotestowała. - Nikt nie może cię zmusić do zgłaszania czegośkolwiek przez radio. Ani nie może zabronić ci wyłączyć na tym cholernym polu. Raz w życiu zrobimy to, na co naprawdę mamy ochotę. Pieprzyć świat.

- Pieprzyć świat - powtórzyłem.

- Tylko my dwoje.

- Tak, tylko ty i ja.

Oderwałem dłonie od wolantu i namiętnie ją pocałowałem.



Stew

Przez ostatnie kilkaset metrów droga wiała się u podnóża stromej skarpy. Hamid musiał uważać, aby nie otrzeć bokiem samochodu o sterczące z niej ostre głązy. Krajobraz przez moment bardziej przypominał śródziemnomorską wyspę niż Bawarię. Jednak nigdzie na południu nie znalazłoby się zamczyska podobnego do tego, do którego zmierzaliśmy. Górującego nad całą okolicą, lecz niewielkiego. Dzikiego orlego gniazda. Odkąd zobaczyłam ten niedostępny kompleks, wiedziałam, że właśnie gdzieś tam czeka na mnie Markiz. Być może obserwował nas z jednej z wieżyczek.

Mrużąc oczy przed słońcem, nie mogłam od niego oderwać wzroku. Zamek składał się w zasadzie z czworokątnej wieży oraz okrągłej baszty połączonych kamienną budowlą. W murze znajdowała się ostrołukowata brama prowadząca na niewielki dziedziniec. Na blankach zawieszono kilka proporczyków, które przez lata zmarniały i przypominały wyblakłe strzępy prześcieradeł, po których więziona panna mogłaby opuścić się na ziemię. Przynajmniej naszło mnie takie skojarzenie.

Wreszcie Hamid zatrzymał auto na skrawku utwardzonej ziemi kilkanaście metrów poniżej zamku. Ponad nami wznosiła się już tylko naga, szara skała, o którą oparto fundamenty budowli. Dopiero teraz zobaczyłam, że baszta jest w znacznej części zrujnowana. Brakowało jej co najmniej jednej kondygnacji, a zakratowane okna zionęły pustką. Czworokątna wieża była jednak w o wiele lepszym stanie. Kilka odnowionych okiennic zostało zamkniętych, a za szybą okna na samej górze zdało mi się, że przemknął czyjś cień. Markiza? A może było to tylko wypaczone odbicie auta?

Pozwoliłam, by Hamid otworzył drzwi i pomógł mi wysiąść. Chciałam podejść do bagażnika po walizkę, ale skinął głową, bym się tym nie kłopotąta.

- Ktoś weźmie później - oznajmił krótko. - Teraz proszę iść za mną.

Nabrałam powietrza i jeszcze raz zerknęłam na zamek. Delikatny wiaterek muskał mi twarz. Świeże powietrze tak bardzo różniło się od zaduchu panującego na lotnisku. Słońce całkowicie wyszło zza chmur i przyjemnie grzało. W tym miejscu mogłabym być szczęśliwa – pomyślałam.

Ale nie jestem – natychmiast odparłam sobie w myślach. – Nie jestem. Nie, nie, nie.

Posłusznie szłam za Hamidem. Po kilkudziesięciu metrach stromego podejścia znaleźliśmy się w cieniu potężnej bramy. Wtedy uderzył mnie mocniejszy powiew wiatru. Ołówkowa spódnica była zbyt ciasna, by zdołał ją podwiać, lecz odruchowo przytrzymałam jej skraj.

Wtedy dostrzegłam Michelego. Schodził po schodach prowadzących do łącznika między basztą i wieżą. Był ubrany w dwurzędową granatową marynarkę, pod którą nosił białą koszulę i prążkowany czerwono-czarny krawat, do którego dobrał złotą poszetkę z fantazyjnymi wzorami. Na stopach miał lśniące, brązowe buty. Poruszał się jak zawsze szybko i giętko. Pod pachą lewej ręki ścisnął czarny parasol, a w drugiej dłoni niedbale trzymał cygaro. Odłożył to wszystko na załomie muru. Ostatnie schodki pokonał biegiem. Na jego twarzy pojawił się niemal chłopięcy uśmiech. Dołki w policzkach pogłębiły się, a oczy zapłonęły radością. Odruchowo upewnił się, że nagły zryw nie rozwiązał jego idealnie poprowadzonego przedziałka. Nagle przystanął i rozłożył ręce, jakby dziękował niebiosom za to spotkanie.

Zdałam sobie sprawę, że Hamid gdzieś zniknął. Na dziedzińcu byliśmy z Markizem tylko we dwoje. Speszona przeniosłam wzrok na rozpadającą się kamienną rzeźbę przypominającą fontannę, a następnie w stronę kilku zakratowanych okien w łączniku. Kątem oka odnotowałam kilkanaście doniczek z czerwonymi kwiatami ustawionych na schodkowo opadającym murze.

– Jak się cieszę!

Markiz powolnym krokiem ruszył w moją stronę. Wyraźnie starał się dozować emocje, jakby się zawstydził tym krótkim biegiem. Patrzył mi prosto w oczy.

– Z zewnątrz ten zamek może wydawać się rozczarowujący, ale widoki rekompensują wszystko – odezwał się, zakłopotany moim milczeniem. – Przynajmniej mam taką nadzieję. Nie podoba ci się?

– Boję się – odparłam automatycznie. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, ale poczułam przyływ szczeroci wobec Michelego.

– Mój Boże, dlaczego? Nie masz się czego bać. Rozgość się. Poczuj się jak u siebie w domu...

– Mam tylko dwa dni wolnego.

– To żaden problem. – Markiz niedbale machnął ręką. – Żaden problem. Zostaniesz tu tak długo, jak tylko zechcesz.

– Sama nie wiem, czego chcę.

– Moja droga...

Michele urwał i zatrzymał się tuż obok mnie. Przeniósł wzrok gdzieś za moje plecy. Przypuszczam, że żałował, że zostawił cygaro i parasol na załomie muru. Nie miał co zrobić z rękami, więc założył je za plecy. Jego poza dominującego samca ulotniła się w mgnieniu oka. Teraz był zakłopotanym chłopcem, który nie bardzo wiedział, co zrobić. Albo starał się na takiego wyglądać. Patrzył to na mnie, to gdzieś w dal za bramę i przestępował z nogi na nogę. Ciągłe się jednak uśmiechał. Trwało to co najwyżej kilka sekund, ale wydawało się nieznośną wiecznością. Sama również miałam w głowie zupełną pustkę. Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć lub zrobić. Również się uśmiechnęłam i wzruszyłam ramionami.

Nagle Markiz drgnął. Na jego twarz powróciły wyraz męskiej determinacji i pewność siebie.

– Zaraz ci wszystko pokażę – odezwał się, nakazując mi gestem, bym szła przed nim. – Mam tu kilka ulubionych miejsc i wyśmienitych widoków. Jestem pewien, że ci się spodobają. Wybierzesz sobie pokój, który najbardziej przypadnie ci do gustu. Niektóre nie są tak dobrze odrestaurowane, jakbym chciał, ale ciągle brakuje mi na to czasu. To właśnie tu chciałbym zamieszkać na stare lata, gdy... – Michele zawiesił głos. Zatrzymał się w połowie schodów i z roztargnieniem pokręcił głową. – Przepraszam najmocniej. Nie zapytałem, czy jesteś zmęczona albo głodna. Tak bardzo chciałbym ci to wszystko pokazać, a...

– Nie jestem. Chętnie to wszystko zobaczę. – Po raz pierwszy w towarzystwie Markiza zyskiwałam prawdziwy rezon. Nie krępowałam się, a nawet czułam nad nim jakąś ledwie zarysowaną przewagę. Jakby naprawdę ode mnie mogło zależeć to, co się zaraz wydarzy. Jakbym to ja narzucała Michelemu swoją wolę.

Moje słowa wyraźnie go ucieszyły. Z powrotem zaczął się wspinać, a zatrzymał się tylko raz, aby podać mi dłoń, gdy schodki zrobiły się śliskie i bardziej strome.

– Tu trzeba uważać – szepnęła, patrząc pod stopy. – Konserwator nie pozwala mi niczego zmienić. Jeden z moich pracowników skręcił tu nogę.

Pracowników – to słowo zwróciło moją uwagę. Markiz wypowiedział je nieco szybciej i mniej zrozumiale. Jakby chciał po nim jedynie przemknąć. Chodziło mu o służącego? Nie miałabym problemu, gdyby nazywał rzeczy po imieniu. prostytutkę? Ofiarę?

Sama wpłatywałam się w sieć idiotycznych domysłów. Podkopywałam zarysowującą się pewność siebie.

– Co we mnie widzisz? – zapytałam, gdy stanęliśmy u szczytu schodów. Markiz wciąż ścisnął moją dłoń. – Co tak cię kręci? – dopytałam. – Dlaczego chciałeś, abym tu przyjechała?

Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Zmarszczył brwi tak, że na jego czole pojawiły się dwie niemal równoległe linie zmarszczek. Jedynie w oczach wciąż skrzył się beztroski, dziecięcy blask.

– Smutek – odparł przyciszonym głosem, po czym zaraz dodał, akcentując każde słowo: – Teraz widzę w tobie smutek.

- I to cię kręci? Naprawdę właśnie dlatego mnie tu zaprosiłeś?

- Nie. Gdy na ciebie patrzę, widzę najpiękniejszą kobietę świata, która jednocześnie zdaje się skrywać jakiś tragiczny sekret. Chciałbym go poznać.

Zaśmiałam się nerwowo. Przytknęłam dłoń do ust i spojrzałam w niebo. Chmury rozwiały się, a błękit przecinały dwie smugi pozostałe po samolotach. Dwa ślady setek osób, które z kilku tysięcy metrów nie miały prawa zdawać sobie sprawy z naszej obecności.

- Tragiczny sekret? - zapytałam drwiąco. - Chyba w zamkowej bibliotece trzymasz zbyt wiele romansów.

Markiz wzruszył ramionami.

- Zawsze warto marzyć. Prawda? A co do biblioteki...

Puścił moją dłoń i skierował się w stronę wielkich, metalowych drzwi zdobionych upiornymi maskaronami. Z ich rozwartych pysków wysuwały się długie, cienkie języki. Uśmiechały się, jakby drwiły z każdej wchodzącej do środka osoby. Setki kamiennych oczu wbijały we mnie drwiące spojrzenia.



Pilot

O dziwo, nikt się nami nie zainteresował. Zdawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na samolot lądujący na polu nieużytków. Szczęśliwie nie trafiłem w żaden głąz lub dół. Bezpiecznie zatrzymałem się na łące, którą porastała krótkka, wysuszona trawa przetykana drobnymi białymi kwiatami. Gdzieś tam widziałem rośliny przypominające rachityczne paprocie. Znajdowaliśmy się kilkanaście kilometrów na zachód od białego kościoła, który widziałem z powietrza. Teraz, nawet wysilając wzrok, nie mogłem dostrzec jego dzwonnicy. Zastanawiałem się, czy zebrani na niej ludzie nie patrzą na nas przez lunety i lornetki, których okulary odsłaniają się po wrzuceniu do nich monety.

Gdzieś tam, za horyzontem, znajdował się również dom z basenem i ogrodem, w których bawiły się dzieci. Całe stado dzieci oraz psów. Niewidoczna teraz idylla.

Wziąłem Lolę za rękę, a na ramię zarzuciłem torbę. Powoli ruszyliśmy wysuszoną łąką. Spod naszych stóp umykały jaszczurki. Białe płatki kwiatów od czasu do czasu unosił wiatr. Szliśmy powoli, ciesząc się sobą i krajobrazem. Było gorąco, lecz w powietrzu czuć było ożywczą bryzę.

– Właściwie to gdzie jesteście? – Lola zapytała mnie, gdy weszliśmy między kompletnie wysuszone chaszczce. Nagie, srebrnoszare cierniste patyki miały po kilka metrów wysokości i trzeba było między nimi lawirować. Teren zrobił się nieco falisty, drogę przecinały nam płytkie wąwozy i skalne jamy. – Co to za zadupie?

– Trzecia podróż, co? – zagadnąłem.

– Mhm.

– Dziwi cię, że na cel trzeciej podróży wybrałem akurat to miejsce?

Złapała mnie mocniej za rękę, gdy wśród pobliskich skał coś zaszurało. Po kilku krokach puściła moją dłoń. Było gorąco i między palcami ściekał mi pot.

– Właściwie to tak.

– Wiesz, że cmentarzyska słoni nie istnieją? – zapytałem, omijając wielki, postrzępiony głąz. – Cmentarzyska słoni to miejsca, w których całe stada wyłtkli kłusownicy. A w których potem znaleziono ich pozbawione kłów szkielety.

– Nie rozumiem związku.

– Skoro mam zaraz umrzeć...

Urwałem. Nie chciałem w ten sposób zaczynać tej wędrówki. Powinniśmy się cieszyć sobą, a nie myśleć o tym, co będzie za chwilę. Mimo to nie potrafiłem skupić myśli na czymkolwiek innym. Każdy krok jak nigdy wcześniej miał przybliżyć mnie do śmierci. Nigdy tak wyraźnie nie czułem podłoża. Mimo grubych

podeszew czułem każdy, najdrobniejszy kamyczek. Powietrze było nasączone milionem aromatów. Wszystkie z nich mieszały się, zlewały i tworzyły ten jeden, niezapomniany zapach życia.

W pragnieniu samotnej śmierci nie było ani nic pięknego, ani nic romantycznego. Nieważne, czy słonie ginęłyby całymi stadami, czy pojedyncze z nich dołączałyby do przodków pośród morza kości. Równie dobrze mogły padać w marszu po tętniącej życiem sawannie.

Nie ma momentów dobrych na śmierć. Najgorszym z nich jest jednak ten, w którym wiemy, że mamy umrzeć. Będę tak twierdził zapewne, dopóki nie poznam gorszego.

Jak długo jeszcze? – kołatało mi się w głowie.

Jeszcze choć krok, choć oddech, choć mgnienie oka.

Szedłem coraz szybciej, zapominając, że Loli jest trudno nadążyć. Zatrzymywałem się i zdenerwowany na nią czekałem. Zaraz tłumaczyłem sobie, że nie mam prawa się niecierpliwić. Że przecież kiedy stoję i mogę patrzeć na moją ukochaną, też jest dobrze. Że być może nie doczekam już żadnej piękniejszej chwili.

Złapałem Lolę za rękę. Zwolniłem kroku i podniosłem z ziemi sękaty drąg. Jak starzec podpierałem się na nim ciężarem całego ciała.

– Powiesz mi wreszcie? – Lola zmrużyła oczy. Otarła pot z czoła.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

W powietrzu nad nami krążyły mewy. Ich wesołe piski niosły się po okolicy. Nagle zapach morza stał się podwójnie wyczuwalny. Wysuszone chaszczce zastąpiły rachityczne, żywe krzaki. Pod stopami nie mieliśmy już jednak nawet kępki trawy. Wokół rozciągały się jedynie kamienie.

– Chcę wiedzieć. – Ton Loli nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Trzymała mnie mocno za rękę, ale patrzyła w dal.

– Ta ziemia należała do przyjaciela Kolumba – wyjaśniłem. – Tylko w czasach kolonialnych można było wpaść na pomysł wytyczenia posiadłości na gruzowisku. Być właścicielem żwiru, piachu i kamieni. Piękna historia.

– Ludzie dalej tak robią – wtrąciła Lola. – Można się pochwalić posiadanymi hektarami.

– To głupie. W każdym razie...

Urwałem, wspinając się po wystęпах skalnych. Wpuściłem dłoń Loli, by po chwili pomóc jej stanąć na szczycie klifu. Znajdowaliśmy się na samym krańcu Europy. W miejscu, w którym Krzysztof Kolumb ponoć zrozumiał, że na horyzoncie nie ma kolejnej przepaści. Że idąc, płynąc czy lecąc w stronę zachodzącego słońca, wcale nie musimy kierować się ku zagładzie. Że przyszłość wcale nie równa się śmierci.

Kolumb poza swoją wiarą nie miał nic więcej.

Ja również.



Stew

Widok zapierał dech w piersiach. Spoglądałam w intensywnie zieloną dolinę rozciągającą się kilkaset metrów pod murami zamku. Widziałam krętą szosę, którą niedawno pokonaliśmy z Hamidem oraz główną drogę daleko na horyzoncie. Kolorowe przesuwające się punkciki musiały być sunącymi nią autami. W zasięgu wzroku miałam jedynie kilka osób, które rozłożyły się na kocach przy niewielkim stawie. Nie wiem, jak tam dotarli, bo w pobliżu nie było żadnego parkingu. Musiały wybrać się w długą, pieszą wędrówkę między łąkami. Jedynym zabudowaniem w okolicy była drewniana rudera, która zapewne przed laty stanowiła ostatni zajazd w drodze ku zamczysku. Ostatnie wytchnienie przed mozolną wspinaczką.

Markiz pozwolił mi się delektować tym widokiem przez kilka minut. Wreszcie bez słowa skierował się ku metalowej kracie broniącej dostępu do baszty. Pchnął ją, a ta uchyliła się z żalosnym jęknięciem.

– Chodź, pokażę ci dalszą część. Jeżeli zechcesz, na tym tarasie zjemy kolację. Tym razem nie proponuję zanzibarskiego haszyszu.

Nie odezwałam się. Ruszyłam za Michele i po chwili zanurzyłam się w wilgotnym chłodzie baszty. W środku panował półmrok, w którym z trudem rozróżniałam zarysy zrujnowanej klatki schodowej. Kamienne schody wiodły spiralnie ku górze. Markiz jednak skierował się w przeciwną stronę. Otworzył kolejne drzwi i przepuścił mnie w progu.

Po chwili znalazłam się w kilkunastometrowym, ale bardzo wysokim korytarzu. Łukowate sklepienie pokrywały wyblakłe malowidła. W niewielkich oknach po obu stronach znajdowały się witraże. Wpadało przez nie kolorowe, przyjemne światło. Poza długą drewnianą ławą i zawieszonymi nad oknami tarczami herbowymi w środku nie było żadnych sprzętów. Nasze kroki poniosły się echem. Powoli przeszliśmy do kolejnych drzwi. Markiz położył dłoń na wielkim uchwycie i przygryzł usta. Niecierpliwie wyczekiwał mojej reakcji. Wreszcie, kiedy nadal milczałam, pchnął drzwi.

Weszliśmy do potężnego sześciennego pomieszczenia, które zajmowało całą podstawę wieży. Jego dominującym meblem był znajdujący się pod wieloramiennym żyrandolem ogromny, bogato rzeźbiony stół. W trzech wnękach ściennych od podłogi niemal po sufit były witraże jeszcze bogatsze od tych na korytarzu. Pomieszczenie musiało znajdować się tak nisko, że wcześniej nie dostrzegłam ich ani z drogi, ani z dziedzińca. W murowanym kominku ułożono szczapy drewna. Ponad nim wisały rozmaite miecze, szpady i halabardy. Niemal całą podłogę okrywał delikatny piękny dywan. Michele zatrzymał się przy jednej ze ścian i wskazał na niewielki portret. Malowidło przedstawiało tęgiego, łysawego

mężczyznę z zawieszonym na szyi krzyżem inkrustowanym kamieniami. Mężczyzna miał nalaną twarz, a spojrzenie małych, czujnych oczu kierował gdzieś w bok. Nie uśmiechał się, ale z jego oblicza bił wyraz zadowolenia i spokoju.

- To mój pradziad. - Michele zabawnie przewrócił oczami. - Wiele osób twierdzi, że na stare lata będę do niego podobny.

- Chcesz mnie ostrzec? - zapytałam przekornie.

Markiz roześmiał się i kilka razy wesoło klasnął. Nasze początkowe skrepowanie zaczęło znikać. Czułam się znacznie raźniej.

- Może... - szepnął. - W każdym razie ten portret jest tak mały, bo Karol Fryderyk był cholernie skąpy. Ponoć szkoda mu było pieniędzy na większe malowidło, a musiał zamówić choć jedno.

- To podobieństwo ci chyba nie grozi.

Moja uwaga wyraźnie ucieszyła Markiza. Klasnął jeszcze raz i założył dłonie za plecy. Jeszcze przez chwilę stał, dając mi czas na rozejrzenie się po pomieszczeniu. Dopiero wtedy zauważyłam ustawione w rogach srebrne świeczniki oraz przypominające trony krzesła z wysokimi oparciami. Żałowałam, że przez witraże nie mogę jeszcze raz zerknąć na okoliczny krajobraz.

- Mieszkasz jak prawdziwy król - odezwałam się, umyślnie łechtając ego Markiza.

Michele spuścił głowę i podszedł do kominka.

- To ledwie maleńki zameczek. Staram się mu przywrócić dawną świetność. To... To sprawia mi ogromną przyjemność. Mam na myśli dawanie życia miejscu, które wszyscy już skazali na śmierć. Nie chciał go nawet żaden hotelarz. Jakiś wazniak z wielkiej korporacji ocenił, że inwestycja zwróciłaby się co najmniej po stu latach. A dzisiaj nikt tyle nie chce czekać... Dlatego uznałem, że sam tu zamieszkać.

- Choćby miało się to kalkulować dopiero za sto lat? - Przeciągnęłam dłonią po aksamitnym kobiercu. - Wydajesz się rozsądnym biznesmenem.

Markiz wzruszył ramionami.

- Moja rodzina postawiła ten zamek siedem wieków temu. Gdyby wtedy nie myśleli o przyszłych pokoleniach, zadowoliliby się drewnianym grodem, gdzieś w dolinie.

- Nawijujesz teraz do dzieci? - Uśmiechnęłam się. - Sprytnie.

Tym razem nie udało mi się speszyć Michelego. Jego czujne spojrzenie i wargi, które drgnęły w nieokreślonej reakcji, zbiły mnie z tropu. Drobne szczegóły, przez które momentalnie utraciłam rozkręcającą się pewność siebie.

- Chodź, śmiało! Właśnie, co do tych dzieci...

Nagle Markiz zniknął mi z oczu. Dosłownie rozpułynał się w powietrzu. Słyszałam szuranie jego kroków, ale wydawało się, jakby wyparował z pokoju. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że za kominkiem jest wąskie przejście. Częściowo zasłaniał je kamienny rant, a częściowo kolejny, mocno sfatygowany

kobierzec. Odchyliłam go i znalazłam się na wąskiej klatce schodowej. Markiz stał kilka stopni wyżej.

– Prawie jak tajne przejście, prawda? Musisz uważać, bo i tu schodki są śliskie. Nie wiem, ile osób złamało sobie na nich kark, ale na pewno to całkiem możliwe.

Niby beztroska uwaga Markiza napełniła mnie dziwnym niepokojem. Przed oczami przewinęły mi się sceny z amerykańskich telenowel, w których kobiety skręcają sobie karki na schodach potężnych rezydencji. Zdaje się, że Agata Christie też o tym pisała.

Zrobiłam ostrożny krok, ale schodek wcale nie był tak śliski, jak zapowiadał Michele. Powoli wspierałam się za nim na niewielkie półpiętro. To te okna widziałam z dołu. Przez szpary w okiennicach zerknęłam na skąpane w słońcu łąki. Zaczęliśmy wspinać się dalej. Kilkanaście stopni wyżej znów rozciągało się kwadratowe półpiętro. Okiennice były zamknięte, a w przesączającym się pomiędzy listwami świetle dostrzegłam kilka zawieszonych na ścianach poroży oraz rozmaitą broń palną.

Markiz bez słowa szedł dalej. Zaczął się śpieszyć, nie mogąc się najwyraźniej doczekać, aż staniemy na szczycie wieży. Nagle przystanął tak, że niemal na niego wpadłam.

– Przepraszam – szepnął.

Wyciągnął telefon, który wibrował w jego ręce w zabawnym rytmie. Musiał to być dzwonek przypisany dla kogoś konkretnego. Michele obrócił komórkę w dłoni i wymownie westchnął. Staliśmy na schodach tuż obok siebie. Nasze ciała niemal się ocierały. Markiz delikatnie się obrócił tak, bym nie mogła zerknąć na ekran jego telefonu.

– Przepraszam... – syknął z wyraźną niechęcią. – Będę musiał oddzwonić. Wybacz mi, proszę, na minutę lub dwie, zejść tylko na dół.

– Okej – powiedziałam, opierając się o zimną, kamienną ścianę. – Nie tłumacz się.

– Ale ja naprawdę...

– Wiem.

Telefon przestał dzwonić i Michele wsunął go do kieszeni. Zszedł stopień niżej. Nagle się odwrócił, po czym wskazał palcem ku górze.

– Idź tam. Drzwi będą otwarte i czuj się jak u siebie. To... – Markiz zawiesił głos, a po chwili na jego twarz wystąpił uśmiech. Mimo półmroku wyraźnie go widziałam. – Nazwijmy go pokojem przyjemności. Proszę tylko nie grzeb w szpargałach, bo nie zdążyłem stamtąd przenieść części prywatnych głupot.

Nim zdążyłam się odezwać, Michele zbiegł po kolejnych stopniach. Po chwili usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi, a potem w wieży zapanowała całkowita cisza.

Przez jakieś pół minuty stałam, nasłuchując, czy Markiz nie wraca. Oczekiwanie szybko mi się sprzykrzyło i niechętnie powlokłam się na górę. Po kilku metrach

schody zakręciły spiralnie pod mocnym kątem. U ich szczytu dostrzegłam drewniane, okute metalem drzwi. Tak jak powiedział Michele, nie były zamknięte. Ustąpiły, gdy tylko je pchnęłam.

Weszłam do niewielkiego kwadratowego pomieszczenia. Pokój miał pomalowane na niebiesko ściany i białą sztukaterię. Jedyne okno znajdowało się naprzeciw drzwi. To w nim wydawało mi się, że widziałam cień. Pamiętałam jego nieco niezwykły, trapezowaty kształt.

Pod oknem ustawiono duże łóżko z fantazyjnym wezłowiem. Obok niego stała toaletka z prostokątnym lustrem, a po drugiej stronie hebanowy sekretarzyk z mnóstwem szuflad. Poza tym w pomieszczeniu był jeszcze okrągły stolik oraz trzy krzesła. Podłogę wyścielał dywan o niebiesko-białym deseni i brązowo-żółtym polu na środku. To właśnie na nim ustawiono stolik i krzesła. Z sufitu zwisał pięcioramienny żyrandol z żarówkami osadzonymi na trzonach przypominających świece. Mimo że intensywnie pachniało tu specyficzną wonią starości, wyczuwałam również zapach dymu tytoniowego oraz korzennych perfum Markiza. Tak, każdy zaułek tego miejsca był nim na wskroś przesiąknięty.

Najpierw niepewnie usiadłam na jednym z krzeseł. Przez chwilę bezmyślnie gładziłam lśniący, politurowany blat stolika. Markiz nadal nie wracał, więc zaczęłam uważnie lustrować kolejne sprzęty. Starannie zasłane łóżko zakrywała złota, głęboko tłoczona narzuta. Zdawało mi się, że widzę na niej odbicie sylwetki. Jakby po pościeleniu ktoś położył się na nim dosłownie na chwilę. Jakby wyrył swój cień, a potem rozpułnął się w ciężkim powietrzu.

„Nie zdążyłem stamtąd przenieść części prywatnych głupot”. Słowa Markiza po raz kolejny wybrzmiały mi w głowie. Podniosłam się z krzesła i otworzyłam na oścież drzwi. Po kamiennych schodach nie było możliwości wspiąć się bezgłośnie.

Błyskawicznie dopadłam do toaletki i przetrząsnęłam kilka szuflad. W większości z nich znajdowały się nieciekawe szpargały. Perfumy, klucze, kluczyki, pęk poźółkłych listów, a także rozmaite przybory toaletowe. W pewnym momencie wydało mi się, że dobiega mnie jakiś dźwięk. Wyprostowałam się i powoli podeszłam do stolika. Dźwięk się nie powtórzył. Uznałam, że przeciąg musiał poruszyć którymś z koberców i otrzeć nim o ścianę. Podeszłam do okna, ale stanęłam o krok od niego. Ku swemu zadowoleniu zobaczyłam, że Michele z telefonem przy uchu sprężystym krokiem przemierza dziedziniec w tę i z powrotem.

Nie zwlekając, zaczęłam przeglądać kolejne szuflady sekretarzyka. Nie wiem, czego szukałam, ale przynajmniej w ten sposób zagłuszałam płataninę myśli. Markiz wiedział o mnie wszystko, a ja miałam jego obraz złożony z samych plotek. Wiedziałam o nim tyle samo, co o otyłym biskupie z portretu wiszącego kilka piętér niżej.

Nie miałam czasu rozwiązywać starannie zawiązanych sznurkami listów. Poza tym, sądząc po kolorze papieru, musiały powstać przed wielu laty. Być może przed

tym, jak Markiz czy nawet jego rodzice przyszli na świat.

Znalazłam gilotynkę do cygar, kilka szczyryków, opróżnione zabytkowe flaszki perfum, dwie benzynowe zapalniczki z wygrawerowanymi dedykacjami... Toaletka stanowiła wyrwany z przeszłości świat jednej lub wielu kobiet, natomiast w sekretarzyku zamknięto przeszłość mężczyzny. Michelego? Może kogoś innego. W paru eleganckich opakowaniach znajdowały się spinki do koszul oraz krawata, do tego wytworne łańcuszki, dewizki i złote oraz srebrne zegarki kieszonkowe. Na ułamki sekund zatrzymywała mnie magia log Cartiera, Choparda lub Tiffany'ego.

Zrezygnowana wysunęłam kolejną szufladę. Prowadnice były wytarte i musiałam sobie pomóc drugą ręką. Jednak gdy tylko zobaczyłam jej zawartość, załomotało mi serce. Uchwyt wymysknął mi się z dłoni, a szuflada z hukiem wypadła na blat.



Pilot

Nie wiem, skąd w ludziach bierze się skłonność do snucia sentymentalnych wspomnień. Przy kieliszku wódki czterdziestolatkowie wspominają pierwszy wypity w życiu alkohol, trzydziestolatkowie tuż po ślubie myślą o swoim pierwszym razie, dwudziestolatkowie... Dwudziestolatkowie często brakuje wspomnień. Dlatego są radośni i beztroscy. Nie nawiedzają ich obrazy z przeszłości, bo ich przeszłość to marzenia o przyszłości. Tak przynajmniej mówi statystyka.

Nie wiem, dlaczego podczas mojej trzeciej i ponoć ostatniej podróży przypomniła mi się podróż numer zero. Odbyta przed paru laty, a jednak o każdym szczególnie tak wyraźnym, jakby wydarzyła się wczoraj.

Pamiętam kwaśny zapach potu taksówkarza mieszkający się z wonią papierosów, którą nasiąknięta była skórzana tapicerka. Pamiętam zawieszoną za siedzeniem kierowcy tabliczkę z odręcznym napisem: „Uprzejmie proszę o niesporzywanie posiłków”. Pamiętam to przekreślone r i wciśnięte za nim ż.

Tłusty sześćdziesięciokilkulatek co chwilę poprawiał się w fotelu. Zmieniał stacje radiowe, sprawdzał coś w komórce, a najmniej uwagi poświęcał prowadzeniu. Przy tym jechał jak szalony, zadowolony, że odbywa długi kurs poza strefą i że poza miastem może przycisnąć gaz. Nim wsiadłem z Konstancją do auta, z niepokojem obrzucił nas czujnym spojrzeniem. Przez ten ułamek sekundy szacował, czy nie chcemy go zrobić w balona i nie zapłacić. Najwyraźniej zdaliśmy test pozytywnie, bo po chwili taksówkarz szarmanckim gestem otworzył Konstancji drzwi. Poza tym i tak musiał wrócić do Lublina.

- Tylko nie spryskaj mi pan siedzeń farbą - zastrzegł, gdy wsiałem z przyłożonymi do nosa chusteczkami i szmatką do okularów. Mimo to między palcami spływała mi krew. Hamowałem ją nawet rękawem koszuli. - Odegnij pan głowę. O tak, bardzo dobrze.

- To gówno daje - wymamrotałem.

- Ale przynajmniej pocieknie na pana, a nie na skórę. Nie chcecie chyba płacić za pranie tapicerki.

- Na SOR - zarządziła Konstancja. - Niech pan nas wiezie na najbliższy SOR.

- Pewnie.

- Trzeba aż do Lublina?

- Tak. Zaoszczędzilibyście, jakbyście wezwali karetkę.

- W karetkach umierają ludzie.

Doskonale pamiętam ton, jakim to zdanie wypowiedziała Konstancja. Następnie odwróciła się do mnie i chwyciła mnie za dłoń.

- Kto go tak urządził? - zapytał taksówkarz. Z naprzeciwka jechał samochód i na chwilę oświetlił jego twarz. W kaprawych oczkach widziałem złośliwą ciekawość. Odgiąłem głowę jeszcze mocniej. W ustach czułem posmak krwi, która spływała mi po ściankach gardła.

- Pani? - dopytywał taksówkarz. - Chyba nie?

- Może i ja - odburknęła Konstancja.

Grubas oderwał dłoń od kierownicy i głośno sapnął.

- Ja w nic nie wnिकam - zapewnił solennie. - Tak tylko zagaduję, bo widzę, żeście przestraszeni.

- On traci dużo krwi.

Mówienie o mnie w trzeciej osobie wydało się dziwne. Siedziałem obok, a nagle poczułem się, jakbym zniknął. Jakby wspomniano kogoś, kogo już nie ma.

On był naprawdę porządnym gościem.

On to się potrafił zabawić...

Odpląywałem. Z naprzeciwka co chwilę nadlatywały spadające gwiazdy reflektorów. Miarowe buczenie silnika prostowało mi myśli. Ciepły głos dyspozytorki układał się w przyjemną piosenkę z podkładem złożonym z elektronicznych, radiowych dźwięków.

- Pilocie...

Delikatne szturchnięcie przywołało mnie do rzeczywistości. Zamrugalem, starając się skoncentrować wzrok na jasnej podsufitce auta.

- Ej, ludzie! - Taksówkarz obrócił się w fotelu i na mnie spojrział. - Może naprawdę wezwać karetkę? Żeby mi tu nie wykitował w wozie...

- Nie wykituje - zapewniła go Konstancja. - Niech się pan nie martwi.

- A pani co? Lekarz? Czy wróżka?

Konstancja nie odpowiedziała. Trzymając dłoń na moim kolanie, rozejrzała się wokół. Wjechaliśmy już do miasta i kierowaliśmy się ku centrum. Kątem oka

dostrzegłem, że taksówkarz zignorował czerwone światło. O tej porze ruch był niewielki, ale i tak ryzykował co najmniej mandatem. Pewnie wolałby wyrzucić mnie z auta pod nogi policjantów niż pozwolić, żeby ktoś umarł na jego kanapie.

– Weź się, chłopie, w garść – mruknął. – To tylko krew z nosa. Na to się nie umiera.

Nie wiem, czy chciał przekonać mnie, czy siebie.

Ostatnią prostą pokonał, łamiąc wszelkie ograniczenia i co chwilę łypiąc w lusterko. W świetle latarni widział mnie lepiej niż wcześniej. Zresztą ja jego też. Być może zapamiętałbym jego rysy, gdyby nie to, że niemal przez cały czas albo miałem zamknięte oczy, albo gapiłem się w podsufitkę. Był na niej ślad od papierosa. Zastanawiałem się, czy powstał przed tym, jak Citroën zaczął robić za taksówkę. I dlaczego obok zakazu *sporządzania* posiłków nie ma zakazu palenia.

Pozbawiony krwi umysł skupia się na nieistotnych szczegółach. Myśli zaczynają niebezpiecznie przyspieszać, aż wreszcie wykoleją się ze świata rzeczywistości. Potem stają się poszarpane i gubią kolejność. Przypominają konfetti powycinane ze zdjęć, które szalony lekarz wepchnął pacjentowi do mózgu. Kolaż scen, które być może nigdy się nie wydarzyły.

Wycie syren.

Krzyk. Rozpaczliwy kobiecy krzyk.

Brzęczenie rozsypujących się na chodniku drobnych.

Światło.

Dużo światła wlewającego się przez oczy wprost w mózg.

Pytania, na które nie znam prostej odpowiedzi.

Zimno rozsadzające mi oczodoły.

Cienie przesuwające się po białych, trupio białych ścianach.

Mróz ścinający świat pod koniec lata i osadzający się na wszystkim szron w kolorze gwiazd. Cisza. Lodowata cisza.

A potem nagle szczegóły znów się wyostrzają i film nabiera ład. Staje się cud. Konfetti wspomnień unoszą się i scalają niczym rozbita filiżanka podczas odtwarzania do tyłu.

– Pilocie...

Pamiętam twarz Konstancji nachylającej się nade mną. Miała zaczerwienione policzki i przekrwione, podkrążone oczy. Z zebranych w kitę włosów wysunęło się niesforne pasemko, które opadło jej na czoło. Usta rozchyłał niewyraźny uśmiech, odsłaniający biel zębów.

Tamtej nocy wybrałem się w podróż numer zero. Oczywiście, wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia. Dlatego mogłem być tak szczęśliwy. Nie interesowało mnie nic poza tym, że po ocknięciu się widzę twarz kobiety, którą kochałem. Kobiety, z którą myślałem, że pozostanę już na zawsze i która w tym jednym wspomnieniu stała mi się tak bliska, że niemalże całkowicie wypełniła moje ciało. Tamtego dnia pojąłem wszystkie tajemnice miłości.



Stew

Roztrzęsioną dłonią zbierałam rozsypane na intarsjowanym blacie zdjęcia. Na niektórych z nich Michele obejmował Konstancję. Na innych byłam tylko ja, całkowicie nieświadoma, że jestem uwieczniana na fotografii. Na kolejnych widniałyśmy we trzy, ja, Konstancja oraz Wera. Zdjęcia nie były podpisane, ale bez problemu przypominałam sobie kolejne momenty.

Kawa na rzymskim Fiumicino i wypowiedane przez Konstancję zdanie: „Po pierwsze, nie łączę nigdzie sama, tylko zawsze sobie kogoś znajdę”. Pamiętałam sposób, w jaki wypowiadała kolejne słowa.

Ja przed hotelem w Singapurze. Na lotnisku w Dubaju. Wychodząca z terminala Okęcia. Monachium, gdy byłam tam przed paroma miesiącami i padał drobny wiosenny śnieg. Londyn, gdy razem z Werą między lotami wyrwałam się na zwiedzanie. Robiący zdjęcie uchwycił nas, gdy stałyśmy przed witryną jednego z antykwariatów. Dokładnie pamiętałam ekskluzywne gabloty ze starą biżuterią oraz wyeksponowane, oprawiane w skórę książki.

– Boże...

Przytknęłam dłoń do ust. Zrobiło mi się momentalnie duszno i zakręciło mi się w głowie. Pośpiesznie zgarnęłam zdjęcia na kupkę. Wsunęłam szufladę na prowadnice i oparłam się o blat. Miałam całkowicie sucho w ustach.

Nabrałam powietrza i sięgnęłam po komórkę. Nie wiedziałam, czy powinnam dzwonić na policję, do Konstancji, czy do szefa. Może wystarczyło opublikować w mediach społecznościowych post ze zdjęciem oraz oznaczeniem miejsca, gdzie jestem. To mogło być dobrym zabezpieczeniem.

Mój telefon pokazał jednak brak zasięgu. Czerwona ikonka zapulsowała w rogu ekranu.

Jakim cudem? Przecież do Markiza ktoś dzwonił. A może wcale nie? Może to wszystko było tylko jego mistyfikacją?

Szybkim krokiem podeszłam do drzwi i wyciągnęłam dłoń. Nadal nic. Całkowity brak zasięgu.

– Kurwa mać – wycodziłam.

Podbiegłam do okna i wyjrzałam na dziedziniec. Był całkowicie pusty. Nigdzie nie widziałam Markiza. Wychyliłam się jeszcze mocniej, ale i u podnóża wieży nie było nikogo.

Czy brak zasięgu mogły powodować jakieś zabezpieczenia? Zagłuszacz sygnału?

Pośpiesznie włączyłam internet, ale mój telefon nie nawiązał połączenia. Nic. Byłam całkowicie odcięta od świata. W zamkowej wieży, z której było tylko jedno

wyście. Do tego na schodach usłyszałam kroki.

Drżącymi rękoma zaczęłam zbierać zdjęcia. Wrzuciłam je do szuflady i szybko ją zamknęłam. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Nie miałam czasu już nic poprawić. Odskoczyłam od sekretarzyka i zbliżyłam się do okna. Udałam, że w pełnym skupieniu podziwiam krajobraz. Promienie słońca załamywały się w starych szybach i musiałam zmrużyć oczy. Ten jeden gwałtowny ruch wykonałam, gdy kroki rozległy się już tuż za mną.

Ten jeden gwałtowny ruch mógł zdradzić całe moje roztrzęsienie.

Mógł mnie wydać.

Markiz stanął w połowie pokoju, a ja powoli się odwróciłam. Bezwiednie wstrzymałam oddech. Przeniosłam spojrzenie ze swojego odbicia w lustrze toaletki na twarz Michelego.

– Mam nadzieję, że się nie nudziłaś – stwierdził. – Przepraszam za to...

W tonie jego głosu starałam się odszukać ironię lub sarkazm, ale z pewnością ich nie było. Tkwiła w nim jedynie troska oraz delikatne, eleganckie zakłopotanie człowieka, który za wszelką cenę chce wypaść tak samo dobrze, jak wypada zawsze.

– Czekałem na ten telefon od dawna i musiałem się rozmówić. Tym bardziej że...

– Markiz po raz kolejny się tłumaczył. Nagle głośno wypuścił powietrze i zachichotał. – Na ciebie czekałem, rzecz jasna, znacznie dłużej.

– Nie mów tylko, że całe życie – odezwałam się kokieteryjnym tonem. Pozostało mi tylko grać nadal i robić to jak najlepiej.

Ukradkiem zerknęłam w stronę sekretarzyka. Spodziewałam się, że z pośpiesznie zamkniętej szuflady będzie wystawało zdjęcie lub okaże się, że jej nie dosunęłam do końca. Wszystko było jednak w porządku. Niepotrzebnie się denerwowałam.

Podniosłam głowę i z powrotem zerknęłam na Markiza. Stał kilka metrów ode mnie, a jego cała postawa zdradzała głębokie napięcie. Prężył się jak kot, który zaraz zamierza doskoczyć do ofiary. Wpatrywał się we mnie z pełną intensywnością. Jednocześnie trzymał dłonie założone za plecami, jakby to miało go pohamować przed gwałtownym ruchem.

– Może naprawdę przez całe życie – odezwał się. – Kto wie? Czasem, gdy kogoś poznajemy, zupełnie przez przypadek okazuje się, że bez tej osoby nasze dotychczasowe życie było puste. Rozumiemy to tylko dzięki temu, że ta pustka została zapełniona. Inaczej nadal trwalibyśmy w nieświadomości. Zadowoleni, próżni, przekonani, że mamy wszystko, czego chcieliśmy... A jednocześnie potwornie wybrakowani.

– I nie obawiając się, że to wszystko możemy stracić – dodałam, przeciągając dłońią po obiciu krzesła. – Bo nigdy nie myślimy nad stratą rzeczy nieistotnych.

– Mówisz, jakbyś wiedziała o tym więcej, niż mogłoby się wydawać.

– Uznajmy, że to mądrości ludowe. Jestem dziewczyną ze wsi.

- I gdybyś to ty zapełniała tę moją pustkę...

- Byłby to mezalianś - wszłam Markizowi w słowo. - O ile, rzecz jasna, rozumiałam aluzje o ślubie i dzieciach.

- Mezalianś? - Michele zrobił krok w stronę stolika. Położył dłoń na mojej dłoni.

- Myślałem, że zapełnienie pustki życia można nazwać miłością. Ewentualnie namiętnością. Ale nie mezaliansem.

- To wy tak to nazywacie. - Rozstawiłam palce tak, że Markiz mógł wsunąć między nie swoje.

- My?

- Arystokraci albo zwykli bogacze. Inwestorzy giełdowi, maklerzy, finansisci i bankierzy. Panowie i władcy tego świata...

- Jeżeli jestem panem i władcą... - Markiz zbliżył się i stanął za mną. Jego pierś dotykała moich pleców. Objął mnie i położył dłonie na moich dłoniach. Szeptał mi niemal do ucha tak, że czułam ciepło jego oddechu. - Jeżeli jestem panem i władcą - powtórzył z naciskiem - to chcę decydować o tym, jak nazwę zapełnianie pustki w swoim życiu. I chcę decydować o tym tu i teraz. Chcę być panem i władcą, ale tylko wtedy, gdy ty również będziesz tego chciała. Rozumiesz?

Pokręciłam głową. Oddychałam coraz płycej, a strumienie krwi uderzały mi raz po raz do głowy. Gdyby nie makijaż, byłabym pewnie purpurowoczerwona. Michele pocałował mnie w kark. Czułam jego język przesuwający się po wypukłości kolejnych kręgow. Zacisnęłam palce na oparciu krzesła.

Byłam gotowa na wszystko.

Choć nie potrafiłam niczego zdefiniować.



Pilot

Gdy patrzyłem w pustkę, w którą kiedyś podobno spoglądał wielki Krzysztof Kolumb, naszło mnie wspomnienie podróży, której nieco później mogłem nadać miano zerowej. To brzmi pompatycznie. Są momenty, kiedy człowiek nieświadomie staje się pompatyczny i jednocześnie żaloszny. Czasem należy mu współczuć, znacznie częściej lepiej dać mu do zrozumienia, że jest zwykłym dupkiem.

Zdaje się, że mnie ogarnął ten rodzaj pompatyczności, który skazywał mnie na współczucie.

Staliśmy z Lolą na szczycie klifu i spoglądaliśmy w dal. Ocean mienił się, jakby na jego powierzchni unosiły się szafiry. Woda chlupotała, omywając przybrzeżne skały. Te powstrzymywały impet, z jakim fale biły o klif. Jachty z proporczykami

bez śladu rozplynęły się już w przeszłości. Po fajerwerkach nie pozostał na niebie nawet pojedynczy obłoczek.

Byliśmy sami. W zasięgu naszego wzroku nie było nikogo. Podejrzewam, że obserwowani przez lunetę z wieży kościelnej przypominaliśmy pstrokate zaburzenie krajobrazu.

Lola wystawiła twarz do słońca. Choć przed chwilą byliśmy cali zlni potem, to morska bryza sprawiła, że balansowaliśmy na granicy ciepła i chłodu. Pamiętam, że moją uwagę zwróciło to, że na niebie nie ma ani jednego samolotu. Skropionego kilkoma chmurami błękitu nie przecinała też ani jedna smuga. Patrząc naprawdę intensywnie w ten mleczny błękit, z pewnością można by dostrzec gwiazdy.

– Właśnie w tym miejscu powinienes mi coś powiedzieć. – Lola cofnęła się o krok znad klifu. – Na pewno nie przedzieraliśmy się tu, abyś mi coś powiedział?

Podszedłem do niej, obracając się plecami do oceanu.

– Kocham cię – złapałem ją za dłoń i przyciągnąłem do siebie. – Kocham cię.

– Tylko to? Nie dorzucisz żadnego kiczowatego tekstu?

Przez chwilę się zastanowiłem. Wreszcie nachyliłem się ku Loli i musnąłem wargami jej ucho. Drgnęła.

– Gdyby Kolumb miał przy sobie taką kobietę jak ty, nie musiałby marzyć o odkrywaniu drogi do Indii – szeptałem, jakbym się wstydził, że ktoś może mnie podsłuchać.

– Mój Boże. Jakie to słabe.

– Prosiłaś o kicz. Mówisz, masz.

Lola się roześmiała. Wciąż spoglądała na mnie z wyczekiwaniem. Za moimi plecami ocean zaczął tłuc się o skały. W powietrzu przekrzykiwały się mewy.

Świadomość, że półtora metra za mną rozciąga się przepaść, napawała mnie niepokojem. Mimo to nie poruszyłem się. Dwa kroki zakończyłyby wszystko. To nie była myśl samobójcy. Stojąc na balkonie, często myślałem o tym, co by było, gdybym zbytnio się wychylił. Prowadząc auto, wyobrażałem sobie, że nagle szarpnię kierownicą i wpadam pod pędzące z naprzeciwka tiry. Już Wam chyba o tym mówiłem. Ja albo któreś z nas.

– Kocham cię... – powtórzyłem. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale nic rozsądnego nie przyszło mi do głowy.

To była trzecia podróż i znaleźliśmy się u jakiegoś symbolicznego kresu. Mogliśmy w niego nie wierzyć albo mieć nadzieję, że nie istnieje, ale było to tylko oszukiwanie siebie samych. Czuliśmy, że naprawdę koniec jest blisko. Tuż obok. Naprawdę tuż, tuż.

Wiedziałem, że Lola chce, abym uklęknął i poprosił ją o rękę. Wyobrażałem sobie tę scenę na tysiąc sposobów. Zgodziłaby się, a potem snulibyśmy wizję przyszłości. Zastanawialibyśmy się nad ilością gości weselnych, miejscem ślubu, potem pewnie przeszlibyśmy do menu. Jedynym, co trzymałoby mnie przy życiu, byłaby myśl, aby dociągnąć do wesela. Nie chciałem nikogo rozczarować.

Zrobiłem mały krok w tył. W oczach Loli dostrzegłem niepokój, ale nie zatrzymała mnie. Pewnie spodziewała się, że zechcę odstawić jakiś niezwykle zabawny, ocierający się o totalną głupotę numer. Albo wyobrażała sobie, że tuż za żałobem skalnym ukryłem bukiet kwiatów.

Cofnąłem się jeszcze o parę centymetrów. Usłyszałem, że kilka kamieni umyka mi spod stóp i spada w oceaniczną kipieli.

- Chciałbym cię prosić o jedną rzecz - odezwałem się.

Oczy Loli rozszerzyły się i zaskrzyły. Byłem na siebie wściekły.

- Obiecuj mi...

Po tych słowach jej brwi ściągnęły się, a tłąca się w oczach nadzieja zamieniła w obawę. Szukałem odpowiednich słów, lecz wszystkie wydawały mi się potwornie kanciaste. Wreszcie postanowiłem po prostu mówić. Wiedziałem, co chcę powiedzieć, a Lola musiała to zrozumieć.

- Obiecuj mi, że gdy umrę - chciałem powiedzieć „jeśli”, ale przecież każdy umiera - znajdziesz sobie kogoś i będziesz z nim szczęśliwa. Będziesz cieszyła się życiem tak jak przy mnie. Obiecuj mi to.

Wargi Loli zdrzętały. Rozczarowanie i niepokój zacisnęły jej pętlę na gardle. Pobudziły żałosne westchnienie.

- Co ty opowiadasz, przecież ty...

- Nie każę ci o mnie zapomnieć - ciągnąłem. - Proszę cię tylko, żebyś nie cierpiała. Jeżeli jest inny świat i zobaczę z niego, że swoją śmiercią zmarnowałem ci życie, załamie się. Będę pierwszym trupem z depresją. Słowo daję.

Chciałem się uśmiechnąć, ale nie potrafiłem. Zazwyczaj to clowni są najsmutniejszymi ludźmi z całej cyrkowej trupy.

- Obiecasz mi?

Zrobiłem kolejny krok w tył. Straciłem orientację, jak wiele dzieli mnie od przepaści. Trzydzieści centymetrów? Pół metra?

- Co ty robisz, do cholery? - Lola wyciągnęła ku mnie rękę. Jej palce przebrały w powietrzu. - Chodź tu!

- Obiecuj mi! Proszę.

Patrzyłem prosto w oczy ukochanej i znów uniosłem nogę. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to bez sensu. Nie mogłem jej kazać być inną, niż jest. Nie mogłem jej kazać cieszyć się lub płakać. Czułem się cały mokry. Nie wiedziałem, czy to przez wilgoć niesioną przez bryzę, czy pot.

Brzydziłem się siebie.

- Jestem tak cholernie zmęczony... - wyszeptąłem.

Odgiałem ciało do tyłu i rozpostarłem ręce.

- Nawet gdybym miał szansę na jeszcze jedną podróż... - tracąc równowagę, przebrałem nogami - chyba nie dałbym rady. Teraz jestem szczęśliwy.

- Nie wiesz, co mówisz! Przestań. Ale...

- Kocham cię.

Te ostatnie słowa wypowiedziałem, gdy moje nogi nie miały już oparcia. Lola mogła ich nie usłyszeć. Mogły odbić się echem od pionowego klifu i ulecieć w stronę pustki oceanu. Tam było ich właściwe miejsce.

Stew

Utknęłam wzrok w zielonej dolinie, podczas gdy Markiz rozpinał guziki mojej koszuli. Robił to zręcznie, ale powoli, jakby delektował się każdym ruchem. Jednocześnie nie przestawał mnie całować po karku. Co chwilę jego język i wargi wędrowały ku moim uszom, wzbudzając rozkoszny dreszcz. Oddychałam ciężko i głośno. Staralam się skupić na przejeżdżających w oddali autach, lecz kręciło mi się w głowie. Słońce co rusz wychodziło zza chmur i za nimi znikało. Zaciśnęłam palce na kamiennym występie okna. Przeknęłam ślinę. Markiz rozpiął ostatni guzik i gwałtownie mnie obrócił. Dotknęłam jego koszuli miseczkami biustonosza. Nie chciałam patrzeć mu w oczy, lecz delikatnie chwycił mnie za podbródek i go podniósł. Wyszarpnęłam się.

Cofnęłam się, lecz zaraz dotknęłam plecami ściany obok okna. Poczulałam jej wilgotny chłód.

- To ja chcę się bać - wyszeptałam niemal bezgłośnie.

Tajemniczy blask rozświetlił oczy Michelego. Przygryzł wargę, jakby chciał powstrzymać rodzący się, szeroki uśmiech. Przesunęłam się, wciąż opierając plecami o ścianę, a on podążył za mną.

- Przestań! - Tym razem krzyknęłam.

Michele przystanął. Przez moment grymas zdziwienia zmarszczył mu brwi, lecz zaraz powróciła jego pewność siebie.

- Chcesz się bać? - zapytał. - Dobrze.

Ominęłam sekretarzyk i stojące przy stoliku krzesło. W tym momencie Markiz dopadł do mnie. Obrócił mnie jak zabawkę, zdarł ze mnie koszulę i rzucił ją na podłogę. Nim zareagowałam, rozpiął mi stanik. Przytrzymał go od przodu, lecz wtedy Michele obrócił mnie po raz kolejny. Były to ruchy podobne do wymuszonego piruetu, lecz zarazem Markiz wykonywał je z czułością i delikatnie. Nie spodziewałam się, że ma tyle siły.

- Wszyscy się czegoś boimy. Wiesz o tym aż zbyt wiele. Prawda?

Nie odpowiedziałam. Cofając się, wypuściłam stanik, który opadł na podłogę. Zasłoniłam piersi rękoma. Michele na chwilę zatrzymał się, jak myśliwy obserwujący spłoszoną zwierzyinę, która już nie mogła mu uciec. Tym razem nie powstrzymał uśmiechu.

Szłam tyłem, wiedząc, że za mną znajduje się wielkie łóżko. Dzieliło mnie od niego pięć, może sześć kroków.

Gdy dotknęłam tyłem tyłki do drewnianej ramy, niemal straciłam równowagę. To koniec. Wiedziałam, że nie pozostaje mi już żadna szansa ucieczki.

Michele podszedł do mnie i chwycił mnie za nadgarstki. Nie stawiałam oporu. Pozwoliłam mu odsunąć dłonie od piersi. Schylił się i pocałował mnie w prawy

sutek. Przeciągnął po nim językiem, następnie obrócił nim w jedną, a potem w drugą stronę. Pchnął mnie na łóżko delikatnie, ale na tyle mocno, żebym straciła równowagę i musiała usiąść. Gdy tak się stało, natychmiast pochylił się nade mną. Przywarł wargami do moich ust. Nie wiem, kiedy zdjął marynarkę i rozpiął koszulę. Nagle przywarł do mojej piersi swoją nagą pierśią. Nie przestawał mnie całować. Jego dłoń szukała guzika spódnicy, którą miałam na sobie, rozpięła go, a następnie zagłębiła się w moich majtkach. Udawałam, że staram się bronić. Wiłam się, odpychałam Markiza, lecz wszystkie te próby musiały ulec jego pełnej namiętności sile.

Spojrzałam w przybrudzoną biel sufitu. Na pięknie zdobiony plafon ponad zyrandolem. Na sztukaterie w narożnikach, a potem na uspokajający błękit ścian. Obok łóżka wisiał niewielki obraz przedstawiający scenkę myśliwską. Nie można było zawiesić niczego bardziej wymownego.

- Chcę się bać - wyszeptałam, gdy Markiz pochylił się nade mną jeszcze mocniej. - Bać...

Przywarł do mnie ciężarem całego ciała. Nagle obrócił się i szarpnął mnie do góry. Jednocześnie zdarł ze mnie spódnice i majtki. Chwilę później sam się rozebrał. Całkiem nagi przesunął mnie na łóżku, jakbym nic nie ważyła. Narzuta zrolowała się i poczułam przyjemną śliskość poszewki.

Markiz klęknął nade mną. Chwycił mnie pod pachy i przeniósł jeszcze wyżej. Oba moje nadgarstki zamknął w swojej jednej dłoni. Jego długie palce nie pozwalały mi na jakikolwiek ruch. Starłam się kopać, lecz muskularnymi ramionami opadł na moje uda. Zmusił mnie, bym się wypięła. Pocałował mój pępek, a potem jego wargi powędrowały niżej. I niżej...

Wiłam się, gdy liżał moją łechtaczkę. Zginałam i rozprostowywałam nogi, biłam go piętami po plecach.

- Nie, proszę, nie... - prosiłam głośno, jednocześnie wzrokiem błagając go, by nie przestawał. - Nie...

Michele nagle oderwał się od mojego łona. Podniósł się, a po chwili opadł tuż nade mną, wspierając się na łokciach. Jednocześnie poczułam, że chce we mnie wejść. Wierzgnęłam się teraz znacznie mocniej niż wcześniej.

Było mi tak bardzo przyjemnie.

Świat nabierał kolorów, wszystkie kształty wirowały, a od środka rozpieierała mnie dzika euforia...

Serce łomotało mi w piersi, a w głowie słyszałam tylko szum. Tak bardzo pragnęłam, by to już się stało. By nasze ciała się splotły, by...

Gwałtownie zerwałam się z łóżka. Michele nie mógł się tego spodziewać, więc zaskoczony wypuścił mnie z objęć. Powiódł za mną zdziwionym spojrzeniem. Zmarszczył brwi.

- Nie! Nie rozumiesz, co znaczy nie?! - wrzasnęłam.

Pustym wzrokiem patrzył, jak cofam się do sekretarzyka. Nie ścigał mnie. Wyczuł, że nawet jeżeli przed chwilą połączyła nas wspólnie rozgrywana gra, właśnie dobiegła końca.

Po chwili wszystko zrozumiał.

W jego oczach dostrzegłam bezgraniczny żal.



Pilot

– Przykro mi.

Te dwa słowa nie były skierowane do mnie. Dobiegły mnie z głębi sali. Łysy, niski lekarz przyciszonym głosem tłumaczył coś Konstancji. Przed chwilą, gdy mówił do mnie, jego ton brzmiał znacznie bardziej optymistycznie. Znacznie bardziej optymistycznie równało się zimnej, niemal nieprzyjemnej obojętności.

Przykro mi.

Wiadomość o tym, że jest się śmiertelnie chorym, potrafi zaskoczyć. Choć po właściwym przetrwaniu słów o tym, że ta choroba będzie mnie zabijała powoli, każdej minuty i każdego dnia, nie powinna być tak niezwykła. I bez choroby każdego dnia umieramy po mniejszym lub większym kawałku.

Na początku mnie też było przykro, ale nie trwało to długo. Szybko moje uczucie zamieniło się w niedowierzanie, a potem, gdy wypisano mnie ze szpitala, obróciło się w złość. Na siebie, na świat, a szczególnie na Konstancję.

– To przez ciebie – oznajmiłem jej któregoś poranka.

Niewiele różniło tę chwilę od tej, gdy ocknąłem się w szpitalu i poczułem do niej bezgraniczną miłość. Nasze twarze były tak samo blisko. A jednak dzieliła nas przepaść. Poza tamtym krwotokiem i okresowym drętwieniem ramienia choroba nie dawała jeszcze żadnych objawów.

A mimo to czas płynął.

Tak jak z każdego i ze mnie powoli ulatywało życie. Choć ja mogłem mieć wątpliwą przyjemność wiedzieć, że dzieje się to nieco szybciej.

W oczach Konstancji zaskrzyło się pełne urazy zdumienie. Niczym u pięknej łani, która wyszła na leśną polanę i spostrzegła mierzącego w nią myśliwego.

– Dlaczego? – zapytała jedynie. Reszta pytania utknęła jej w gardle.

– Każdy, z kim się zetkniesz, umiera – wycedziłem. – Zarazasz ludzi śmiercią. Nie wiem, co z tobą jest nie tak.

Zerwałem się z łóżka i poszedłem do łazienki. Umyłem twarz zimną wodą. Podobne ablucje mogły pomóc w rozbudzeniu się, ale nie w uporządkowaniu życia. Mimo to raz po raz ochlapywałem twarz możliwie najzimniejszą wodą. Rurociągi był nagrzany i ta miała na pewno kilkanaście stopni. Złośliwość losu.

Przemyłem się pod pachami, a następnie wytarłem szorstkim ręcznikiem. Szorowałem nim policzki. Chwyciłem go w dwie dłonie i jak piłą tarłem po karku. W końcu wściekły rzuciłem ręcznik na podłogę. Z pokoju dobiegało mnie ciche łkanie.

– Kurwa mać... – syknąłem do swojego odbicia w lustrze.

Miałem dwadzieścia pięć lat, powinno być przede mną jeszcze dwa razy tyle. Myśl o tym, że za rok lub dwa wyląduję na wózku inwalidzkim, brzmiała absurdalnie. Jakim sposobem? Przecież nigdy nie pozwolę na to, by moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Na wózki inwalidzkie trafiają tylko ci, którzy rezygnują z walki. Ci, którzy któregoś dnia budzą się i uznają, że nie przejdą tych kilku kroków do kibla. Po prostu. Z lenistwa, słabowitości lub dla własnej wygody. Choćbym miał leżeć pół godziny, nie dam się posadzić na wózek. Choćbym się miał człoǳać.

O tym, co będzie dalej, nie zamierzałem nawet myśleć. Patrzyłem we własne odbicie i widziałem faceta, którym byłem od zawsze. Jakbym się właśnie taki urodził.

Właśnie taki się urodziłem – rzuciłem w myślach. – Ze spieprzonym genem i zapalnikiem śmierci.

I nie jest to niczyja wina.

Cicho, potulnie wróciłem do pokoju, w którym spaliśmy. Konstancja leżała zwinięta w kłębek z twarzą zwróconą do ściany. Usiadłem na skraju łózka i przyglądałem dłonią kołdrę. Spojrzałem w stronę przesączającego się przez błękitną roletę światła. Całe umeblowanie, całe wyposażenie pokoju było do siebie doskonale dopasowane. Industrialne łóżko przypominające samochodową lawetę, bauhausowska lampa z przeciwważą, toaletka z marmurowym, jasnym blatem, a do tego kinkiet z żarówką obramowaną rusztowaniem podobnym do klatki na ptaki. Nie był to katalogowy pokój młodej kobiety, ale miał urok. Wydawało mi się, że jedyną rzeczą nie na miejscu jestem ja sam.

Położyłem się obok Konstancji i objąłem ją w talii. Przyciągnąłem do siebie jej nagie ciało. Pocałowałem ją w kark. Przestała łkać, ale nie odwróciła się do mnie. Wyprostowała dłonie i dotknęła nimi ściany, jakby chciała zagrać w jakąś grę ze swoim niewidocznym odbiciem.

– Może masz rację – odezwała się zmęczonym płaczem głosem. – Może naprawdę zarazam ludzi śmiercią? Ale wiesz co? Muszę, naprawdę muszę ci coś powiedzieć i nie myśl, że to tylko głupie gadanie. Proszę, nie pomyśl tak...

Oderwała dłonie od ściany, po czym obróciła się do mnie. Spojrzała na mnie zapuchniętymi, nie do końca jeszcze rozbudzonymi oczami. Czarna grzywka opadała jej na czoło.

– Gdybym tylko mogła to przerwać, gdybym wiedziała, że tak naprawdę jest... – szepnęła, a ja nie wiedziałem, do czego zmierza. Na chwilę urwała i przełknęła ślinę. Wpatrywała się we mnie z uporem hipnotyzera. – Gdyby tak było – ciągnęła

bez składu – wtedy wolałabym szczęście innych niż swoje. Twoje szczęście jest dla mnie ważniejsze niż moje. Pamiętaj o tym, gdy...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego mnie pocałowała.

Myślę, że chciała, abym o tym wszystkim pamiętał, gdy będę odchodził.



Stew

– Potrzebuję gotówki. Pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pieprzone ponad pół miliona zielonych. Rozumiesz? To dla mnie cała masa forsy, której w żaden sposób bym nie uzbierała, nawet gdybym sprzedała mieszkanie i zadłużyła się po uszy. Mogłabym o niej tylko marzyć. Ja... ja... Nigdy w życiu nie sądziłam, że stać mnie na to wszystko, ale...

Mówiłam szybko, niemal nie mrugając. Stałam przy sekretarzyku, z którego przegródki wyjęłam przed chwilą telefon komórkowy. Schowałam go tam paręnaście minut wcześniej, gdy przetrząsałam szuflady. Skierowałam wtedy obiektyw w stronę łóżka i uruchomiłam nagrywanie.

– Mam na nim nagrane wszystko, co wydarzyło się na jachcie. Mogłabym odtworzyć każde ze wspomnień, ale brzydzę się nimi. Rozumiesz? Brzydzę się!

Oparłam się biodrem o rozłożony blat i nagle poczułam skrępowanie własną nagością. Sięgnęłam po leżący u moich stóp stanik oraz obrócone na lewą stronę majtki.

– Film z jachtu wysłałam przyjaciółce. Ten, który nakręciłam przed chwilą, wysyłał się do niej na bieżąco. To były moje największe zabezpieczenia. Na wypadek, gdybyś... – Ubrałam bieliznę i cofnęłam się za stolik. To, że fizycznie odgradzał mnie od Markiza, sprawił, że poczułam się nieco różnie. Mimo to mówiłam ze ściśniętym gardłem i roztelepanymi rękoma. Zaplotłam dłonie na oparciu krzesła.

– Gdybyś wpadł w szal albo okazał się taki, jak cię podejrzewają. Wtedy to wszystko wypłynie. Boże, Michele, powiedz, że to wszystko rozumiesz!

Przez cały czas, gdy wygłaszałam ten monolog, Michele leżał na łóżku, podpierając się na łokciach. Wpatrywał się we mnie z pełną uwagą. Na jego twarzy nie dostrzegałam już żalu. Ten zamienił się w śmiertelną powagę, która sprawiła, że w mdłym świetle słońca wpadającego przez podwójne okno, Markiz zdawał się trupio blady. Jego żywe zazwyczaj oczy niemal zastygły w bezruchu. Mimo to oddychał powoli i spokojnie. Obserwowałam, jak jego muskularna klatka piersiowa porusza się w regularnym rytmie.

– Wpadł w szal? – Markiz odrzucił do tyłu głowę i cicho się zaśmiał. – Okazał się taki, jak mnie podejrzewają? – Powoli obrócił twarz i znów na mnie spojrzał. – Czyli

jaki? Zabójcą? Seryjnym gwałtcielem? Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził, dlatego to wszystko zaaranżowałam. Nie musisz pozostawiać innych domysłów.

- Nie mam pojęcia, jaki jesteś.

- Dokładnie taki, jak widzisz. - Markiz powoli zsunął się z łóżka. Stał na podłodze całkowicie nagi, z rozmierzwionymi włosami i wciąż podniecony. - Prowadzę wiele interesów, ostatnio wmieszałem się do polityki, do tego mam sporo gotówki odłożonej na czarną godzinę. Dlatego ludzie wymyślają te niestworzone historie. Są osoby, które przeraża myśl, że mógłbym pstryknąć palcami i jutro założyć liczącą się partię. Dlatego już dziś starają się mnie oczernić i tworzą plotki tak śliske, żeby podświadomie wwały się do umysłów.

- Te filmy mogą to skończyć raz na zawsze.

- Owszem. Mogą skończyć mnie, jako polityka, biznesmena i człowieka. Ale ty będziesz wiedziała, że to fałsz.

Markiz zrobił krok w moją stronę i wyciągnął dłoń. Cofnęłam się, wysuwając przed siebie krzesło. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się obronić.

- Stój albo moja przyjaciółka wezwie policję.

- Przecież już nie nagrywasz.

- Ale mam jej lada moment dać znać, że...

Michele spokojnie pokręcił głową.

- Dobrze wiesz, że tu nie ma zasięgu. Pewnie niedawno to sprawdzałaś.

Zadrzałam. Przelknęłam ślinę i zacisnęłam dłoń na drewnianym oparciu. Byłam gotowa bronić się choćby tym krzesłem. Zaszłam zbyt daleko, żeby się poddać. Nie mogłam uciec, wycofać się ani dać się zabić.

O, nie. Nie teraz.

Ku mojej uldze Michele zatrzymał się kilka kroków ode mnie. Opuścił dłoń i powoli wciągnął powietrze. Po chwili głośno wypuścił je nosem. Podniósł z ziemi swoje spodnie ze zrolowanymi w nogawce bokserkami. Nasunął je jednocześnie. Czerwone szelki zwisały bezwładnie, sięgając niemal jego kolan.

- To nagranie mogłoby cię zrujnować - syknęłam o wiele delikatniej, niż chciałam.

Markiz wzruszył ramionami. W jego oczach znów dostrzegłam pustkę i żal.

- Być może.

- Wystarczy, że dostanę tę forszę, a...

- Wszystko się skończy?

Nie wiedziałam, do czego zmierza jego pytanie. Mimo to zimny, markotny ton, jakim je zadał, wzbudził we mnie strach.

- Potrzebuję tej gotówki - powiedziałam z naciskiem. - Tylko o nią mi chodzi.

Michele uśmiechnął się smutno.

- Wiem - szepnął. - Wiem, moja droga.

- Skąd mógłbyś wiedzieć! Jestem dla ciebie tylko stewardesą, która tak naprawdę wcale cię nie interesuje.

– Mylisz się. Lubię wiedzieć wszystko o osobach, z którymi się spotykam.

Markiz spojrział gdzieś za mnie. Usłyszałam ciche szurnięcie i wtedy zauważyłam w oczach Michelego żarliwy blask. Zapomniałam, że w zamku nie jesteśmy sami.



Pilot

Moja walka przed trafieniem na wózek inwalidzki nie była tak zaciekle, jak ją sobie wcześniej wyobrażałam. Któregoś dnia zwyczajnie zatrzęśły się pode mną nogi i upadłem bezwładnie na ziemię. Przypadkiem było to w trakcie spaceru, dokładnie naprzeciw wejścia do katedry. Wcześniej nie czułem się ani zmęczony, ani rozedrgany. Nie łupało mnie w kościach, a nawet wydawało mi się, że wciąż jestem w formie przebiec przynajmniej półmaraton.

W tamtym sezonie nie odbyłem już żadnego lotu szybowcem. Wszystko kjarzyło mi się z Rudym i choć nie byłem przesadnie sentymentalny, nie mogłem znaleźć dobrego współnika. Sprzedałem Puchacza oraz cały sprzęt. Oficjalnie kalkulowałem, że odłożona forsa wystarczy na kilka miesięcy życia i przyda się do rozruszania kolejnej działalności. Jakiej? O tym nie miałem pojęcia. Tak naprawdę nawet nie było jej w planach. W końcu wszystkie moje plany kończyły się pustką tuż za rogiem.

W tamtym czasie Konstancja pracowała już jako stewardesa. Sex Emirates. Wymowny stereotyp, którego nie dopuszczałem do wiadomości. U tego przewoźnika zarabiała całkiem nieźle i zwiedzała świat. Tymczasem ja już nawet nie pilotowałem kilkaset metrów nad tą nudną ziemią, której każdy kawałek znałem jak własną kieszeń i która wydawała mi się całym światem.

Nie wiedziałem, że Konstancja zdradza mnie w każdym mieście i na każdym kroku. Albo że taką miała pozę. To mogła być tylko poza. Jeszcze nie wiedziałem o pisanych mi trzech podróżach ani o tym, że ostatnią z nich zakończę na portugalskim klifie. Jeszcze żyłem pełnią życia. Odsuwałem problemy od siebie. Ignorowałem je, bo nikt nie mógł mi tego zabronić.

To, że upadłem naprzeciw katedry, można by potraktować jako symbol. Dla mnie to był jednak zwykły przypadek. Miejsce, w którym rąbnąłem o bruk, nie mogło nic zmienić. Gdyby stało się to gdziekolwiek indziej, w szpitalu podano by mi te same leki i patrzono by na mnie z tym samym współczuciem.

Oto człowiek, dla którego nie ma nadziei.

Rehabilitanci nie mogli nic zdziałać. Doceniałem ogrom pracy, który wkładali w to, bym dał radę przejść choć kilka kroków. Czasem to mi się udawało, częściej się wywracałem. Mniej więcej wtedy nauczyłem się dobrze upadać.

Próby pokonania tych kilku metrów kazano mi podejmować pod warunkiem, że będę asekurować się chodzikiem lub laską. A ja byłem uparty i gdy tylko czujny wzrok rehabilitantów przestawał mnie krępować, unosiłem dłonie parę centymetrów ponad gumowe rączki. Nazywałem to walką, lecz było to tylko przekomarzanie się z losem.

Po dwóch tygodniach rehabilitacji ktoś mądry doszedł do wniosku, że to wszystko jest kompletnie bez sensu. Przecież clou mojej choroby polegało na tym, że będzie jeszcze gorzej. Uznano, że nie mam szans już nigdy zrobić kroku naprzód. Stanie w miejscu miało być sporym sukcesem. Rehabilitanci przestali ode mnie oczekiwać, żebym przeszedł te kilka metrów. Razem z nimi ja też dałem spokój oczekiwaniom.

Konstancja wzięła urlop, a potem zwolnienie. Obserwowała, jak się poddaję, i była na mnie zła. Ja byłem zły na nią, że nie może mi w niczym pomóc. Wmawiałem sobie, że nasza miłość skończyła się razem z tamtym krwotokiem. Człowiek, który umiera, ma tylko dwa pragnienia. Aby go kochano i aby cały świat zaczął go nienawidzić. To wcale nie takie niewykonalne.

Gdzieś pod koniec grudnia, a może był to jeszcze listopad, w każdym razie w śnieżny i mroźny dzień, Konstancja zaprosiła do nas grupę przyjaciół. Od miesiący żyliśmy niczym w pustelni, więc wspólnie uznaliśmy to za dobry pomysł. Myślę, że tak naprawdę gwarem cudzych głosów chcieliśmy zagłuszyć ciszę, która zapadła pomiędzy nami.

Konstancja zrobiła kilka przekąsek, zamówiliśmy pizzę, kupiliśmy parę butelek wina i whisky. Oszczędzaliśmy i nieco się wstydziliśmy, że jedna z tańszych whisky mogłaby kogoś obrazić. Mogłoby źle to o nas świadczyć. Potem potraktowałem to jako zwykłą wymówkę. W głębi duszy zamiast spotykać się z ludźmi, chciałem zaszyć się w najdalszym kącie mieszkania.

Mimo że byliśmy ze sobą już prawie cztery lata, części gości nigdy wcześniej nie widziałem. Słyszałem o nich, ale byli tylko moimi wyobrażeniami ukształtowanymi na podstawie opowieści.

Marek i Anna, piękna, dobrana para ludzi, którzy wydali mi się sobie zupełnie obcy. On zawsze zwracał się do niej bezosobowo, ona nigdy na niego nie patrzyła. Zawsze kierowała wzrok gdzieś ponad jego głowę.

Dagmara, trzydziestoletnia rozwódka, która miała być dowcipna, a jej jedyny dowcip polegał na tym, że upiła się już dwoma kieliszkami rozwodnionego wina. Miała szczerze rysy. Włosy nijakiego koloru, prosty nos, małe oczy i cienkie usta. Mimo to jakaś nieokreślona żywotność przykuwała do niej uwagę. Szczególną atencją obdarzył ją pucołowaty elegancik, którego już kilka razy spotkałem, choć za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Konstancja musiała o tym pamiętać, bo nas sobie nie przedstawiła.

Jako ostatnia zjawiała się drobna, żywiołowa blondynka. Miała ostre, artdecowskie rysy, usta pomalowane burgundową pomadką i czarną sukienkę

ozdobioną cekinami.

- Kilka miesięcy wcześniej z przyjemnością pomógłbym zdjąć to чудо – mruknąłem, patrząc na brązowe futro, prawdopodobnie sztuczne, ale stylowego kroju.

Kobieta delikatnie się uśmiechnęła i podała mi dłoń. Przez chwilę się nie ruszałem. W jej oczach dostrzegłem zakłopotanie.

- Okej, żartuję. – Uścisnąłem jej drobną rękę. – Aż tak niesprawny jeszcze nie jestem. Zapraszam na salony.

Odsunąłem wózek i zrobiłem jej miejsce. Konstancja wyszła z kuchni, donosząc kolejną porcję przekąsek. Ucałowały się z blondynką w progu.

- Już się poznaliście? – Skinęła głową, dając do zrozumienia, że chodzi jej o mnie.

- Zaoferowano mi pomoc w zdjęciu futra. Kategorycznie odmówiłam.

- Obawiam się, że to była tylko kurtuazja – odezwałem się, przejeżdżając obok. – Pardon.

- Czy on zawsze mówi w ten sposób? – Blondynka zwróciła się do Konstancji.

- Tylko wtedy, gdy chce komuś zaimponować.

- To urocze.

- Z biegiem lat może mega męczyć.

Dostrzegłem utkwione we mnie spojrzenie Konstancji. Było smutne i pełne wyrzutu. Nie rozumiałem tej nagłej opryskliwości. Gniewnie ruszyłem na balkon. Jakiś czas temu w progu Konstancja zamontowała specjalny podjazd, żebym mógł przeprowadzić po nim wózek. Pchnąłem drzwi i wytoczyłem się w lepki chłód nocy. Płatki śniegu rozpuszczały mi się na twarzy.

Wyciągnąłem cygaretkę i natychmiast ją odpaliłem. Właściwie nie można mi było pić ani palić, więc skoro wcześniej w ani jednym, ani drugim nie znajdowałem przyjemności, teraz nieomal stałem się nałogowcem.

Z lubością wdychałem waniliowy dym. Patrzyłem w rozświetlone przez łunę pomarańczowe chmury. Pod kloszami latarń zaczął śnieg, a samochody mozolnie brnęły w pulpie. Zaczynał się najgorszy okres roku. Pora, której od dziecka szczerze nienawidziłem.

Usłyszałem, że drzwi za moimi plecami rozszczelniają się i ktoś wychodzi na balkon. Po chwili obok mnie stanęła blondynka. Wyciągnęła papierosa, a ja błyskawicznie podstawiłem jej zapalniczkę.

- Pierwszy! – Uśmiechnąłem się, zadowolony i zaskoczony własną zręcznością.

Blondynka zaciągnęła się, przymykając oczy. Brakowało jej tylko fascynatora lub wymyślnej egrety. Wtedy wyglądałaby jak żywcem przeniesiona z parkietu tanecznego Empire State Building. Przeciągnęła się jak kotka, ale był to ruch całkowicie naturalny.

- Chyba potrzebuję kawy – odezwała się. Nagle jakby uznała, że popełniła okropny nietakt, i przytknęła dłoń do ust. – Nie chodzi mi o to, że się nudzę... Nie, nie. Po prostu...

Niedbale machnąłem dłonią.

– Mnie też ciężko wyciągnąć z domu – mruknąłem. – A kiedy już wyjdę, dopada mnie zmęczenie. Dopadało – poprawiłem się. – Teraz z wychodzeniem mam drobny problem, a przy okazji dobry argument za pozostaniem w domu.

– Każda wymówka jest dobra.

Blondynka zaciągnęła się i zaraz wypuściła obłoczek dymu. Wpatrywała się w głąb osiedla. Drżała z zimna, a ja nie mogłem nic zrobić. Nie miałem marynarki, a czerwony elegancki pulower. Zanim bym się z niego wyplątał, można by wypalić pół paczki papierosów.

Najchętniej przeprosiłbym świat za swoją ułomność. Mimo to takie przeprosiny zawsze byłyby nie na miejscu. Wyglądałyby jak uzalanie się nad sobą.

Przeczesałem dłonią włosy, zgarniając rozpuszczający się śnieg. Część płatków spadła mi na kark. Wzdrygnąłem się.

Blondynka odwróciła się i założyła ręce na piersi. Pochyliła się, by uchwycić ustami filtr papierosa.

– Właściwie co świętujemy? – zapytała niespodziewanie.

Wzruszyłem ramionami i zaciągnąłem się aromatem wanilii.

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę nie masz pojęcia?

Spojrzała na mnie, jakby była przekonana, że tylko się z niej nabijam.

– Mam jeden pomysł – odparłem. – Ale mogę się mylić.

– Wal.

– To może być moja impreza pożegnalna. – Potrząsnąłem rezolutnie głową. – Tak, zdaje mi się, że to właściwy trop.

Blondynka spojrzała na mnie ze zdziwieniem, lecz w kącikach jej ust zdrztał uśmiech. Nim zdążyła wybuchnąć śmiechem, na balkon wyszła Konstancja. W ręce trzymała kieliszek wina. Obrzuciła mnie niechętnym, surowym spojrzeniem. Nie rozumiałem zmiany, która zaszła w niej w ostatnich godzinach.

– O, tu jesteście! – Wzniosła kieliszek jak do toastu, ale wzrok przeniosła na blondynkę. – To co, kochana? Sto lat?



Stew

Markiz zrobił krok w moją stronę. Naciągnął szelki na nagi tors. Cofnąłem się, niemal dotykając plecami ściany. Kłykcie pobielają mi od ściskania oparcia krzesła.

– Rozmawiałem już z twoim ukochanym. – Michele swobodnym krokiem podszedł do stolika i sięgnął po drugie krzesło. Przez chwilę wydawało mi się, że

na nim usiądzie, ale nagle zrezygnował. Stał kilka kroków ode mnie, również podpierając się o oparcie. Jego słowa dopiero do mnie docierały. W panice z opóźnieniem skleciłam je w sensowne zdanie. To było niemożliwe. On nie mógł...

Markiz ubiegł moje wątpliwości.

- Powiedziałem mu, że nie musimy tego robić - oznajmił. - Że nie musi się godzić na tę całą grę. Dotarłem do niego w dniu, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy na pokładzie samolotu. Jeżeli ma się pod sobą parę tysięcy ludzi, czasem miewa się też rozmaite przecucia. Jest się bardziej wyczulonym...

- Ale...

Pytanie zamarło mi na wargach. Nie potrafiłam go sformułować. Już nie martwiłam się o to, czy ktoś za mną stoi. Czułam czyjąś obecność, ale nie bałam się. Byłam totalnie zmieszana i zaskoczona.

- Powiedziałem, że zapłacę bez względu na to, co się stanie pomiędzy nami. Wiedziałem, że to może zmierzać tylko do czegoś takiego. Że będziesz chciała mnie uwieść. Albo uwieść i zaszantażować, co doceniam podwójnie. Podoba mi się ta inwencja.

- Ja chciałam... Ja...

Michele nie zwracał uwagi na moje zażenowanie. Patrzył ponuro w podłogę.

- Twój narzeczony, bo to twój narzeczony, prawda? Zresztą to nie moja sprawa. W każdym razie powiedział, że nie może cię... - Teraz to Markizowi zabrakło słowa. Odszukał je jednak niemal od razu. - Że nie może cię zaspokoić. Że ma wrażenie, że ja przynajmniej zaspokajam część twoich pragnień, i prosił, abym zostawił ci swobodę ruchów. To porządny człowiek. Nie dziwię się, że byłaś gotowa tyle dla niego zrobić... Choć wolałbym myśleć, że powodowało tobą coś całkowicie innego.

- Nie wierzę, że z nim rozmawiałaś. - Zdołałam wycedzić. - On nigdy by się na to nie zgodził. Jesteś cholernym oszustem. - Podniosłam wzrok i utkwiałam go w Markizie. W głowie kłębiły mi się postrzępione myśli. Byłam przerażona, ale również zdesperowana. To desperacja dodawała mi pozornego animuszu. - Myślisz, że cały świat wygląda tak jak robienie biznesu - ciągnęłam oschle. - Że można oszukiwać, byle nie odkryć swoich kart, a wszystko się uda. Budujesz kłamstwa na jakichś pieprzonych strzępach informacji i myślisz, że...

Markiz spojrzał na mnie ze złością. To wystarczyło, bym kompletnie straciła wątek. Jego spojrzenie zatamowało potok bezładnych słów wylewających się z moich ust. Wyprostował się i starannie wsunął krzesło pod stolik. Nagle delikatnie klasnął.

Nie rozumiałam, dlaczego to zrobił, ale cała zdrętwiałam. Po raz kolejny poczułam lodowaty dreszcz spływający mi po kręgosłupie. Nogi miałam jak z waty. Dłonie rozboleły mnie od ciągłego zaciskania na drewnianym oparciu.

Gdy usłyszałam stłumione szuranie, wszystko stało się jasne. Bezsilnie osunęłam się na podłogę i przysłoniłam twarz rękoma. Przez szpary między

palcami dostrzegłam mojego ukochanego Pilota. Przygarbiony, mocno wygięty i z podkurczonymi rękoma siedział na wózku inwalidzkim pchanym przez Hamida. Wyszli zza załomu muru odgradzającego pokój od klatki schodowej, lecz byłam pewna, że gdzieś obok znajdowało się ukryte pomieszczenie.

– Kochanie...

Każdy inny usłyszałby jedynie nieskładną mieszaninę charkotu oraz nosowego mruczenia, lecz ja potrafiłam zrozumieć Aleksego.

– Kochanie...

Opuściłam dłonie, a potem na niego spojrzałam. Na jego zdeformowaną, nasiąkniętą bólem sylwetkę i szaroblądą twarz z zapadniętymi policzkami, szpiczastym podbródkiem oraz cienkim nosem rozgradzającym wciąż pełne życia oczy. Oczy, w których skrywało się wszystko, czym dawniej był mój ukochany. Jego całe „ja”, wszelkie nadzieje, rozczarowania, radości i niepowodzenia zamknęły się w lśniących źrenicach.

– Ty, ty, to wszystko... – zająknęłam się.

Aleks skinął głową.

– Fydssiałm.

Ten zlepek dźwięków oznaczał, że Aleks wszystko widział. Wszystko – znaczyło naprawdę wszystko.

– Tyle mi zostało – odezwał się jakby wyraźniej, choć wiedziałam, że to jedynie moje płonne nadzieje. – Mogłem tylko patrzeć.

– Przepraszam... Jezu, tak bardzo przepraszam...

Poderwałam się, ale nagle świat zawirował. Widziałam, że Markiz błyskawicznie poruszył się, aby mnie podtrzymać. Widziałam pełne napięcia spojrzenie Aleksego i jego złość, że sam nie może nic zrobić.

Wstrzymałam powietrze w płucach i oparłam się o ścianę. Nie chciałam, by Michele mnie teraz dotykał. Pragnęłam tylko gładzić twarz mojego ukochanego, być przy nim, wynagrodzić mu wszystko to, na co musiał patrzeć, a jednocześnie czułam, że na to nie zasługuję, że nie mogę go dotknąć swoimi plugawymi dłońmi. Nie byłam godna jego miłości, jego słów, jego śmierci...

– Cieszyłem się... – Aleks przewrócił oczami, starając się chwycić oddech. Coraz częściej jego układ oddechowy na kilka sekund odmawiał współpracy, przez co się dusił. – Cieszyłem się, bo przez chwilę wydawałaś mi się szczęśliwa.

Moim ciałem wstrząsnął spazm płaczu.

– Nie, nie byłam szczęśliwa! – zaprzeczyłam nieco zbyt teatralnie. Dopadłam do wózka i chwyciłam chłodną, kościstą dłoń. Przyciągnęłam ją do swojego policzka. Opadłam na kolana, opierając brodę o skórzany podłokietnik. – Bez ciebie nigdy nie byłam szczęśliwa. Nigdy. Wiesz, że taki był plan, że to wszystko...

Odwrociłam się i zdałam sobie sprawę, że Hamid bezgłośnie ulotnił się z pomieszczenia. Michele stał obok okna, udając, że całą uwagę skupia na zawieszonym w rogu zegarze. Niebo znów zaszło chmurami. Widziałam

ciemnogrnatowe kłęby, które przesunęły się tuż za szybą, jakby były na wyciągnięcie dłoni. Przez szczelinę z jękiem przecisnął się wiatr. Pełna napięcia, przedburzowa aura zdawała się mieszać z atmosferą panującą w pokoju.

Nagle Michele drgnął. Przystąpił z nogi na nogę i założył dłonie za plecy.

– Operacja jest już zaplanowana – odezwał się beznamiętnym głosem. – Wszystko jest przygotowane i opłacone. Nie musicie się o nic martwić.

Kątem oka widziałam, że Aleks spuścił głowę. Chciałam coś powiedzieć, lecz Markiz odezwał się pierwszy.

– Jestem zaszczycony, że mogłem poznać ludzi, których połączyła prawdziwa miłość. To takie... niespotykane. Bałem się, że nagle bańka pryśnie i wszystko okaże się fałszem. Że może chodzić tylko o pieniądze. Ale... Co do pani... – Michele zwrócił się do mnie na „pani”, co mu się dawno nie zdarzyło – może się co do pani myliłem. Może popełniłem błąd. Jeżeli tak, najmocniej za to przepraszam. Zresztą powinienem iść... Lepiej będzie, jeśli zostawię was samych.

Wydawało mi się, że przy ostatnich słowach łamał mu się głos. Był zakłopotany naszą obecnością. Siła nagromadzonych emocji niczym podmuch bezgłośnej eksplozji wypychała go z tego pomieszczenia.

Nim zdążyliśmy się odezwać, Michele wyszedł z pokoju. Byłam pewna, że słyszę jego głośne westchnięcie. Potem szybkie kroki zadudniły na kamiennych stopniach.

Gdzieś w oddali spokój dnia rozciął grzmot.



Pilot

Blondynką, którą poznałem na imprezie, okazała się Lola. Czasem zwracałem się do niej Stew, ale z perspektywy czasu wiem, że nie powinienem był jej tak nazywać. Jednak naszym życiem nieustannie kieruje przypadek.

Wieczór przedłużał się, brzękały opróżniane kieliszki, a pomiędzy przekąsek wreszcie przebiła biel porcelany. W pewnym momencie poczułem się potwornie zmęczony. Przeprosiłem wszystkich i powiedziałem, że muszę odpisać na kilka maili. Co z tego, że już minęła dwudziesta druga. Człowiekowi na wózku inwalidzkim wybacza się odrobinę niewinnego fałszu.

Może rzeczywiście alkohol i papierosy były mi niepisane? Naprawdę czułem się parszywie. Zaczęły boleć mnie mięśnie, a skóra na piersi swędziała. Mimo to wypaliłem jeszcze jedną cygaretkę i popiłem ją rozcieńczoną whisky. Czekałem na Lolę, lecz tym razem do mnie nie dołączyła. Rozmawiała z Konstancją i z salonu słyszałem ich beztraskie śmiechy. Towarzystwo podzieliło się już na grupki, a alkohol wszystkim uderzył do głowy. Stałem się niepotrzebny.

Ukradkiem, jakby nie chcąc psuć gościom zabawy swoim widokiem, przemknąłem do pokoju Konstancji. Jediną osobą, która zdała się mnie zauważać, była Lola. Uśmiechała się, ale nic nie powiedziała. Delikatnie machnęła mi dłonią. Wydawała się skrzepowana, a jej policzki były nienaturalnie zaczerwienione. Nie miałem pojęcia, o czym rozmawiają z Konstancją, lecz nie była to jedna z tych całkowicie beztroskich, bezsensownych rozmów przy alkoholu. Wtedy nie interesowało mnie nic więcej. Miałem gdzieś, czy mówią o mnie.

Przymknąłem za sobą drzwi i na chwilę zatrzymałem się tuż za progiem. Przez rolety wpadało pomarańczowe światło latarni. Najintensywniej rozświetlało sufit, a ściany i podłoga pokoju tonęły w półmroku.

Przymknąłem oczy. Przez pięć albo dziesięć minut siedziałem całkowicie bez ruchu. Starłem się oddychać powoli i spokojnie. Rozluźniałem mięsień po mięśniu. Jednak ból nie ustępował. Dopilem do końca whisky i zapaliłem światło. Nagła jasność zakłuła mnie w oczy tak, że musiałem odwrócić wzrok. Popatrzyłem na łóżko, na którym było coś, czego nie powinno tam być.

Zamrugałem.

Zaciekawiony podjechałem bliżej i oparłem się na łokciach. W tamtym czasie nie sprawiało mi to jeszcze większego problemu. Równie dobrze mogłem sam przesiąść się z wózka na łóżko albo sedes. Powinienem bardziej doceniać te resztki sprytu.

Mimo to nie przesiadłem się na łóżko. Wychyliłem się i sięgnąłem po leżącą na nim teczkę. Przypominała jedną z tych, które niegdyś widziałem w biurku Konstancji. Nie była podpisana, ale miała ładną, czarną okładkę z czerwoną gumką oraz tłoczonym logo. Przypuszczam, że mogło to być logo jednej z firm jej ojca.

Dlaczego leżała na łóżku?

Dlaczego Konstancja tego wieczoru całkowicie mnie ignorowała?

Odciągnąłem gumkę i otworzyłem teczkę. Natychmiast poczułem nieprzyjemne ukłucie w sercu. Na wierzchu znajdowało się zdjęcie trzydziestokilkuletniego mężczyzny. Miał południową urodę, przenikliwe spojrzenie i delikatny, nieco zakłopotany uśmiech. Wyjąłem zdjęcie, po czym obróciłem je w dłoń. Nie było podpisane. Rzuciłem je na ziemię, po czym zerknąłem w głąb teczki. Upchnięto w niej kilka wydrukowanych maili, jeden odręczny list oraz trochę wycinków z gazet. Wszystkie dotyczące człowieka o krótkim tytule i długim nazwisku.

Markiz Michele Filippo di Sant'Angelo.

Maile pochodziły sprzed kilku miesięcy. Przeglądając je, czułem się jak intruz zagląający w cudze życie. Ale, do cholery, podglądałem przez dziurkę od klucza własną dziewczynę spiskującą z elegancikiem w garniturze. Poza tym to ona wyjęła klucz z zamka, kładąc teczkę na naszym łóżku.

Pierwsze wiadomości były bardzo formalne. Konstancja zwracała się do Michelego jak do szefa, choć była w tym nuta flirtu i subtelnych niedomówień. Z treści można było wywnioskować, że kilkakrotnie się spotykali. Mieli wspólne

tematy, a najważniejszym z nich były jakieś interesy ojca Konstancji. Lakoniczny styl utrudniał domyślenie się, o co w tym wszystkim chodzi. Poza tym zdawało się, że wśród wydruków brakuje istotnej części maili.

Czytałem te wiadomości jedynie pobieżnie. Jakbym w ten sposób mógł usprawiedliwić, że włamałem się do cudzego świata. Sądziłem, że w ferworze przygotowań do wieczoru Konstancja rzuciła teczkę na łóżko. Wcześniej przeglądała jej zawartość, a nagle uświadomiła sobie, że musi zrobić coś innego, zostawiła ją właśnie tutaj. Nie obawiając się, że ją przejrzę. Nie widząc w tych mailach nic złego.

Ostatni, datowany przed paroma dniami, był dla mnie całkowicie niezrozumiały. Konstancja zapewniała w nim Markiza, że za kilka tygodni zaaranżuje mu spotkanie z jakąś kobietą. Chciała wszystko odpowiednio przygotować i prosiła go o cierpliwość. Wtedy nie miałem pojęcia, że chodzi o Lolę. A przede wszystkim, że chodzi o mnie.

Konstancja postanowiła, że już nigdy nie będzie bierna. Miała dość swoich przeczuć i obaw. Postanowiła zrobić coś więcej niż czekać, aż jej wizje się spełnią. Zresztą ich spełnieniem zawsze był koniec. A ona nigdy nie potrafiła zacząć życia na nowo. Zdaje się, że z każdą śmiercią również jakaś jej część stawała się martwa. Stawała się bardziej ponura, nieco cyniczna, a przede wszystkim zagubiona. Być może dlatego Rudy ostatecznie porzucił pomysł porozmawiania z nią o tych doświadczeniach. Być może uznał, że niektóre odpowiedzi każą postawić jeszcze więcej pytań.

W pewnym momencie usłyszałem za sobą wymowne westchnięcie. Jak oparzony się odwróciłem i strąciłem z kolan teczkę. Papiery rozsypały się wokół wózka.

Konstancja stała oparta o framugę lekko otwartych drzwi. Patrzyła na mnie z uśmiechem kpiącej pogardy. Wtedy nie wiedziałem, jak bardzo jest on nieszczerzy. Jak doskonale maskuje drżenie ust osób bezgranicznie zakochanych.

– Lola wychodzi – oznajmiła oschle. – Myślałam, że zechcesz się z nią pożegnać.

Z korytarza dobiegł mnie śmiech i gwar rozmów. Przez ostatni kwadrans lub więcej zamknąłem się na wszelkie otaczające mnie bodźce. Głosy stały się jeszcze bardziej pijane, a muzyka odtwarzana na wieży głośniejsza. Nigdy wcześniej nie czułem się w tym mieszkaniu tak bardzo obco.

– Powiedz jej, że śpię – odparłem zakłopotany.

– Jak chcesz.

Konstancja fuknęła i chciała zamknąć drzwi.

– Czekał! – powstrzymałem ją w ostatniej chwili. – Już jadę.

Bezceremonialnie przejechałem po wydrukowanych mailach oraz wycinkach gazet. Skierowałem się na korytarz. Poprawiłem pulower, wyciągnąłem kołnierz koszuli i przygładziłem włosy. Nie wiedziałem, gdzie odstawiłem szklanke z whisky. Przydałaby mi się, aby ukryć drżenie dłoni.

Lola była już ubrana w futro, a przez ramię przerzuciła niewielką torebkę. Choć jeszcze nie wyszła na mróz, jej policzki były zaczerwienione. Wymieniła z Konstancją porozumiewawcze spojrzenie. Widziałem to aż nazbyt wyraźnie. Byłem niemal zupełnie trzeźwy.

Mimo to ze wszystkich stojących w korytarzu osób Lola wydała mi się wtedy jedyną, która naprawdę dostrzega moją obecność. Gdy mnie ujrzała, uśmiechnęła się i puściła mi oko. Schyliła się, po czym na odchodne pocałowała mnie w policzek. Poczułem od niej przyjemną kwiatową woń perfum.

Przez chwilę patrzyliśmy się sobie w oczy. Za moimi plecami goście toczyli nerwową dyskusję na jakiś banalny temat. Konstancja stała nieco z boku, przypatrując się nam uważnie. Lola pierwsza przerwała ten wydłużający się, krępujący moment.

– Już czas, już czas – powtórzyła dwa razy, jakby się bała, że ktoś jej nie usłyszy.

Machnęła na pożegnanie i wyszła na korytarz. Nim zamknęła drzwi, spojrzała na mnie raz jeszcze. Poczułem dojmujący chłód przeciągu, który przemknął przez mieszkanie, a potem nagle, gdy drzwi się zamknęły, również ten chłód odszedł w niepamięć.

Kolejnego dnia nie zamieniliśmy z Konstancją nawet słowa. Unikaliśmy się i uciekaliśmy od siebie spojrzeniami, jakby nagle przestało nas cokolwiek łączyć. Wciąż ją kochałem, ale jej chłód odpychał mnie, a niedomówienia szybko stały się wymownym przyczynkiem do kłótni. Ta jednak nie nadchodziła. Wciąż tolerowaliśmy się i milczeliśmy. Z dnia na dzień czułem się w mieszkaniu Konstancji coraz bardziej jak intruz.

Tamte odnalezione listy nie stały się momentem przejściowym. Już wcześniej byłem na równi pochyłej. Konstancja nie zostawiła mnie ani nie kazała mi się wynieść. Pchnęła mnie z rozmysłem ku Loli, bo któregoś dnia uznała, że nie tylko wyczuwa zapach śmierci, ale też daje śmierć. Poza tym może nigdy mnie nie kochała, a może kochała mnie aż za bardzo? Mogłem być tylko instrumentem, który miał pomóc jej sprawdzić, czy ma jakąś nadzwyczajną moc uzdrawiania. Ale mogłem być też jej najszczerszą, bezwarunkową miłością. Miłością, która każe zawsze przedkładać drugą osobę nad siebie.

Byłem zbyt głupi, żeby dostrzec łatwość, z jaką Konstancja aranżuje nasze spotkania z Lolą. Nie widziałem, jak stopniowo zbliżamy się do siebie, a lekkość wspólnych rozmów pozwala zapomnieć o ciężarze codzienności. Wreszcie Konstancja usunęła się całkowicie na bok. Pewnego wieczoru odbyliśmy we trójkę długą i rozczarowującą rozmowę. Między mną i Konstancją miało się wszystko wypalić. Tak bywa. Nie jest to jednak powodem do kłótni i wzajemnych żalów. Nie dla ludzi na poziomie. Choć chyba prawdziwym argumentem było to, że nie wypada kłócić się ani z kimś, ani nad kimś, komu pozostało niewiele życia.

W tamtych dniach byłem odurzony lekami i niepewny, co dzieje się naprawdę, a co w mojej głowie. Przeprowadziłem się do Loli. W zasadzie nie byliśmy parą.

W tym sensie, że nie skonsumowaliśmy naszego uczucia, o ile to rzeczywiście istniało tak, jak należy. To była moja wina. Choroba już ogarnęła te rejony, których niesprawność potęguje wstyd. Dlatego Konstancja robiła wszystko, aby dać mi do zrozumienia, że mnie zdradza. Chciała, żebym w to uwierzył i jeszcze mocniej ją znienawidził. Chciała, by znienawidził ją cały świat.

Gdy się przeprowadziłem, Lola właśnie kończyła kurs dla stewardes. Miała odbyć kilka lotów, a potem jakimś cudem dostać tyle urlopu, ile tylko będzie jej potrzeba. Przypuszczałem, że chodzi o ten krótki okres, który pozostał do mojej śmierci.

- Pędrak pobił motyla - zaszcebiotała Konstancja, gdy odwiedziła nas kilka dni po mojej przeprowadzce. Spojrzała przy tym na Lolę. Starła się uśmiechnąć, lecz w jej oczach widziałem jedynie ból. Po chwili jej uśmiech rozsypał się jak wieża z domina. Wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Wreszcie mogę odetchnąć - wyszeptła przez łzy. - My, wszystko, co było między nami, to... Było mega. Prawda? - Usilnie szukała we mnie aprobaty. - Ale nie pasowaliśmy do siebie. To zwykły błąd młodości. Powinniśmy być przyjaciółmi, ale nie parą. A teraz... A teraz...

Pociągnęła nosem. Mogła rozlać potok swoich słów, lecz znałem ją zbyt dobrze, by nie zauważyć, że coś ukrywa.



Stew

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Brakowało mi słów, myśli rwały się, a z oczu ciekły łzy. Co chwilę ocierałam je wierzchem dłoni. Wciąż byłam jedynie w majtkach i staniku. Ta częściowa nagość dziwnie mnie krępowała. I to przy człowieku, przy którym powinnam czuć się całkowicie swobodnie.

Tak naprawdę krępowała mnie myśl, że Aleks widział mnie nagą przy Markizie. Miałam ochotę okładać się pięściami po ciele, a potem oblać się wrzątkiem. Albo jeszcze lepiej – żrącym kwasem. Chciałam zniknąć.

A z drugiej strony...

Z drugiej strony niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak być teraz przy nim. Jak dotykać go i, spoglądając mu prosto w oczy, uśmiechać się. Choć niewiele rozumiałam z tego, co wydarzyło się przez ostatnie minuty, byłam szczęśliwa. Ale szczęście co chwilę przeplatało się ze wstydem i przerażeniem, że...

Nie. O tym nie mogłam myśleć.

Całowałam drżącą dłoń Aleksego. Całowałam jego nadgarstki i palce przypominające obleczone całunem cienkie pątyki.

Byłam pijana z euforii.

– Operacja, operacja... – szeptałam co chwilę. – Udało się nam. Ty cholerny gnoju, udało się nam!

Aleks ciężko oddychał, ale też się uśmiechał. Doskonale rozumiał wszystkie pytania, które krążyły mi w głowie, bo sam z siebie zaczął na nie odpowiadać.

– Nic się nie stało, niech nie będzie ci źle – wymamrotał. – Żadnych wyrzutów sumienia. To rozkaz. – Przerwał i bezsilnie odkaslnął. – Michele skontaktował się ze mną już wiele dni temu... Chyba od razu się wszystkiego domyślił. Zresztą to nieistotne. Ucieszyłem się, że tak wyszło, i było mi źle, że... Że mogliśmy skrzywdzić tak wspaniałego człowieka.

Puściłam dłoń Aleksego i zacisnęłam pięści.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał ostro. – Skoro Markiz zaferował ci forszę, dlaczego dalej w to brnąłeś...

Aleks poruszył szyją. Gdyby był zdrowy, zapewne wzruszyłby ramionami.

– Bo ty robiłaś to samo.

– Ja robiłam to samo? Tylko, kurwa, jest jedna różnica. Nie miałam pojęcia o tym, że Michele wszystko wie. Że dogadaliście się za moimi plecami. Robiłam z siebie idiotkę, a ty...

– A ja, co?

Wybuchnęłam płaczem i pokręciłam głową. Po chwili przygryzłam usta. Pociągnęłam nosem, starając się opanować. Podświadomie wiedziałam, do czego zmierza ta rozmowa. Aleks głośno przełknął ślinę. W kąciку jego ust zebrała się biała piana. Kilka kropli znaczyło niebieską koszulę z krótkimi rękawami. Te odsłaniały wątle, kościste przedramiona z nędną pozostałością po bicepsach. Wyraźnie widać było kości, a skóra opinała staw łokciowy Aleksa tak mocno, że można by przez nią pokazywać studentom medycyny każde ścięgno i chrząstkę.

Otarłam dłonią jego kąciк ust. Widziałam, że żywe oczy pilnie obserwują moje ruchy. Wzrok Aleksa wędrował po moich piersiach i w dół. Gdy z powrotem kucnęłam przy wózku, cichutko odchrząknął.

- Naprawdę nic do niego nie czujesz? - zapytał, starając się mówić jak najwyraźniej. - Nic a nic? Wydawało mi się, przez moment, może przez bardzo krótki, ale jednak, że jesteś szczęśliwa. Pamiętam cię taką. Pamiętam to rozluźnienie, zaczerwienione policzki, drżące kąciки ust... Pamiętam je.

Aleks chciał powiedzieć coś jeszcze, ale znowu zabrakło mu tchu. Poruszył głową jak żółw wychylający się ze skorupy. Udałam, że tego nie widzę.

- Nadal jestem taka przy tobie.

- O nie, nie... - zaprzeczył, gdy znów uchwycił oddech. - Przy mnie jesteś cały czas napięta i zmartwiona. Tak jak teraz. Chcesz udawać, że wszystko jest w porządku. Chcesz udawać, że możemy być szczęśliwi.

- Nie chcę udawać. Wszystko będzie w porządku, gdy tylko zostaniesz zoperowany.

- Wierzysz w to?

Po raz pierwszy Aleks zadał to pytanie. Od dawna kłębiło się w mojej głowie, ale nigdy nie dopuszczałam go do głosu. Nigdy nie starałam się na nie odpowiedzieć. Zdobycie pieniędzy na operację było dość abstrakcyjne, by nie zastanawiać się nad tym, co będzie później.

- Jestem tego pewna - odezwałam się, ale chyba nie dość przekonana, bo Aleks jedynie smętnie skinął głową. - Jestem pewna. I nawet nie próbuj mi mówić, że ty nie. Wszystko będzie w porządku. Za miesiąc lub dwa wrócisz do pełnej formy i... I...

- Wybierzemy się w kolejną podróż?

- Tak. Właśnie tak.

- Myślisz, że Konstancję mogło zawieść przecucie?

- Myślę, że z przeznaczeniem można walczyć.

- To tak, jakby walczyć z Bogiem. Nie ma się żadnych szans. Chyba że przeznaczone nam było... wyobrażenie o tym, że wygrywamy z przeznaczeniem. Inaczej...

Aleks znowu stracił dech. Nigdy wcześniej nie zdarzało mu się to tak często. Jego oczy zaszkły mgłą, a usta zadrżały. Spojrzał na mnie zrozpaczony i oszołomiony. Po raz pierwszy w jego oczach dostrzegłam rezygnację. I to teraz, gdy powinien mieć

wreszcie nadzieję. Do tej pory sam mi powtarzał, że wszystko będzie w porządku. Jego spokój pozwalał mi nie załamać się i też w to uwierzyć. A teraz jakby cała ta zmyślna konstrukcja ułud i pobożnych życzeń zaczęła się chwiać.

Patrzyłam na jego blednące usta. Poruszały się, starając uchwycić nieco powietrza. Uniesiona grdyka zastygła w bezruchu.

– Aleks... Co ty...

Poderwałam się i chwyciłam go za podbródek. Jego oczy nabiegły krwią, a twarz jeszcze mocniej posiniała. W blasku błyskawicy wydawała się mlecznobiała. Sucha, cienka skóra sprawiała wrażenie, jakby wykonano ją z kruchej masy. Jakby zaraz miała rozpaść się na tysiące kawałków.

Odchyliłam głowę Aleksiego tak, jak pokazywał lekarz. Drugą dłonią popchnęłam go, nieco pochylając mu tułów. Byłam przerażona. To nie mogło się tak skończyć.

Nie teraz, gdy sama zaczęłam wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

Chciałam krzyknąć, wzywając pomocy, ale w tym samym momencie Aleks, rżąc, wciągnął powietrze. Szybko i z trudem. Łapał krótkie oddechy, jakby chciał w pełni wykorzystać chwilę, gdy może oddychać. Zachłystywał się powietrzem. Charczał, a jego splecione na udach dłonie drżały.

– Nie przejmuj się – wysapał wreszcie. – To ostatnio normalne. Potem będzie lepiej, ale za kilka godzin duszności znów wrócą.

– Po operacji całkiem o nich zapomnisz.

– Może...

– Może?! – Zdenerwował mnie jego zrezygnowany, pusty ton. – Modliliśmy się o to, a ty gadasz, jakbyś miał teraz wszystko w dupie!

– Nie... Nie mam – zaprotestował. Poruszył dłonią, jakby chciał uchwycić moją dłoń. Dotknęłam go i pogładziłam po przedramieniu. – Cieszę się, że mogłabyś być szczęśliwa beze mnie. Nie myśl, że tylko tak gadam. Naprawdę. Cieszysz mnie to i to...

– Zamknij się! – warknęłam. – O czym ty pleciesz?! Wiesz, że wszystko robiłam tak, jak to zaplanowaliśmy. Nie inaczej. – Potrząsnęłam telefonem. – Widzisz to? Potrzebowaliśmy pieprzonego nagrania. Przynajmniej tak mi się wydawało, a ty dogadałeś wszystko za moimi plecami! To absurd. Rozumiesz?

– Plan już dawno trafił szlag.

– Zamknij się – powtórzyłam.

Nie dopuszczałam do siebie myśli, która krążyła gdzieś z tyłu mojej głowy. Myśli, że wszystko było tak starannie zaplanowane, a jednak... Nie przewidzieliśmy miejsca na błąd. Miało się nic nie pogmatwać.

Tyle że teraz czułam coś i do Aleksiego, i do Michelego. Choćby w drugim przypadku nie była to miłość, nasz plan całkowicie tego nie przewidywał. Osiągnęliśmy cel, ale po drodze zatracił się sens.



Pilot

W korespondencji Konstancji oraz Markiza nie było niczego, co mogłoby mnie urazić. Jednak preteksty zazwyczaj nie potrzebują solidnych podstaw. Wystarczy im najdelikatniejsze rusztowanie, krzywe spojrzenie i lodowaty uśmiech.

Ojciec Konstancji przez lata prowadził z Michele di Sant'Angelo wspólne interesy. Oczywiście był tylko jednym z trybików w potężnej biznesowej maszynie Markiza, ale za to wyjątkowo przez niego szanowanym. Po śmierci ojca Konstancji okazało się, że szacunek w świecie pieniędzy niewiele znaczy. Część firm została zlikwidowana, inne przekształcono, lecz tak, by umiejętnie wyprowadzić z nich majątek. Wtedy Konstancja odkryła, że poza skromnymi oszczędnościami nie ma grosza przy duszy. Spadek po jej ojcu zajęli wierzyciele. Pieniądze rozplynęły się, pozostawiając po sobie jedynie mdły posmak spokoju. Okazało się, że nawet mieszkanie miało hipotekę, a bank wymagał zapłaty kolejnych rat.

Konstancja pisała do Markiza listy, bo podejrzewała, że ma on związek ze śmiercią jej ojca. Nie chciała uwierzyć, że ten mógł odejść tak niespodziewanie. Mimo że śmierć otaczała ją od lat, w tej jednej chciała odnaleźć głębszy sens. Być może wtedy zwyczajnie zdziwiała, a może rzeczywiście nie wierzyłem, że ma jakiś szczególny dar. W każdym razie wyznała Loli, że między linijkami maili nie wyczuła. Nie nawiedziła jej żadna niezwykła wizja.

Wtedy też dowiedziała się o tym, że istnieje dla mnie nadzieja. Nowatorska terapia, która miała nikłą szansę powodzenia. Nikła szansa była czymś znacznie przyjemniejszym niż notoryczne czekanie na śmierć. Dzieliło mnie od niej kilkaset tysięcy dolarów. Mniej więcej tyle samo wynosiły długi pozostawione przez jej ojca.

Nie miałem pojęcia, że Konstancja i Lola zorganizowały zbiórkę pieniędzy. Media społecznościowe, specjalne portale, stały nawet listy do ministerstwa. Udało się zbierać nieco ponad jedną czwartą potrzebnej kwoty. W przypadku podobnych akcji, jeżeli nie zbiera się całej sumy, reszta bezpowrotnie przepada. Zostaje zwrócona darczyńcom. Na odpisy z podatków oraz działalność fundacji nie mogliśmy czekać. Wyrok śmierci stawał się coraz bardziej nieuchronny.

Czas uciekał.

Umierałem każdego dnia.

Jak wszyscy, tylko nieco szybciej niż większość.

Gdy po powrocie z jednego z lotów Konstancja zobaczyła mnie na wózku, kompletnie się załamała. Zdaje się, że choć ja jeszcze starałem się walczyć, ona już się poddała. Obarczała się winą. Robiła sobie najgorsze wyrzuty, których w żaden sposób nie mogła usprawiedliwić. To mniej więcej wtedy Markiz zagadnął ją o Lolę.

Przez przypadek siedział obok niej podczas lotu do Londynu i wpadła mu w oko. Choć Michele miał opinię bawidamka, Konstancja wiedziała, że starannie dobiera cele. I że nigdy nie zostawia ich z niczym.

A choć krążyły plotki o znikających kochankach Markiza... To nie miało znaczenia. Zaaranżowała moje spotkanie z Lolą, by potem z pełnym rozmysłem pchnąć nas ku sobie. Nigdy nie była tak szczęśliwa jak w momencie, gdy zobaczyła, że coś zaczyna nas łączyć. I jednocześnie nigdy nie była tak samotna. Kochała mnie i robiła wszystko, bym ją znienawidził. Uznała się za osobę toksyczną. Życie z Lolą miało zapewnić mi szczęście. Lola miała owinąć sobie wokół palca Markiza, a potem wymusić na nim forsę na operację. Być może to właśnie o tym rozmawiały wtedy na imprezie. Gdy kilka dni po przeprowadzce usłyszałem ten plan, wpadłem w szał. Łatwo sobie wyobrazić szał paralityka, który niezrozumiale mamrocze i wierzga na wózku inwalidzkim.

Nawet w tym byłem żałosny.

A potem zdałem sobie sprawę, że cholernie boję się śmierci. Moja relacja z Lolą oparta była na przyjaźni zabarwionej niemożliwym do spełnienia erotyzmem. A te wszystkie podróże? Zaraz o nich opowiem. Szczęśliwie zdążyliśmy i na nie.

– A gdybym musiała się z nim przespać? – zapytała Lola któregoś wieczoru. Wiatr wciskał w okna strugi deszczu i na dworze zrobiło się całkiem ciemno.

Spojrzała na mnie z wyzwaniem.

– Boże, nawet nie wiem, co nas łączy. To stało się tak nagle, że chyba nie zdążyłam jeszcze tego przetrwać. Nie, nie patrz tak. Nie mam wątpliwości. Marzę o tym, żeby wszystko było w porządku, żeby się nam udało, i jednocześnie boję się tego. Co wtedy będzie, Pilocie? Co się stanie? Spróbujesz wrócić do Konstancji? Powiedz mi całkiem szczerze.

– Ona się mną znudziła – powiedziałem, bo naprawdę byłem o tym przekonany. – Kobiety takie jak ona nudzą się zepsutymi zabawkami.

Przez twarz Loli przemknął dziwny grymas. Wtedy po prostu nie mogłem go zrozumieć. Gdybym o wszystkim wiedział, w życiu bym się na to nie zgodził. Lola nie dała się nabrać Konstancji. Nie uwierzyła w jej grę i przejrzała jej szalony plan złożenia własnej miłości na stosie. A jednak pozwoliła sobą manipulować. Już taki miała charakter. I być może między innymi właśnie za to ją pokochałem. Nie dopuszczałem myśli, że robi to tylko przez współczucie. Że cierpi na jakiś horrendalny syndrom Mesjasza. Pragnęła wybawić siebie, mnie, a może i cały świat. To piękne, ale naiwne.

Sądzę, że gdybyśmy wszyscy usiedli i się nad tym zastanowili, wymyślilibyśmy coś lepszego. Wspólnymi siłami dochodzi się do najlepszych rozwiązań. Jednak Konstancja wiedziała, że choć boję się śmierci, jestem zbyt dumny, by za płocze nadzieje poświęcić własne uczucie. Byłem też zbyt zapatrzony w siebie, by zrozumieć, z jaką łatwością gasi naszą miłość.

Moją miłość.

W imię mojego życia.

Lola rozszczełniła okno i pokój wypełnił zapach jesieni. Miarowy szum deszczu zawsze mnie uspokajał. Tym razem jednak skierował moje myśli ku umieraniu. W kontemplacji śmierci niezmiennie kryje się egoizm.

- Zrób, co uznasz za słuszne - odezwałem się wreszcie. - Przecież go nie pokochasz. Ale ja nigdy nie mógłbym cię namawiać, żebyś mu wlazła do łóżka. Nie powiem ci, kiedy masz powiedzieć stop.

To były chytre słowa i doskonale sobie z tego zdawałem sprawę. Wtedy byłem przekonany, że po Konstancji nikogo nie mógłbym już w pełni pokochać. Myliłem się.

Lola potrzęsnęła głową.

- Nie chodzi o mnie - stwierdziła i nerwowo przygryzła wargę. - Chodzi o to, czy będziesz mi potrafił wybaczyć. Nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

Odparłem niemal natychmiast. Nie wiem, czy miałem już przygotowaną odpowiedź, czy pojawiła się wtedy całkiem spontanicznie.

- Nie będzie czego. Martwi nie mają nawet okazji wybaczać. Pamiętam o tym każdego dnia.



Stew

Przebrałam dłonią w pustce i poczułam, że spadam. Wypadłam z luku bagażowego samolotu lub z okna na trzydziestym piątym piętrze luksusowego hotelu położonego pośrodku niczego. Dla wypadającego początek podróży nie ma znaczenia. Koniec jest już mu z góry znany.

Ocknęłam się z tłukącym sercem i tą zabawną sentencją kołaczącą się w głowie. Przez chwilę leżałam z zamkniętymi oczami. Albo otworzyłam je, lecz pozostawałam całkowicie nieświadoma własnego ciała, miejsca, w którym się znajduję, i tego, co wydarzyło się, zanim zasnęłam. Moja przeszłość i przyszłość ograniczały się do tego charakterystycznego uczucia spadania. Uczucia, które dla wielu osób jest na tyle przyjemne, że na drogach znają wszelkie dołki, na których ich auta podskakują. Przed najechaniem przyśpieszają, by znaleźć się potem przez jak najdłuższy moment w stanie przypominającym nieważkość. Ja nigdy tego nie lubiłam. Żołądek wywracał mi się, a jego treść podchodziła do gardła. Miałam wrażenie, że flaki przestawiają mi się w brzuchu.

Może dlatego nigdy nie skoczyłam ze spadochronem.

Mimo że wielokrotnie miałam okazję, nie wyobrażałam sobie, bym z własnej woli mogła stracić grunt pod nogami. Ludzie, którzy to robili, byli szaleni lub głupi.

Zamrugałam.

Powoli powracałam do rzeczywistości, odzyskując poczucie własnego ciała. Leżałam na wznak na sporym łóżku, pod głową miałam zwiniętą poduszkę, a moja prawa dłoń wystawała poza obręb materaca. To przez takie szczegóły i zmiany pozycji można wywołać efekt spadania. Przynajmniej gdzieś o tym czytałam.

Kolejny pokój hotelowy.

Gdzie dzisiaj lecę? A może mam dzień wolny?

Obróciłam głowę i gwałtownie się poderwałam. Ktoś leżał obok mnie. W przesączającym się przez okiennice porannym świetle widziałam zarys czyjejs sylwetki.

To...

Momentalnie wszystko sobie przypomniałam. Wspomnienia zeszłego dnia ożyły we mnie na nowo. Stałam się kobietą z przeszłością i wyobrażeniem o przyszłości. Bez pamięci i bez wspomnień jesteśmy tylko kupą ścięgien, mięśni i kości. Prochem i pyłem. Tak, już dawno o tym myślałam.

Popatrzyłam na spokojną, łagodną twarz Aleksego. Kiedy spał, wydawał się odprężony. Mimo to choroba nie pozwalała o sobie zapomnieć. Cienki nos, zapadnięte policzki, niezdrowa, blada skóra. Przynajmniej oddychał równomiernie i głęboko.

Pogładziłam go po policzku. Ponoć kiedyś, aby być choć nieco gładszy od papieru ściernego, musiał golić się dwa razy dziennie, a teraz nawet po kilku dniach bez dotykania żyłki z trudem wyczuwałam chropowatość zarostu. Jego gęste na zdjęciach sprzed lat włosy również się przerzedziły. Odrzucone do tyłu odsłaniały powiększające się zakola.

Położyłam się na boku i pocałowałam go w podbródek. Powoli wypuścił powietrze i wtedy otworzył oczy. Przez moment wydawał się kompletnie zdezorientowany. Wodził wzrokiem po pomalowanych na zielono ścianach. Kontrastowała z nimi biel sztukaterii oraz ciepły, mahoniowy kolor niewielu mebli. Markiz umieścił nas w niedużej sypialni znajdującej się w łączniku pomiędzy wieżą a basztą.

– Cześć, kochanie – odezwałam się łagodnie. – Dla ciebie też to wszystko wydaje się snem?

Aleks przełknął ślinę i utkwiał we mnie odprężone spojrzenie. Chciał się obrócić, jakby zapomniał, że sparaliżowane mięśnie mu na to nie pozwolą. Moment zapomnienia nie trwał długo. W ułamku sekundy jego twarz napięła się. Zacisnął usta i żałośnie westchnął.

– Pomóc ci?

Pokręcił głową. Ze zręcznością muchy, której wyrwano skrzydła, przesunął się w górę łóżka. Stękał przy tym i sapał. Pomagał sobie łokciami. Wyginał dłonie, chwytając w zdeformowane palce pościel. Jego czoło zrosiły krople potu, a na policzkach pojawiły się bordowe wypieki. Wreszcie opadł na plecy i tylną w moją stronę.

- Kiepsko mi idzie, co? - zapytał. - Ale ciągle utrzymuję formę.

- Może jest nawet nieco lepiej niż ostatnio. - Obróciłam się na bok i położyłam dłoń na kościstej piersi Aleksiego. - Wydajesz się mniej zmęczony.

Uśmiechnął się krzywo. Tak samo jak ja wiedział, że to nieprawda. Że jedynie kontynuujemy grę pozorów, która na jawie miała zastępować nam sen. Kiedyś ujął to właśnie w ten sposób. Podobno czasem choroby pobudzają wzniosłe myśli.

- Jestem potwornie zmęczony - odezwał się po chwili. - Bardziej niż górnik po całodobowej szychcie. Nawet tuż po przebudzeniu nie mam siły podnosić powiek.

- Przestań.

Aleks spojrzał na mnie pytająco.

- Miałam ci powiedzieć, kiedy zaczniesz marudzić. Miałam ci o tym powiedzieć, a przy okazji...

- Tak, wiem. Prosiłem cię, żebyś mnie wtedy solidnie opieprzyła.

Z powrotem obrócił głowę i spojrzał w sufit. Przymknął oczy. Światło rozszczało się przez szpary w okiennicach i rzucało na jego twarz jasne pasy. Nie wiedziałam, która godzina, ale musiał wstać piękny dzień.

A może już zbliżało się południe?

Od dawna marzyłam, aby beztrudnie przespać cały dzień. Lub całe życie. Gdybym tylko mogła śnić o Aleksym...

- Przepraszam - wyszeptał. - Wiem, że masz mnie już dość.

- Dalej marudzisz.

- Nie, nie... - Przełknął ślinę i z trudem przesunął się o kilka centymetrów. Spuścił wzrok. Na jego twarzy pojawił się wyraz zażenowania. - Ale tam... - Poruszył głowę w niewiadomym kierunku - jest chyba pełno.

Miał na myśli pampers. Nie przechodziło mu przez gardło wymówić to słowo. Jakby zamykało się w nim całe jego kalectwo.

- Już go wymieniam. A potem umyjemy się i coś przekąsimy. Tylko nie dużo, bo jutro musisz być na czczo. Jutro nasz wielki dzień.

- Mhm.

- Ej, pokrako! Skończ z tym zwieszonym nosem.

Podrapałam go po przerzedzonych włosach na piersi. Przez chwilę zupełnie na to nie reagował. Uśmiechnął się niewyraźnie dopiero, gdy kątem oka zobaczył, że przesuвам dłoń. Zamarłam. Lekarze mówili o postępującym paraliżu i braku czucia. Ostrzegali, że bez operacji to nieuchronne. Nie chciałam im wierzyć i wmawiałam sobie, że postęp choroby w końcu się sam zatrzyma.

Dłoń zaczęła mi drżeć, więc zacisnęłam ją w pięść. To nią zaczęłam wodzić po piersi Aleksa.

- Czujesz mój dotyk?

Nie odpowiedział.

- Czujesz go? Prawda? - indagowałam. - Powiedz mi, do cholery, czy czujesz, jak cię dotykam?

Aleks wciąż się uśmiechał. Jednak z jego oczu ciekły łzy. Gdy zmieniałam mu pampersa, wciąż patrzył w sufit. Nie chciałam dopuścić myśli, że gdzieś tam, w górze, jego umysł znajdował ukojenie.



Pilot

Niczego nie czułem. Dłoń Loli gładziła czyjaś pierś, ale nie była to MOJA pierś. I nic nie mogło tego zmienić.

Zastanawiałem się, czy gdyby przeprowadzono teraz na mnie operację, rozcięto mi skórę, a następnie żebro po żebrze, czy też bym niczego nie czuł. Może mógłbym stać się jakimś cyrkowym dziwolągiem, na którym przeprowadza się operacje na żywca? Ludzie przychodziliby i pokazywali mnie dzieciom, mówiąc: „Spójrz, ten facet nie czuje bólu”. Byłbym jeszcze lepszy niż derwisze albo ci inni pakistańscy skurwiele, którzy chodzą po rozżarzonych węglach. Tyle że do cyrku trzeba by dowieźć mnie na wózku inwalidzkim. Bywa.

Pomyślałem nawet o numerze kluczowym. O tym *crème de la crème* całego show. Oto wrywane jest moje serce, a ja wciąż uśmiecham się, jakby nic się nie stało. Ludzie gwizdzą i klaszczą. Ktoś bije brawo. A ja powoli umieram, nie czując ani miłości, ani żalu, ani nienawiści. Kompletnie pusty w środku.

– Jestem żałosny – wyszeptalem.

Lola zatrzymała dłoń i spojrzała na mnie poważnie.

– Co ty opowiadasz?

Jestem żałosnym, pokracznym wrzodem na dupie, który zasługuje tylko na śmierć.

Pomyślałem o tym, ale nie powiedziałem tego na głos. Zamiast tego poruszyłem całkiem inny temat.

– Podobały mi się nasze podróże. Nigdy nie bawiłem się lepiej. – Odwróciłem głowę i się uśmiechnąłem. – Dziękuję.

– Za co?

Za to, że towarzyszysz mi w umieraniu – pomyślałem. Zamiast tego uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

– Za to, że przy tobie spełniają się moje marzenia.

Lola machnęła ręką. Widziałem, że z trudem powstrzymuje płacz. Podstawiła mi pod usta szklanekę ze świeżo wyciskany sok pomarańczowy.

– Nie gadaj. Pij. Tylko małymi łydkami, żebyś się nie zachłysnęła.

– Dobrze, mamo.

Pociągnąłem kilka łyków i oczywiście się zadławiłem. Lola klepnęła mnie w kark. Chwilę zajęło, zanim złapałem oddech. Byłem cały czerwony, czoło zrosił

mi pot, a na bluzce Loli były plamy soku.

- Przepraszam. Cholera, naprawdę jestem do dupy.
- Tylko wtedy, kiedy się śpieszysz. Mówiłam, żebyś pił powoli.
- Nie chcę, żebyś traciła przy mnie czas.

Popatrzyłem na nią filuternie, a ona szturchnęła mnie w ramię. Prawdę mówiąc, też niewiele poczułem. Przez ostatnie dni sporo trudu kosztowało mnie, by moje bicepsy choćby zdrząły. O ruchu dłoni nie było mowy. Palce stanowiły już całkowicie obce ciało. Byłem świadomy istnienia łokci, lecz ich zgięcie nie wchodziło w grę. Mogłem się chociaż nimi odpychać i pełzać jak pająk.

Ogólnie mój stan przedstawiał się znacznie gorzej niż żałośnie. Kiedy Lola wylatywała, musiały się mną zajmować dwie opiekunki. Po każdej zmianie wychodziły złe i wymordowane. Widząc ich męczarnie, ale męczarnie, za które się im płaciło, cieszyłem się, że Lola może zniknąć ode mnie na kilka dni. Nigdy nie traktowałem tego jako ucieczki. Wiem, że czasem myślała, że tak uważam, i miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Niedawno chciała rzucić pracę, by całkowicie się mną zająć.

Do kiedy? - zapytałem tamtego dnia. - Aż nam wystarczy pieniędzy czy aż umrę?

Jeszcze raz napiłem się soku z podstawionej szklanki. Tym razem uważałem, aby się nie zachłysnąć. Następnie Lola sięgnęła po przyniesioną przez Hamida elegancką porcelanową czarkę z wzorem cebulowym. Wypełniał ją ciemnobrązowy kleik. Wołałem nie pytać, co to jest.

Lola wbiła w niego łyżkę i powąchała. Uśmiechnęła się.

- Będzie ci smakowało. - Podsunęła mi łyżkę pod nos, ale nic nie czułem. Z moim węchem było niewiele lepiej niż z palcami. A niewiele lepiej niż całkiem do dupy to nadal, po prostu, do dupy.

- Co to? - zapytałem, żeby odwlec moment, aż papka trafi do moich ust. Właściwie było mi wszystko jedno, ale pragnąłem, aby Lola została przy mnie. Nienawidziłem się za ten ukrywany egoizm.

- Zdaje się, że przecier z daktyli. Chyba dodano do niego miodu. Spróbuj.

Posłusznie oblizałem łyżeczkę. Raz, drugi, piąty, wreszcie czarka została opróżniona, a w oczach Loli dostrzegłem zadowolenie. Przynajmniej nie marudziłem.

Jednak przez cały ten czas czułem się podle. Zasnąłem dopiero nad ranem, a w nocy miałem mnóstwo okazji do przemyśleń. Znacnie to uczucie, gdy dajecie menelowi złotówkę? W myślach chwalcie się wtedy za wspańałomyślność. Ale tak naprawdę w głębi duszy wiecie, że zrobiliście to tylko dlatego, że w przeciwnym razie gnębiłaby was myśl o tym, że wróci do was zła karma. Że nie robiąc dobrego uczynku, narażacie się na pecha.

Naprawdę to jest wasza prawdziwa motywacja, choćbyście się okłamywali. Tak samo ja okłamywałem sam siebie, wmawiając sobie, że pragnę szczęścia Loli

u boku Michelego. Okłamywałem siebie, utrzymując, że największą przyjemność sprawiało mi jej szczęście. Jej bez troska, gdy się z nim całowała. Gdy pieprzyła się z nim na jachcie.

Nie mam pojęcia, dlaczego chciałem patrzeć na ich igraszki w wieży. Rozmawiałem o tym wcześniej z Michelelem i zdaje się, że on też nie miał o tym pojęcia. Mimo to naprawdę był porządnym człowiekiem. Prawda jest taka, że chciałem, by Lola się z nim zabawiła tylko z jednego powodu. Wierzyłem, że jeśli ja zrobię dobry uczynek i nie postąpię samolubnie, los uśmiechnie się do mnie. Miała to być moja karta przetargowa dla Boga w trakcie operacji.

Miałem Mu powiedzieć: „Ej, byłem tak w porządku, że cieszyło mnie nawet, że moja ukochana pieprzy się z innym. Skoro ja nie mogłem tego z nią robić, niech korzysta. Niech się bawi. Niech hamowałem jej szczęścia. Taki ze mnie kławy gość. Teraz tylko proszę, niech ta cholerna operacja się już powiedzie. Coś mi się należy od życia, prawda?”

Zasłużyłem na to?

Na nic nie zasłużyłem. Byłem żałosny i egoistyczny. Musiałem to w końcu przyznać przynajmniej przed samym sobą.

Przymknąłem oczy, bo Lola ocierała mi wilgotną chusteczką czoło. Odsunęła się, otarła mi jeszcze raz usta i pocałowała mnie w podbródek. Była wesoła. Żyła już tylko nadzieją i ślepo wierzyła, że los okaże się przychylny.

– Przepraszam... – wyszeptalem.

Spojrzała na mnie i odłożyła chusteczki na bok. Zmarszczyła czoło.

– Nie chcę tej operacji – powiedziałem, spuszczać wzrok. – Nie zgadzam się na nią. Chcę umrzeć w spokoju. A wcześniej ze wszystkimi zdążyć się pożegnać.



Stew

Słowa Aleksego wprawiły mnie w furję. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Zdawało mi się, że mamrocząc, pogubił najistotniejsze słowa. Albo że ich nie dosłyszałam.

– Co ty pieprzysz? Jak to nie chcesz operacji?! Po tym wszystkim, co zrobiłam?

„To wszystko” było okrutnym eufemizmem, ale przypomniało mi o Michele. Nie czułam już odrazy do samej siebie ani do niego. Czułam jedynie złość na Aleksego.

– Myślisz teraz o sobie? – zapytał, obracając twarz w moim kierunku. – Bardzo dobrze. Tak właśnie powinnaś.

– To ty wieszcznie myślisz o sobie! – Nie miałam kontroli nad swoimi słowami ani ruchami. Zaczęłam się wściekle trząść. Niewiele brakowało, a uderzyłabym Aleksego w twarz. – Ciągłe tylko zadręczasz siebie i wszystkich w swoim

otoczeniu. Myślisz, że przez chorobę wolno ci więcej. Że cały świat ma wokół ciebie skakać i ci współczuć. Nie wiesz, czego chcesz!

- Wiem - odezwał się hardo. - Chcę umrzeć. Miałem dość czasu na przemyślenia.

- Znowu to samo! Znowu mam cię błagać. Prosić, żebyś pomyślał o nas, a nie o sobie. Dodawać ci siłę i pieprzyć, że wszystko będzie dobrze! Poza tym...

Urwałam przerażona wydźwiękiem własnych słów. Wcale nie chciałam tego powiedzieć. Nie to miałam na myśli. Aleks nawet na mnie nie patrzył. Miał półprzymknięte oczy i ciężko oddychał.

- Ja, ja... - załkałam.

Odwrocił się w moją stronę i delikatnie pokręcił głową.

- Już postanowiłem - stwierdził z nadwyzwyczajną dla swojego stanu energią. - I myśl, co chcesz, ale chcę umrzeć, bo cię kocham. Bo nie chcę, żebyś się dłużej męczyła. Żebyś traciła życie na puste nadzieje.

- To nie są puste nadzieje. Poza tym wcześniej postanowiłeś coś całkiem innego. Pamiętasz? - Chwyciłam go za dłoń i nią potrząsnęłam. Była całkowicie bezwładna. - Pamiętasz, do kurwy nędzy, o naszym planie? O tym, że wszystko się powiedzie?

Aleks powoli wypuścił powietrze.

- Jest mniej niż trzydzieści procent szans na sukces operacji. Ponad siedemdziesiąt, że będzie gorzej.

- Co z tego? Do tej pory mieliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że w ogóle nie trafisz na stół operacyjny! Ale się udało.

- I zobaczyłem przy tym, że możesz być szczęśliwa. - Otworzył oczy i spojrzał na mnie. Jego wzrok był czuły, a blade wargi drgnęły w przelotnym uśmiechu. - Byłem ostatnim sukinsynem, zgadzając się na to wszystko. A jednocześnie dzięki temu wiem, że jestem dla ciebie jedynie wyrzutem sumienia.

Zadrżałam. Łzy ciekły mi z oczu niekontrolowanym strumieniem. W gardle czułam gulę, która odbierała mi dech.

- Jak możesz... - wycedziłam.

- Kochanie, uwierz, że miałem więcej czasu od ciebie, żeby to przemyśleć.

- Zamknij się. Nie mów już ani słowa więcej.

Aleks delikatnie poruszył skostniałymi palcami. Zacisnął szczękę i ciężko sapał. Wiedziałam, że chciał mnie dotknąć, lecz nie miał na to siły. Mimo wściekłości położyłam dłoń na jego dłoni.

- Bez operacji niedługo nie będę mógł już nawet mówić - wyszeptał, artykułując kolejne słowa.

- Ale operacja się uda! Pójdiesz na nią i...

Aleks nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Ciągnął, jakby od dawna miał ułożone przemówienie, które musiał mi jedynie wygłosić.

- Jeżeli nie będę mógł mówić, stracę kontakt ze światem. Pozostanie mi tylko porozumiewanie się przez mruganie lub za pomocą założonego na palec klipsa,

który odczyta impulsy elektryczne. Jakby nie było, większość moich wypowiedzi ograniczy się do „tak” lub „nie”. A wiedząc, jakim jestem erudytą i paplą, chyba zdajesz sobie sprawę, że to trudne... – Aleks przerwał i głośno zaczerpnął powietrza. Wypowiedzenie ciurkiem kilku zdań stanowiło dla niego nadludzki wysiłek. Już na mnie nie patrzył. Ponownie przyknął oczy, lecz w kącikach jego ust tlił się uśmiech.

– Proszę, zamknij się... – szepnęłam.

– Daj mi skończyć. – Aleks nerwowo zamrugał. – Jeszcze raz powtórzę, że chcę jedynie twojego szczęścia. Ale jeśli chcesz, myśl, że moja decyzja jest największym, niewyobrażalnym egoizmem. I wtedy też będziesz miała rację... – Odwrócił wzrok i zerknął na mnie. Wydawało mi się, że ma problem z utrzymaniem skupienia spojrzenia. Głowa opadała mu na pierś. Walczył z tym, lecz przychodziło mu to z coraz większym trudem. – Chcę umrzeć, bo nie wyobrażam sobie być warzywkiem. Rozumiesz? Myśl o tym, że mogę żyć w skorupie martwego ciała... – Głos mu się załamał, lecz błyskawicznie się opanował. – Po operacji mogę się obudzić, nie czując swojego ciała. Nie mogąc nawet mrugnąć.

Pokręciłam energicznie głową.

– Nie, nie... – zaprzeczyłam ostro. – Tak się nie stanie. Na pewno nie!

– Skąd możesz wiedzieć? Jeden procent ryzyka wystarczyłby mi, by zyskać sto procent pewności, że wolę umrzeć. I proszę, pozwól mi na to.

– Czy ty...

Dopiero zrozumiałam, do czego zmierzał pokretny wywód Aleksego. Zrozumiałam to, co insynuował mi od dawna.

Eutanazja.

Pomoc przy samobójstwie.

Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Najczęściej całkowicie bez słów.

– Chcę, żebyś dała mi szansę umrzeć – wyszeptał drżącym głosem. – A potem żebyś była szczęśliwa.

– Pieprzony, samoluby dupek!

Jak oparzona puściłam jego dłoń i ruszyłam do wyjścia. Czułam na sobie jego błagalne spojrzenie. Wypadłam na korytarz. Łzy po raz kolejny przestłoniły mi świat.



Pilot

– Nie powinieneś kończyć tej historii w ten sposób. Nie podoba mi się to.

Lola przygryzła końcówkę ołówka, który wcześniej obracała między palcami. Odłożyła go i spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Upadek z klifu? Naprawdę, gdybyśmy tam byli, chciałbyś tak skończyć?

- Może - wymamrotałem.

- Wiesz, że rzuciłabym się za tobą.

Z trudem pokręciłem głową.

- Nie bądźmy tak romantyczni. Zostałabyś na tym klifie i obserwowała zachód słońca. A potem wróciła do domu. Właśnie tu. Do realnego świata.

- Realny świat jest z tobą.

- Tylko teraz - odparłem, nie chcąc wierzyć we własne słowa.

- Zawsze - zawyrokowała Lola, jakby chciała zagłuszyć moje bluźnierstwo. - Obiecaliśmy to sobie.

- Tak...

Byłem już zmęczony opowiadaniem, bolały mnie usta, a mięśnie karku niemal całkowicie zdrętwiały. Moje myśli uleciały kilka tygodni wstecz, choć wydawało mi się, jakby od tamtej chwili dzieliły mnie całe lata.

Gdy zabierałem swoje rzeczy od Konstancji, ona złapała mnie za dłoń i po raz ostatni przytuliła. Pamiętałem słodki zapach jej skóry. Chyba nigdy wcześniej nie czułem, jak pachnie bez perfum. Używała ich nawet na noc. To właśnie ten zapach skóry pozostał dla mnie jej najintensywniejszym wspomnieniem. Czuję go, ilekroć o niej pomyślę.

- Może to szalone, ale śniło mi się, że zanim umrzesz, odbędziesz jeszcze trzy dalekie loty. To w sumie dobrze. - Uśmiechnęła się pokrzepiająco. - Cieszę się, że w obecnym stanie nie jesteś zdolny pilotować.

Chciałem to uznać za głupi żart. Mimo to poważna, pełna napięcia mina Konstancji mówiła mi, że to coś znacznie innego. Przepowiednia? Nie miałem pojęcia. Sami sobie przepowiadamy przyszłość i możemy ją spełniać. To wersja dla tych, którzy nie wierzą w przeznaczenie. Albo dla tych, którzy chcą za wszelką cenę zrobić sobie na przekór. Ja byłem jednym z nich.

Któregoś razu zaproponowałem Loli, żebyśmy opowiedzieli wspólną historię. W moim stanie był to właściwie jedyny sposób, aby tę wspólną historię napisać. Lola skądś wyszperała czapkę pilota, założyła mi ją na głowę, a chwilę później wybraliśmy się w pierwszą podróż. Opowieści stały się nierozłącznym elementem naszych zbyt krótkich wieczorów. Niemych, a jednak wypełnionych słowami. Nie rozmawialiśmy ze sobą, nie rozmawialiśmy o przeszłości ani przyszłości, lecz tworzyliśmy świat stworzony ze złudzeń. Gdzieś czytałem, że to normalne u śmiertelnie chorych. Osiemdziesiąt procent z nich nie chce pogodzić się ze światem, na którym żyje.

Mamrotałem. Coraz trudniej było mi zrozumieć i jeden z lekarzy powiedział mi, abym czytał na głos książki. Wybranie się do Paryża lub Amalfi wydało mi się znacznie lepszym pomysłem. Karmiłem się złudzeniami. Nie dostrzegałem przy tym, że z każdym przebytym słowami kilometrem stajemy się z Lolą sobie bliżsi. Jakbyśmy naprawdę wspominali dawne chwile lub sztucznie wydłużali czas, który

los teraz nam ofiarował. Pompowaliśmy krótkie, niezbyt częste wieczory, wypełniając je treścią całych wspólnie spędzonych dni.

Tamtego wieczoru, gdy nasza podróż dobiegła końca, jeszcze długo siedzieliśmy cicho przy zapalonym świetle. Lola popijała wino, a ja gapiłem się w swoje odbicie w nie do końca zasłoniętym oknie. Zawisło między nami napięcie, które zawsze towarzyszy oczekiwaniu. W dzień przed wyjazdem na wakacje, przed rozpoczęciem nowej pracy lub odwiedzinami dawno niewidzianego przyjaciela. Tyle że my czekaliśmy na coś całkowicie innego.

Poruszyłem się tyle, o ile byłem w stanie. Lola podniosła na mnie spojrzenie i uśmiechnęła się smutno. Jej usta rozwarły się w grymasie, który towarzyszy dzieciom widzącym stoisko z watą cukrową. Radości towarzyszy niepewność, czy rodzice zgodzą się im ją kupić.

- Podaj mi, proszę, cygaretkę - wymruczałem.

- Nie można ci. Wiesz, że...

- Naprawdę myślisz, że coś mogłoby mi teraz zaszkodzić?

Lola wstała, przeszła do drugiego pokoju, a po chwili wróciła z moją ulubioną krótką cygaretką o aromacie wanilii. Ten zapach wydawał mi się diabelnie egzotyczny. Kojarzył mi się z naprawdę odległymi podróżami. I zapachem centrów handlowych.

Lola podeszła do mnie i niespodziewanie włożyła mi cygaretkę do ucha.

- Ej... - Zgiąłem się nieporadnie. - Co ty...

- Podobno ci nie zaszkodzi! - Zachichotała. Tarmosiła mnie po włosach i przytulała. Pocałowała mnie w czoło. Jej wargi na powrót się spotkały i zacisnęły. Wreszcie się ode mnie oderwała. Kucnęła obok i wsunęła mi cygaretkę do ust. Odpaliła mi ją.

Pomyślałem, że już nigdy nie będę w tym od niej szybszy. Mężczyzna powinien strzelić sobie w łeb, zanim nie będzie już nigdy mógł odpalić papierosa żadnej kobiecie. Musi mieć tylko do tego dość odwagi. Przynajmniej o krztynę więcej niż wstydu.

- Jutro spotkasz się z Markizem - zagadnąłem.

Lola nieznacznie skinęła głową.

- Tak.

- I jutro wszystko stanie się jasne.

- Tak.

- To będzie moja prawdziwa trzecia podróż.

Nie odpowiedziała. Nie wiem, czy wierzyła w przesady i szósty zmysł Konstancji, ale jej spojrzenie powędrowało w górę i w lewo. Rzęsy zatrzepotały. Jak krople rosy osiadły na nich łyzy. Powoli rosły, aż wreszcie spłynęły pod własnym ciężarem.

Już się nie odezwałem. Myślałem o tym, że w naszych opowieściach widziałem siebie, jakim byłem, a nie jakim jestem. A może jakim chciałem być. Myśli zaczęły

mi się mieszać. Z bukietu róż, których już dawno nie mogłem nikomu wręczyć, sfrunął płatek. Wykonał kilka piruetów, nędzne wspomnienie tańca, aż wreszcie martwy opadł na podłogę.



Stew

Bieg. Nie wiem gdzie, bieg byle przed siebie. Łzy, które zasłaniały mi świat. Serce podchodzące do gardła i bijące w tempie sprężyny stopera. Pamiętam to uczucie, gdy zdawało mi się, że mam nieskończone pokłady energii. Że powinnam biec bez końca. A potem nagle dopadło mnie zmęczenie. Albo rozpacz.

Skuliłam się w rogu wysokiego korytarza i wybuchnęłam głośnym, rozpaczliwym płaczem. Tarzałam się po kamiennej posadzce. Zwinęłam się w kłębek, nie zważając na chłód ani wilgoć. Nie przeszkadzało mi twarde, nierówne podłoże.

Chciałam zniknąć. Zapaść się w sobie, nim zrobi to Aleks. Chciałam go uprzedzić. Patrzyłam w przeszklone witrażami okna i, płacząc, śmiałam się jak wariatka. Słońce rozświetlało kolorowe przedstawienia Drogi Krzyżowej.

Via Dolorosa.

Moja droga.

Udręczona twarz Chrystusa była odwrócona w moją stronę. Jezus spoglądał na mnie z tym samym skupieniem, z jakim patrzył na każdego, kto przemierzał ten korytarz od sześciuset lat.

Nie byłam wyjątkowa.

Aleks też nie był wyjątkowy.

Cuda zdarzały się albo tylko w bajkach, albo tak rzadko, że nie było sensu na nie liczyć. Zbyt wiele godzin modliłam się, aby stracić wszelką nadzieję. Z dnia na dzień było przecież tylko gorzej.

Michele nie miał pojęcia, jak dobrze rozumiałam go, gdy wspomniiał o Walcie Disneyu i o dniu, od którego przestał wieczorem zniżać pacierz. Nie było nic gorszego niż obdarcie z dziecięcych marzeń. Człowiek jest dzieckiem do momentu, gdy w jego życiu zagości śmierć lub świadomość jej bliskości. Nieważne, czy ma wtedy pięć, dziesięć, czy trzydzieści pięć lat. To wtedy następuje jego prawdziwa inicjacja. Przepoczwarza się. O śmierci nie zapomni już do końca życia.

Zbyt wiele godzin modliłam się o cudowne uzdrowienie. Budziłam się rano i czekałam, aż Aleks otworzy oczy. Liczyłam, że przeciągnie się, zeskoczy z łóżka, a potem okaże się, że jego choroba to był tylko zły sen.

Całymi nocami nie spałam, czekając, aż mój ukochany się obudzi. Byłam pewna, że to już, że właśnie tego dnia wydarzy się cud. I tak w kółko. O ile tylko mogliśmy

spać razem, marzyłam o nim. Domagałam się niego od Boga. Teraz przynajmniej wiem, że jeżeli cuda mają się wydarzyć, to nie powinno się na nie czekać. Nie można ich żądać.

Nie wierzyłam, że uda mi się wymusić cokolwiek na Michele. Byłam przekonana, że nasz plan nie wypali, a w którymś momencie zostanie zdemaskowana. Byłam gotowa pójść do więzienia. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że więzienie mogło być doskonałą ucieczką. Niezależną ode mnie. Mogłabym mieć czyste sumienie i nie patrzeć na to, jak Aleks umiera. Jak dzień po dniu dosłownie znika z tego świata.

Umyłabym ręce jak Piłat.

Mój plan chyba w większej mierze polegał na trafieniu do więzienia niż zdobyciu serca Markiza. Gdy usłyszałam plotki o tym, że Michele mógł być mordercą lub gwałcicielem, było mi wszystko jedno. Nigdy się go nie bałam. Udawałam strach i niepewność. Moja śmierć nie była niczym strasznym. Martwi za życia nie mają nic do stracenia.

To samolubne, ale lepiej jest umrzeć, zanim umrą ci, których kochamy. Największym pogrzeniem po ich stracie jest pomyśleć, że los pozwolił im przynajmniej uniknąć patrzenia na naszą śmierć. To marna pociecha, ale zawsze. Jeżeli ktoś naprawdę nas kocha, woli umrzeć przed nami. To piękne i egoistyczne.

Podniosłam się z posadzki i uderzyłam pięścią o ścianę. Całą rękę przeszył mi ból. Mięśnie pulsowały, a po rozciętej skórze spłynęła krew.

Jak oszalała znów zaczęłam biec. Byle dalej. Byle szybciej.

Jakbym mogła uciec przed samą sobą.

Naciskałam klamki do drzwi pokoiów, które ciągnęły się po lewej stronie korytarza. Większość była zamknięta. Nie wiem, co chciałam w nich znaleźć. Uwięzioną kobietę? Zwłoki? Nie potrafiłam rozróżnić rzeczywistości od własnych wyobrażeń.

Naga kobieta z rozczochranymi brązowymi włosami i kneblem w ustach mogła być moim wyobrażeniem. Patrzyła na mnie z niemym wyrzutem. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Mogła to być ta sama kobieta, którą widziałam na jachcie.

Mogła być moim ponownym zwidem.

Zamknęłam drzwi. Ucięłam pełne wyczekiwania spojrzenie. Nie szukałam jej. Z pewnością była tylko złudzeniem.

Musiła nim być.

Skoro nie mogłam uratować samej siebie, nie mogłabym uratować też nikogo innego. Walka o życie nie miała sensu. Wszystko zawsze musiało skończyć się tak samo.

Zatrzymałam się przy witrażu przedstawiającym scenę ukrzyżowania. Wokół szybowwały blade, pogięte postaci wyrwane prosto z obrazów El Greca. Twarz Jezusa była sinozielona. Padające w szybę słońce podkreślało ogniste akcenty tła.

Chrystus zstępujący do piekła.

Tylko taki mógł być tytuł tego dzieła.

Chrystus zstępujący do piekła.

W świetle rozproszonym przez witraż unosiły się drobinki kurzu.

Rozejrzałam się za kławką. Gdyby udało mi się otworzyć okno, w ułamku sekundy mogłoby być po wszystkim. Za oknem rozpościerała się kilkusetmetrowa przepaść. Być może w czasie upadku nie myślałabym o śmierci, ale o życiu.

Jednak nigdzie nie odnalazłam kławki. Witraż był sztywno spasowany z nieruchomą ramą okna. Osadzono go w miejscami wykruszonej dawnej zaprawie. Technika przez te kilkaset lat z pewnością mocno się zmieniła.

Oblizawałam krew spływającą mi po palcach. Poczułam jej słodki, mdły smak. Jeszcze raz przyjrzałam się zielonej twarzy Chrystusa. Co też mógł myśleć wtedy, tuż u stóp krzyża? Wtedy, gdy wiedział już, że Bóg Ojciec nie wysłuchał jego modlitwy.

I potem, gdy konał przekonany, że Ten Najwyższy Ojciec go opuścił.

Oparłam się o ścianę i przeciągnęłam paznokciami po szorstkiej, kamiennej powierzchni. Nie czułam bólu.

Otaczała mnie ciemna, bezgraniczna pustka. Nawet sączące się przez witraże światło nabrało ponurego odcienia. Święta Weronika ocierała Jezusowi ziemistą twarz chustą w kolorze smoły. Niebo przybrało barwę biskupiej purpury.

Z głębi korytarza dobiegł mnie odgłos szybkich kroków. Ktoś musiał iść kławką schodową w baszcie. Pośpiesznie otarłam policzki z łez. Nie miałam makijażu, więc tylko łzy i zaczerwienione oczy świadczyły, że płakałam. Nie wstydziłam się tego. A jednak nie chciałam, by ktokolwiek mnie taką widział.

To była tylko moja sprawa.

Moje łzy, mój żal i moja rozpacz.

Moja będzie żałoba.

Jednak gdy zobaczyłam Markiza, obudziła się we mnie potrzeba podzielenia się z nim każdym z tych problemów. Patrzyłam na jego umięśnioną, wyprostowaną sylwetkę i wiedziałam, że jedno dodatkowe zwierzenie to dla niego niewart zapamiętania szczegół. Że wysłucha mnie, choćby zaraz miał o wszystkim zapomnieć.

Michele szedł w moją stronę. Miał na sobie błękitną koszulę, której rękawy wywinął, lniane spodnie oraz brązowe mokasyny z frędzlami na czubie. Był gładko ogolony. Z daleka wyczułam korzenny aromat perfum niesiony przez przeciąg.

- Co się stało? - zapytał podchodząc. - Moja droga, co się dzieje? Dziś powinniśmy zacząć świętowanie, bo jutro będzie po wszystkim!

Podszedł do mnie i łagodnie złapał mnie za ramiona. Przyjrzał mi się jak jubiler oglądający brylant przed osadzeniem go w pierścionku. Przechylił głowę i delikatnie zacisnął palce.

- No? Co jest? Co cię trapi?

Wypuściłam powietrze i przygryzłam usta. Starłam się opanować. Starłam się ułożyć sensowną wypowiedź, ale nie mogłam znaleźć pierwszego słowa. Nie miałam pojęcia, jak zacząć. Wreszcie wylał się ze mnie całkowicie niepoohamowany, chaotyczny potok słów.

– On nie chce tej operacji. Mówi, że nie chce obudzić się w martwym ciele. Wydaje mu się, że umierając, zachowa się szlachetnie, jak jakiś pieprzony święty. To głupie. To takie głupie! Przecież nigdy wcześniej się nie bał. A teraz, gdy operacja jest tuż... Teraz boi się, że... – W tym momencie wybuchnęłam płaczem. Pochyliłam się, a kolejne spazmy wstrząsały moim ciałem. Markiz mnie przytulił. Delikatnie, wręcz po ojcowsku. Pocałował mnie w czubek głowy i pogładził dłońmi po plecach.

– Ciii... Ciii... – szepnął uspokajająco. – Nie martw się. Nie teraz. Nie tutaj.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego z ukosa. Nagle ożyła we mnie desperacka myśl.

– Przekonaj go – powiedziałam z naciskiem. – Proszę cię, przekonaj go, że nie może teraz zrezygnować.

Michele zmarszczył brwi, jakby przez moment się zastanawiał. Przeciągnął dłońmi po twarzy i spuścił wzrok. Powoli pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

– Dlaczego? – zapytałam żarliwie. – Dlaczego, do cholery, nie możesz z nim porozmawiać? On nie ma nawet żadnego przyjaciela. Nikogo, z kim mógłby...

– To jego wybór. Jego decyzja.

– Wybór jego chorego umysłu. Choroba przeżera jego mózg i odbiera mu ochotę do walki. Każę mu się poddać.

– Może on wcale się nie poddaje? Może tylko wstaje od stolika w trakcie gry i zgarnia swoją pulę, pozwalając reszcie grać dalej?

– Ty i te twoje pieprzone metafory!

Bezsilnie zamachnęłam się, chcąc uderzyć Markiza w pierś. Michele złapał moją dłoń i przyciągnął mnie do siebie. Przywarłam do jego ciała. Słyszałam przyspieszone bicie serca i sploty oddech. On też był zdenerwowany. Nie potrafił tego ukryć. Pogładził mnie po głowie i głośno westchnął. Poruszył się w rytmie bostona.

– Przez całe życie miałem wiele okazji, by kogoś zabić – wyszeptał mi prosto do ucha. – Mogłem niszczyć ludzi, wydając polecenia w trakcie obiadu. Wydawałem decyzje przekreślające ich życia, gdy budziłem się z drzemki albo wynurzałem się z basenu. Nigdy nie miałem wyrzutów sumienia. Wiesz dlaczego?

Markiz poprowadził mnie po kwadracie i pchnął, bym wykonała obrót. Zrezygnowana odsunęłam się jedynie o kilka kroków. Mimo to utkwiałam w nim zaciekawione spojrzenie.

– Dlaczego? – zapytałam, gdy znów mnie przyciągnął. Powoli poruszał biodrami. Jego twarz była poważna, a mięśnie napięte. Nie poruszał się tak beztrudnie i swobodnie jak na jachcie.

– Bo zawsze działałem w słusznym interesie. Swoim, rodziny albo kogokolwiek innego. Jednak zawsze mogłem się wytłumaczyć, że to czyjś słuszny interes.

– Wytłumaczyć. – Parsknęłam. – A więc to o to zawsze chodzi. Prawda? O to, żeby móc się wytłumaczyć... Żeby mieć pieprzoną wymówkę.

Wywinęłam się z uścisku Markiza. Odsunęłam się od niego z odrazą. Na witrażu za jego szerokimi plecami dostrzegłam postać Chrystusa upadającego pod ciężarem krzyża. W tym przedstawieniu twarz Jezusa była intensywnie żółta. Natomiast niebo miało ciemnogrnatowy odcień.

– Zawsze chodzi o słuszność sprawy. – Michele opuścił dłonie i się wyprostował. Skinął głową, jakby podjął jakąś decyzję. – Wiesz co? Myślę, że życie zawsze jest słuszną sprawą. – Nim zdążyłam się ucieszyć, dodał: – Tak samo jak godna śmierć. Jak brak cierpienia.

– Nie rozumiem cię... Nie rozumiem, o czym ty teraz mówisz!

– Kochasz go. Naprawdę bardzo go kochasz. – Markiz podniósł wzrok i przeniósł go po kolejnych witrażach. Lustrował Drogę Krzyżową, jakby te kolorowe sceny widział po raz pierwszy. Wydął usta, w zamyśleniu kiwając głową. Nie mogłam przejrzeć jego myśli, ale wydawał się nimi całkowicie zaprzątnięty. Wreszcie jego nieobecne spojrzenie spoczęło na mojej twarzy. Przez chwilę nabierało ostrości. – Co mam zrobić? Czego ode mnie oczekujesz?



Pilot

Po rzuceniu się z klifu chciałym obrócić się w powietrzu. Chciałym rozejrzeć się wokół jak ryba wyskakująca z wody. Być może dopiero wtedy po raz pierwszy zobaczyłym świat takim, jakim jest. A potem z pluskiem wpadłym do oceanu i energicznie poruszył ramionami. Nie płynąłym w stronę brzegu. Nawet gdybym nie roztrzaskał się o skały, nie chciałym już wracać na ląd. Płynąłym prosto na zachód, a im dalej od brzegu, tym tafla oceanu stawałaby się coraz gładsza. Wreszcie w swojej gładkości przypomniałaby potwornie pomarszczoną, ale spokojną twarz umierającego starca. W jego zmarszczkach skrzyłyby się promienie słoneczne.

To była głupia myśl. Naszła mnie, gdy Lola po raz pierwszy zadzwoniła, by poinformować mnie, że udało się jej zrealizować plan. A choć miał się z tym wiązać podsycony płomyk nadziei, poczułem jedynie pustkę. Jakby wyrwano ze mnie to, co niezauważalnie stało się najistotniejsze.

Gdybym wtedy zrezygnował, nic by się już nie zmieniło. Przez własny egoizm utraciłem sam siebie. To skomplikowane. W jaki niby sposób można wytłumaczyć

zdradę na własne żądanie? Dla własnego widzimi się? Jasne, można sobie tłumaczyć to wszystko szlachetnymi pobudkami.

Pieprzyć je.

Przed Bogiem wszyscy jesteśmy obdarci z obłudy. Stoimy nadzy i skupieni tylko na sobie. Płacząc po śmierci bliskich, płaczymy po swojej stracie. Płaczymy samolubnie. Samolubnie cieszymy się, smucimy i współczujemy. Współczucie to kurewsko samolubne uczucie.

Czasem myślę, że raj, jeżeli istnieje, wygląda jak nowoczesne biuro. Milion samodzielnych stanowisk, piękne oświetlenie, a na każdym biurku telefon. Według własnej fantazji można przywołać do siebie każdego. Rodzinę, przyjaciół, kolegów. Kiedy tylko się o tym żywnie zamarzy. A poza tym całą wieczność spędza się skupionym na myśleniu jedynie o sobie.

Przekonywałem się, że właśnie tak jest. Nie wiem, dlaczego nie kusiła mnie wizja przyjemniejszego raju, a to, co znajdę za rogiem, było mi całkowicie obojętne. Stworzyłem setki scenariuszy, z których zapewne każdy miał okazać się nieprawdziwy.

Liczyło się tylko, by odejść.

Wpatrywałem się w podłużną lampę i łączącą po niej muchę. Gdzieś w głębi korytarza rozległ się pisk dziecka.

- Tatusiu! - Dziecko wykrzyknęło po angielsku. Potem wyraźnie słyszałem każde słowo. - Już możesz chodzić? Ale super! Kiedy znowu zagramy w piłkę? Wiesz, że mama kupiła mi nowe buty i ochraniacze? Powiedziała, że z nimi nigdy sobie nie zrobię krzywdy. Nigdy nic mi się nie stanie. Muszę je tylko starannie zakładać i pamiętać, żeby być ostrożnym. Tatusiu, kocham cię.

Dziecko mówiło jeszcze przez chwilę, nie dając dojść ojcu do głosu. Wyobrażałem sobie piegowatego, rudego chłopca z ochraniaczami na nogach. Myślałem o jego tacie, który widzi w nim swoją przyszłość. Potem zrobiło mi się szalenie żal, że to jedno mi się nie udało. Że moja wieczność umarła, gdy siedziałem na ławce przed szpitalem i popijałem kawę.



Stew

Pocałowałam Markiza w usta. Mocno i agresywnie. Przeciągnęłam językiem po jego wargach. Po równych, mocnych zębach. Wsadziłam mu język do ust. Przez chwilę wiliśmy się w namiętym pocałunku. Jedna dłoń Michelego wędrowała po moich plecach, a druga zaciskała się na pośladku.

Chciałam zabić emocje. Nie robiłam na złość Aleksemu. Robiłam na złość sobie i pieprzonemu przeznaczeniu. Chciałam zabić poczucie, że spotykają mnie jedynie

rozczarowania. Że kiedy wejść na upragnioną górę, by podziwiać zachód słońca, z jej szczytu widzę kolejną, znacznie piękniejszą i wyższą. Do tego ustawioną tak, że rzuca cień na tę, na której jestem.

Karałam się. Za wszystkie niepowodzenia i nieustanne poczucie śmierci. Zasysałam wargi Michelego, by choć przez moment nie myśleć o tym, że śmierć jest tuż obok. Że czyha na cały świat.

W ustach poczułam posmak krwi. Nigdy nie całowałam się tak mocno i tak gwałtownie. Nasze języki splatały się w soczystym korkociągu. Owijały się. Miałam zamknięte oczy, lecz za powiekami przewijały mi się rozmaite kolory. Widziałam sceny wyjęte wprost z witraży.

Chrystus padający pod ciężarem krzyża. Szymon z Cyreny, obejmujący Jego udręczone, zakrwawione ciało i podtrzymujący krzyż. Płaczące niewiasty o zdeformowanych zielonych twarzach.

Zieleń – kolor nadziei.

Ręka Chrystusa i rozczapierzone palce w chwili, gdy nadgarstek przebija gwóźdź. Rozpacz na twarzy Matki Boskiej.

Ekstaza rzymskich wiarusów.

Całowałam Markiza jeszcze mocniej, byle tylko wyrzucić te obrazy z głowy. Michele przeciągnął dłońią po moich plecach i zatrzymał ją na karku. Poczułam przyjemne ciepło jego dotyku. Przycisnął mnie tak mocno, że trąciliśmy się zębami. Popchnął mnie nieco do tyłu. Znów prowadził mnie w namiętym rytmie bostona. Wyobrażałam sobie, że położy mnie we wnęce okiennej i tam zedrze ze mnie ubranie. U stóp Jezusa i w cieniu krzyża.

Teraz ten obraz wypełnił mi myśli. Posłusznie poddałam się ruchom Markiza. Pozwoliłam mu się wieść na pokuszenie.

Udręczone ciało Chrystusa tak bardzo przypominało Aleksego.

Gdy ta myśl przemknęła mi przez głowę, poczułam, że uścisk Michelego słabnie. Nagle jego dłoń oderwała się od mojego ciała, a usta przestały mnie całować. Rozłączyliśmy się.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Markiz cofnął się o kilka kroków. Jego oczy płonęły, a wargi lśniły. Miał rozwichrzoną fryzurę, choć nie pamiętałam, żebym dotykała jego włosów. Ostatnie sekundy zlewały mi się w serię niezrozumiałych i poplątanych kadrów.

– Proszę, przestań. – Markiz włożył dłonie do kieszeni i się wyprostował. Głośno nabrał powietrza. Popatrzył gdzieś za mnie. – To złe. Nie możemy tak robić... Przepraszam, ale to wszystko przeze mnie...

Spojrzałam na niego zaskoczona. Emocje wciąż we mnie buzowały. Powstrzymałam się, aby nie dopaść do niego i znów wessać się w jego usta. Zamiast tego z obrzydzeniem otarłam wargi wierzchem dłoni. Wiedziałam, że wszystko jest skończone. Wiedziałam, że Michele ma rację, choć tak bardzo go popadałam.

Pogubiłam się.

– Tak, tak... – wyszeptałam pośpiesznie. – To złe.

– Choćby on mówił co innego.

Skinęłam głowę. Przeczesalam palcami włosy i zerknęłam przez grubą szybę witraży na dolinę. Zdeformowane chropawe łąki miały miodowy kolor. Kolor głazu odtrąconego sprzed grobu Chrystusa.

– A więc jutro wszystko się zmieni. – Michele powiedział to tonem zadumy. Stałam obok mnie, ale wszelkie emocje już opadły. Choć byliśmy blisko siebie, nagle uleciało z nas całe pożądanie. W ułamku sekundy staliśmy się sobie niemal obcy.

– Wręcz przeciwnie – odparłam z pełnym przekonaniem. – Jutro wszystko pozostanie takie samo.

Odwrociłam się i, nie patrząc na Markiza, ruszyłam w stronę drzwi. Biegłam tu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduję. Mijałam kolejne pokoje i zakamarki, kompletnie ich nie rejestrując.

Teraz odzyskiwałam ostrość widzenia. Rozważnie stawiałam kroki. Myślałam o tym, że każdy z nich odpisywany jest od puli przydzielonej nam na całe życie. Nie chciałam wyczerpać jej zbyt szybko.



Pilot

– Proszę to wypić.

– Co to? Chyba pani już wie, że nie będzie żadnej operacji.

– Tak. – Pielęgniarka kiwnęła głową. – Jutro wróci pan do domu.

Skoro pan tak bardzo chce umrzeć – nie powiedziała tego, ale jej mina dawała do zrozumienia, że właśnie tak myśli. Jakby moja przyszłość w ogóle ją interesowała.

Patrzyłem na jej grube, obrzmiałe rysi, na duże, wyłupiaste oczy i krótkie, ostrzyżone niemal na jeża włosy. Mimo że w szpitalu działała klimatyzacja, na jej górnej wardze osiadły kropelki potu. Ciężko westchnęła. Mundurek opiął się na jej wielkich piersiach, a przez twarz przemknął wyraz znudzenia. Podsunęła mi tabletkę pod usta.

– Pytałem, co to? – wymamrotałem.

– Jezu Chryste. – Pielęgniarka zmarszczyła brwi. Pewnie sądziła, że ludziom w moim stanie jest całkowicie obojętne, czym się ich faszkuje. – Środek na sen. Żeby nie zawracał pan później głowy.

– Przecież jest wcześniej...

– To... – wybełkotała nazwę, która nic mi nie mówiła. Po chwili dodała: – Działa z opóźnieniem. Dlatego niech będzie pan łaskaw przełknąć. Zaraz dam wodę do

popicia, a potem zajmę się kolejnymi pacjentami. Czeka na mnie cały oddział. Łaskawie pana proszę.

– W porządku.

– Grzeczny chłopiec.

Czekałem, aż dłoń tej wielkiej kobiety wyląduje na mojej głowie albo ramieniu. Wydawało mi się, że zaraz poklepie mnie z uznaniem. Zamiast tego gwałtownie się wyprostowała i zgięła plastikowy kubeczek. Wyrzuciła go do śmietnika.

Trzepocząc obfitymi pośladkami, ruszyła w stronę uchylonych drzwi. Wyszła na korytarz, nawet się na mnie nie oglądając.

Chwilę później zaczęło kręcić mi się w głowie. Poczułem niezwykłą lekkość. Po raz pierwszy od dawna powróciło mi czucie w nogach. Z tym że znajdowały się one jakby ponad moim ciałem i nic nie mogłem nimi zrobić.

Przebrałem dłońią po prześcieradle. Moje palce przypominały odnóża przetrąconego pająka, który usiłuje unieść tułów. Drżały. Oczy bolały mnie od usilnego patrzenia w ich stronę bez odrywania głowy od poduszki. Zdałem sobie sprawę, że guzik, którym miałem przywoływać personel, jest zbyt daleko. Pielęgniarka musiała go przed chwilą odsunąć.

Chciałem krzyknąć, lecz wydałem z siebie jedynie stłumione rzężenie. Zdrętwiały język nie pozwalał mi uformować słów, a krtań się zacisnęła. Zawroty głowy przybrały na sile. Słyszałem, jak serce przy każdym uderzeniu przepompowuje krew.

A potem, zupełnie nagle, zapadła cisza. Umarły wszystkie kwiaty, których nie zdążyłem wręczyć.



Stew

– Cześć, kochanie – powiedziałam, ocierając z kącika oka łzę radości. – Jak się spało?

Zacisnęłam palce na dłoni Aleksego. Delikatnie pogładziłam go po nadgarstku. Otworzył oczy i zamrugał, ale chyba jeszcze nie wiedział, gdzie się znajduje. Przełknął ślinę. Powoli wiódł wzrokiem po suficie, oknach, wreszcie zatrzymał spojrzenie na mnie.

– Operacja się udała. – Zacisnęłam palce jeszcze mocniej. Dłoń Aleksego była ciepła i delikatnie wilgotna. – Mówiłam, że wszystko będzie dobrze? Mówiłam?!

Poderwałam się z obleczonego skórą stołka i pocałowałam go w usta. Wciąż patrzył na mnie z lekkim wyrazem zdziwienia. Nerwowo przyglądałam mu rzadkie włosy. Delikatnie podniosłam jego głowę i poprawiłam puchową poduszkę. Uważałam, by nie zawadzić o bandaż, który zakrywał wymieniony fragment jego czaszki.

– Lada dzień rozpocznesz rehabilitację – odezwałam się jeszcze weselej. – Lekarze powiedzieli, że może nie zostaniesz lekkoatletą, ale wrócisz do formy.

Niecierpliwie czekałam, aż Aleksy się odezwie. Niby operacja się powiodła, ale martwiło mnie jego uporczywe milczenie i nieobecny wzrok.

– Aleks, słyszysz mnie?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się gdzieś za mnie. Jego mięśnie były rozluźnione, twarz nabrała kolorów, ale miałam przecucie, że coś jest nie tak.

– Aleks!

Dotknęłam jego ramienia i potrząsnęłam nim. Niechętnie na mnie spojrzął, po czym kilkakrotnie zamrugał.

Jezu.

To nie mogło się wydarzyć. Lekarze zapewniali... Nie mógł skończyć jak kukła, która komunikuje się ze światem mrugnięciami.

Ręce zaczęły mi się telepać i rozejrzałam się za guzikiem przyzywającym lekarza. Za szybą kilka metrów była dyżurka pielęgniarek. Ktoś musiał mi pomóc. Przecież wszystko miało być dobrze. Ten stary sukinsyn z sumiastymi wąsami zapewniał mnie o tym. Ścisnął wtedy moją dłoń i patrzył mi prosto w oczy.

– *Tout ira bien* – powiedział ciepłym barytonem. – *Tout ira bien*.

Nikt nie musiał mi tego tłumaczyć.

Podniosłam się i obróciłam w stronę dyżurki. Przed wszczęciem alarmu powstrzymywał mnie jedynie strach. Gdy zaraz wszyscy się tu zbiegną, ostatecznie

rozwiążą moje nadzieje. Okaze się, że jednak coś poszło nie tak. Że ktoś coś spieprzył. Być może będzie to wina samego Boga przy planowaniu tego świata.

Jednak nie mogłam zwlekać.

Może...

Otworzyłam usta, ale w tym samym momencie zauważyłam, że Aleks delikatnie kręci głową. Z jego oczu ciekły łzy.

- Dlaczego? - zapytał łamiącym się głosem.

Z radości aż przyklasnęłam. Całkowicie nie zwróciłam uwagi na jego pytanie ani na to, jak bardzo sucho musiał mieć w ustach.

- Mówisz! Jesteś tu! - pisnęłam. - Jak ja się cieszę... Boże, mój Pilocie, jak ja się cieszę!

Pochyliłam się nad nim, żeby jeszcze raz go pocałować. Aleks odwrócił głowę i zamknął oczy.

- Dlaczego? - zapytał raz jeszcze.

Teraz pytanie dotarło do mnie z podwójną siłą. Sprawilo, że sama je sobie zadałam.

Dlaczego?

Zdezorientowana otarłam łzę spływającą ku uchu Aleksiego. Wyciągnęłam z kieszeni paczkę wilgotnych chusteczek, ale nie wyjęłam żadnej z nich. Nagle wydały mi się zbyt mokre.

- Dlaczego nie dałaś mi umrzeć?

Jego cichy, niewyraźny głos przeciął ciszę oddziały z siłą gromu. Zamarłam w pół ruchu. Stałam nieco pochylona, w jednej dłoni trzymając chusteczki, a drugą opierając na ramie łóżka. Sądzę, że na twarzy zastygł mi głupawy uśmiech. Być może miałam też nieco rozwarte usta tak jak te wszystkie sztampowo zaskoczone panny na rysunkach z połowy zeszłego stulecia.

Otrząsnęłam się dopiero po kilku sekundach. Powoli się wyprostowałam i schowałam chusteczki do kieszeni. Przełknęłam ślinę, opóźniając moment, aż będę musiała spojrzeć Aleksemu w oczy.

- Przecież wszystko jest dobrze! - wykrzyknęłam, wreszcie patrząc na jego zmęczoną twarz. - Będiesz zdrowy, znowu będziemy latać. Skończymy z opowiadaniem tych bajek i naprawdę wybierzemy się do Paryża, a potem do...

Aleks spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Przestań. Proszę cię, przestań.

- Ale...

- Nic nie rozumiesz.

Potrząsnęłam głową.

- Jak to nic nie rozumiem? - Powiodłam dłonią, jakbym chciała pokazać rozległe włości. - Wszystko jest dobrze. Co w tym więcej rozumieć? Żyjesz, zaczniesz ćwiczyć, wybierzemy się w podróż, a potem pomyślimy o dziecku. - Uśmiechnęłam się. - O tak, potem pomyślimy o dziecku. Tak jak mi obiecałeś.

Aleks nie podzielał mojego entuzjazmu. Przez jego twarz nie przemknął nawet cień uśmiechu. Gdzieś na korytarzu usłyszałam odgłos kroków i głośną rozmowę. Być może któryś z lekarzy zmierzał w stronę naszej sali. Naszej – co za okropny eufemizm.

– Chciałem umrzeć nie dlatego, że bałem się choroby – wycedził Aleks. Mówił szybko, starając się jak najmniej oddychać. Tracił przez to dech i musiał robić między wyrazami przerwy. – Chciałem umrzeć, bo popełniliśmy okropny błąd. – Spojrzał na moją twarz, ale jednocześnie nie patrzył mi w oczy. – Już nigdy nie będę potrafił się do ciebie zbliżyć. Rozumiesz?

Odgłos kroków na korytarzu ucichł, ale dźwięk rozmowy dobiegał już z progu sali. Lekarz przystanął i wydawał komuś ostatnie dyspozycje. Lada moment miał podejść do łóżka Aleksego. A on za wszelką cenę chciał zdążyć mi wszystko powiedzieć. Odkaslnął i nabrał powietrza. Ja jak zaczarowana stałam obok niego, choć zdawało mi się, że uleciała ze mnie dusza. Nagle zrozumiałam wszystko, co czuł. Zrozumiałam, jak bardzo prawdziwe były wszystkie jego uczucia.

– W tamten dzień, gdy kochałaś się z Michelem, straciłem cię na zawsze – wysapał. – A bez ciebie wieczność już nie ma sensu. Już nigdy nie będzie taka, jaką ją sobie wymarzyliśmy. Myślałem, że uda mi się z tym pogodzić. – Uśmiechnął się smutno. – Ale teraz wiem, że to będzie niemożliwe. Przepraszam, kochanie.

Następnie jego wzrok ześlizgnął się z mojej twarzy i powędrował ku podchodzącemu lekarzowi. Spojrzał na niego z mieszaniną ulgi i wyrzutu. Z tą samą mieszaniną emocji, która miała mu towarzyszyć już na zawsze.



Pilot

– Gratuluję. – Markiz uściskał mi dłoń, co ledwie odczułem. – Dałeś radę.

Stał przy łóżku i patrzył na mnie z dziwnie ironicznym uśmiechem. Omiatał wzrokiem moją okrytą cienką pościelą sylwetkę. Zdawał się oceniać, czy to bezwładne, nieruchome ciało jeszcze kiedykolwiek będzie zdolne się podnieść. Pewnie tak mu powiedzieli lekarze. A on sprawiał wrażenie, jakby absolutnie nie potrafił w to uwierzyć.

– Nie cieszysz się? – zapytał zaskoczony. – Chyba nie będziesz się złościł na cały świat, skoro...

Zamilkł. Zmrużył oczy i ciężko westchnął. W ułamku sekundy musiał zrozumieć wszystko, co czułem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Wtedy widziałem w nim odbicie siebie. Zdrowego, bogatego, ale z rozpryśniętymi nadziejami i wiecznie tkwiącym na ustach pytaniem: „Dlaczego?”. To ono sprawiało, że jego twarz tak często przybierała wyraz zadumy. Wracił do jakiejś chwili z przeszłości i wciąż nie

potrafił jej zrozumieć. Pytał sam siebie, lecz kolejne przeżyte chwile nie podsuwały mu odpowiedzi. A żył tylko dla nich.

Nagle zrozumiałem, że w nim tkwi historia bliźniaczo podobna do mojej. Choć powinienem go nienawidzić, poczułem z nim głęboką więź. Być może zbudowałem to rusztowanie pretekstów tylko po to, by móc się wygadać. Być może nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

Powiedziałem mu o wszystkim, o czym chciałem powiedzieć Loli. Markiz kiwał głową i przeciągał dłonią po zaroście. Zaciskał szczękę, ale mi nie przerywał. Czekałem, aż w końcu uciszy mnie, wygadując jakieś banały, albo znudzony pod jakąś wymówką wymknie się z sali. Tymczasem on uważnie słuchał, unikając mojego spojrzenia. Gdy zamilkłem, spuścił głowę między ramiona. Siedział tak przez chwilę, wreszcie się wyprostował i oparł dłońmi o ramę łóżka.

- Wierzysz w Boga? - zapytał po chwili. - Wierzysz w te opowieści o jego bezgranicznej miłości?

Jednak byłem jego odbiciem. Gdy Michele zadał to pytanie, wszystko stało się jasne.

- Kiedyś, bardzo dawno temu wierzyłem - odparłem.

- A teraz?

- Teraz jest mi to obojętne. Kogo miałbym kochać po śmierci?

Michele spojrzał w stronę dyżurki pielęgniarek.

- Wiedziałeś, że Walta Disneya wcale nie zahibernowano? Że na amerykańskim zadupiu jest grób z jego szczątkami?

- Coś o tym słyszałem. - Do głowy przyszła mi absurdalna myśl. Tak absurdalna, że nie powstrzymałem się przed jej wypowiedzeniem. - Na moim nagrobku można by napisać: „Umarł przez własny altruizm”. - A potem, jakbym się tego zawstydził, natychmiast zapytałem: - Zakochałeś się kiedyś?

Markiz przeniósł wzrok w stronę okna. Przez moment jego oczy zaszkliły się, jakby ożyło w nim dawne, przyjemne wspomnienie.

- Tak - odezwał się w końcu. - A potem jeszcze kilka razy diabelnie się zauroczyłem.

- W Loli?

- Mówisz o Stew? - zapytał, wciąż na mnie nie patrząc. Powoli skinął głową. - Tak. W niej też. A teraz tego wszystkiego okropnie żałuję.

- Wiem - powiedziałem z przekonaniem. - Tyle że teraz jest już za późno.

Markiz podniósł się i skinął głową. Włożył dłonie do kieszeni. Nasze spojrzenia spotkały się tylko na ułamek sekundy. W jego minie, postawie, nawet w sposobie, w jaki zagryzał usta, wyczułem jakiś wyraz poufatej solidarności. Uczucia, które zawsze dotąd kojarzyło mi się jedynie z miłością. Przez te wszystkie lata tkwiłem w kompletnym błędzie. Przypomniał mi się Rudy i to, gdy zapytał mnie, czy sądzę, że zwierzęta naprawdę nie mają duszy. W tamtym momencie potrzebował bratniej duszy tak jak ja teraz. A ja zbyłem go jakąś oględną wymówką.

Sugestywnie skinąłem głową. Twarz Markiza zmieniła się tylko na ułamek sekundy. Zapewne, gdybym nie był przeczulony, a wzrok nie pozostawał zmysłem, z którego najpilniej korzystałem, w ogóle bym tego nie dostrzegł. Być może zwróciłbym uwagę na sztywność kroków, kiedy kierował się do drzwi. A może nie dostrzegłbym i tego.

Michele ociągał się, jakby sam miał jeszcze jakąkolwiek wątpliwość. Wszystko zostało postanowione, lecz on dawał mi tę krótką chwilę. Sądzę, że w ciągu tych paru kroków mógł zmówić szczerą modlitwę. Zapewniał, że jest ateistą, ale przecież nie robił tego dla swojej duszy.

Wrócił po kilku minutach. Zamknął drzwi na salę, po czym podszedł do łóżka. Spojrzał mi głęboko w oczy. Chciałem wzruszyć ramionami, lecz jedynie niezdarnie pochyliłem głowę. Michele położył mi dłoń na barku. Mimo że miałem na sobie jedynie cienką koszulkę, jego dotyk czułem jak przez bardzo grubą, puchową kurtkę.

Drugą dłonią Markiz położył coś na poduszce obok mojej głowy.

- Dasz radę? - zapytał, wciąż ściskając mnie za bark.

Z trudem obróciłem głowę i zobaczyłem kilka tabletek. Wszystkie były takie same. Niewielkie, czerwone i okrągłe.

- Nie pamiętam, jak się nazywają. - Michele wyprostował się i założył dłonie za plecy. - Jedna obniża ciśnienie. Dwie spowodują niewydolność. Trzy...

Nie dokończył. Stał wyprostowany ze sztywnością lokaja czekającego na polecenie swojego pana. Obdarci ze złudzeń wszyscy zadziwiająco przypominamy służących.

- Dziękuję - wyszeptałem.

Milcząc, skinąłem głową. Zakłopotany obrócił się i spojrzał w stronę znajdującej się za szybą dyżurki pielęgniarek. Chyba nie było w niej nikogo. Michele przeszedł gdzieś za łóżko i słyszałem, że majstruje przy aparaturze, do której byłem podłączony.

- Nic nie będzie piszczeć - wyjaśnił, gdy znów znalazł się w zasięgu mojego wzroku. - Potrzebujesz ciszy.

Napiąłem mięśnie i jeszcze mocniej obróciłem głowę. Jedynie kilka centymetrów dzieliło tabletki od moich ust.

- Jesteś porządnym facetem. Takich zawsze będzie na tym świecie zbyt mało. I zawsze będzie brakowało im forsy.

Nie odpowiedziałem. Zamknąłem oczy, a po chwili usłyszałem, że Markiz kieruje się do wyjścia. Brzęknęła klamka i drzwi się otworzyły. Michele przez chwilę musiał stać w progu. Patrzył na mnie. Być może chciał się upewnić, że nie będę potrzebował pomocy.

Kilka sekund później drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem.



Stew

Siedziałam na miękkiej kanapie w szpitalnej poczekalni. Przedemną stał błękitny, okrągły stolik, na którym rozłożono rozmaite gazety. Niemiecki dziennik, kilka francuskich brukowców, włoskie pismo poświęcone inwestowaniu i rynkom finansowym, a pod spodem parę brytyjskich tabloidów. Miały większe formaty i wystawały z równej kupki. Wszystkie te gazety świadczyły o międzynarodowej randze kliniki. Budowały jej markę. Nie trafiły tu przypadkowo, odłożone przez bliskich gości, a zapewne stanowiły rozmyślnie zaplanowany element tworzenia wizerunku.

Wizerunku profesjonalnej placówki, w której pracują najlepsi mistrzowie. Placówki, w której nikt nie umiera, a którą wszyscy opuszczają szczęśliwi. I szczęśliwi wracają do swoich luksusowych apartamentów, willi nad morzem oraz służących. Do świata, w którym śmierć jest jedynie abstrakcyjnym wymysłem. Konceptem niemożliwym i odrażającym tematem tabu.

Patrząc na twarze przechodzących w pobliżu milionerów, widziałam ich dumę i zaciekłość. W żadnej z nich nie dostrzegłam rezygnacji ani rozpacz, które wypełniają zwykłe, polskie szpitale. Może dlatego, że nie było w nich też miłości? Nie było w nich prawdziwej troski o drugą osobę? Śmierć, o ile w ogóle się ją akceptowało, nie była tragedią.

Była problemem.

A skoro problemów należało jak najpilniej unikać, śmierć zdawała się nie istnieć. Mówiąc ponad wiek temu, że Bóg jest martwy, Nietzsche być może miał rację.

W tym miejscu i w tych czasach była to tylko półprawda. Tutaj to śmierć była martwa. To właśnie tę prawdę z pełną siłą oznajmiały maski na twarzach najbogatszych ludzi świata.

Śmierć jest martwa.

Śmierć jest martwa i nikogo nie interesuje.

Przeniosłam wzrok z gazet na kolorowanki dla dzieci. Żadna z nich nie była otwarta. Naostrzone kredki leżały obok we wzorowym porządku. Nie wiem, czy dlatego, że cały asortyment dopiero wymieniono, czy po prostu nikomu nie był potrzebny. W dobie smartfonów i tabletek kredki stanowiły tylko ozdobę.

Poza tym na korytarzach kliniki nie widziałam ani jednego dziecka. Mijali mnie malutcy starszankowie w ubraniach haute couture, z pustymi spojrzeniami i pogrążeni we własnych światach. Mijały mnie roboty.

A może to ja byłam tylko robotem, który zbyt późno przetworzył strumień danych zawierających emocje. Może byłam wyzuta z sumienia dziwką, która

działała jedynie we własnym interesie? Byłem to ja umarła pierwsza od innych. Ta myśl mogła napędzać moje życie. Oto moje pieprzone smutne motto.

Kolejne osoby przechodziły w jedną i w drugą stronę tuż przed moim nosem. Nikt nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Mogłam być powietrzem. Mogłam być martwa.

Nagle usłyszałam znajome, energiczne kroki. Kątem oka dostrzegłam, że do pomieszczenia wszedł Markiz. Rozejrzał się i szybko do mnie podszedł. Zatrzymał się tuż obok kanapy. Założył ręce za plecy i milczał. Miał dość taktu, by nie odezwać się teraz pierwszy.

– On jest na mnie wściekły – powiedziałam, patrząc przed siebie. – Nigdy mi nie wybaczy. Nigdy mi nie wybaczy tego, że ze sobą spaliśmy.

Michele westchnął.

– Bo nagle zmieniała mu się perspektywa?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Zrozumiał to jeszcze przed operacją.

Przygryzłam usta, aby się nie rozplakać. Markiz wyciągnął do mnie dłoń i kiedy ją ufnie chwyciłam, pomógł mi wstać.

– Chodź.

Nie pytałam gdzie. Michele prowadził mnie korytarzami, aż nagle przeszliśmy przez podwójne, pokryte kroplami rosy drzwi i trafiliśmy do innego świata. Jak Alicja z Krainy Czarów po przekroczeniu lustra. Znaleźliśmy się w sporym krytym patio, które porastały egzotyczne rośliny. Poskręcane palmy, fikuśne pnącza i mnóstwo kolorowych kwiatów. Specjalna aparatura musiała regulować wilgotność oraz temperaturę, stąd krople na drzwiach. Poza nami w tym przedziwnym egzotarium nie było nikogo.

Mimo że uległam totalnemu zachwytowi, nic nie powiedziałam. Stałam kilka metrów od wejścia, starając się ogarnąć wzrokiem tę erupcję życia i zieleni pośród murów kliniki. Być może w innych okolicznościach poczułabym się tu jak w raj.

Michele stanął tuż obok mnie. Przeszukał dłońmi kieszenie i delikatnie obrócił głowę.

– Zapalisz?

– Tu?

– Czemu nie? Przecież to mój szpital. To moja ziemia i mój fragment świata. Zwróciłaś uwagę, że tutaj śmierć nie istnieje?

Spojrzałam na niego uważnie. Po raz kolejny miałam wrażenie, że w jakiś cudowny sposób czyta w moich myślach. Ostatnie zdanie wypowiedział zgoła obojętnym, ale też wyczuwalnie sarkastycznym tonem. Jakby bawiło go samo dopuszczenie wyobrażenia, że śmierć umarła. Jakby brzydziła go postawa tych wszystkich skupionych na życiu bogatych sukinsynów.

Sięgnął do kieszeni marynarki i po chwili zaczął związać skręta. Nie patrzył na mnie. Zakręcił bibułkę na końcach, jeszcze raz ugniół zawartość i odpalił skręta metalową zapalniczką.

- Czasem zapomnienie jest lepsze od seksu – wyszeptał, wypuszczając kłąb dymu. – A perspektywa zapomnienia jest lepsza od niego samego.

Spojrzał na mnie i chwycił mnie pod rękę. Powoli szliśmy wąską alejką. Po naszych bokach ciągnęły się egzotyczne drzewa i krzewy. Gdyby do środka wpuścić zwierzęta, zdawałoby się, że to prawdziwa dżungla.

Michele podał mi skręta i natychmiast się nim zaciągnęłam. Kilka razy z rzędu. Szybko poczułam rozptylające się po moim ciele odprężenie. Wciąż miałam świadomość wszystkich problemów i tego, co się wydarzyło, mimo to moje myśli zaczęły się od tego odrywać. Odkaszlnęłam. Oddałam skręta Markizowi, po czym wypuściłam cały zebrany w płucach dym.

- Najważniejsze, że operacja zakończyła się powodzeniem – stwierdził, patrząc na kępę roślin, których kwiaty przypominały wielkie żółte kule obleczone dokoła rzędami krwistoczerwonych koralii.

- Najważniejsze dla nas? – zapytałam automatycznie. – Czy dla niego?

Michele przestąpił z nogi na nogę. Zaciągnął się skrętem i wyciągnął go w moją stronę. Uniosłam dłoń w geście odmowy. Michele nie nalegał. Po chwili odezwał się smętnym głosem:

- W latach dwudziestych w katastrofie lotniczej pod Paryżem zginął minister handlu. Maurice Kokanovsky – wymówił to imię i nazwisko ze szczególną starannością. – Wiesz, że w tym samym momencie w domu umarła jego kotka? Jakiś weterynarz zainteresował się całą sprawą i zrobił sekcję zwierzęcia. Nie odkrył przyczyny śmierci. Jego zdaniem była kompletnie zdrowa. Co ciekawe, domownicy mówili, że dzień przed tragedią kotka głośno miauczała, prychała na wszystkich i nic nie jadła. Interesujące.

Zmarszczyłam brwi.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie wiem. – Michele wyrzucił skręta między wysokie paprocie. – Po prostu teraz mi się to przypomniało. Może ten cholerny kot był taki jak my? Może chciał wyprzedzić śmierć? Chciał ubiec wieści o niej?

Nie mam pojęcia, w jaki sposób Markiz odgadł moje wcześniejsze myśli. Doskonale wpasował się we wszystko, co roztrząsałam przez ostatnie dni. Momentalnie obdarł mnie ze złudzeń, że te wewnętrzne wywody czynią mnie kimś wyjątkowym. Że osiągnęłam jakiś doskonały poziom samoświadomości.

Byłam taka sama jak wszyscy. Jak ty, ty i ty.

Michele spojrzał na mnie z uśmiechem i głośno wciągnął powietrze. Odciągnął od szyi węzeł krawata. Jego wzrok dosłownie przeszły moje ciało. Miałam wrażenie, że w tym momencie kolejno odczytuje moje myśli. Znał moje obawy i wątpliwości.

Rozumiał moje nadzieje.

- Wszystko jest w porządku – odezwał się, łąpiąc palcami moją dłoń. – Od dzisiaj nie musisz mieć żadnych zmartwień. Nic się nie martw, Stew. Teraz to ja się

tobą zajmę.

Dreszcz strachu spłynął mi po kręgosłupie.



Pilot

Zastanawiałem się, jak długo musiałbym poddawać się rehabilitacji, aby moje neurony, protony, czy co tam jeszcze, zregenerowały się na tyle, bym mógł sam się zabić. Żeby w ostatniej chwili nie przypominał jaszczurki, która długim jęzorem usiłuje złapać muchę w locie.

Tydzień? Miesiąc?

Może nigdy nie odzyskałbym krztyny dawnej sprawności, ale wszyscy wokół zachwycaliby się, jak cudownie ozdrowiałem. Jaki sukces udało mi się osiągnąć. Gratulowaliby mi wygranej ze śmiercią.

Tyle że ze śmiercią nigdy się nie wygrywa. Od pierwszego klapsa danego przez położną (o ile położne jeszcze w ogóle dają klapsy) cień śmierci wisi nad każdym z nas. Właściwie pojawia się znacznie wcześniej, ale to już temat na zbyt filozoficzną dyskusję.

Przełknąłem ślinę. W mojej pozycji towarzyszyło temu nieprzyjemne uczucie, jakbym przełykał część własnej krtani. Nie miałem jednak siły z powrotem odwracać głowy.

Drgnąłem, spazmatycznie przesuwając się ku tabletkom. Bałem się jedynie, że stoczą się z poduszki i nic już nie zdołam z nimi zrobić. Wtedy skazałbym się na śmieszność.

Lola mogła w każdej chwili tu wrócić. Boże, kochałem ją jak szalenię. Kochałem też Konstancję, choć upływ czasu i druga miłość zrobiły swoje. Kilka lat temu nie uwierzylibym, że życie może się tak skomplikować. Nie uwierzylibym, że można mieć miłość dwóch wspaniałych kobiet, a jednocześnie nie mieć zupełnie nic.

Pomyślałem o błysku radości w oczach Loli, gdy Markiz dotykał jej twarzy. Pomyślałem o nocy, którą spędzili na jachcie. To wtedy na zawsze straciłem część siebie. Mógłbym się bronić przed uświadomieniem sobie tego faktu. Mógłbym tłumaczyć go na różne strony, ale wiedziałem, że prędzej czy później musiałbym ulec. Miłość można mieć tylko na wyłączność. Dlatego jest tak samolubnym uczuciem.

Otworzyłem usta i, zwilżając poduszkę śliną, wessałem tabletki. Dwie, trzy, pięć... Trzymałem je przez chwilę na języku. Były czymś powleczone, co z jednej strony ułatwiało ich przełknięcie, a z drugiej opóźniało rozpuszczanie.

Przed oczami przesunęły mi się twarze Konstancji i Loli. Czy naprawdę Konstancja zrezygnowała z miłości, byle tylko uratować mi życie? Pomyślałem, że

to jedynie dobra wymówka. Użyłem jej, aby nie dopuścić myśli, jak bardzo mnie znienawidziła. Porzuciła mnie. Wyklęła. Resztką współczucia podrzuciła mnie pod delikatne skrzydła Loli. Wiedziała, że ta jest w nią tak zapatrzona, że zrobi wszystko. Że jej dobre serce znajdzie swoją misję w wybawianiu kawałka świata, na którym okopało się moje sparaliżowane ciało.

Wszystko jest zwykle jedynie kwestią interpretacji.

W momencie gdy chce się umrzeć, i chce się tego naprawdę, a nie tylko na pokaz, należy znienawidzić cały świat. To jedyne wyjście, by odejść w spokoju.

– Kocham cię... – wymamrotałem bezgłośnie, choć nie wiem do kogo. Twarze Loli i Konstancji już znikły.

Tak bardzo chciałem, żeby były teraz przy mnie. Chciałem je jeszcze przeprosić. Chciałem...

Spróbowałem odchrząknąć, lecz nie miałem dość siły. Nie mogłem poruszyć głową nawet o krztynę. Czuję gorzki posmak tabletek rozpuszczających się na moim języku.

Zdołałem opowiedzieć o wszystkich moich podróżach. I chyba tylko z tego mogę być naprawdę zadowolony. I z jednej prawdy, którą pojąłem zbyt późno. Prawda ta każe pamiętać, że nie można się bardziej bać śmierci niż utraty miłości.



Stew

– Muszę już iść... – wyszeptałam. – Chyba powinnam już iść do Aleksego.

Właściwie wcale nie miałam na to ochoty. Po tym, co mi powiedział, i po tym, jak pojął jego wszelkie uczucia, wstydziłam się przy nim pojawić. Bałam się odtrącenia. Bałam się tego, że powie mi coś przykrego.

Myślałam o sobie.

Nie miałam pojęcia, że powinnam teraz jak najszybciej do niego biec. Że nigdy nie należy bać się spotkania z kimś, kogo się kocha. Nawet jeżeli jest nam okropnie wstyd i brzydymy się samych siebie. Dopóki nie zostaniemy wyrzuceni za drzwi, powinniśmy starać się o wybaczenie. Oczywiście, że dla dobra nas samych. Ale również dla dobra tego uczucia, które pieprzeni romantycy nazywają miłością.

– Rozumiem. – Markiz skinął głową. – Nie będę cię zatrzymywał...

Mimo to wyciągnął dłoń w moją stronę. Przez chwilę jego palce przebierały powietrze, ale gdy dostrzegł, że się nie odsuwam, pogładził mnie po twarzy. W jego oczach tlił się żal. Nie wiedziałam, jak mam rozumieć to, co powiedział kilka minut wcześniej.

Jak miał zamiar się mną zająć.

I czy był w tym jakiś podtekst.

Jednak poczułam ulgę, że zaciągnęłam się jego skrętem jedynie kilka razy i to dość płytko. Ostatnim razem skończyłam z potworną luką w pamięci. Czy teraz też chciał mnie na to przygotować? Czy znów poczęstował mnie jakimś gównem, które miało zwalić mnie z nóg?

Zaczynałam być potwornie podejrzliwa. Wzmagał się we mnie autentyczny strach. Być może byłam jak ten kot, o którym opowiadał Michele. Być może właśnie miałam okropne przecucie i nie wiedziałam, co z nim zrobić. Być może powinnam tylko zapragnąć umrzeć, a w tym krótkim mistycznym momencie to marzenie spełniłoby się.

Wróciliśmy już do środka kliniki i znowu tkwiliśmy w poczekalni. Tuż obok stał stół, na którym piętrzyły się gazety, nieco dalej automat z napojami, a obok niego kolejny z przekąskami.

– Może pójde z tobą do niego. – Michele zmrużył oczy. Badał moją reakcję.

– Nie. Nie ma potrzeby...

– Nie chciałbym zostawiać cię teraz samej.

Po raz kolejny pogładził mnie po policzku.

– Muszę iść – powiedziałam z naciskiem. – Sama. To sprawa między mną i Aleksym.

– Daj mu jeszcze przez chwilę pobyc samemu. Niech wszystko przemyśli.

– Zdaje się, że miał na to dość czasu.

Odwrociłam się, lecz Michele złapał mnie za ramię. W tym momencie byliśmy w niewielkim pomieszczeniu tylko we dwoje.

– Zaczekaj – odezwał się władczym tonem. – Zostań tu ze mną.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Swoim zwyczajem nerwowo przegładziłam dłońmi twarz i głośno sapnęła.

– Nie zostawiaj mnie – dodał ostro. – Proszę.

Zaskoczona zdałam sobie sprawę, że drzwi po przeciwnej stronie poczekalni są zamknięte. Wcześniej z pewnością były otwarte na oścież i zablokowane. Michele dostrzegł moje spojrzenie.

– Nikogo tu nie ma, bo kazałem wyprosić wszystkich gości – oznajmił beznamiętnym tonem. – I zamknąć tę część tylko dla personelu, którego dzisiaj jest ledwie garstka.

– Dlaczego?

Pytanie, które niedawno zadał mi Aleks, w moich ustach brzmiało jak profanacja świętego tekstu. Skrzywiłam się. Zerknęłam w stronę automatu i bezradnie opuściłam ramiona.

– Napijmy się kawy – odezwałam się zrezygnowana. – A potem niech dzieje się, co ma się dziać. Wszystko mi jedno.

– Zgoda.

Michele wyminął mnie, wyciągnął portfel i pośpiesznie wrzucił do automatu monety.

- Cappuccino? - zapytał.

- Może być...

Czekając, aż maszyna wypłuje kawę, Markiz spojrzął za okno. Stał do mnie bokiem i wiedziałam, że pilnie mnie obserwuje. Aby uniknąć jego wzroku, podeszłam do automatu. Po chwili sięgnęłam po dwa tekturowe kubki z gorącym napojem. Patrzyłam na odbicie pleców Michele w lśniącej szybie na przodzie maszyny. Wciąż stał obrócony do okna, ale z pewnością wsłuchiwał się w moje kroki.

Podeszłam do niego i podałam mu kubek kawy. Obrócił ją w dłoni. Upił łyk i oblizał usta. Patrząc gdzieś w dal, wydawał się kompletnie pogrążony w myślach. Jakby wypowiedziane niedawno słowa nic nie znaczyły. Jakbym tylko ja dostrzegą w nich jakiś podtekst.

Powoli ruszyłam w stronę drzwi. Staralam się iść szybkim, pewnym krokiem.

- Zostań. - Markiz nie odwrócił się od okna. - Nie każ mi wzywać ochrony.

Zatrzymałam się. Na plecach czułam jego świdrujący wzrok.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytałam.

- Powiedziałem, że się tobą zajmę - wycedził. - Najlepiej, jak tylko potrafie.

Odwróciłam się i odstawiłam kubek na stolik. Zaciśnęłam pięści. Wytrzymałam jego natarczywe, władcze spojrzenie.

- Nie potrzebuję tego.

- On tego potrzebuje. Dlatego proszę cię, zostań tu.

- A jeśli nie? - Hardo uniosłam podbródek i zrobiłam krok w jego stronę. - Co wtedy?

- Wtedy...

Markiz obrócił się i odkaslnął. Wypił do dna kawę, po czym rzucił kubek do śmietnika. Czarne kropki poznały lśniąca terakotę. Michele głęboko zaczerpnął powietrza.

- Wtedy... - powtórzył, lecz nagle zgubił wątek.

Popatrzył na mnie zaskoczonym wzrokiem. Już nie było w nim ani energii, ani władczości. Jego spojrzenie zmętniało. Zamrugał jak pijak, który chce uchwycić ostrość widzenia. Przebrał dłońmi w powietrzu i chwycił węzeł krawata. Już wcześniej go poluzował, lecz teraz wydawał się ciężać mu nadzwyczajnym ciężarem. Jego palce pośpiesznie rozplątywały supeł.

Nagle Michele opadł na kolana. Zamrugał raz jeszcze, wciąż nie spuszczać z mnie spojrzenia. Uderzył dłońmi o terakotę jak bokser poddający walkę.

Podeszłam do niego i się uśmiechnęłam. Wydawał mi się, że jeszcze mogłam cokolwiek wygrać.

- To tylko te tabletki, którymi uspiłiśmy Aleksego - rzuciłam z pogardą.

Michele di Sant'Angelo JakiśTam głośno zacharczał. Z jego oczu umknął chłopięcy blask. Natychmiast, jakby Markiz nie mógł spoglądać beznamiętnym spojrzeniem, zastąpił go bezgraniczny smutek.

- Dla... dlaczego? - wymamrotał.



Szpakowaty mężczyzna usiadł przy błękitnym stoliku i założył nogę na nogę. Sięgnął po pierwszą gazetę ze sterty. Przeglądał ją dłonią, jakby strzepywał z niej niewidzialne okruchy i kurz.

Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na tę prasówkę. Nie miał na to czasu. Jego żona umierała w drugim skrzydle budynku i przez to miał na głowie mnóstwo rzeczy. Musiał obmyślić najwygodniejszy sposób uporządkowania finansów. Poza tym część objętych rozdzielną majątkową aktywów po śmierci jego żony nie mogła trafić w niepowołane ręce. Należało je jak najsprawniej poddać zarządowi zaufanych ludzi.

Mimo to uwagę mężczyzny zwróciło zdjęcie na okładce gazety. Przedstawiało eleganckiego mężczyznę, który kroczy obok przedsiębiorców pogrzebowych niosących trumnę. Mężczyzna nie zasłaniał twarzy, lecz wyzywającym wzrokiem patrzył w stronę fotografującego. Uśmiechał się kpiąco. Miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę ze stójką. Jego butonierkę zdobił biały goździk. Czarne lakiery były starannie wyblyszczony, a w całej scenie brakowało jedynie czerwonego dywanu.

Pod zdjęciem znajdował się krótki tekst.

W piątkowy wieczór policja przeszukała podmonachijską rezydencję Michelego di Sant'Angelo. Na jej terenie odnaleziono śladowe ilości narkotyków oraz substancji psychoaktywnych. W związku z tym na razie nikomu nie przedstawiono żadnych zarzutów. Przyczyny przeszukania pozostają nieznane.

Jednocześnie nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że śledczy odkryli szereg nieprawidłowości w funkcjonowaniu kliniki imienia Świętego Michała. Obecnie toczy się postępowanie w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci obywatela Polski, Aleksego Fildera. To w jego pogrzebie przed kilkoma dniami uczestniczył Markiz (fot. powyżej). Przedstawiciel policji poinformował nas, że prowadzone czynności mogą doprowadzić do zmiany kwalifikacji prawnej zynu.

Wczesnym popołudniem został zatrzymany bliski współpracownik Michelego di Sant'Angelo, Hamid A. Na razie również przyczyny tego zatrzymania nie są znane. Hamida łączy się z siatką handlarzy ludźmi, którzy organizowali przemyt imigrantów z krajów afrykańskich do Europy.

W nieokreślonym charakterze przesłuchana została Katarzyna S. (na zdj. druga od lewej). Według nieoficjalnych informacji Katarzyna S. jest tajnym

współpracownikiem policji. Wciąż oczekujemy na więcej informacji w tej sprawie.

(więcej na s. 7)



Stew

Są na świecie ludzie, od których bije energia mocniejsza niż od najpotężniejszych gwiazd. W ich świetle możemy czuć się swobodnie i pewnie. Przy nich każda radość, każdy uśmiech i miły gest stają się jeszcze wyrazistsze. Jednak wyrazistsze są przy nich również smutek, rozpacz i żal. Ludzie ci biją niezwykłym blaskiem tak długo, na ile im starczy wewnętrznej energii. Gdy jej pokłady wyczerpują się, a przecież nic nie trwa wiecznie, gwiazdy te gasną. Jedne powoli, świecąc coraz słabiej – co może wydawać się brzydkie i żalosne, inne natomiast znikają w mgnieniu oka. I choć koniec dla wszystkich jest pisany ten sam, są ludzie, którzy wrzynają się w pamięć innych w sposób szczególny. Nie muszą być nadzwyczaj rezolutni, inteligentni lub bystrzy. Nie muszą posiadać umiejętności czytania nam w myślach ani w ogóle żadnej specyficznej cechy. Łączy ich wszystkich tylko jeden wyjątkowy element. To, że są nam bliscy. Energią, która dodaje im blasku w naszych oczach, jesteśmy my sami.

Wszyscy mamy przy sobie gwiazdy, wokół których krążą nasze życie i myśli. Bez nich, bez ludzi nam bliskich, osuwamy się w nicłość niebytu. Za tym horyzontem nie kryje się nowy ład. A może nie chcemy uwierzyć w jego istnienie, aby nie skazać tego jedyne, mistycznego pierwiastka, który jest dany nam wszystkim? Pierwiastka, który najłatwiej nazwać miłością.

Niektórzy nam bliscy odchodzą po cichu. Ich śmierć dostrzegamy przez to, że nagle nasze życie okazuje się ciemne i puste. Wtedy wiemy, że oto, gdzieś w odległej galaktyce ludzkich uczuć, zniknęła gwiazda. Nie musimy być obecni przy jej katastrofie.

Śmierć innych widzimy na własne oczy. Stoimy obok ich łóżek lub patrzymy na ciała wypadające z balkonów na trzydziestym drugim piętrze hotelu. To tylko moment, w którym pragnienie poznania tajemnicy wszechrzeczy bierze górę nad ciekawością, czy znów wstanie dzień.

Aleksy był jedną z takich gwiazd. Paliwem, które napędzało go do życia, było uczucie. Do mnie, do Konstancji, do świata, który dawał mu tyle, że po prostu trwał. Aleksy nie był zainteresowany badaniem tego, co znajduje się po drugiej stronie. Wiedział jednak, że nie może niczego stracić. Skoro świat pod jego skrzydłami wypełnił się dojmującą pustką, gdzieś tam być może skryła się pełnia.

W chwili gdy słońce jednym z nas znika za horyzontem, dla innych przecież w tej samej chwili wstaje. Na tym samym świecie. Choć może nieco dalej.

--- FADE TO BLACK ---

Posłowie

Nie miałem pojęcia, dokąd poprowadzi nas ta historia. W pewnym momencie obawiałem się, że niecierpliwie wyglądzany „plot twist” nigdy nie nadejdzie, a fabuła kształtująca się w moim umyśle okaże się nader trywialna. Na szczęście los przygotował liczne niespodzianki.

Odetchnąłem. Niewiele brakowało i tytuł mógłby brzmieć zupełnie inaczej. Jak? Z tym wiąże się krótka anegdota.

W trakcie burzy mózgów prowadzonej z wydawcą padły setki pomysłów, a... tę, która figuruje na okładce, pośpiesznie odczytałem jako *Niebezpieczna pozycja*. Cholera, brzmi niczym ustęp z Kamasutry – pomyślałem w pierwszej chwili. Czy książkę, która pobudziła moje emocje (nie utożsamiać z libido), można sprowadzić do ilustrowanego poradnika seksualnego? Poza tym seksu w nim jest znacznie mniej niż uczuć. W końcu właśnie o owe uczucia *vel* emocje (nie utożsamiać z libido!) chodziło.

Tak więc odetchnąłem. *Niebezpieczna propozycja* została przyjęta bez jakiegokolwiek głosu sprzeciwu.

Jednocześnie z debatą dotyczącą tytułu prowadziliśmy drugą, w temacie zakategoryzowania tej książki. Wszak według wielu każda pozycja musi mieć swoją półkę, szufladkę lub przegródkę. Zwał jak zwał.

– W jakim dziale byś ją widział? – Padło pytanie.

Wszystkie swoje książki niezmiennie pozycjonowałbym jako literaturę piękną tylko dlatego, że nie chcę pretendować do miana twórcy „literatury brzydkiej”. Jednak to fraza już na tyle wyświechtana, że w relacji z wydawcą uchodziłaby za frazes. Dlatego postanowiłem odpowiedzieć zgodnie z jeszcze szerszą prawdą.

– Ta książka dla mnie jest o umieraniu... Przede wszystkim. A jeśli to brzmi zbyt pesymistycznie, możecie uznać, że jest o życiu i o umieraniu.

– Taaa... *I danse macabre* to główny motyw?

– Oczywiście.

Zapadła pełna konsternacji cisza.

– Okej. My się tym zajmiemy – postanowiono za mnie. – Widzimy to całkowicie inaczej.

Wierzę, że *vox populi* w tym wypadku to *vox Dei*. Tyle że wrażeń jest tak wiele, ile wrażliwości i wyobraźni czytelnicznych. Mimo to mam nadzieję, że nawet jeśli ta powieść stanowi gatunkowy skok w bok, okazała się satysfakcjonującą przygodą.

Kto wie? Może kiedyś przyjdą dla nas kolejne okazje do zboczenia... z dotychczasowej drogi. O ile taka w ogóle istnieje. Różnorodność gatunkowa to przecież clou udanej zabawy.

Ukłony

Max Czornyj

OD ŚMIERCI NIE MOŻNA UCIEC.
NIGDZIE.



GDY RAZ ZETKNIESZ SIĘ ZE ZŁEM,
NIE BĘDZIE JUŻ ODWROTU.

FILIA MROCNIA
STRONA

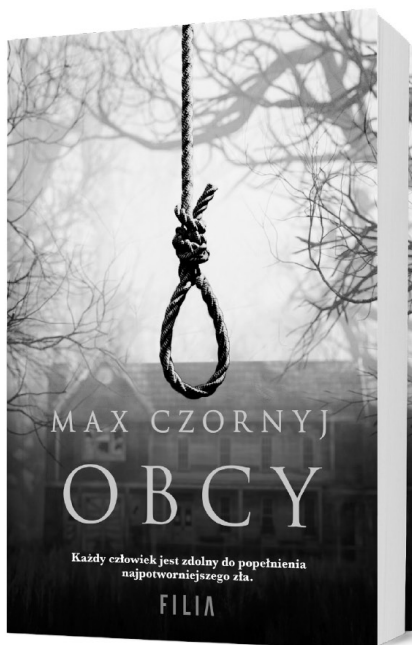
Komisarz Liza Langer
i profiler Orest Rembert nie mają sobie równych



Żadnym czasom nie brakuje szaleńców

FILIA MROCNIA
STRONA

SĄ LUDZIE, KTÓRZY TWIERDZĄ, ŻE ZŁO TO
BRAK DOBRA. A JA JESTEM PEWNY,
ŻE ZŁO TO TYLKO I WYŁĄCZNIE CZŁOWIEK.



FILIA MROczNA
STRONA

SERIA Z KOMISARZEM
ERYKIEM DERYŁĄ



FILIA MROCZNA
STRONA

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[Michele Filippo di Sant'Angelo](#)

[Prolog](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot Trzecia podróż od końca](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Pilot](#)

[Stew](#)

[Stew](#)

[Posłowie](#)

Copyright © by Max Czornyj, 2022
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Emotion Media
Zdjęcia na okładce: © Maxim Shmeljov/Adobe Stock
© VideoFlow/Adobe Stock

Redakcja: Marta Akuszczevska
Korekta: „DARKHART”, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-531-4

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl
tel:691962519

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.